

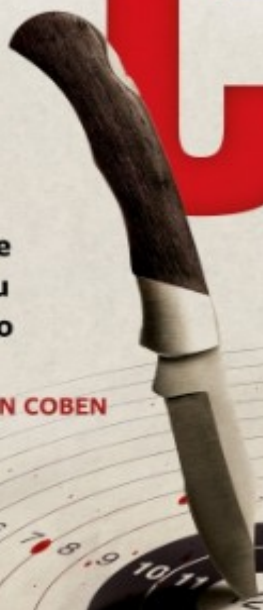
Simon Kernick

KRYMINAŁ
TINA BOYD

CEL

„Kernick pisze
pedałem gazu
wciśniętym do
dechy.”

– HARLAN COBEN



NIE MOŻE NIKOMU UPAĆ.
NIE MA DOKĄD UCIEĆ.
NIE MA GDZIE SIĘ SCHOWAĆ.

K
SIMON
ERNICK

KRYMINAL
TINA BOYD

CEL

JENTAS BOOKS

Cel

Tytuł oryginału: Target

© Simon Kernick 2009

© Copyright to the Polish Edition: Jentas ehf 2022

ISBN: 978-9979-64-396-8

Spis treści

Strona tytułowa

Notka redakcyjna

Prolog

NIEDZIELA

1

2

3

4

5

6

7

8

PONIEDZIAŁEK

9

10

11

12

13

14

15

16

17

WTOREK

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

ŚRODA

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

CZWARTEK

74

75

76

Epilog

Dla Pana Pinka i Aliego Karima

Prolog

Dwa tygodnie temu

Sir Henry Portman nie należał do ludzi unikających grzechu. Pił jak zawodowiec, grał jak amator i wciąż palił paczkę papierosów dziennie, doprawiając ją od czasu do czasu kubańskim cygarem i solidnymi czterema tysiącami kalorii, zawartymi w smakowitych tłustych potrawach, od których dietetykom jeży się włos na głowie, a wszyscy inni łakomie przełykają ślinkę.

Lecz jego ulubionym grzechem — tym, bez którego naprawdę nie potrafił się obyć i któremu zawdzięczał fakt, że jego waga wciąż nie przekraczała całkiem rozsądnych osiemdziesięciu pięciu kilo zamiast stu dwudziestu, na które sobie zasłużył — był seks pozamałżeński.

Podczas dwudziestu siedmiu lat małżeństwa Henry Portman zażył rozkoszy z trzystu czterdziestoma siedmioma partnerkami seksualnymi (trzystu czterdziestoma ośmioma, jeśli doliczyć żonę), którą to liczbę stale uaktualniał w małym notesie w oprawie z czarnej skóry, kupionym dokładnie w tym celu. Nawet teraz, choć przekroczył już pięćdziesiątkę, apetyt na seks wcale go nie opuścił.

Opuściła go natomiast uroda, toteż obecnie coraz częściej musiał korzystać z usług prostytutek. Niespecjalnie mu to przeszkadzało. Odkrył, że płacenie za seks ma wiele zalet.

Unikał komplikacji związanych z posiadaniem sekretnych kochanek, unikał też potencjalnego wstydu, gdyby prosił je o rzeczy zazwyczaj uważane za nietypowe. Ponieważ, jeśli chodzi o seks, jego upodobania były nieco eklektyczne — i dlatego właśnie teraz leżał przywiązany do łóżka w eleganckim burdelu w Islington, mając na sobie błyszczącą lateksową przepaskę na oczy i niewiele więcej, i czekał na smukłą dziewiętnastoletnią piękność imieniem Nadia, aby przyszła i zaczęła dręczyć go i drażnić, aż do osiągnięcia wyżyn ekstazy.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i ciche, powolne kroki Nadii. Gdy zbliżyła się do łóżka, sir Henry oblizał wargi i przełknął ślinę, ledwie wytrzymując niewiarygodne zniecierpliwienie, jakie zawsze ogarniało go w tych pierwszych chwilach.

— Byłeś niegrzecznym chłopcem — wyszeptała mocno akcentowaną angielszczyzną, palcami gładząc jego udo. I owo lekkie, delikatne muśnięcie wprowadziło go w paroksyzm rozkoszy.

— Wiem — syknął. — Boże, wiem...

Palce Nadii się odsunęły. Wydała z siebie osobliwy miaukliwy dźwięk, który ustał niemal natychmiast po tym, jak zabrzmiał. W pokoju zapadła cisza. Henry Portman wiercił się na łóżku, czekając, aż dziewczyna znów go dotknie.

Coś ciepłego i mokrego ciężkimi kroplami kapało mu na pierś i brzuch, spływając w stronę krocza. Czym go oblewała? To nie był воск, tylko coś chłodniejszego.

Kapanie ustało, usłyszał ruch przy łóżku. Poczł pierwsze ukłucie lęku, nadal jednak towarzyszyło mu podniecenie. Czyżby w Nadii nagle przebudziła się żądza przygód? Zazwyczaj postępowała według stałego scenariusza.

Cisza trwała dalej. A ona wciąż go nie dotykała.

— Nadia? Jesteś tam?

Nic.

— Nadia? — Teraz głośniej.

Czyjaś ręka jednym szybkim ruchem zerwała mu lateksową przepaskę. Przez moment mrugał, oślepiiony światłem w pokoju. Nadia patrzyła na niego pustymi oczami. Była blada, naga i piękna, a spomiędzy jej piersi wystawało wąskie ostrze sztyletu. Sir Henry ujrzał cienką zasłonę krwi spływającą po jej ciele. Na sobie także miał krew. Całe mnóstwo, rozbryzgnięte w konstelacji gniewnych plam.

Na kilka sekund odebrało mu głos, oczy rejestrowały wszystko, lecz umysł nie rozumiał znaczenia strasznego widoku. Nadia się nie ruszała. Po prostu tam stała, jasne oczy miała szeroko otwarte, lecz całkowicie puste. A potem, gdy tak patrzył, powoli zsunęła się na bok łóżka i zniknęła mu z pola widzenia.

Jej miejsce zajął mężczyzna w przesłaniającej całą głowę masce wilka z wyszczerzonymi kłami. W okrytej rękawiczką dłoni trzymał zakrwawiony nóż, którym przed chwilą zabił Nadię. Ostrze błyskało złowieszczo w świetle zyrandola. Zza maski spoglądały czujne oczy.

Henry Portman otworzył usta, aby krzyknąć ze zgrozy, lecz dłoń w rękawicze zatkała je brutalnie.

A potem, bardzo powoli, zakrwawiony nóż ruszył ku jego twarzy, aż w końcu czubek ostrza zajął całe pole widzenia.

— Chcesz, żebym wydułab ci oko? — spytał człowiek w masce. Głos miał szorstki i gardłowy. Henry Portman rozpoznał akcent z Irlandii Północnej.

Zaczął rozpaczliwie jęczeć „nie” pod rękawiczką. Zamknął oczy, gdy ostrze zbliżyło się jeszcze bardziej, poczuł, jak dotyka powieki.

— Teraz zabiorę rękę — podjął tamten spokojnym, niemal lekkim tonem. — Jeśli krzykniesz, oślepię cię. Zrozumiałeś?

Stłumione potwierdzenia Portmana najwyraźniej go przekonały, toteż jednym szybkim ruchem cofnął tak rękę, jak i

nóż.

— Proszę, nie zabijaj mnie — błagał Portman, całkowicie świadom swej absolutnej bezradności.

Boże, powinien był wiedzieć, że coś takiego się stanie. Ci ludzie to zwierzęta... a on w jakiś sposób związał się z nimi. Wszystko to przypominało koszmar senny.

— Słyszymy, że zaczyna pan tchórzyć, sir Henry — ciągnął mężczyzna w wilczej masce, przesuwając lekko ostrzem wzdłuż jego brzucha i zeszkrobując z niego krew Nadii.

— Nie, nie. Nie tchórzę. Przysięgam.

— Nie kłam. Jeśli skłamiesz, stracisz oko. Rozumiesz to?

— Tak, tak, rozumiem. Naprawdę.

— To dobrze. Skasowałem dziewczynę, żebyś wiedział, że moje słowa należy traktować poważnie.

— Nie było takiej potrzeby. I tak potraktowałbym cię poważnie.

Portman odniósł wrażenie, że jego rozmówca uśmiecha się pod maską.

— Nie — rzekł. — Nie sądzę. Ale teraz widzisz już, że to poważna sprawa, prawda? Skoro mogłem zabić młodą kobietę, wyobraź sobie, co mógłbym zrobić z tobą. Albo z twoją żoną. Albo z córką. Jak ma na imię? Jane, prawda? — Zakręcił koniuszkiem ostrza w gąszczu włosów łonowych Portmana. — Ładniutkie z niej stworzenie. Widziałem wczoraj, jak wychodziła z waszego domu. Tak, bardzo ładna.

Na wzmiankę o córce Henry Portman poczuł, że zaciskają mu się gwałtownie wnętrzności. Co niewiarygodne, w tym momencie nie pomyślał nawet o nożu.

— Proszę. Nie Jane. Jeśli musisz, zrań mnie, ale ją zostaw w spokoju. Błagam cię.

— Naprawdę nie ma sensu błagać, panie Portman. Jeśli będzie trzeba, wyrnę twoją rodzinę po kolei i nakarmię cię

kawałkami ich ciał.

— Czego chcesz?

— Chcę, żebyś szczerze odpowiedział na wszystkie moje pytania. Jeden błąd — urwał, muskając nożem podstawę penisa sir Henry'ego — i zacznę ciąć.

— Będę mówił prawdę, przyszekam! — I nie kłamał. Znów zdecydował się zagrać *va banque*, zakładając, że jest dla nich cenniejszy żywy niż martwy, i odgadując, że i tak wiedzą już o wszystkim.

— Doskonale. To co, zaczynałeś tchórzyc?

Portman gorączkowo pokiwał głową.

— Tak, to prawda, ale daję słowo, z nikim nie rozmawiałem. Wybrałem się do komisariatu policji w Kensington i wszedłem nawet do środka. Ale opuściłem to miejsce pięć minut później, bo wiedziałem, że rozmowa z kimkolwiek byłaby zbyt ryzykowna. Po prostu strasznie się boję, że coś pójdzie nie tak i że mnie złapią...

— Nie ma potrzeby — przerwał mu człowiek w masce, zaskakująco współczującym tonem. — Osobiście doglądam tej operacji, na mojej zmianie nic nie pójdzie źle. Ale miałaś rację, że z nikim nie rozmawiałaś. To by cię kosztowało rodzinę. — Odsunął nóż od krocza Portmana i schylił się, podnosząc trupa Nadii za długie ciemnorude włosy. — I teraz to rozumiesz, prawda? Co się stanie, jeśli spróbujesz z nami pogrywać? Możemy cię dopaść absolutnie wszędzie.

— Proszę — wyszeptał Portman. — Połóż ją. Nie mogę znieść tego widoku.

Mężczyzna w masce wypuścił ciało, które z głuchym łoskotem runęło na posadzkę.

Henry Portman przełknął ślinę. Zemdlilo go. Nie darzył Nadii gorącym uczuciem, ale myślał, że równie dobrze w tym miejscu mogłaby teraz leżeć jego piękna córka, sprawiała, że z

trudem powstrzymał się przed z wymiotowaniem trzydaniowego posiłku, spożytego zaledwie parę godzin wcześniej.

— Co zamierzasz z nią zrobić? — spytał.

— O to się nie martw. Znamy właścicieli tego zakładu. Dziewczyna zniknie. Na twoim miejscu martwiłbym się o siebie.

— I martwię.

— Wiem, że tak. Zależy od tego życie całej twojej rodziny.

Nagle nóż mężczyzny śmignął naprzód. W następnej sekundzie Portman poczuł ostry ból u podstawy penisa, a po jądrach pociekła mu ciepła krew. Zaczął krzyczeć, przerażony, lecz mężczyzna przyłożył palec w rękawicze do wyszczerzonej wilczej paszczy, uciszając go błyskawicznie. Portman wiedział, że nie warto nawet myśleć o sprzeciwianiu się oprawcy.

— To tylko drobny przedsmak tego, co mogłoby się zdarzyć — rzucił lekko. — Nie uszkodziłem trwale niczego.

Pochylił się i przeciął więzy łączące prawy przegub Portmana z łóżkiem. Potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Sir Henry, nagi, krwawiący i sam, zastanawiał się, czy sumienie kiedykolwiek wybaczy mu to, co niedługo zrobi.

NIEDZIELA

1

Czasami los człowieka zależy od jednej, z pozoru niewinnej decyzji. W moim wypadku była to chwila, w której w owo niedzielne popołudnie zgodziłem się wyskoczyć na szybkie piwko z sąsiadem z tej samej ulicy, łysiejącym luzakiem imieniem Ramon, który uczył tańczyć salsę w miejscowym ośrodku kultury i wbrew wszelkim dowodom uważał siebie za prawdziwy magnes przyciągający płęć piękną. Niemal cały weekend siedziałem w domu i pracowałem, a choć zazwyczaj wołałem nie pokazywać się publicznie z Ramonem, który zawsze nosił na głowie czerwoną lub czarną przepaskę, wizja odprężającego popołudniowego drinka za rogiem ulicy, przy której mieszkaliśmy obaj, na nudnym, lecz miłym londyńskim przedmieściu Colindale, wydała mi się pociągająca.

Lecz wszyscy wiemy, jak to zwykle bywa. Kiedy w grę wchodzi alkohol, wydarzenia rzadko toczą się zgodnie z planem i nasz odprężający drink szybko zamienił się w trzy czy pięć, a potem w tani posiłek w samoobsługowej chińskiej knajpce przy głównej ulicy i wreszcie w wyprawę na West End. Tam właśnie znalazłem się tej nocy, o wpół do jedenastej: krążyłem po dusznym, zatłoczonym barze w okolicy Long Acre. Salsujący Ramon zgubił się gdzieś w tłumie dobre dwadzieścia minut wcześniej.

Na tym etapie miałem już dosyć. W dawnych czasach zapewne polubiłbym to miejsce. W czasach, kiedy pracowałem w City, przychodziłbym tu niemal co tydzień i zapewne znał

imiona większości pracowników. Lecz od tamtej pory upłynęło wiele wody i teraz, w wieku trzydziestu czterech lat, czułem się tu stary i obcy. Alkohol pogarszał mi nastrój, przywołując wspomnienia młodości, gdy życie toczyło się łatwo i przyjemnie, a ja byłem w tym samym wieku co wszyscy inni bywalcy baru. Wiedziałem, że pora już wracać do domu, kiedy jednak odstawiłem na wpół opróżnioną butelkę beckska, którą tuliłem w dłoni niemal godzinę, i ruszyłem w stronę drzwi, zobaczyłem ją zbliżającą się z przeciwnej strony.

Nie widziałem Jenny od niemal roku, lecz gdy tylko mnie dostrzegła, uśmiechnęła się szeroko i podeszła, po czym objęła mnie mocno, wyciskając wilgotne całusy na obu policzkach.

— Rob Fallon. Kopę lat! — zawołała, przekrzykując hałas, po czym cofnęła się o krok i zmierzyła mnie wzrokiem. — Dobrze wyglądasz.

Wątpiłem, czy rzeczywiście, zwłaszcza w obecnym stanie, ale nie zamierzałem się spierać.

— Ty też — odparłem w bezmyślny sposób, w jaki zazwyczaj mówi się takie rzeczy, tyle że w tym wypadku to była prawda.

Jenny zawsze dobrze wyglądała. Wysoka i ładna, miała długie jasne włosy, co najmniej w osiemdziesięciu procentach naturalne, oraz złocistą skórę w odcieniu, który, jak lubią powtarzać eksperci, jest niezdrowy dla rasy białej, lecz w jej wypadku bynajmniej tak nie wyglądał. Oceniam, że miała dwadzieścia siedem, osiem lat, lecz z łatwością można by ją wziąć za dwudziestotrzylatkę. Największe wrażenie robiły jednak jej oczy. Były bardzo duże i bardzo brązowe, a gdy przyszpilała cię spojrzeniem, oderwanie wzroku wymagało wyjątkowego wysiłku. Nie żeby wielu facetów miało ochotę go podjąć.

Jeśli z tego wszystkiego wyciągacie wnioski, że się w niej kochałem, to się mylicie. Owszem, niewątpliwie w grę wchodził pewien pociąg — przynajmniej z mojej strony — i zawsze

świetnie się dogadywaliśmy. Ale dwie rzeczy mnie powstrzymywały. Po pierwsze: wciąż jeszcze kochałem kogoś innego, choć po dwóch latach zrozumiałem, że moja była żona Yvonne nigdy do mnie nie wróci. I po drugie: nie poznałbym Jenny, gdyby nie fakt, że była dziewczyną mojego najlepszego kumpla, Dorna. Z tego powodu spędzaliśmy razem czas jedynie w jego obecności, a że przestali już być parą, kontakt się urwał. Aż do tej chwili.

To mogła być jedynie przelotna rozmowa, z rodzaju tych, jakie nieustannie odbywają ludzie, którzy tak naprawdę się nie znają, ale ostatnio czułem się bardzo samotny i może zadziałał też alkohol, bo przyczajony od zawsze pociąg znów się przebudził, i to dość gwałtownie. Toteż kiedy tak krzyczeliśmy sobie do uszu, walcząc z hałasem, i nozdrza wypełnił mi lekki zapach jej perfum, rzuciłem się na głęboką wodę i spytałem, czy nie ma ochoty pójść gdzieś indziej.

Szczerze mówiąc, w zwykłych okolicznościach nie zachowałbym się tak śmiało, ale znów myślę, że zadziałał alkohol. Nie spodziewałem się też zgody. Istniało spore prawdopodobieństwo, że Jenny przyszła do pubu z przyjaciółmi, na których można polegać bardziej niż na Ramonie, i nie zostawi ich po to, by wyskoczyć gdzieś z kumplem swojego chłopaka.

Ale ona się zgodziła.

I ta właśnie chwila przypieczętowała mój los.

Skoczyliśmy za róg do cichszego, bardziej tradycyjnego pubu, w którym zostało jeszcze sporo wolnych stolików. Kupiłem drinki — dla mnie wodę gazowaną, dla niej szprycer z wytrawnego białego wina — i zaczęliśmy opowiadać.

Jenny pracowała dla sieciowej agencji turystycznej, właśnie wróciła z dziewięciodniowego wyjazdu na Mauritius i Seszele,

podczas którego sprawdzała bazę hotelową. Upierała się mało przekonująco, że to cięższa praca, niż można by sądzić. Te słowa stały się sygnałem do rozmów o podróżach i wymiany zwykłych anegdot turystycznych.

Jedną rzecz muszę przyznać: z Jenny zawsze rozmawiało mi się swobodnie i naturalnie. Nigdy nie czułem, że muszę skryć się za fasadą, udawać kogoś, kim nie jestem. Może sprawiał to fakt, że jako dziewczyna Dorna pozostawała nietykalna, toteż nie było takiej potrzeby. Lecz tego wieczoru oboje unikaliśmy jakiegokolwiek wzmianki o Domie, a gdy dokończyliśmy drinki, Jenny postawiła kolejkę, upierając się, żebym wybrał coś z procentami, by nie czuła wyrzutów sumienia, pijąc samotnie. Zdecydowałem się na wódkę z red bullem, w nadziei, że trochę mnie obudzi.

— Powiedz — rzekła, wróciwszy do stolika ze szklankami — skończyłeś już tę książkę, którą pisałeś?

Pozwólcie, że nieco rozwinę temat. W czasach, kiedy Jenny spotykała się z Domem, pracowałem nad książką. W istocie pracowałem nad nią w sumie pełne trzy lata, odkąd sprzedałem swoje akcje i rzuciłem pracę w banku inwestycyjnym, by rozpocząć nowe życie na francuskiej wsi z Yvonne i naszą wówczas roczną córeczką Chloe. Od zawsze miałem ambicję zostać pisarzem i pisałem w wolnym czasie — dosyć, by uznać, że warto przynajmniej spróbować. To był mój plan emerytalny: wydać serię popularnych i dobrze ocenianych książek, jednocześnie hodując organiczne owoce i warzywa na idyllicznym skrawku burgundzkiej wsi.

Niestety sprawy potoczyły się nieco inaczej. Pisanie książki, o której mowa — *Spisek: opowieść sensacyjna*, wysokooktanowy kryminał osadzony w mrocznym świecie najwyższej finansjery (moje hasło reklamowe) — okazało się znacznie trudniejsze, niż przypuszczałem. Nie potrafiłem sobie poradzić z fabułą, a kiedy w końcu mi się udało, owoc moich

wysiłeków liczył siedemset stron i był zapewne najmniej porywającym thrillerem, jaki zdarzyło mi się czytać. Podczas pracy stałem się tak nieznośny, że nie dawało się ze mną żyć, a idylliczna burgundzka wieś, setki kilometrów kwadratowych pól i łąk, doprowadzała mnie do szału. Co gorsza, Yvonne ją uwielbiała.

Pewnie domyślacie się już, co było dalej. Kłóciliśmy się wściekle, a tymczasem moje marzenia, pielęgnowane przez długie lata biurowych nadgodzin, rozsypywały się z każdym dniem. Byłem samolubny. Raz po raz groziłem, że pozbięram zabawki i wrócę do domu. Pewnego dnia Yvonne uznała, że ma dosyć, i odparła: bardzo proszę. Zgodziliśmy się na trzymiesięczną próbną separację. Wróciłem do Anglii, zamieszkałem w zapasowym pokoju Dorna z nadzieją, że zmiana otoczenia dostarczy mi weny, której potrzebuję do *Spisku*. Ale tak się nie stało. Zamiast tego, właśnie gdy miałem powiedzieć Yvonne, że chcę do niej wrócić, bo zrozumiałem, że życie bez niej i Chloe tylko mnie unieszczęśliwia, żona oznajmiła, iż poznała kogoś innego. Niejakiego Nigela, także pochodzącego z Anglii. Wciąż mieszka razem z nim i Chloe, tyle że przenieśli się na południe, do Montpellier.

A mój wysokooktanowy kryminal osadzony w mrocznym świecie najwyższej finansjery?

— Nie — odparłem ze smutnym uśmiechem. — Nie skończyłem jej.

— Wielka szkoda. — Jenny sprawiała wrażenie zawiedzionej. — Włożyłeś w nią przecież tyle pracy.

— Czasami trzeba wiedzieć, kiedy zrezygnować. — Pociągnąłem porządny łyk wódki z red bullem. — Ale — dodałem, chcąc podtrzymać jej zainteresowanie — nie należę do ludzi, którzy łatwo się poddają. Teraz piszę kolejną i wiesz co?

Jej twarz pojaśniała.

— Co?

— Mam agenta. Gościa, który uważa, że zdoła ją sprzedać. Posłałem mu pierwszych dziesięć rozdziałów i na ich podstawie zgodził się mnie reprezentować.

— Opowiesz mi, o czym to jest? — Jenny pochyliła się naprzód, wyglądała na szczerze zainteresowaną.

Zatem opowiedziałem jej wszystko o Maxwellu.

W kręgach północnolondyńskiego podziemia przestępczego Maxwell był niemal legendą, byłym lichwiarzem i bandziorem, ponoć silnym jak wół i dysponującym niezwykle użyteczną w lichwiarskim biznesie umiejętnością wyważania drzwi jednym pchnięciem. Innymi słowy nie należał do ludzi, którym warto się narażać. Spotkałem go parę miesięcy wcześniej na imprezie w Hoxton, zorganizowanej przez jednego z uczniów Ramona. Maxwell stał z boku, dealował kokainę i wyglądał groźnie, i jakoś tak się złożyło, że zacząłem z nim gadać.

Kiedy powiedziałem, że jestem pisarzem (technicznie rzecz biorąc, to prawda, choć nigdy nie zarobiłem w ten sposób nawet grosza), Maxwell gwałtownie się zainteresował.

— Mam do opowiedzenia mnóstwo historii — warknął, dodając następnie nieśmiertelne „mógłbyś przerobić moje życie na powieść”, które to słowa, choć dopiero raczkowałem w świecie literackim, słyszałem już zapewne ze sto razy, zazwyczaj z ust ludzi, których życie zupełnie nie nadawało się na powieść. Jednak w wypadku Maxwella dostrzegłem pewien potencjał.

W tym czasie praktycznie zarzuciłem już pracę nad *Spiskiem*. Pojechałem zatem do domku w Berkshire, nabytego przez Maxwella za jego grzeszne zyski. Zamierzałem przeprowadzić z nim wywiad, choć sam nie wiedziałem dokładnie, czego się spodziewać. Zostałem zaś przyjaznego i charyzmatycznego faceta, istną kopalnię fascynujących historii, suto okraszanych niekończącym się strumieniem oryginalnych

anegdot. Życie Maxwella rzeczywiście stanowiło idealny materiał na książkę. Wyobrażałem ją sobie jako brytyjską odpowiedź na Chłopców zferajny: podróż gangstera przez mroczne brytyjskie podziemie, od dzieciństwa po wiek średni, obejmującą wszystkie zbrodnie, które popełnił po drodze, a także sporo takich, których nie popełnił, łącznie z paroma morderstwami — dla ubarwienia fabuły.

Nie musiałem długo przekonywać Maxwella. Ponieważ uwielbiał gadać o swoich wyczynach, logiczne, że zachwyciła go szansa zarobienia na nich grosza. I tak po paru miesiącach zabraliśmy się w końcu do roboty, której owocem było pierwszych dziesięć rozdziałów, traktujących o początkach jego życia. To właśnie dzięki nim zdobyłem agenta. Od tego czasu przedzierałem się powoli przez resztę materiału, starając się nie myśleć o tym, że nędzna resztką pieniędzy, która mi została, wyczerpuje się bardzo szybko. Zastanawiałem się nawet, czy nie poprosić Maxwella o pożyczkę, szybko jednak zrezygnowałem. Mam dość słabe drzwi frontowe, a wątpiłem, by w razie opóźnienia spłaty zrobił dla mnie wyjątek.

Kiedy skończyłem swoją opowieść, doprawioną paroma wybranymi anegdotkami, Jenny ze zdumieniem pokręciła głową.

— Boże — mruknęła, wychylając resztkę drugiego szprycera.

— To niesamowite, że tacy ludzie w ogóle istnieją.

— Wierz mi, istnieją.

— Brzmi okropnie. — Udała, że się otrząsa. Widziałem jednak z wyrazu jej oczu, że historia Maxwella ją zafascynowała.

— Jest jak wielu innych przestępców — odparłem, starając się przemawiać autorytatywnie. — Bywają naprawdę zabawni, aż do chwili, kiedy ich wkurzysz. Wtedy stają się bardzo nieprzyjemni.

Jenny spojrzała na mnie z uśmiechem i byłem pewien, że uśmiech ten ma w sobie coś sugestywnego. Pub już zamykano i oprócz zbierającego szklanki barmana zostaliśmy w nim tylko my dwoje.

Nagle uświadomiłem sobie, że nie chcę, by ten wieczór się skończył. Od wielu miesięcy nie byłem sam na sam z kobietą i świetnie się bawiłem.

— Masz ochotę pójść gdzieś jeszcze? — spytałem, siląc się na swobodę. — Znam tu w okolicy parę winiarni, w których można posiedzieć do późna.

— Bardzo chętnie, ale rano muszę iść do pracy i wołałabym uniknąć bólu głowy.

Jenny wstała, poszedłem w jej ślady. Byłem zawiedziony, ale nie dałem tego po sobie poznać. Tak chyba będzie lepiej: w końcu jako była dziewczyna Dorna nie powinna mnie zbyt interesować.

Kiedy jednak wyszliśmy z pubu na chłodną nocną ulicę, Jenny zaskoczyła mnie, pytając, czy mam może ochotę wpaść do niej na pożegnalnego drinka.

— To tylko pięć minut taksówką stąd.

Z tonu jej głosu i zachowania trudno było wywnioskować, czy zaproszenie to ma stanowić jedynie przedłużenie naszej pogawędki, czy też coś więcej. Lecz, tak czy inaczej, zapomniałem o wcześniejszych zahamowaniach i wahałem się zaledwie sekundę.

— Jasne, byłoby super — odparłem.

W końcu to przecież nic takiego. Jeden drink nikomu nie zaszkodzi.

O, jakże się myliłem.

2

Jenny mieszkała w bajeranckim nowym apartamentowcu w jednej z przyjemniejszych części północnego Islington. Jaskrawe lampy i przesadne użycie przyciemnionego szkła sprawiały, że budynek bardziej przypominał centralę modnej firmy konsultingowej niż miejsce, które mogłby wybrać sobie na mieszkanie ktokolwiek o zdrowych zmysłach. Wyglądał też na wyjątkowo drogi i pamiętam, że pomyślałem, iż może powinienem zostać agentem sieciowego biura podróży, skoro tak dobrze płacą, mimo iż w głębi ducha wiedziałem, że to nieprawda.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed domem, Jenny sięgnęła do torebki, by zapłacić kierowcy. Ja jednak, jak zawsze džentelmen, wręczyłem mu swoją ostatnią dziesięciofuntówkę, która, biorąc pod uwagę londyńskie ceny taksówek, ledwie starczyła na pokrycie rachunku.

— Jest coś, co powinnam ci powiedzieć — oznajmiła moja towarzyszka, gdy stanęliśmy na chodniku.

Kiedy ostatni raz usłyszałem ten tekst z ust swojej żony, zaraz potem wypaliła, że zakochała się w gościu imieniem Nigel. Starając się o tym nie myśleć, przybrałem najbardziej neutralną minę i spytałem Jenny, o co chodzi.

Położyła mi dłoń na ramieniu i przygwoździła spojrzeniem owych wielkich piwnych oczu. Zauważyłem, że odrobinę chwieje się na nogach.

— Wiesz, że jakiś czas temu zerwaliśmy z Domem?

— Mhm — odparłem świadom, że także się kiwam.

— Ostatnio próbował się ze mną skontaktować. Dzwonił. Wypytywał. Takie tam.

Słuchałem z rosnącym rozczarowaniem. Myślałem, że ich związek przeszedł już do historii. Cały wieczór żadne z nas nie wspominało o Domie i teraz, gdy usłyszałem jego imię, poczułem nagłe wyrzuty sumienia.

— Wiem, że bardzo blisko się ze sobą przyj aźnicie — podjęła. — Toteż uznałam, że uczciwie będzie cię uprzedzić. Dom bardzo chce, żebyśmy znów spróbowali. Ale ja nie. — Podeszła bliżej, tak że nasze twarze dzieliło tylko kilka centymetrów. — Dlatego właśnie tu jesteś.

Nie byłem pewien, co odpowiedzieć, toteż zdecydowałem się na milczenie. Nie stawiałem oporu, kiedy wzięła mnie za rękę i poprowadziła do głównego wejścia budynku, choć wiedziałem już, że będzie to coś więcej, niż tylko przedłużenie naszej rozmowy.

Wewnątrz hol był pusty. Zauważyłem, że Jenny marszczy brwi. Przesunęła kartą przez kosmiczny czujnik zwalniający zamek na podwójnych drzwiach.

— Powinien być tu portier — mruknęła. — Płacimy za to administracji.

Nie miałem pojęcia, po co komu portier, skoro żeby dostać się do środka i tak potrzeba klucza, ale osobiście cieszyłem się, że go tam nie ma. Nie chciałem żadnych świadków czegoś, co zapowiadało się na zdradę mojego najstarszego kumpla, zwłaszcza jeśli — broń Boże — Dom i Jenny kiedykolwiek się zejdą. Choć musiałem uczciwie przyznać, że nie brzmi to zbyt prawdopodobnie.

Kiedy znaleźliśmy się wewnątrz i nacisnęła guzik windy, usłyszałem szybkie kroki dobiegające z holu za recepcją. Brzmiało to, jakby portier właśnie wracał, toteż gdy drzwi

windy się otworzyły, pospiesznie wszedłem do środka i przywarłem do ściany, nadal nie chcąc, by mnie widziano.

Jenny podążyła w moje ślady, stanęła pośrodku i gdy drzwi zaczęły się przesuwac, zawołała:

— Cześć, John! Już myślałam, że strajkujesz.

— Przerwa na kibel — usłyszałem głos portiera, a potem drzwi się zasunęły.

Jenny nacisnęła guzik dziewiątego piętra.

Patrzyliśmy na siebie przez długą sekundę i natychmiast pojąłem, co się stanie. Pochyliła się naprzód. Ja także.

Pierwszy pocałunek był nieśmiały, tak jak zwykle w filmach. Poczułem, jak ulatniają się ze mnie resztki wyrzutów sumienia.

Drugi był dłuższy, mocniejszy, ledwie zauważyłem, gdy drzwi znów się otworzyły. Przerwaliśmy na parę sekund, a potem wzięła mnie za rękę i poprowadziła krótkim korytarzem do swoich drzwi, całując raz jeszcze, nim wmanewrowaliśmy do środka, wciąż złączeni wargami.

Mieszkanie Jenny było bardzo ładne, jak można oczekiwać po modnym, nowoczesnym budynku. Przedpokój wychodził bezpośrednio na przestronny, elegancko urządzony salon z wielkimi oknami od podłogi do sufitu, z widokiem na park.

Na moment puściła mnie i cofnęła się o krok.

— Zwykle nie jestem taka śmiała, wiesz?

— Wiem — odparłem. Oczywiście nie wiedziałem, ale uznałem, że to najlepsza odpowiedź.

— Po prostu zawsze miałam do ciebie słabość.

— Ja chyba do ciebie także — przyznałem.

— Chcesz się czegoś napić?

Nigdy nie zapomnę swojej odpowiedzi, głównie dlatego, że była tak banalna i że całkowicie zaprzeczwała mojej reputacji romantyka oraz mistrza słowa.

— Nie — odparłem. — Chcę tylko ciebie.

Chyba jednak podziałała, bo w następnej sekundzie znów się całowaliśmy. Pozostaliśmy w tej pozycji przez kilka minut, badając dłońmi swoje ciała, obściskując się zachłannie. A potem Jenny wyszeptała zmysłowo, że czas iść do łóżka.

Nie protestowałem i zaczęliśmy przesuwać się bokiem, jak kraby, wciąż złączeni, do obszernej sypialni z lustrami na ścianach i wielkim łóżem zasłanym czarną satynową pościelą. Muszę przyznać, iż wyglądało jak zaprojektowane z myślą o podobnych spotkaniach.

Jenny ściągnęła mi kurtkę i cisnęła w kąt, a potem zaczęła majstrować przy pasku.

Niestety w tym właśnie momencie, z idealnym wyczuciem czasu poczułem coś, co stanowi koszmar każdego mężczyzny w podobnej sytuacji: nagły nacisk na pęcherz. Naprawdę nie chciałem nic mówić, w obawie, że zniszczę nastrój, ale wiedziałem też, znając swoją fizjologię, że muszę, w przeciwnym razie parcie będzie narastać, co z kolei może zrujnować wszystko.

Odczekałem kolejnych trzydzieści sekund z nadzieją, że to minie. Nic z tego.

— Muszę na moment skoczyć do łazienki — wymamrotałem, nie odrywając od niej ust.

— Jest tam — szepnęła, wskazując drzwi po prawej. — Pospiesz się.

— Jasne — odparłem i oderwałem się od niej.

Po przepychu reszty mieszkania łazienka stanowiła pewien zawód. Choć połączona z sypialnią, była pozbawiona okien i stanowczo za mała, jakby projektant popełnił błąd w obliczeniach i zabrakło mu miejsca. Z trudem wcisnąłem się przed ubikację, unikając wpadnięcia do wanny.

Niewiele jest rzeczy bardziej zniechęcających dla kochanki podczas pierwszego razu, niż słuchanie głośnego sikania partnera, toteż odkręciłem kran w umywalce, by zamaskować

hałas. Potem, kiedy skończyłem i spuściłem wodę, umyłem ręce i przejrzałem się w lustrze. Uznałem, że nie wyglądam tak źle, biorąc pod uwagę, że przez ostatnich osiem godzin zajmowałem się głównie picciem. Przybrałem nawet seksowną minę, zerkając na siebie z ukosa.

I właśnie w tym momencie usłyszałem, jak Jenny sapnęła raz jeden bardzo głośno i krzyknęła.

Zamarłem.

Krzyk ucichł nagle. Ktoś zatkał jej dłonią usta. A potem usłyszałem za drzwiami ruch i nagłące, przyciszone głosy dwóch mężczyzn.

— Przytrzymaj ją — syknął jeden z nich. Mówił z ostrym, wyraźnie północnoirlandzkim akcentem. — Muszę wbić igłę.

W stłumionych krzykach Jenny zabrzmiała nowa desperacja.

— Zamknij się, kurwa, i przestań szarpać! — warknął drugi z mocnym akcentem londyńskim. Tuż po tym nastąpiło głośne plaśnięcie, jakby ktoś wymierzył siarczysty policzek.

Nie miałem pojęcia, co się tam dzieje, ale wiedziałem, że muszę interweniować, bo ktoś zaatakował Jenny. Tyle że wmurowało mnie w ziemię. Nie jestem twardzielem jak Maxwell, tylko zwykłym śmierdzącym tchórzem, który co dzień czyta w gazetach historie o bezsensownych zabójstwach ludzi dość odważnych, by pomagać ofiarom przestępstw. Zawsze powtarzałem, że nigdy nie zlekceważę czyjegoś wezwania pomocy, bo gdybym to zrobił, nie potrafiłbym ze sobą żyć. Lecz teraz, gdy to się działo zaledwie parę metrów ode mnie, odkryłem, że nie mogę się ruszyć, w moim ciele adrenalina zmagala się ze strachem.

Krzyki Jenny się urwały. Tak po prostu.

Zrób coś! — wrzasnął na mnie wewnętrzny głos. Ale co do diabła miałbym zrobić?

— Dzięki Bogu. — Londyńczyk westchnął głośno; sądząc z tonu głosu, odprężył się wyraźnie. — Ale przyznasz, niezła z niej laska.

— Nawet o tym nie myśl — odparł wyniośle Irlandczyk. Tym razem jego głos dobiegł tuż zza drzwi łazienki. — Nie mamy czasu. Ściągnij ją z łóżka. Ja muszę się odlać.

W tym momencie gałka drzwi zaczęła się obracać.

Jezu Chryste! Skurwysyn zamierzał tu wejść, a ja zamknąłem drzwi! Gdy tylko się zorientuje, zrozumie, że w mieszkaniu jest ktoś jeszcze, i to będzie mój koniec. Tkwiałem w pułapce. W jednej chwili szykowałem się do namiętnej nocy z atrakcyjną kobietą, w następnej modliłem o swoje życie.

Gałka obracała się dalej. Gość wciąż gadał. Serce waliło mi w piersi.

Zrób coś!

Pochyliłem się i odciągnąłem zasuwkę z nadzieją, że jego głos zagłuszy szcęk. A potem, poruszając się szybko i starając nie hałasować, wszedłem do wanny i zaciągnąłem zasłonkę prysznicową, ukrywając się za nią.

W samą porę. W następnej sekundzie drzwi się otworzyły i facet wszedł do środka, zamykając je głośno za sobą.

Znów zamarłem, zaciskając zęby, nie śmiałem nawet odetchnąć. Nieznajomy stanął przed ubikacją i rozpiął rozporek sapiąc głośno, zaledwie kilkanaście centymetrów ode mnie. Był średniego wzrostu, a jego szczupłe, umięśnione ciało świadczyło o tym, że dużo ćwiczył. Gdybym wyciągnął rękę, mógłbym poklepać go przez zasłonę po ramieniu — stał tak blisko.

Miałem wrażenie, że to trwa wiecznie, i z każdą sekundą obawiałem się, że jakiś szósty zmysł ostrzeże go o mojej obecności. Wreszcie jednak skończył i kiedy spuścił wodę i wyszedł, nie zwracając sobie głowy myciem rąk, w końcu znów odetchnąłem.

Tym razem zostawił drzwi otwarte i choć wiedziałem, że instynkt samozachowawczy, w odróżnieniu od honoru, nakazuje mi pozostać tam, gdzie jestem, póki nie wyjdą, a potem zadzwonić na policję, nie zdołałem oprzeć się pokusie zerknięcia zza zasłony.

Z miejsca, w którym stałem, widziałem dolną ćwiartkę łóżka i kawałek pokoju tuż przed nim. Teraz zajmowało go coś, co wyglądało jak duży wózek sprzątaczkowy. Widziałem także gołe nogi Jenny, od kolan w dół. Nie miała na sobie dżinsów, w których zostawiłem ją zaledwie parę minut wcześniej. Nie dostrzegłem ani śladu intruzów. Mogłem jedynie założyć, że skurwiele zamierzają ją zgwałcić, choć wiedziałem, że nie mieli czasu, by ją rozebrać. Bez wątplenia rozbierała się dla mnie i na myśl o dotykających jej bandziorach ogarnął mnie gniew.

Odsunąłem się od zasłony, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Pośród drobiazgów otaczających wannę wypatrzyłem antyczną mosięzną mydelniczkę w kształcie olbrzymiej złotej rybki. Podniosłem ją i poczułem zadowolający ciężar. Niewiele tego, ale będzie musiało wystarczyć.

Ściskając ją w prawej dłoni, powoli znów wyjrzałem. Teraz po raz pierwszy zobaczyłem porządnie jednego z intruzów. To nie on sikał w łazience. Ten gość był wielki, dobrze zbudowany, miał ogoloną głowę i wyglądał na takiego, co nie zna litości. Ubrany w niebieski kombinezon, prznosił na wózek nieruchomą, nieprzytomną Jenny. Została tylko w staniku i majtkach, napastnicy zakneblowali ją chusteczką i związali jej ręce za plecami. W tej pozycji wyglądała tak krucho i bezbrannie, że zadrżałem z wściekłości. A jednak nadal się nie ruszyłem. Nawet kiedy gość zatrzymał się i rzucił ją na wózek niczym worek śmieci. Bo straszliwie się bałem. Bo wiedziałem, że w ostatecznym rozrachunku nie mam żadnych szans w walce z tym facetem, a co dopiero dwoma, i powtarzałem sobie, że nie ma sensu interweniować, że w żaden sposób nie pomogę

Jenny. Znacznie lepiej poczekać do ich wyjścia i zadzwonić na policję. Nie widziałem drugiego, ale nagle usłyszałem go, przemawiał z miejsca gdzieś za drzwiami, a jego słowa wypowiedziane z ostrym północnoirlandzkim akcentem cięży powietrze niczym nóż.

— A to czyje?

I gdy znalazł się w polu mojego widzenia, zwrócony do mnie plecami, serce zamarło mi w piersi.

Bo skurwiel trzymał w ręce moją kurtkę. W ostatniej sekundzie, nim wcisnąłem się za zasłonkę, zobaczyłem, jak obaj odwracają się w moim kierunku.

3

Każdy mięsień mego ciała się napiął, uchwyciłem się mydelniczki niczym ponury żniwiarz kosy. Zapędzili mnie w kozi róg, nie miałem żadnego wyjścia. Moja kurtka była uszyta z wypłowiałej brązowej skóry, niewątpliwie męska i dobre trzy rozmiary za duża na Jenny, która miała najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu, dobre dwadzieścia centymetrów mniej ode mnie. Toteż faceci wiedzieli już, że gdzieś tu musi być mężczyzna, a w mieszkaniu nie było zbyt wielu schowków. A może nie? Może pomyślą, że ktoś po prostu zostawił tu kurtkę? Może jednak nic mi nie będzie.

Lecz jeśli tak, czemu ten gość ją podniósł?

Przerażenie, które czułem, przerastało wszystko, czego dotąd doświadczyłem. Nogi uginały się pode mną, obawiałem się, że zaraz zemdleję.

Co teraz zrobić? Uciekać? Zostać na miejscu? Rozdarty, w żaden sposób nie mogłem się zdecydować.

Mężczyźni milczeli, zdawało mi się, że trwa to bardzo długo. Potem usłyszałem szybkie kroki, najpierw na wykładzinie w sypialni, a potem na wyłożonej kafelkami podłodze łazienki. Ujrzałem ciemną sylwetkę.

Zasłonka od prysznicza odsunęła się gwałtownie i znalazłem się twarzą w twarz z człowiekiem po czterdziestce, którego złowieszczy uśmiech przypominał bezkrwistą ranę przecinającą bladą, upiorną twarz naciągniętą tak mocno po operacjach

plastycznych, że jego wielkie, okrągłe jak spodki oczy wyglądały, jakby już dawno straciły zdolność mrugania. Rzednące, sztywne włosy wyrastały z czaszki niczym kruczoczarne druty.

To był Irlandczyk; w jednej dłoni w rękawicze nadal trzymał moją kurtkę, w drugiej dzierżył piętnastocentymetrowy, błyszczący sztylet.

Omam nie posikałem się ze strachu, miałem ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć, pozwolić nogom po prostu ugiąć się pode mną.

Ale nie zrobiłem niczego takiego. Zamiast tego w chwili, gdy jego oczy zabłyśły nieprzyjemnie, a wąski uśmiech wykrzywił się lekko w koniuszkach, ze wszystkich sił, jakie udało mi się zebrać, rąbnąłem go w twarz mydelniczką, wywracając wprost na umywalkę.

Jęknął z bólu i upuścił nóż; na jego policzku otworzyła się głęboka rana.

Nie miałem zbyt wiele miejsca, by go wyminąć, ale nawet się nad tym nie zastanawiałem. Wyskoczyłem z tej wanny niczym ogar z boksu i wpadłem do sypialni.

Wielki gość z łysą czaszką stał po drugiej stronie wózka w tej samej pozycji co wcześniej, tyle że teraz wyciągnął z kieszeni kombinezonu duży nóż i patrzył na mnie zimnymi, pewnymi siebie oczami.

Wrzeszcząc wniebogłosy w rozpaczliwej próbie spłoszenia go, nie zwalniając ani na moment, cisnąłem mu mydelniczką w twarz. Uniósł rękę, by osłonić się przed uderzeniem, lecz trafiła go w łokieć i wrzasnął z bólu. Pół sekundy później wpadłem na wózek i rąbnąłem go nim w podbrzusze, pozbawiając równowagi, choć nie do końca przewracając.

Wystarczyło to jednak, by kupić mi półtorej sekundy, a tyle tylko potrzebowałem. Popędziłem ku uchylonym drzwiom sypialni, nie podnosząc głowy i uskakując przed nożem, którym

zamachnął się szaleńczo; otworzyłem je pchnięciem i wbiegłem do salonu, czując nagły przyływ nadziei. Uda mi się. Wydostanę się stamtąd.

— Zostaw go, jest mój — warknął ktoś za plecami. To był Irlandczyk o okrągłych oczach, w jego głosie brzmiał lodowaty spokój, od którego zacisnęło mi się serce.

Przeskoczyłem przez stolik, potknąłem się i o mało nie wpadłem na drzwi frontowe. Chwyciłem klamkę i szarpnąłem jak najmocniej, w ostatniej sekundzie dostrzegając zasunięty łańcuch. Co niewiarygodne, nie wpadłem w panikę — odczepiłem go jednym szybkim ruchem, pchnąłem drzwi i wypadłem na korytarz.

Poczułem, jak coś przelatuje w powietrzu obok. Nóż. Dotknąłem materiału koszuli, ale nie zwolniłem. Był tuż za mną, dzieliło nas niecałe pół metra. Słyszałem jego oddech.

Zacząłem biec, natychmiast uświadamiając sobie, że kieruję się w stronę przeciwną do wind i że korytarz przede mną kończy się ślepą ścianą. Znów wrzasnąłem w nadziei, że ktoś mnie usłyszy, myśląc, że jeśli narobię dość hałasu, mój prześladowca wystraszy się i zawróci; nie usłyszałem jednak niczego, jedynie przejmującą, martwą ciszę. Zupełnie jakbym nagle znalazł się w samym środku koszmaru.

Tamten zbliżał się za moimi plecami, jego oddech niemal muskał mi kark i właśnie to cierpliwe, drapieżne milczenie przerażało mnie najbardziej.

Na końcu korytarza ujrzałem drzwi oznaczone rysunkiem schodów i niesiony kolejną falą nadziei przyspieszyłem, krzycząc jak najgłośniej w owej ciszy. Uderzyłem w drzwi w sposób, którego nie powstydzilby się Maxwell. Ponieważ okazały się wahadłowe, otworzyły się gwałtownie i zachwiałem się, o mało nie upadając. A potem skręciłem ostro w prawo i pomknąłem w dół schodów, przeskakując po dwa stopnie, wiedząc, że jeśli upadnę, będę trupem.

Biegłem, czując, że całe ciało mnie boli z wysiłku, a oszołomienie i wpływ alkoholu sprawiły, że nie miałem pojęcia, jak długo wytrzymam. Nadal słyszałem go blisko i rozpaczliwie pragnąłem obejrzeć się za siebie, wiedziałem jednak, że może mnie to kosztować bezcenne ćwierć sekundy, które może okazać się różnicą pomiędzy życiem a śmiercią. Zamiast tego zacząłem przeskakiwać po cztery stopnie, modląc się, żeby portier wciąż siedział w recepcji, bo wtedy przynajmniej mógłby pomóc.

Nagle tuż przed twarzą ujrzałem nóż, napastnik skoczył mi na plecy i poleciałem naprzód, potykając się na stopniach. Wywinąłem koziołka, uderzając się boleśnie głową o twarde, wyłożone linoleum schody. Wiedziałem, że w każdej chwili mogę zarobić cios nożem. Potem jednak usłyszałem, jak z brzękiem odbija się o ścianę, kiedy zrzuciłem jego właściciela.

Wylądował ciężko u stóp schodów, jakimś cudem jednak nadal trzymał w dłoniach broń. Teraz zaś znajdował się przede mną i blokował mi wyjście. Ja tymczasem leżałem na brzuchu na stopniach, zaledwie półtora metra od koniuszka ostrza. Jego twarz krwawiła w miejscu, gdzie zraniłem go mydelniczką, drutowate włosy zmierzwiły się lekko. Nadal jednak wyginał usta w okrutnym, drapieżnym uśmiechu, jak gdyby ów grymas odbił się trwale w naciągniętej skórze, a jego oczy patrzyły z mrozącą krew w żyłach pewnością siebie, jakby wiedział, że cokolwiek zrobię, w ostatecznym rozrachunku nie uczyni to najmniejszej różnicy, że wynik jest już przesądzony.

Ja jednak jeszcze nie skończyłem. Rękami dźwignąłem się w górę jak przy energicznej pompce. Jakimś cudem zdołałem to zrobić nieco szybciej niż on, a potem przeskoczyłem przez poręcz na następny ciąg schodów i potykając się, zbiegłem po nich, nie zważając na bolesne pulsowanie w czaszce.

I znów niemal zrównał się ze mną. Wiedziałem, że nie zrezygnuje. Toteż przywoławszy resztki dostępnej mi energii,

przeskoczyłem cały następny ciąg schodów, wylądowałem ciężko na nogach, obróciłem się, nie wypuszczając poręczy, i powtórzyłem to samo raz, i drugi, przepełniony oszałamiającym adrenalinowym podnieceniem na myśl o perspektywie ucieczki.

W tym samym momencie schody się skończyły i pojąłem, że przeoczyłem zejście na parter i być może mają szansę. Zamiast tego znalazłem się w piwnicy.

Dyszząc, spojrzałem w górę w momencie, gdy mój prześladowca stanął na szczycie schodów.

— Ups — rzucił wesoło, kiwając przed sobą nożem niczym karzącym palcem. — Kiepski pomysł.

Jakaś niewielka część mnie miała ochotę się poddać. Uznać fakt, że nie zdołam uciec, i zdać się na łaskę tamtego. Wiedziałem jednak, że na jego łaskę nie ma co liczyć.

I była to zaledwie drobna cząstka mnie. Instynkt samozachowawczy zwyciężył, toteż w chwili, gdy facet zeskoczył z ostatnich schodów, obróciłem się i popędziłem do drzwi przeciwpożarowych w kącie — jedyne go możliwego wyjścia. Nie miałem pojęcia, czy są otwarte, czy zamknięte, ani dokąd prowadzą, kierowałem się czystym instynktem przetrwania. W biegu szarpnąłem metalową klamkę, poczułem, jak ustępuje, i na poły wbiegłem, na poły poleciałem w głąb zimnego i olbrzymiego podziemnego garażu.

Tamten wciąż trzymał się mnie, niemal jak przyklejony, lecz tym razem przeszedłem do ofensywy, odwróciłem się i całym ciężarem rąbnąłem w drzwi przeciwpożarowe, zaskakując go i przytrzaskując rękę z nożem.

Nim jednak zdążyłem poczynić poważniejsze szkody, tamten pchnął z przeciwnej strony. A ponieważ był znacznie silniejszy ode mnie i miał po swojej stronie siłę rozpędu, drzwi rozwarły się gwałtownie, a ja poleciałem do tyłu.

Obróciłem się i pobiegłem przez pogrążony w półmroku, milczący garaż, nie wiedząc, gdzie teraz skręcić. Przed sobą

widziałem wielkie podnoszone drzwi, wiedziałem, że to wjazd albo wyjazd, ale niestety były zamknięte. Nogi mi słabły, nie zdołałem utrzymać tempa — skurwiel biegł jak maszyna — i po zaledwie dwudziestu metrach po raz drugi skoczył mi na plecy, wywracając na beton.

Siedząc na mnie okrakiem, chwycił mnie za włosy i uniósł głowę. W ułamku sekundy pojąłem, że zamierza poderżnąć mi gardło niczym zwierzęciu. Szarpnąłem się i próbowałem wyrwać, bo nagle tuż przed moją twarzą pojawił się nóż. Zdołałem uwolnić jedną rękę. Natychmiast chwyciłem go za przegub, odpychając od siebie ostrze. Szarpnąłem także głową naprzód, próbując go ugryźć, lecz uchwyt na włosach okazał się zbyt silny. Facet miał nade mną przewagę i obaj o tym wiedzieliśmy. Wciąż trzymałem go za przegub, ale ręka trzęsła mi się z wysiłku. W tym momencie moją przewidywaną długość życia można by mierzyć w sekundach.

Nagle nasz pojedynek na śmierć i życie przerwał jęk podnośników hydraulicznych. W sekundę później drzwi zaczęły się otwierać. Chyba zaskoczyło to nas obu, bo poczułem, jak jego uchwyt na moich włosach na moment słabnie. To dało mi szansę, której potrzebowałem. Wbiłem zęby w przegub dłoni dzierżącej nóż i mocno zacisnąłem szczęki, wiedząc, że póki go gryzę, nie będzie mógł mnie zranić.

Facet wrzasnął i znów złapał mnie za włosy, ciągnąc do tyłu, lecz tym razem nie zamierzałem wypuścić i gryzłem mocniej. Przypomniałem sobie coś, co kiedyś czytałem na temat siły ludzkiego ugryzienia, podobno jego nacisk wynosi czternaście kilogramów na centymetr kwadratowy. Poczułem w ustach smak krwi, jego wrzaski stały się głośniejsze.

A przez cały ten czas drzwi podnosiły się coraz wyżej. Teraz wisiały już półtora metra nad asfaltem i wiedziałem światła wielkiej terenówki, czekającej na wjazd do garażu. Nie ma mowy, by kierowca nas nie zauważył. Więc jednak mi się uda.

Poczułem przyływ nadziei i nadal zaciskałem zęby na przegubie.

Wówczas jednak szybkim, gwałtownym ruchem napastnik wyrwał rękę. Zamarłem, czekając, aż nóż rozpląta mi ciało. Zamiast tego ciężar przygniatający plecy zniknął i w sekundę później usłyszałem kroki na betonie, oddalające się w kierunku, z którego przybiegliśmy.

Wykończony i poobijany, leżałem bez ruchu, patrząc na terenówkę, która powoli wjechała do środka i skręciła w lewo, znikając mi z oczu. Kierowca mnie nie zauważył. Czy to oznacza, że napastnik wróci i dokończy dzieła? Czy czekał gdzieś w mroku?

Nie zamierzałem tego sprawdzać. Puściłem się szaleńczym pędem przez otwarte drzwi i w górę pochylnią. Kiedy wypadłem na ulicę, odetchnąłem świeżym nocnym powietrzem, jakby zależało od tego moje życie.

Lecz moje życie od niczego już nie zależało. Ocaliłem je. Teraz musiałem myśleć o Jenny.

Biegłem nadal ciemną, milczącą ulicą, aż w końcu dotarłem do alejki po prawej. Skręciłem w nią i wykończony, ukryłem się za parą kontenerów na śmieci, opierając się o ścianę i osuwając powoli, aż w końcu usiadłem na ziemi. Musiałem natychmiast zadzwonić na policję i poinformować o tym, czego byłem świadkiem, toteż gdy po kilku sekundach odzyskałem oddech, sięgnąłem do kieszeni w poszukiwaniu komórki.

I zakląłem. Została w kurtce, w mieszkaniu.

A wraz z nią coś jeszcze... Mój portfel. Ze wszystkimi dokumentami. Co oznaczało, że będą wiedzieć dokładnie, kim jestem.

4

Jakaś część mnie chciała wciąż uciekać. Oddalić się jak najbardziej od mieszkania Jenny, świadoma, jak blisko otarłem się o śmierć. Inna część chciała wrócić i patrzeć dalej z nadzieją, że może zdążyć zobaczyć odjazd obu mężczyzn i zauważyć jakieś istotne szczegóły, które następnie mógłbym przekazać policji.

Tak się złożyło, że nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego. Byłem zbyt zmęczony, przez pełną minutę skupiałem się wyłącznie na odzyskaniu oddechu.

Gdy w końcu przestałem głośno dyszeć, dźwięk samochodu jadącego bardzo wolno ulicą przywołał mnie gwałtownie do rzeczywistości.

Jezu, oni wciąż tu są. Szukają mnie.

Odwrociłem się, szukając jakiegoś wyjścia, ujrzałem jednak tylko wysoki mur, na który w życiu nie zdołałbym się wdrapać. Tkwiłem uwięziony w ślepym zaułku. Świadom, jak beznadziejnie jestem odsłonięty, uniosłem pokrywę jednego z kontenerów i wcisnąłem się do środka, lądując głośno na stosie śmierdzących worków ze śmieciami.

Ścianki kontenera tłumiły dźwięki, usłyszałem jednak, jak samochód zatrzymuje się, i wiedziałem, że stoi u wylotu uliczki.

Szczęk otwieranych drzwi. I zamykanych.

Zacząłem się modlić. Tak naprawdę nigdy nie wierzyłem w Boga, lecz teraz, gdy nadeszła najbardziej przerażająca chwila

mojego życia, rozpaczliwie błagałem o wybaczenie wszystkich grzechów, które mogłem popełnić, i obiecywałem szczerze, że jeśli Bóg wybawi mnie z opresji, stanę się lepszym człowiekiem. Będę płacił na cele charytatywne, pomagał ludziom... Wszystko.

Stój. Nie oddychaj.

Słyszałem ciche kroki na betonie. Zbliżały się. Coś plastikowego w jednym z worków zatrzeszczało pode mną i zacisnąłem zęby. Cisza była mordercza. Czy jeden z nich stał właśnie na zewnątrz z nożem w dłoni, gotów do ataku?

Zamarłem, wyętzając słuch.

Cisza.

Zdawało się, że czekanie trwa wieki. Sekundy płynęły niczym nudne, wlokące się nieznośnie godziny.

A potem usłyszałem ponowne trzaśnięcie drzwi i szum silnika odjeżdżającego samochodu.

Gwałtownie wypuściłem powietrze, ale się nie poruszyłem. To mogła być pułapka.

Stopniowo zacząłem oddychać spokojniej, nadal jednak leżałem bez ruchu, słuchając nocnej ciszy. W pewnym momencie chyba nawet zdrzemnąłem się chwilę: pamiętam, że otworzyłem oczy i przeżyłem wstrząs, bo wciąż otaczała mnie ciemność i potworny smród, miałem wrażenie, jakby ktoś przetarł mi wnętrze ust papierem ściernym. Z początku nie wiedziałem, gdzie jestem. Potem wspomnienia powróciły nagłą falą, niczym upiorne halucynacje. Ktoś próbował mnie zabić i prawie mu się to udało.

Parę razy odetchnąłem głęboko, by się uspokoić, a potem dźwignąłem się na nogi i wygramoliłem z kontenera na znacznie świeższe powietrze. W uliczce panowała cisza, nawet nocne dźwięki miasta zdawały się dziwnie stłumione. Przeciągnąłem się i zerknąłem na zegarek. Właśnie minęło dwadzieścia po pierwszej — ponad godzina od tamtych wydarzeń. Nagle oczyma duszy ujrzałem nieprzytomną Jenny,

rzucaną niedbale na wózek, i znów ogarnął mnie gniew i poczucie winy. Mogłem coś zrobić, żeby jej pomóc. Ale nie zrobiłem.

Pocierając ręką oczy i próbując skupić myśli spowolnione nadejściem pierwszych oznak wczesnego kaca, wróciłem na ulicę Jenny i przypominając sobie wcześniej pokonaną trasę, skręciłem w lewo. Zatrzymałem się przed jej apartamentowcem. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy zjawiliśmy się tu razem — miałem wrażenie, że od tej chwili minęło całe życie. Tyle że tym razem portier, facet w średnim wieku i krawacie, siedział na recepcji i pogrążony w lekturze gazety zajadał chipsy z paczki. Wyglądało to zupełnie naturalnie. I kiedy tam stałem, ogarnęło mnie nagle osobliwe uczucie, że może tak naprawdę nic się nie wydarzało. Może przyśniło mi się to wszystko.

Ale nie. To się stało. Byłem pewien.

Ruszyłem w stronę drzwi, potem jednak przystanąłem. Nie ma sensu próbować rozmawiać z portierem. Wyglądałem i cuchnąłem okropnie — zasnąłem przecież w śmietniku — a poza tym wcześniej w ogóle mnie nie widział. Pewnie wzięłby mnie za wariata. Musiałem skontaktować się z policją. Lecz kiedy nie dysponuje się telefonem ani kartą kredytową, a jedynie garścią drobniaków w kieszeni dżinsów, łatwiej to powiedzieć niż zrobić.

Nauczyłem się na pamięć adresu Jenny i wyszedłem na główną ulicę, kierując się na południe. Jezdnią wciąż przemykały samochody, lecz większość taksówek starannie mnie ignorowała, a te nieliczne, które stanęły, odjeżdżały, gdy tylko informowałem, że muszę się dostać na komendę policji i niemal na pewno mam za mało kasy. W końcu znalazłem kierowcę na tyle szlachetnego, że powiedział mi, jak trafić na najbliższy posterunek, a potem, poradziwszy mi, żebym jak najszybciej wziął kąpiel, błyskawicznie zniknął.

Droga nie była daleka, lecz kilka razy zdążyłem pobłądzić i minęła już druga, nim w końcu przekroczyłem próg komendy w Islington i natychmiast znalazłem się w samym sercu sceny z rodzaju tych, które, jak podejrzewam, rozgrywają się na podobnych posterunkach przez większość nocy i która przypomniała mi dobitnie, czemu właściwie zdecydowałem się wyjechać z Anglii.

Potężny gość z nadwagą, ubrany w obciętą koszulkę i szorty spadające z rozłożystego zadka, leżał na brzuchu na linoleum, przytrzymywany przez czterech mundurowych, kopiąc, szarpiąc się i wrzeszcząc, że nie jest pijany, choć wszystkie dowody świadczyły o czymś wręcz przeciwnym. Tymczasem jego dziewczyna z wykręconą do tyłu ręką tkwiła przyciśnięta do ściany przez dwie policjantki, próbujące uskoczyć przed jej szpilkami, którymi kopała niczym oślica, wydając z siebie przy tym przeciągłe, przeszywające wrzaski rodem z horroru, głosem tak piskliwym, że musiałem zatkać rękami uszy. Wnętrze śmierdziało stęchłym potem i środkami odkażającymi. Nagle ogarnęła mnie przemożna tęsknota — w tym momencie pragnąłem jedynie leżeć obok Yvonne na cichej burgundzkiej farmie, gdzie niegdyś mieszkaliśmy, i nasłuchiwać stłumionego pohukiwania sów.

Okrażyłem faceta na podłodze i zatrzymałem się przed biurkiem. Siedzący za nim znużony światem sierżant o pociągłej twarzy i solidnie podkrążonych oczach obdarzył mnie spojrzeniem tak głęboko niezainteresowanym, iż musiałem założyć, że ćwiczył je przed lustrem całymi godzinami.

— Wsadźcie go do trójki! — zawołał ponad moim ramieniem, wykorzystując chwilową przerwę w krzykach. Potem westchnął i z powrotem skupił na mnie wzrok. — Słucham pana?

— Chciałbym zgłosić porwanie — oznajmiłem, przybierając najpoważniejszą i najszczerzą minę.

— Czyje?

— Znajomej.

— Kiedy to się stało?

Spojrzałem na zegarek.

— Parę godzin temu.

— I dopiero teraz uznał pan za stosowne je zgłosić?

— Musiałem przyjść tu piechotą. Straciłem wszystkie pieniądze i telefon.

— Czy pan pił, proszę pana? — spytał irytująco protekcjonalnym tonem.

Wiedziałem, że nie ma sensu zaprzeczać.

— Owszem, odrobinę. Ale nie tyle co on. — Wskazałem dźwigniętego z podłogi pijaka, którego szorty zsunęły się do kostek, ukazując widok, jakiego nikt z nas nie chciał oglądać.

— Wie pan, jak wielu historyjek wysłuchuję od pijaków? — podjął ze znużeniem sierżant.

Dziewczyna znów wrzasnęła. Zaczekałem, aż umilknie.

— Proszę posłuchać. Mówię śmiertelnie poważnie. Dziś w nocy moja znajoma została porwana przez dwóch mężczyzn. Muszę pilnie porozmawiać z kimś z dochodzeniówki. Daję słowo, nie wymyśliłem tego.

— Wsadźcie ją do piątki! — zawołał ponad moim ramieniem. — Żeby nie musiał jej słuchać.

— Kutafon! — ryknęła, a potem policjantki powlokły ją w ślad za jej chłopakiem przez drzwi aresztu.

— Proszę. — Spojrzałem na niego błagalnie. — Nie jestem pijany i nie oszalałem. Wiem, co widziałem.

Sierżant przyglądał mi się długą sekundę, potem wstał, wyraźnie uznawszy, że łatwiej będzie przekazać pałeczkę komuś innemu.

— Proszę usiąść. Zobaczę, kto ma czas.

Usiadłem na twardym plastikowym krześle w kącie, czekając w chwilowo pustym przedpokoju. Naprzeciwko mnie wisiały

plakaty ostrzegające przed popełnieniem najróżniejszych ciężkich i nie tak ciężkich przestępstw, zajmujące każdy skrawek ściany. Byłem kompletnie wykończony, lecz nagle przyszło mi do głowy, że nie mogę bezpiecznie wrócić do domu. Jeśli porywacze przeszukali moją kurtkę, znaleźli portfel. A potem uświadomiłem sobie z nagłą ulgą, że nie było w nim niczego z adresem. Nigdy nie zabieram ze sobą prawa jazdy, toteż dysponowali zaledwie kartami kredytowymi i debetowymi oraz kartą członkostwa w wypożyczalni wideo. Poznali zatem moje nazwisko z karty: R. Fallon. Niezbyt może popularne, lecz w mieście wielkości Londynu z pewnością znajdzie się nas kilku. Zatem prawdopodobnie byłem bezpieczny. Lecz w tym momencie wołałbym dysponować czymś bardziej konkretnym niż „prawdopodobnie”.

— Pan Fallon?

Uniosłem wzrok i ujrzałem atrakcyjną ciemnowłosą kobietę po trzydziestce, która wyłoniła się z drzwi naprzeciwko. Mimo jej swobodnego stroju: dżinsów, bluzy i adidasów, natychmiast zorientowałem się, że to policjantka. Miała w sobie dodającą otuchy twardość i pewność siebie.

— Detektyw sierżant Tina Boyd — przedstawiła się, uścisnęliśmy sobie dłonie. — Wydział kryminalny Islington. Z tego, co rozumiem, chce pan zgłosić możliwe porwanie.

— To nie było możliwe porwanie, lecz prawdziwe. Uprowadzono moją znajomą.

Przytaknęła z wyrozumiałą miną.

— Porozmawiajmy w środku.

Poprowadziła mnie przez drzwi, schodami w górę do niewielkiego narożnego pomieszczenia, w którym stało jedynie biurko z dwoma krzesłami. Na blacie ujrzałem staroświecki magnetofon, policjantka włączyła go i wskazała mi gestem krzesło.

— Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. Chcę nagrać naszą rozmowę. — Z tylnej kieszeni wyciągnęła notes i usiadła za biurkiem, przyglądając mi się oczami, którym niewiele umykało. — Proszę mi opowiedzieć, co się stało. Od samego początku.

Zrelacjonowałem jej wszystko od chwili, gdy spotkałem Jenny w barze do momentu dotarcia na komendę, starając się opisywać wszystkie szczegóły możliwie zwięźle i precyzyjnie. Słuchała cierpliwie i przerwała tylko raz, prosząc o rysopis obu porywaczy. Miała twarz osoby, której odruchowo chce się zaufać, i poczułem w sobie narastającą sympatię, zacząłem zatem się rozgrzewać, nie zważając na cichy głos w głowie marudzący, że moja opowieść brzmi kompletnie nieprawdopodobnie.

— Zatem kiedy ją zabrali, wciąż żyła?

— Owszem, tak uważam.

— A czy w jakiś sposób próbowali ją molestować?

— Z tego, co widziałem, nie. Związali ją i wrzucili na wózek z pralni.

— I nie zna pan żadnych powodów, dla których mieliby ją porwać? Na przykład nie wspominała o niczym podczas waszej rozmowy?

Pokręciłem głową.

— Z tego, co zrozumiałem, starali się jak najszybciej zabrać ją z mieszkania.

— No dobrze — zapisała coś w notesie — a jak ma na nazwisko ta Jenny?

Poczułem w głowie nagłą pustkę. Znałem ją wyłącznie jako Jenny, choć niewątpliwie słyszałem kiedyś nazwisko. Wysiliłem pamięć.

— Nazywa się... Brakestone, Brakeslip, coś w tym stylu. Nie, Brakspear. Z całą pewnością Brakspear.

— Jest pan pewien?

Pokiwałem głową zdecydowanie zbyt energicznie, świadom, jak mało przekonująco musiało to zabrzmieć.

— Tak, jestem pewien.

— I spotkał pan ją dziś w barze? Zakładam, że coś pan wypił.

— Owszem, kilka drinków, ale wiedziałem, co robię.

— I twierdzi pan, że Jenny jest pańską znajomą, ale nie pamięta pan jej nazwiska?

— Nie znałem jej aż tak dobrze, jasne?

Detektyw sierżant Boyd posłała mi twarde spojrzenie przypominające wyrażnie, z kim mam do czynienia.

— Proszę posłuchać, panie Fallon, próbuję tylko ustalić fakty. Skąd dokładnie ją pan zna?

— Przez jakiś czas spotykała się z moim przyjacielem.

— A pański przyjaciel nazywa się?

— Dominic Moynihan.

Zapisała dane kontaktowe Dorna, po czym spytała, kiedy ci dwoje się rozstali.

— Jakiś czas temu. Może z rok. — Zastanawiałem się, czy nie dodać, że ostatnio Dom próbował się z nią zejść, ale powstrzymałem się, wiedząc, że nie zabrmi to dobrze.

— Czym się pan zajmuje zawodowo, panie Fallon?

— Jestem pisarzem.

Zazwyczaj uwielbiam to mówić, teraz jednak zabrzmiało to strasznie pyszałkowato i nie poprawiło mojej wiarygodności.

— A o czym pan zwykle pisze?

— Czy to ma znaczenie? Próbuję zgłosić porwanie. Młoda kobieta została uprowadzona, musimy ją znaleźć.

Detektyw Boyd obdarzyła mnie kolejnym znaczącym spojrzeniem.

— Po prostu próbuję zorientować się w sytuacji. To nam pomoże w poszukiwaniach.

— Pisuję historie kryminalne — odparłem ze znużeniem. —
Oparte na faktach.

— Czy występują w nich też porwania?

— Nie występują. Chryste Panie! Jak do diabła mam panią przekonać, że mówię prawdę? Myśli pani, że chcę siedzieć tu w środku nocy i rozmawiać z ludźmi, którzy woleliby, żebym sobie poszedł?

Umilkłem, wpatrując się w nią. Czułem, że zaraz wybuchnę.

Detektyw Boyd położyła starannie dłonie na blacie biurka i przyjrzała mi się uważnie. Miała bardzo ciemne oczy, nie potrafiłem jednak określić, czy piwne, czy niebieskie.

— W porządku, panie Fallon — rzekła — będę mówić szczerze. Zapewne zdziwi się pan, jak wiele osób zgłasza się tu z informacją o przestępstwach, do których w istocie nie doszło. Zwłaszcza po paru drinkach. Jesteśmy także bardzo zajęci rzeczywistymi przestępstwami, muszę zatem zadać wiele pytań, nim zdołam zdecydować co dalej. Wysłuchałam pańskiej historii i stwierdzam, że szczerze wierzy pan, iż ów incydent się wydarzył...

— Tak było. Daję słowo.

— W takim razie dam panu szansę.

Wstała gwałtownie.

— Dokąd pani idzie?

— Na miejsce zbrodni. — Gestem poleciła mi iść za sobą. — Zakładam, że pamięta pan, gdzie to jest.

5

— Porwania nie są wcale tak rzadkie, jak się ludziom wydaje — oznajmiła Tina Boyd. Zbliżaliśmy się właśnie do podwójnych drzwi apartamentowca Jenny. — Lecz niemal zawsze mają związek z narkotykami. Ludzie przetrzymywani dla okupu przez dealerów z powodu niespłaconych długów i tym podobne. Jak pan sądzi, czy Jenny mogła mieć coś wspólnego z handlem narkotykami?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na pewno, ale Dom nigdy o tym nie wspominał, a sam był zawziętym przeciwnikiem narkotyków od czasu, gdy jego kumpel z uniwerku przedawkował mieszkankę kokainy i ecstazy, toteż poważnie w to wątpiłem.

— Wie pani, to zupełnie zwyczajna dziewczyna — odparłem ze znużeniem.

— I tego właśnie nie mogę zrozumieć.

Przycisnęła do szyby legitymację tak, by zobaczyć ją portier. Był to ten sam gość co wcześniej — szpakowaty facet w średnim wieku, zupełnie przeciętny. Otworzył nam drzwi.

Maszerując za Tiną w stronę recepcji, poczułem się strasznie głupio. Przedstawiła nas oboje i oznajmiła, że jakieś trzy godziny wcześniej w tym samym budynku byłem, być może, świadkiem porwania.

Portier przygwoździł mnie zdumionym spojrzeniem.

— Naprawdę? A niby kto został porwany?

— Niejaka pani Jenny Brakspear. Najwyraźniej mieszka tu na dziewiątym piętrze.

Zmarszczył brwi.

— Blondynka Jenny?

— Tak — potwierdziłem.

Całym sobą wyrażał zdumienie.

— To dziwne. Nie widziałem jej dziś wieczór. Zdawało mi się, że wyjechała na wakacje.

— Chwileczkę. — Nie wierzyłem własnym uszom. — Widział ją pan. Zawołała pana. Ma pan na imię John, zgadza się?

— Owszem, John, ale jej nie widziałem.

— John jak? — wtrąciła Tina.

— Gentleman — odparł. — I powtarzam, dziś wieczór jej nie widziałem.

Tina zapisała jego dane w notesie, choć trudno byłoby zapomnieć takie nazwisko. Nie mogłem uwierzyć, że gość kłamie.

— Co się tu niby zdarzyło? — spytał Tinę, zerkając na mnie z niesmakiem.

— Chwilowo nie możemy ujawnić żadnych szczegółów — odparła gładko. — Zakładam, że macie w tym budynku monitoring.

Gentleman przytaknął.

— Dwie kamery. Jedną z tyłu, przy wjeździe na parking podziemny, drugą nad drzwiami frontowymi, którymi właśnie państwo weszli. Ta z tyłu od kilku dni nawala. Jutro ma wpaść konserwator. Lecz frontowa działa bez zarzutu.

— Pan Fallon twierdzi, że przyszedł tu mniej więcej o północy. Pozwoli pan, że obejrzymy nagrania, piętnaście minut w każdą stronę?

— Jasne. — Gentleman dwukrotnie kliknął myszką pod blatem i przekręcił monitor komputera żebyśmy mogli

zobaczyć, co się na nim dzieje. — To kamery cyfrowe, rejestrujące obraz wprost na twardym dysku komputera. Oznacza to, że możemy bez końca przechowywać nagrania. — Ponownie kliknął i na ekranie pojawiło się widziane z góry zbliżenie obszaru tuż przed podwójnymi drzwiami. Przewinął naprzód, póki wyświetlacz w dolnym lewym rogu nie pokazał 23.30. Obok widniała niedzielna data. — No dobra, trochę zwolnię. Teraz przeglądamy nagranie z szesnastokrotną prędkością. Proszę powiedzieć, kiedy mam zatrzymać.

Patrzyliśmy w milczeniu. Przez większość czasu obszar był pusty. Parę razy na ekranie pojawiali się ludzie i Gentleman zwalniał nagranie, żebyśmy mogli się im przyjrzeć. Wydawał się niezwykle chętny do współpracy. Czytnik w dolnym rogu wskazał 00.00. Obok pojawiła się poniedziałkowa data. Gentleman szukał dalej. Znów kilka osób, ale nie Jenny ani ja. Dotarł do 00.15. Spojrzał wyczekująco na Tinę, ona popatrzyła na mnie.

— Mówił pan: o północy, zgadza się, panie Fallon?

— Mogło być nieco później — wymamrotałem, choć wiedziałem, że nie.

Patrzyłem, jak zegar nieuchronnie przesuwa się ku 00.30.

— To jakieś bzdury — powiedziałem w końcu. — Ktoś majstrował przy tym nagraniu. Byłem tu dzisiaj. Jeśli chcecie, mogę opisać mieszkanie Jenny.

Przesunąłem dłonią po czole; nagle ogarnęło mnie obezwładniające zmęczenie. Nie mogłem pojąć, co się, do diabła, dzieje.

— Posłuchaj, koleś — warknął Gentleman. — Byłem tu całą noc i nie widziałem ani ciebie, ani Jenny, i przy niczym nie manipulowałem. Ani nikt inny.

Odwróciłem się do Tyny. Minę miała nieprzeniknioną. Nie potrafiłem stwierdzić, o czym myśli.

— Kiedy ostatnio widział pan pannę Brakspear? — spytała odźwiernego.

— Chyba wczoraj. Mówiła, że wyjeżdża na wakacje.

— Dokąd?

— Na Barbados. Jenny sporo podróżuje po świecie. Zdawało mi się, że wspominała, iż wyjeżdża dziś wieczór, ale może chodziło o jutro.

Wzruszył ramionami. Całym swym swobodnym zachowaniem dawał znać, że nawet nie próbuje traktować mojej historyjki poważnie.

Muszę jednak przyznać Tinie Boyd, że nie odwróciła się i nie wyszła, choć sądziłem, że tak właśnie zrobi. Zamiast tego poprosiła o pokazanie mieszkania Jenny.

Gentleman nie wyglądał na uszczęśliwionego. Oznajmił, że nie jest upoważniony, lecz Tina nalegała. Znalazł zatem klucze i zawiózł nas na górę windą.

Kiedy otworzył drzwi do mieszkania Jenny, przyjrzałem się im w poszukiwaniu śladów włamania. Nie zauważyłem jednak najmniejszego zadrapania. Zastanawiałem się, jak do diabła porywacze dostali się do środka. Jenny ich nie wpuściła. Była w sypialni.

Istniało zatem spore prawdopodobieństwo, że oni także mieli klucz.

Wiedziałem, co zastanę wewnątrz, nim jeszcze Gentleman nas wprowadził, i moje podejrzenia potwierdziły się natychmiast. W salonie panował idealny porządek. Stolik, który wyrzuciłem podczas ucieczki, stał pod dokładnie tym samym kątem pomiędzy dwoma kanapami.

Gentleman i Tina spojrzeli na mnie wyczekująco. Niepewny, co mam rzec, minąłem ich i ruszyłem do sypialni.

Łóżko było zasłane. Na środku, symetrycznie pomiędzy dwoma zestawami puchatych poduszek, tkwił nawet pluszowy

miś z jaskrawobłękitną kokardą. Drzwi łazienki były zamknięte. Nie dostrzegłem ani śladu ubrania, które miała na sobie Jenny, ani, co bardziej niepokojące, swojej kurtki. W istocie wszystko tkwiło na swoim miejscu. W pokoju panował tak wielki porządek, że można by go pokazywać potencjalnym kupującym.

Otworzyłem pchnięciem łazienkę. Tam również wszystko było jak należy. Ani śladu plamy krwi w miejscu, w którym walnąłem Irlandczyka mydelniczką. Zauważyłem jednak, że w powietrzu unosił się wcześniej nieobecny zapach środków odkażających.

— Ktoś tu posprzątał — oznajmiłem stanowczo, obracając się na pięcie.

— To widzę — odparła Tina, wchodząc za mną do sypialni. — Wygląda świetnie. Ale coś panu powiem, panie Fallon. Według mojego doświadczenia przestępcy zwykle po popełnieniu przestępstwa nie kręcą się na miejscu zbrodni. Jeśli ci dwaj porwali pannę Brakspear, jak pan twierdzi, jest niezwykle mało prawdopodobne, by zadali sobie dość trudu, aby posłać łóżko i dokładnie wszystko wysprzątać.

— Wiem o tym. — Miałem wrażenie, że zaraz oszaleję. — Ale tak dokładnie się stało. Daję słowo. Ja tego nie wymyśliłem.

Przez kilka sekund Tina milczała. Gentleman zjawił się w drzwiach łazienki. Spojrzał na mnie z miną stanowiącą połączenie irytacji z powodu tego, że zaciągnęliśmy go aż tutaj, i protekcyjnalnej litości, którą zazwyczaj rezerwujemy dla chorych umysłowo. Co gorsza, na jego miejscu czułbym dokładnie to samo.

Tina spytała, czy wszystkie mieszkania na tym piętrze są zajęte.

— Musiałbym sprawdzić — odparł. — Ale wydaj e mi się, że mieszka na nim wyłącznie Jenny. Z powodu kryzysu sprzedali jak dotąd tylko połowę mieszkań w tym budynku. Może nawet mniej.

Chryste, tego tylko brakowało.

Wróciliśmy na korytarz i choć minęła już trzecia rano, Tina zastukała do drzwi pozostałych trzech mieszkań na piętrze. Nikt nie odpowiedział.

Czułem oszołomienie zmieszane ze wstydem. Wydarzenia sprzed paru godzin naprawdę miały miejsce — za dowód wystarczyło choćby zniknięcie mojej kurtki — ale w żaden sposób nie mogłem tego dowieść.

Tina kazała Gentlemanowi skopiować nagranie z kamery na swój pendrive i podziękowała za poświęcony nam czas. Kiedy znaleźliśmy się na dworze, poinformowała, że złoży raport i sprawdzi parę rzeczy, ale w jej głosie nie usłyszałem entuzjazmu.

— Ktoś ich kryje — upierałem się, dokładając wszelkich wysiłków, by nie pokazać po sobie desperacji. — Przysięgam. To dlatego kamera na parkingu podziemnym nie działała. Dlatego nie było śladów włamania. I dlatego wszystko posprzątano. Byłem tam dziś w nocy i wiem dokładnie, co widziałem. Założę się, że jeśli dość dokładnie sprawdzicie nagranie, przekonacie się, że przy nim majstrowano.

Tina uniosła dłoń, by mnie powstrzymać.

— Przykro mi, panie Fallon, ale spiski kryminalne są znacznie rzadsze, niż uważa większość ludzi. Zazwyczaj przestępcy po prostu nie są aż tak sprytni. Jeśli dwaj mężczyźni rzeczywiście porwali pannę Brakspear, jest niezwykle mało prawdopodobne, by byli w zмовie z odźwiernym, bo im więcej osób wie o czymś podobnym, tym trudniej zachować to w sekrecie. Nawet pan sam przyznał, że Jenny to zwyczajna dziewczyna, zajmująca się zwyczajną pracą i kiedy spotkaliście się wcześniej, zachowywała się normalnie. Bardzo mało prawdopodobne, by padła ofiarą jakiegoś spisku. Chcę zatem, żeby zachował pan spokój, starał się zanadto wszystkiego nie analizować, a śledztwo pozostawił mnie.

— Założę się, że jeśli sprawdzi pani listy pasażerów wszystkich lotów z Londynu na Barbados, Jenny Brakspear na nich nie będzie.

— Panie Fallon, proszę.

Bardzo chciałem nadal próbować ją przekonać, że mówię prawdę, ale widziałem, że to przegrana walka. Zamiast tego spytałem, co zamierza zrobić.

— Skontaktuję się z miejscem pracy Jenny i z jej rodziną, może ktoś z nich rzuci światło na tę sprawę. A kiedy skończę, będę miała dość informacji, by zdecydować, co robić dalej. — Wyciągnęła kluczyki. — Wspominał pan, że nie ma pieniędzy, zgadza się?

— Owszem. Portfel nosiłem w kurtce.

— Gdzie pan mieszka?

— W Colindale.

— Podrzucić pana do domu?

Przytaknąłem, wdzięczny za okazaną uprzejmość.

— Proszę.

Jechaliśmy w milczeniu. Na jakiś czas zaniknąłem oczy, ale nie zasnąłem. Po prostu łatwiej było nie rozmawiać z detektyw Boyd. Wiedziałem, że mi nie wierzy, i rozumiałem jej sceptycyzm, ale to okropne uczucie: kiedy jest się świadkiem poważnego przestępstwa i wie, że życiu młodej kobiety grozi niebezpieczeństwo, ale nikt nie traktuje nas poważnie.

Droga była niemal pusta i zaledwie dwadzieścia minut później Tina skręciła w moją ulicę.

— Gdzie jest pański dom?

— Proszę mnie wysadzić gdziekolwiek — odparłem. Nie chciałem, by po wizycie w bajeranckim mieszkaniu Jenny oglądała moją mizerną kawalerkę.

Zatrzymała się w pobliżu drzwi od Ramona i ziewnęła.

— Proszę się przespać, panie Fallon. A kiedy wstanie pan rano, proszę wziąć długi prysznic. Nie pachnie pan najlepiej.

Pokiwałem głową.

— Dziękuję za podwiezienie i proszę, niech pani nie rezygnuje. Młoda kobieta zaginęła. Jeśli czegoś nie zrobimy...

— Obiecuję, że popytam.

— Mógłbym dostać pani numer? Proszę. Na wypadek, gdyby coś mi się przypomniało.

Nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej, lecz wyciągnęła z torebki wizytówkę i mi ją wręczyła.

— Nie chcę, by potraktował pan to jako pretekst do ciągłego wydzwaniania, panie Fallon, bo telefony nie pomogą mi w odnalezieniu Jenny. A za parę godzin kończę służbę i będę spała. Rozumiemy się?

— Jasne, dzięki.

Niechętnie wysiadłem z samochodu na pogrążony w mroku chodnik.

Detektyw Boyd pomachała mi i włączyła silnik, jej samochód szybko zniknął w głębi ulicy, pozostawiając mnie samego.

Noc była ciemna i chłodna, przez parę minut zostałem na miejscu. Zastanawiałem się, czy nie zastukać do Ramona i nie spytać, czy mógłby mnie przenocować, ale w mieszkaniu nie paliło się światło, a poza tym nie miałem ochoty ponownie relacjonować wszystkiego, co się zdarzyło, i znosić sceptycznych spojrzeń słuchaczy. Powoli zatem ruszyłem w głąb ulicy.

Mój dom to wynajęte jednopokojowe mieszkanie na parterze w jednym z szeregowców z lat pięćdziesiątych, ciągnących się po obu stronach ulicy. Mieszkam tam od ponad roku, ale wciąż się nie przyzwyczailem. Kawalerka jest ciasna, pozbawiona charakteru i spędziłem w niej zdecydowanie zbyt wiele samotnych godzin.

Teraz podchodząc do drzwi frontowych, poczułem, jak wzbiera we mnie napięcie. Wiedziałem, iż istnieje możliwość, że porywacze Jenny skorzystali już z informacji w moim portfelu, by znaleźć moje miejsce zamieszkania. Obejrzałem się przez ramię, lecz na ulicy panowała cisza i spokój. Sprawdziłem zamki w drzwiach: nietknięte. Odetchnąwszy głęboko, otworzyłem je i wszedłem do środka.

Przynajmniej tej nocy nikt na mnie nie czekał. Zapaliłem światło i ruszyłem do kuchni, tam nalałem sobie szklanek wody i wypiliśmy duszkiem. Po raz pierwszy zauważyłem, jak strasznie śmierdzą; zdumiało mnie, że Tina zaproponowała mi podwózkę do domu. Musiałem zasmrodzić jej cały samochód, ale się nie skarżyła. Zrobiła na mnie wrażenie osoby o bardzo dobrym sercu, choć dysponowała też imponującym repertuarem miażdżących spojrzeń i była świetnym detektywem. Otaczała ją aura spokojnej fachowości, która bardzo mi się spodobała. Miałem szczerą nadzieję, że na serio zajmie się śledztwem.

Spojrzałem na zegar ścienny. Minęło wpół do czwartej. Potrzebowałem snu. Ale zanim tej nocy zapomnę o Jenny, mogę zrobić coś jeszcze. Coś, co być może rzuci jakieś światło na ostatnie wydarzenia.

Choć naprawdę nie chciałem tego robić, znalazłem słuchawkę telefonu stacjonarnego i odetchnąwszy głęboko, wybrałem jeden z nielicznych numerów, które znam na pamięć.

6

Z Domem Moynihanem przyjdźmy się od czasów szkolnych. Po uniwersytecie, kiedy nie mogłem znaleźć pracy, pomógł mi zdobyć pierwszą posadę w City, w biurze maklerskim, w którym sam pracowałem; a kiedy wiele lat później moje małżeństwo w końcu się rozpadło i wróciłem do Londynu, przegrany i pełen goryczy, to do niego skierowałem się po wsparcie. Chodzi o to, że Dom zawsze był przy mnie, kiedy go potrzebowałem. I choć doceniałem wszystko, co dla mnie zrobił, i powtarzałem mu to przy każdej sposobności, tak naprawdę nigdy nie odpłaciłem mu tym samym. Zrobiłbym to oczywiście, gdyby cokolwiek potrzebował, ale fakt, że tak się nie stało, sprawiał, iż czułem się, jakbym był mu coś winien, choć wiedziałem, że nigdy nie zażąda zwrotu długu.

A kiedy jest się coś komuś winnym, nie chce się spieprzyć tej osobie nastroju. Pewnie dlatego dwa razy podnosiłem i odkładałem słuchawkę, nim w końcu zmusiłem się, by zadzwonić.

— Rob? — jęknął Dom do telefonu. — To ty? Co się stało? Wszystko w porządku?

— Tak — odparłem. — Mniej więcej.

— Posłuchaj. Jestem w Dubaju, w interesach. Za dziesięć minut mam służbowe śniadanie. Oddzwonię, dobrze?

— Nie. Musimy porozmawiać teraz.

— Co się stało? — spytał. — Czy to coś z Yvonne albo Chloe?

Dom lepiej niż ktokolwiek wiedział, jak ciężko zniosłem rozpad małżeństwa i jak bardzo za nimi tęskniłem. W jego głosie dźwięczała troska i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia tak potężne, że o mało się nie rozplakałem. Zmusiłem się jednak do zachowania spokoju.

— Nie, nic im nie jest — odparłem. — Tak naprawdę dzwonię do ciebie, bo... Chodzi o Jenny.

— Jenny?

— Jenny Brakspear. No wiesz, twoją byłą. Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

— Chryste, wieki temu. A czemu pytasz?

— To zwyczajna dziewczyna, prawda? Nie ma żadnych tajemnic ani niczego takiego?

— Jasne, że jest zwyczajna. Dlaczego pytasz mnie o to wszystko?

Wzięłem głęboki wdech.

— Dziś w nocy ją porwano. Jakieś trzy godziny temu.

— Co? Skąd wiesz?

— Byłem tam.

— Gdzie?

Zawiesiłem głos, nim odpowiedziałem.

— U niej w mieszkaniu.

Spytał, co tam robiłem, i wysłuchał mojego krótkiego wyjaśnienia.

— Naprawdę mi przykro, Dom. Nie zamierzałem tego robić. Po prostu się stało, wiesz? A kiedy mi powiedziała, że nadal próbujesz się z nią zejść, to koniec. Oznajmiłem, że nie jestem zainteresowany.

Oczywiście gadałem bzdety, ale czasami kłamstwo szkodzi znacznie mniej niż prawda.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła długa cisza. Czekałem, zastanawiając się, czy to oznacza koniec naszej przyjaźni.

— Naprawdę ci powiedziała, że próbuję się z nią zejść? — spytał w końcu Dom.

— Zgadza się, i kiedy to zrobiła, powiedziałem...

— Jesteś pewien?

— To znaczy?

— Jesteś pewien, że dokładnie tak powiedziała?

— Jasne, że jestem pewien. To było zaledwie parę godzin temu.

— Dziwne.

— Czemu?

— Ponieważ — odparł dziwnie odległym tonem — nie rozmawiałem z nią co najmniej od pół roku.

7

W odróżnieniu od innych osób, z którymi rozmawiałem tej nocy, Dom nie kwestionował mojej wersji wydarzeń i sprawiał wrażenie, że się szczerze niepokoi o Jenny. Ale też podobnie jak ja znał ją osobiście i zaczynałem rozumieć, że czyni to wielką różnicę.

Miał wrócić z Dubaju dopiero w środę rano, powiedział jednak, że wcześniej zrobi wszystko co w jego mocy, żeby mi pomóc. Niestety, nie miał już nawet numeru jej komórki, nie byłem zatem pewien, co zdoła zdziałać z odległości pięciu tysięcy kilometrów. Tymczasem poradził, żebym nie przestawał naciskać na policjantów. Umówiliśmy się, że pogadamy następnego dnia, wówczas opowiem mu, jak się sprawy mają.

Nie wspominaliśmy o tym, jak ta sprawa wpłynie na naszą przyjaźń. Wiedziałem jednak, że tak czy inaczej coś się zmieni. Jednak w tej chwili musieliśmy odłożyć wszystko na bok, próbując się dowiedzieć, co, do cholery, stało się z Jenny.

— Zupełnie tego nie rozumiem, stary — rzekł Dom tuż przed tym, nim się rozłączył. — To zwyczajna dziewczyna — dodał, cytując słowo w słowo mój opis Jenny. — Podobna do wszystkich innych.

Zwyczajna dziewczyna.

Ale przecież nie była zwyczajna, prawda? Jenny Brakspear kłamała. A skoro skłamała w tej jednej sprawie, to o czym jeszcze nie powiedziała prawdy? Możliwe, że było to zwykłe,

niewinne kłamstewko, takie samo jak to, którym uraczyłem Dorna, lecz problem w tym, że nie dostrzegałem żadnych niewinnych bądź pozytywnych powodów, dla których miałyby mi powiedzieć, że mój przyjaciel próbuje odnowić z nią znajomość, skoro tak nie było. Biorąc pod uwagę wydarzenia tej nocy, wydało mi się to podejrzane i zastanawiałem się, w co wplątała się Jenny.

I kiedy w końcu położyłem się do łóżka i naciągnąłem na głowę kołdrę, byłem bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany to odkryć.

8

Detektyw sierżant Tina Boyd odchyliła się na krześle i ziewnęła. Ogarnęła wzrokiem nieodparcie kojarzącą się z kostnicą pustkę swego biura w wydziale kryminalnym — ponurego, bezosobowego pomieszczenia, urządzonego tanimi meblami, wyglądającymi jak porzucone w pośpiechu — zastanawiając się, co właściwie stało się z jej karierą. Pięć lat temu zmierzała prostą drogą do sukcesu — jako jedna z nowego pokolenia kobiet dążących pewnie do wysokich stołków w policji. Może nie miała u swych stóp całego świata, ale policję na pewno. A jednak tkwiła teraz samotnie w biurze o czwartej rano, rozpaczliwie złakniona papierosa, którego nie wolno jej wypalić, i drinka, którego nie wolno jej wypić. W dodatku nie miała nawet z kim obgadać nowej sprawy, bo drugi dyżurny, Hunsdon, postąpił niezwykle rozsądnie i wziął wolne z powodu choroby, tłumacząc się kolejnym, aż nazbyt regularnym atakiem „grypy”.

Nie była pewna, co myśleć o historii Roba Fallona. Z jednej strony brzmiała kompletnie odjazdowo, nie było też żadnych dowodów, które by ją poparły. A jednak instynkt podpowiadał jej, że coś jest nie tak. Po pierwsze i najważniejsze, Fallon zachowywał się jak człowiek mówiący prawdę. Oczywiście możliwe, że doznał jakiegoś ataku i w rezultacie szczerze wierzył w to, co mówił, lecz Tina w ciągu dziesięciu lat służby w policji miała do czynienia z wieloma umyślowo chorymi, i choć Fallon cuchnął odrażająco, co czasem stanowiło objaw

podobnej choroby, po prostu do nich nie pasował. Jego relacja brzmiała jasno i klarownie, zdołał przedstawić wiarygodne wyjaśnienie swego nieszczęsnego odoru, a szczegóły opisu pasowały do rozkładu budynku Jenny Brakspear.

Mimo to Tina mogłaby odpuścić, gdyby nie drugi powód wątpliwości. W Wielkiej Brytanii działają cztery miliony kamer przemysłowych — najwięcej na głowę na świecie — i w danym momencie zazwyczaj około dziesięciu procent nie funkcjonuje z przyczyn technicznych; lecz w nowoczesnych kompleksach apartamentowców, takich jak u Jenny Brakspear, gdzie kamery są nowe i najnowocześniejsze, procent ów sięga najwyżej pięciu. Niepokoiło ją zatem, że kamera obejmująca tył budynku wysiadła akurat w noc, gdy zgłoszono poważne przestępstwo.

Oparłszy się pokusie wykradnięcia do toalety na papierosa, sprawdziła nazwisko Jenny Brakspear w ogólnokrajowej bazie danych kryminalistycznych.

Jeśli ktoś rzeczywiście ją porwał, zapewne wiązało się to z narkotykami. Tina nie była pośredniczką w handlu nieruchomościami, lecz nawet na obecnym, kiepskim rynku mieszkanie Jenny musiało być warte co najmniej trzysta tysięcy funtów. Dziewczyny pracującej w biurze podróży nie byłoby na nie stać.

Wkrótce jednak okazało się, że Jenny Brakspear nie ma żadnej przeszłości kryminalnej, a kiedy Tina sprawdziła jej adres w rejestrach sądowych, przekonała się, że mieszkanie należy do niejakiego Roya Braksepara, zapewne jej ojca. Często zdarza się, że rodzice dysponujący sporą kasą kupują nieruchomości dla dorosłych dzieci. Dla Tiny stanowiło to jednak problem, bo eliminowało oczywisty motyw.

Odnalazła adres i numer telefonu Roya Brakspeara. Mieszkał w wiosce na obrzeżach Cambridge. Wciąż był środek nocy, lecz Tina wiedziała, że jeśli Jenny naprawdę się coś stało,

każda minuta zwłoki w poszukiwaniach może okazać się zabójcza.

Po piątym dzwonku usłyszała w słuchawce zaspany głos.

— Halo?

— Pan Roy Brakspear?

— Tak?

— Mówi detektyw sierżant Tina Boyd z wydziału kryminalnego w Islington. Przepraszam, że przeszkadzam o tak wczesnej porze.

— O co chodzi? — W jego głosie zadźwięczał niepokój.

— Czy jest pan spokrewniony z panną Jenny Louise Brakspear, zamieszkałą w Wolverton Villas dziewięć C w Londynie?

— To moja córka. Dlaczego?

— Nie chciałabym niepotrzebnie pana niepokoić, lecz otrzymaliśmy zgłoszenie, że panna Brakspear została dziś nad ranem uprowadzona ze swojego mieszkania.

— To niemożliwe.

Tinę zastanowiła stanowczość tego stwierdzenia.

— Czemu nie?

— Bo wczoraj o jedenastej wieczór dzwoniła do mnie z lotniska Gatwick. Miała właśnie wsiąść na pokład samolotu i odlecieć na wakacje. W tle słyszałem hałas, więc niewątpliwie dzwoniła z lotniska. Kto to państwu zgłosił?

— Jej znajomy — odparła Tina, świadoma powątpiewania we własnym głosie.

— Cóż, wygląda na to, że ów znajomy zrobił sobie dowcip. Jenny od tygodni mówiła o tym urlopie.

— Ma pan może numer komórki, pod którym jest uchwytana? Żebym mogła z nią porozmawiać i upewnić się, iż wszystko jest w porządku?

Po paru sekundach wrócił do telefonu. Tina zanotowała numer i mu podziękowała.

— Raz jeszcze przepraszam, że pana obudziłam — dodała. — Osobę, która zgłosiła porwanie, trudno nazwać wiarygodnym świadkiem. Tak się składa, że portier z domu panny Brakspear także twierdził, że wyjechała na wakacje do Hiszpanii. Mimo wszystko musimy sprawdzać każde zgłoszenie. Taką mamy pracę. Mam nadzieję, że pana nie zdenerwowałam.

Brakspear odparł, że rozumie, że nie zdenerwowała, i Tina zakończyła rozmowę.

Natychmiast zadzwoniła pod podany przez niego numer Jenny, lecz automatyczny głos poinformował ją, iż telefon jest obecnie wyłączony i musi spróbować ponownie. Z jakiegoś powodu wcale jej to nie zaskoczyło.

Według wszystkich oprócz Roba Fallona, Jenny nie zaginęła, wyjechała na wakacje. Tyle iż wyglądało na to, że spędza je w różnych miejscach. Portier, John Gentleman, wspominał o Barbados. Kiedy jednak Tina zasugerowała ojcu Jenny, że ta wyjechała do Hiszpanii, Roy Brakspear nie zaprzeczył.

Oczywiście, mogła to być niewinna pomyłka. Ostatecznie wyrwała biedaka ze snu. Lecz gdy połączyła te wszystkie fakty, jej niepokój jeszcze się wzmógł, podsycony tym, iż ojciec Jenny upierał się przy tym, że jego córka nie mogła zostać porwana. Tina nie miała dzieci, była jednak zupełnie pewna, że gdyby w środku nocy zadzwonił do niej policjant z tą samą wiadomością, nie okazałaby podobnej pewności siebie i domagała się dalszego dochodzenia.

Lecz Brakspear tego nie zrobił, a Jenny nie odbierała telefonu.

Tina wiedziała, że jej szef, nadkomisarz Knox, nie pozwoli jej zanadto angażować się w tę sprawę. W tej chwili i tak mieli zbyt dużo na głowie, a bez żadnych konkretnych dowodów dochodzenie musiało zejść na dalszy plan. Wciąż próbowała

dodzwonić się do Jenny, zamierzała też za dnia skontaktować się z jej pracą i spróbować zweryfikować którąś wersję. Obecnie nie mogła zrobić nic więcej.

Ziewnęła ponownie i potarła ręką oczy. Jeszcze tylko półtorej godziny, a potem skończy zmianę i przekaże problem w cudze ręce. Akurat dość czasu, żeby złożyć raport.

Najpierw jednak musiała zrobić parę rzeczy.

Sięgnęła do najniższej szuflady biurka, wyciągnęła z niej ukrytą w kosmetyczce stalową piersiówkę i wsunęła do kieszeni dzinsów, opierając się pokusie pociągnięcia szybkiego łyka.

A potem, wsunąwszy do ust niezapalonego papierosa, głucha na pełen wyrzutu głos w umyśle, który powtarzał, że nie może tego ciągnąć, wstała zza biurka i ruszyła do toalety.

PONIEDZIAŁEK

9

Spałem kiepsko i stanowczo za długo, ostatecznie obudziłem się po jedenastej rano. Natychmiast przypomniałem sobie wydarzenia poprzedniej nocy, lecz z porannej perspektywy wyglądały jak koszmary, dziwnie odległy sen. Przez firanki przenikały jasne promienie słońca, z zewnątrz dobiegały odgłosy ulicznego ruchu. Kilka minut leżałem, wbijając wzrok w sufit, z ulgą chłonąc normalność otoczenia, lecz nadal nie mogłem przegnać wspomnienia mężczyzny, próbującego poderżnąć mi gardło na podziemnym parkingu, oraz niedającego spokoju pytania, co się stało z dziewczyną, z którą zaledwie parę minut wcześniej zamierzałem się kochać.

Na pierwszą byłem umówiony na lunch za swoim agentem literackim, Murrayem: zamierzaliśmy omówić kolejnych dziesięć rozdziałów mojego gangsterskiego arcydzieła. Wątpiłem jednak, bym dał radę tego dnia. Wiedziałem, że Murrayowi podoba się to, co zrobiłem, bo już mi o tym powiedział, i w zwykłych okolicznościach radośnie wykorzystałbym okazję porzucenia komputera i książki na rzecz leniwego, zakrapianego lunchu, ale tego dnia nie potrafiłbym się na tym skupić.

Biorąc prysznic, myślałem wyłącznie o Jenny Brakspear. Przed poprzednim wieczorem spotkałem ją w sumie może z dziesięć, piętnaście razy. Kiedy zaczęła chodzić z Domem, mieszkałem już u niego i pamiętam parę wieczorów, gdy siedzieliśmy we trójkę, oglądając DVD i popijając piwo — miłe

chwile, kojarzące się nieco z dawno minionymi czasami studenckimi. I choć czułem się trochę jak piąte koło u wozu, oboje nigdy nie dawali mi odczuć, że jestem intruzem. Jenny rozmawiała ze mną o moim związku z Yvonne i próbowała przekonać, bym myślał pozytywnie. Muszę przyznać, że częściowo nawet jej się udało.

Nawet kiedy się wyprowadziłem, od czasu do czasu spotykaliśmy się we trójkę na drinka, a gdy znalazłem sobie pierwszą pomałżeńską dziewczynę, Carly, pierwszymi ludźmi, których zaprosiliśmy na obiad, byli Dom i Jenny.

Chyba rzeczywiście tak naprawdę jej nie znałem — wkrótce po owym obiedzie rozstali się z Domem i straciliśmy kontakt — ale spędziłem z nią dość czasu, by wiedzieć, że to rozsądna dziewczyna o szczerym sercu. Czemu zatem okłamała mnie w sprawie Dorna? I co ważniejsze, dlaczego została porwana przez dwóch mężczyzn, którzy dostali się do jej mieszkania, nie pozostawiając nawet najmniejszego śladu włamania? Byłem teraz pewien, iż nie kierował nimi motyw seksualny. W ich oczach nie dostrzegłem nawet śladu podniecenia, jedynie chłodny profesjonalizm. Co więcej, sprawiali wrażenie kompletnie niezainteresowanych niajako człowiekiem, przynajmniej sądząc z tego, jak cisnęli ją na wózek. Musiał istnieć inny powód i nie potrafiłem przestać się nad nim zastanawiać.

Zadzwoiłem do Murraya i odłożyłem nasz lunch, udając, że mam grypę. Był zawiedziony — chyba miał ochotę zacząć swój tydzień pracy od paru drinków — ale powiedział, żebym odezwał się, kiedy tylko poczuję się lepiej, a on z całą pewnością znajdzie wolną chwilę w swoim terminarzu.

— Wiem, że ta książka ma w sobie coś niesamowitego, Robercie — oznajmił swym charakterystycznym, dramatycznym, nieco przegiętym tonem. — Maxwell to okropna

postać. To będzie milionowy nakład. I ten tytuł, Cyngiel. Cudowny.

Szczerze mówiąc, osobiście uważałem, że tytuł jest raczej główniany, ale w tej chwili wszystko to wydawało się kompletnie nieważne.

Gdy tylko się rozłączyłem, skasowałem wszystkie karty kredytowe i zamówiłem nowe, a potem postanowiłem spróbować przegnać z pamięci wydarzenia poprzedniej nocy i zająć się pracą nad książką. Byłem już niemal w dwóch trzecich rozdziału dwudziestego drugiego i dotarłem do jednego z gwałtowniejszych epizodów z okresu, gdy Maxwell był na etapie napadów z bronią w ręku. Tuż potem dał się złapać w zasadzkę lotnej brygady i odsiedział sześć lat w Pentonville. W rzeczywistym napadzie nikt nie zginął, lecz w mojej wersji jeden z towarzyszy Maxwella został zabity, a sam Maxwell postrzelił i ciężko ranił policjanta (w jego opinii gliniarz stanowił uczciwy cel, bo był uzbrojony), a potem sam zarobił kulkę w brzuch.

Lecz tego dnia pisanie kompletnie mi nie szło. Nagle Maxwell przestał być egzotyczną, fascynującą postacią. Po raz pierwszy ujrzałem w nim prawdziwego bandziora, człowieka zarabiającego na życie zastraszaniem innych, a kiedy to zawiodło, robieniem im krzywdy. W istocie wcale nie różnił się od ludzi, którzy mnie zaatakowali. Wkurzyłem się, że tak bardzo mnie zafascynował. Przypisałem to faktowi, że nigdy dotąd nie padłem ofiarą przestępstwa, toteż byłem skłonny dodawać mu piękną otoczkę. Zastanawiałem się, czy teraz moje podejście zmieni się na zawsze i jaki to będzie miało wpływ na książkę.

Przez niemal godzinę siedziałem, wpatrując się w ekran komputera, w końcu poddałem się i zjadłem lunch w towarzystwie dziennika BBC, który uraczył mnie standardową dietą ponuro-dołującą i przypomniał aż nadto wyraźnie, czemu

ostatnio unikam gazet i wszelkich wiadomości. Miałem nadzieję, że podczas przerwy odnajdę natchnienie. Ale nie. Myślałem tylko o Jenny. Gdzie może teraz być, jak mógłbym ją odnaleźć, bo, powiedzmy sobie szczerze, w tym momencie nic nie robiłem.

W końcu nie mogłem już dłużej wytrzymać. Zadzwoiłem do komendy w Islington i poprosiłem o połączenie z wydziałem kryminalnym. Ponieważ nie miałem numeru referencyjnego, kazali mi czekać, a potem przełączyli na automatyczną sekretarkę. Kiedy znów spróbowałem, operator centrali zaproponował, że zanotuje szczegóły i ktoś do mnie oddzwoni (odmówiłem). Dopiero za trzecim razem, gdy poinformowałem innego operatora, że chcę zgłosić morderstwo, ale będę rozmawiał wyłącznie z kimś z wydziału dochodzeniowego z Islington, ten połączył mnie niechętnie.

Niewiarygodne, ale telefon dzwonił dobre półtorej minuty, nim w końcu ktoś odebrał; ciekawe, co do diabła trzeba zrobić, by w dzisiejszych czasach policja potraktowała nas poważnie.

— Detektyw sierżant Storey — oznajmił nosowy głos, w którym pobrzmiwała osobliwa mieszanina podniecenia i irytacji. — Z tego, co zrozumiałem, chce pan zgłosić morderstwo.

— Nie — odparłem, udając zaskoczenie. — Chcę się dowiedzieć o sprawę porwania, którą zgłosiłem zeszłej nocy.

— Zatem nie zgłasza pan morderstwa?

— Nie. Nie wiem, skąd pan wziął tę informację.

Detektyw Storey westchnął ze zniecierpliwieniem, w tle słyszałem narastający hałas.

— Zna pan numer referencyjny sprawy? — spytał ostro.

Odparłem, że nie, i zacząłem wyjaśniać, co się stało, ale uciszył mnie pytaniem, z kim rozmawiałem. Kiedy odparłem, że z Tiną Boyd, oświadczył, że to z nią muszę porozmawiać i że zaczyna służbę o szóstej.

Nie wierzyłem własnym uszom. Jenny została porwana, jej porywacze próbowali mnie zabić i nikt niczego z tym nie robił.

— Zgłosiłem porwanie. — Moja cierpliwość w końcu się wyczerpała. — Nie pieprzone wykroczenie drogowe. Dlaczego nikt nie traktuje mnie poważnie?

— Proszę posłuchać — odwarknął Storey, z trudem wyrzucając z siebie słowo „proszę”. — Skoro nic o tym nie wiem, a pan nie zna numeru referencyjnego sprawy, nie mogę panu pomóc. Jasne? Radziłbym zatem skontaktować się bezpośrednio z detektyw sierżant Boyd, kiedy zjawi się dziś wieczorem, bo w tej chwili mamy tu sytuację awaryjną i nie mam czasu na rozmowy. W porządku?

Nie było w porządku, ale nic nie mogłem zrobić, toteż się rozłączyłem.

Spojrzałem na zegarek. Wpół do trzeciej. Byłem wściekły na Tinę Boyd. Sądziłem, że podeszła do sprawy dostatecznie poważnie, by poinformować kolegów, najwyraźniej jednak tego nie zrobiła. Uznawszy, że nie mam nic do stracenia, wygrzebałem z kieszeni numer jej komórki i zadzwoniłem.

Odebrała po kilkunastu dzwoneczkach, rzucając krótkie „halo”. Jej głos zabrzmiał sennie.

— To ja — oznajmiłem. — Rob Fallon. Z zeszłej nocy. Sprawa porwania.

W telefonie zadźwięczało pełne irytacji westchnienie.

— Nie zapomniałam o panu, panie Fallon, ale właśnie spałam.

— Przykro mi — skłamałem. — Nie chciałem pani budzić.

— Wiedział pan, że mam nocną służbę, uznałam zatem za oczywiste, że za dnia będę spać — zawiesiła głos. — Co mogę dla pana zrobić?

— Chcę, żeby pani wiedziała, że to nie są wygłupy.

— Już mi pan to powiedział zeszłej nocy.

— Właśnie rozmawiałem z jednym z pani kolegów z dochodzeniówki, jakimś Storeyem. Nic nie wiedział o porwaniu Jenny. Nie mam pojęcia, czemu ci ludzie ją uprowadzili ani nawet czy wciąż jeszcze żyje, ale nie mogę po prostu tak siedzieć i nic nie robić, podczas gdy jej życiu może grozić niebezpieczeństwo.

Tina ponownie demonstracyjnie westchnęła.

— Niech pan zapomni o całej sprawie, panie Fallon.

— Czemu? Może jej grozić poważne niebezpieczeństwo.

— Dziś rano, zanim skończyłam służbę, rozmawiałam z jej ojcem. Powiedział, że nie mogła zostać porwana, bo wczoraj w nocy dzwoniła do niego z lotniska w Gatwick, przed wyjazdem z kraju na wakacje.

— Ale zeszłej nocy była ze mną! I nie wspominała ani słowem o wakacjach. W istocie mówiła, że właśnie wróciła ze służbowego wyjazdu.

— Powtarzam tylko, co powiedział jej ojciec, panie Fallon.

— A zdołała się pani skontaktować z jej pracą? Co oni mówią?

— A, jej praca... To ciekawa sprawa.

Nie spodobał mi się ton jej głosu.

— Ze względu na ograniczone informacje, którymi dysponowałam, trochę potrwało, nim znalazłam jej miejsce pracy, i kiedy zadzwoniłam, byłam już po służbie. Zaczekałam nawet z północą spać, bo nie chciałam pana zlekceważyć. Ale w końcu dotarłam do jej szefowej, niejakiej pani Murton, i wie pan co?

Ogarnęło mnie złowrogie przeczucie.

— Co?

— Jenny odeszła z pracy trzy tygodnie temu.

10

Po tej rozmowie Tina próbowała jeszcze zasnąć, ale nie mogła. W końcu wstała i zaparzyła sobie mocną czarną kawę. Wiedziała, że nieco zbyt ostro potraktowała Fallona. Częściowo sprawił to fakt, że zawsze budziła się w paskudnym humorze. Poza tym sama nie wiedziała, co dalej począć ze śledztwem. Sporo z tego, co opowiadał Fallon, miało sens, a jego słowa potwierdzała seria dziwnych zbiegów okoliczności. Problem w tym, że był on jedynym świadkiem przestępstwa. Pewne fakty przemawiały jednak przeciw jego wersji, choćby to, że tego wieczoru sporo wypił, miał problem z przypomnieniem sobie nazwiska Jenny, a także twierdził, iż Jenny mówiła, że właśnie wróciła z wyjazdu służbowego, podczas gdy w rzeczywistości trzy tygodnie wcześniej rzuciła pracę.

Zapaliła pierwszego tego dnia papierosa i znów spróbowała zadzwonić na komórkę Jenny — po raz czwarty — lecz podobnie jak wcześniej głos z automatu poinformował ją, że aparat jest wyłączony. Cała ta sprawa coraz bardziej przypominała jedną wielką zagadkę i Tina wiedziała, że musi ją z kimś obgadać. Wiedziała też dokładnie z kim.

Pracowała z Mike'em Boltem w APPZ, Agencji Przystępczości Poważnej i Zorganizowanej, przez ponad rok; dopiero kilka miesięcy temu wróciła do dochodzeniówki. Mike należał do nielicznego grona osób, których opinii w sprawach kryminalnych ufała całkowicie. Lecz ich rozstanie było dość

nieprzyjemne, dlatego właśnie wcześniej tego ranka nie sięgnęła po telefon.

Podczas wspólnej pracy niezwykle się zaprzyjaźnili i, co niemal nieuniknione, pojawił się między nimi także wzajemny pociąg. Pewnej nocy Mikę podwiózł ją do domu po godzinach obserwacji i wykonał pierwszy ruch. Pocałowali się w samochodzie, mocno i namiętnie. Miała wielką ochotę posunąć się dalej, ale cztery lata wcześniej, przed APPZ, nawiązała romans z szefem z dochodzeniówki, ich związek zakończył się tragedią i zdecydowanie chciała uniknąć podobnej karuzeli uczuciowej, zwłaszcza z kimś, kogo widywała codziennie. Toteż uwolniła się z objąć.

Mikę przeprosił, więcej nie wspominali o tym incydencie, ale ich stosunki nie wyglądały już tak jak przedtem. Nie było to jednak jedynym powodem jej odejścia z APPZ. Zmęczyły ją także długie śledztwa, dotyczące mrocznych postaci kierujących z ukrycia brytyjskim podziemiem przestępczym, jakże często kończące się całkowitą klęską. Lecz Mikę patrzył na to inaczej. Uważał, że jej rezygnacja ma coś wspólnego z jego osobą, i choć wiele razy próbowała go przekonać, że tak nie jest, wiedziała, iż jej się nie udało. I musiała uczciwie przyznać, że sama nie do końca w to wierzyła.

Od tego czasu nie rozmawiali ani razu, co nie ułatwiało sprawy. Im więcej dni mijało, tym trudniej przychodziło ponowne nawiązanie kontaktu. Bardzo żałowała, bo mimo faktu, że to ona zdecydowała o rozstaniu, tęskniła.

Teraz jednak uznała, że to dobra okazja, by w końcu zadzwonić. Nacisnęła przycisk wybierania — jak dotąd nie skasowała jeszcze Mike'a z listy najczęstszych kontaktów.

Kiedy odpowiedział, poczuła nagłe onieśmienie.

— Cześć, Tina. — Sprawiał wrażenie zadowolonego, że się odezwała. — Całe wieki nie gadaliśmy. Jak tam życie na ulicach?

— Pewnie takie samo jak w APPZ — odparła, zmuszając się do pogodnego tonu. — Zbyt wielu złych ludzi. Za mało tych dobrych.

— Ale dobrze się bawisz.

— Przynajmniej mam wiele zajęć.

W istocie powrót okazał się ogromnym rozczarowaniem — powinna zresztą się tego spodziewać, biorąc pod uwagę, że pracowała już wcześniej w Islington. Miała tu do czynienia z niekończącą się serią ponurych, przygnębiających przestępstw — od przemocy domowej aż po zabójstwa — i zawsze było oczywiste, kto jest sprawcą. Nie wspomniała jednak o tym Mike'owi. Zamiast tego przez chwilę gawędzili o niczym. Ze smutkiem przyjęła fakt, iż trwało to zaledwie parę minut.

— Czemu właściwie zawdzięczam tę przyjemność? — spytał w końcu, gdy nastąpiła nieunikniona cisza.

Opowiedziała mu o porwaniu, metodycznie odtwarzając wszystkie szczegóły i starając się niczego nie opuścić. Poczuli się lepiej, przechodząc do sedna.

— Sama nie wiem, co robić, Mike — rzekła. — Wciąż nie mogę się skontaktować z tą dziewczyną, a Fallon nie sprawia wrażenia bajeranta. Dlatego uznałam, że pogadam o tym z tobą.

— Musisz rozbudować to, co już masz — odparł po paru chwilach. — Bo to za mało, by szefowie potraktowali cię poważnie. Po pierwsze, proponuję szybką analizę nagrania z kamery.

— Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

— Wiesz chyba, że Matt Turner pracuje teraz w zakładzie kryminalistyki?

Matt Turner pracował z nimi w APPZ, póki rok wcześniej nie został ciężko ranny podczas działań operacyjnych.

— Nie. — Nagle poczuła się kompletnie wyobcowana. — Nie wiedziałam.

— Parę miesięcy temu przeniósł się do ich działu technicznego. Chyba zdruzzyła go papierkowa robota w APPZ, a nigdy nie będzie już w formie do pracy w terenie.

— Szkoda. Był świetny.

— I nadal jest. Dostarcz mu nagranie i powiedz, że to pilne. A jeśli okaże się, że przy nim majstrowano, będziesz wiedziała, że na coś trafiłaś i wygląda na to, że na coś wielkiego. Czy sprawdziłaś tego portiera z apartamentowca? Bo z tego, co mówisz, nie mogli tego zrobić bez jego pomocy.

— Nie sprawdziłam — przyznała, żałując, że sama o tym nie pomyślała. — To oznaczałoby udział trzech osób. Całkiem sporo.

— Owszem, ale nie można tego wykluczyć. Sprawdź, czy nic na niego nie mamy. To przynajmniej da ci jakieś zajęcie.

— Sprawdzę, ale nie sądzę, żeby szef pozwolił mi poświęcić czas tej sprawie. W tej chwili jesteśmy zavaleni po uszy.

— Jeśli jednak rzeczywiście doszło do porwania, a z tego, co mi powiedziałaś, mam wrażenie, że tak, będzie musiał zacząć działać. Pogadaj z nim. Zobacz, co powie. Może cię zaskoczy.

Tina poważnie w to wątpiła. Jak większość starszych oficerów, nadkomisarz Knox był zainteresowany stołkiem w ministerstwie, a to oznaczało zajmowanie się przestępstwami oczywistymi i łatwymi do rozwiązania, nie tymi, które wymagały potężnych nakładów i mogły prowadzić donikąd.

— Dzięki — rzuciła. — Tak zrobię.

— Daj mi znać, jak ci poszło. Poważnie. Bardzo mnie to interesuje.

— Dam. Dzięki.

— Sam bym ci pomógł, ale też jesteśmy zavaleni robotą. To chyba naturalne w naszej pracy.

— W porządku, Mike, nie chodziło mi o twoją pomoc, tylko o radę. Poza tym i tak bardzo pomogłeś — mówiła szczerze, zresztą należał do najlepszych detektywów, z jakimi współpracowała.

— Satysfakcja to nasza specjalność — odparł, lecz tym razem pogodny ton w jego głosie wydawał się wymuszony.

Zapadła pełna skrępowania cisza. W końcu Tina zapytała, czym w tej chwili zajmuje się zespół.

— Jak zwykle — odparł Mike. — Próbuujemy usadzić kolejnego ważniaka.

— Kogo tym razem? Znam go?

— Tak — odparł z wyraźnym wahaniem. — Paula Wise'a.

Tina głośno przełknęła ślinę. Na wzmiankę o tym człowieku wciąż zaciskały jej się szczęki i żołądek. Jeśli istniał na świecie ktoś, kogo mogła winić za zrujnowanie sobie życia, to właśnie on, choć nigdy nie spotkali się osobiście. To Wise stał za zabójstwem jej byłego szefa i kochanka, Johna Gallana. Biznesmen i multimilioner maczający palce w różnych mętnych sprawach, który całe życie skutecznie wymykał się wymiarowi sprawiedliwości i ze wszystkich znanych jej przestępców wydawał się najbardziej nietykalny.

— Skąd ten nagły powrót zainteresowania? — spytała, słysząc napięcie we własnym głosie. — Zdawało mi się, że wszyscy już zrezygnowali z przyszpilenia drania.

— Nikt nie zrezygnuje z przyszpilenia Paula Wise'a, Tino.

— A czym zajmuje się teraz? Sądziłam, że działa w tureckiej części Cypru, daleko od długich rąk sprawiedliwości.

Doskonale to wiedziała. Sprawdzała wiele razy.

— Owszem — przytaknął Bold. — Ale teraz, gdy budowa nieruchomości stała się mniej dochodowa, zaczął poszerzać zakres działania. Zajął się przemycaaniem heroiny do Wielkiej Brytanii na wielką skalę. Oraz prostytutką.

Tina parsknęła.

— Jak zwykle działa z klasą. Czy jesteście już blisko?

— Uczciwa odpowiedź brzmi: nie. Ale to nie znaczy, że nie będziemy próbować. Skierowaliśmy przeciw niemu poważne siły. To tylko kwestia czasu.

Nie wiedziała, czy Mikę sam w to wierzy, czy nie. Ona sama nie wierzyła. Wielka Brytania nie miała umowy o ekstradycję z turecką częścią Cypru, a kiedy tylko ją zawrze, Wise przeniesie się gdzie indziej, gdzie nie można będzie go tknąć. Tacy jak on zawsze o krok wyprzedzali prawo. Mimo wszystko jednak chciałyby brać w tym udział i nagle zirytował ją fakt, że to już niemożliwe.

— Jeśli zdobędziecie dowody dostateczne, by go przygwoździć, proszę, daj mi znać, Mikę, dobrze?

— Obiecuję, że będziesz pierwszą osobą, którą zawiadomię. Usłyszała ciepło w jego głosie i zrozumiała, że mówi prawdę.

— Dzięki. Doceniam.

— Uważaj na siebie. Nie rezygnuj z tej sprawy. Wierz własnemu instynktowi.

Zawsze wierzę, pomyślała, żegnając się. I zazwyczaj wplątuje mnie w kłopoty.

Czy kiedykolwiek odnosiliście wrażenie, jakbyście znaleźli się w równoległym wszechświecie? W którym wszystko, co robicie, wydaje się dziwnie nierzeczywiste, jak we śnie? Już raz wcześniej doświadczyłem czegoś podobnego, kiedy w latach studenckich całą grupą zażyliśmy magicznego grzybka — była to moja jedyna wycieczka w krainę twardych narkotyków — lecz nawet wtedy wiedziałem, że to, co widzę, nie dzieje się naprawdę. Teraz nie miałem już takiej pewności i po raz pierwszy w życiu zacząłem wątpić we własne zdrowie psychiczne. Przeżyłem wiele ciężkich chwil, oszałamiających wzlotów, po których następowały mordercze, ponure upadki, ale zawsze czułem, że nad wszystkim panuję. Teraz jednak naprawdę mieszało mi się w głowie i zastanawiałem się, czy to wszystko rzeczywiście się wydarzyło.

Ale przecież musiałem odwiedzić mieszkanie Jenny, bo kiedy tam wróciłem, wyglądało bardzo znajomo. Moja kurtka wraz z komórką i portfelem z całą pewnością zniknęły.

Musiałem oczyścić umysł, toteż po rozmowie z Tiną Boyd pojechałem do lasu Broxboume i wybrałem się na jakże potrzebny spacer, napawając się samotnością i spokojem po ostatniej dramatycznej dobie.

Nie zaszedłem jednak daleko, gdy zadzwonił Dom. Spytał, czy mam jakieś wieści.

— Cały dzień się zamartwiałem.

— Kilka — odparłem i powtórzyłem mu wszystko, co wiedziałem.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Odgadywałem, co sobie myśli. Po powrocie z Francji na jakiś czas wpadłem w prawdziwą depresję. Źle sypiałem, zupełnie nie mogłem pracować i praktycznie przestałem jeść. W najgorszym okresie przez całe trzy dni prawie nie wstawałem z łóżka i schudłem ponad sześć kilo. Osobiście nie uważam, że było to prawdziwe załamanie nerwowe, ale wiem, iż Dom martwił się o moje zdrowie. Rozmawiał nawet o tym z moim ojcem poza moimi plecami. W końcu otrząsnąłem się z najgorszego bez pomocy z zewnątrz, ale z pewnością teraz czułem tę samą troskę. Nie widzieliśmy się kilka tygodni, więc przypuszczam, że mógł uznać nowe załamanie za całkiem możliwe.

Wiedziałem, że chce coś powiedzieć, toteż go wyprzedziłem.

— Ostatnio życie układało mi się całkiem znośnie, Dom. Daję słowo, to się naprawdę wydarzyło. — Byłem jednak świadom niepewności w swoim głosie.

— Po prostu nic z tego nie rozumiem — przyznał. — Dlaczego ojciec Jenny miałby mówić, że wyjechała na wakacje, skoro to nieprawda?

— Jaki on jest? No wiesz, jej ojciec.

— Spotkałem go tylko parę razy. Miły facet.

— Bogaty?

— Kieruje własną firmą i chyba nieźle mu się powodzi, ale nie jakoś oszałamiająco. Wątpię, by wyciągał rocznie na czysto więcej niż paręset tysięcy. Za mało, żeby porywać mu córkę.

Słuszna uwaga, i wyeliminowała kolejną możliwość, bo teraz nie dysponowałem już żadnym oczywistym motywem uprowadzenia Jenny. W uchu znów zabrzmiał mi niepokojący głos: Czy to naprawdę się stało, Rob? Jesteś pewien, że sobie tego nie wyobraziłeś?

— Co zamierzasz teraz zrobić, Rob? — spytał Dom.

— Nie wiem. — Westchnąłem, nie potrafiąc pozbyć się tonu rezygnacji. — Chyba będę dalej zawracać głowę swojemu kontaktowi w policji. Poproszę, żeby sprawdziła nagranie z kamery w bloku Jenny w poszukiwaniu śladów manipulacji, bo wiem, że je zmontowano. Poza tym nie mam pojęcia. Mógłbym spróbować pogadać z Maxwelllem, zobaczyć, czy ma jakiś pomysł. No wiesz, z punktu widzenia przestępcy.

— To brzmi dość desperacko.

— Owszem — przyznałem ze znużeniem. — Ale zaczyna mi już brakować pomysłów.

— Dobrze się czujesz, Rob? Może powinienem wrócić.

— Dzięki, stary, ale nie ma sensu. W tej chwili nie zdziałasz więcej niż ja. Równie dobrze możesz zostać tam, gdzie jesteś. Będę cię informował.

Próbował się upierać, ale słyszałem wyraźnie, że czyni to bez przekonania. Zastanawiałem się, czy naprawdę wierzy w moją historię, czy po prostu uznał, że w końcu mi odbiło.

Kiedy się rozłączyłem, szedłem dalej, ciesząc się dystansem od miasta i jego niebezpieczeństw. Nim wróciłem do samochodu, minęła szósta. Cienie się wydłużały, późne popołudnie przechodziło we wczesny wieczór, a promienie słońca przenikające między gałęziami brzoź nabrały łagodnej, pomarańczowej barwy.

Ostatnio byłem tu z Yvonne i Chloe. Chloe właśnie zaczęła chodzić, przez większość czasu trzymałem ją za rękę. Dzień był słoneczny, jak dzisiaj, ale na tym kończyły się podobieństwa. Wówczas wszystko wyglądało inaczej. Rozmawialiśmy o przeprowadzce do Francji. Kupiliśmy już dom, sprzedaliśmy mieszkanie w Londynie za niemal dwa razy więcej, niż zapłaciliśmy za nie pięć lat wcześniej, a ja szykowałem się do złożenia wypowiedzenia w firmie. Mieliśmy pieniądze w banku i

genialny plan zapewniający bezpieczną przyszłość, sukces i szczęście.

Długą chwilę stałem w milczeniu, zastanawiając się, czemu pozwoliłem, by wszystko to przeciekło mi między palcami. Tak bardzo chciałem cofnąć czas. Nagle ogarnęła mnie gwałtowna ochota, żeby zadzwonić i porozmawiać z Yvonne i Chloe. Pogawędzić z nimi o tym i owym, próbując przywrócić memu życiu choć odrobinę normalności. Wiedziałem jednak, że spędzają wakacje w północnej Szwecji z Nigelem i są poza zasięgiem komórek. Zamiast tego wsiadłem do samochodu i ruszyłem do domu, świadom, że rozpaczliwie potrzebuję czegoś, co by mnie pocieszyło.

Ramon może i nie jest idealnym towarzyszem, ale w tych okolicznościach nadawał się znakomicie.

12

Agent Mikę Bolt z gniewem i rezygnacją wpatrywał się w stosy papierów na swoim biurku. Jego zadaniem w APPZ było przeszkadzanie w działalności paruset ważniaków, którzy kierowali przestępczością zorganizowaną w Wielkiej Brytanii, przemysłem wartym niewiarygodne czterdzieści miliardów dolarów rocznie. Był jednak w dostatecznym stopniu pragmatykiem, aby wiedzieć, że w tej wojnie on i jego koledzy nigdy nie zwyciężą. Wróg miał zbyt wielką przewagę liczebną i majątkową. Najważniejsze jednak to nie przegrać z kretesem. Trzeba mieć cierpliwość i nieustannie osłabiać ich obronę. Czasami na efekty trzeba czekać całymi miesiącami. Czasami nigdy się nie pojawiają. Świadek może nagle wycofać zeznania albo sędzia odrzucić sprawę i mnóstwo ciężkiej pracy idzie na marne, a przeciwnik odchodzi na wolność z szerokim uśmiechem na twarzy, powracając do zarabiania nieprzyzwoitych sum pieniędzy. Lecz wedle doświadczenia Bolta każdy pancierz miał swój słaby punkt i jeśli szuka się go dostatecznie długo, w końcu się znajduje.

Nawet on musiał jednak przyznać, że jeśli Paul Wise ma słaby punkt w swoim panczerzu, to niewiarygodnie dobrze ukryty. Co prawda trzy lata wcześniej wyjechał z Anglii, by uniknąć zbytniego zainteresowania stróżów prawa, lecz znaczna część jego dochodów wciąż pochodziła z działalności przestępczej w ojczyźnie.

Od pięciu miesięcy, podczas których zespół Bolta zajmował się nim aktywnie, przeprowadzili naloty na cztery kontrolowane przez Wise'a burdele, uwalniając w sumie sześćdziesiąt siedem przetrzymywanych tam cudzoziemców. Przechwycili także ponad dziesięć kilo należącej do niego dziewięćdziesięcioprocentowej heroiny, większość podczas śmiałej operacji, w wyniku której aresztowano dwóch kluczowych współpracowników Wise'a. Wszystko to zyskało im sporo przychylnych opinii w prasie, niestety jednak, nie znaleźli nawet cienia dowodu, który można by wykorzystać przeciwko głównemu celowi. Dwaj agenci przechwyceni z heroiną odmówili zeznań i szybko znaleźli sobie bardzo kosztownych adwokatów (bez wątpienia opłacanych przez szefa). Co do ludzi aresztowanych w burdelach, zaledwie dwóch było gotowych do współpracy — szukający azylu Turek kierujący jednym z lokali i miejscowy bandzior szefujący ochronie w drugim. Niestety, żaden z nich nie spotkał Wise'a ani nawet z nim nie rozmawiał, obaj mieli do czynienia wyłącznie z pośrednikami.

Teraz zatem po raz pierwszy Bolt i jego zespół zwrócili się o pomoc do wywiadu finansowego APPZ. Miał on za zadanie dowiedzieć się, gdzie ukrywane są olbrzymie zyski z przestępczości zorganizowanej, by dało się je powiązać z ważniakami, a tym samym wykorzystać jako dowód w postępowaniu sądowym. Bolta niespecjalnie interesował skomplikowany świat przestępczości finansowej — jak dla niego za mało w nim było akcji — lecz ponieważ nic innego nie dawało oczekiwanych rezultatów, zgodził się z szefami, że atak na pieniądze Wise'a to najlepsza szansa, by poważnie mu zaszkodzić.

Jednakże po ponad miesiącu działalności wywiadu finansowego, tego właśnie popołudnia Bolt, otrzymał od nich e-mailem zaledwie jeden raport. Liczył czterdzieści pięć stron i sprawiał wrażenie napisanego w sanskrycie — do tego stopnia,

iz Mikę poprosił członka swego zespołu, Mo Khana, by go zabrał i odszyfrował przed wyznaczonym na następny dzień spotkaniem z przedstawicielami wywiadu finansowego. Uznał, że Mo, który ukończył na cztery z plusem licealny kurs ekonomii stosowanej, dysponuje najlepszymi z nich wszystkich kwalifikacjami, by coś z tego zrozumieć. Ponieważ jednak nie było go już ponad dwie i pół godziny, możliwe, że miał z raportem podobne kłopoty jak cała reszta.

Wieczór ciągnął się nieznośnie, lecz Bolt nie myślał nawet o tym, by wrócić do domu. Podniósł się ze swego krzesła i wyglądając przez okno biura na park naprzeciwko i stojące dalej wysokościowce, myślał o Tinie Boyd, podobnie jak przez większość tego popołudnia. Gdy zadzwoniła, poczuł autentyczne podniecenie, choć nie rozmawiali ze sobą ani się nie widzieli niemal rok, ale też zawsze tak na niego działała. Wstępna radość szybko jednak zamieniła się w rozczarowanie, gdy pojął, że odezwała się z powodów czysto zawodowych. Miał też wyrzuty sumienia, że musiał jej powiedzieć o dochodzeniu w sprawie Paula Wise'a, świadom roli, jaką tamten odegrał w śmierci byłego chłopaka Tyny.

Przynajmniej zgodzili się pozostać w kontakcie i wiedział, że Tina zechce poznać wszelkie postępy w sprawie Wise'a, żałował jednak, że to nie coś więcej. Zastanawiał się, czy nie zaprosić jej na drinka, ale wiedział, że nic z tego nie będzie. Wciąż go pociągała, lecz gdy ostatni raz posłuchał instynktu, odpowiadając na wyraźnie wyczuwane sygnały, zakończyło się to zawodem i przygnębieniem. Lepiej będzie dać już sobie z tym spokój.

Słyszając pukanie do drzwi, odwrócił się w chwili, gdy do pokoju wmaszerował niski, przysadzisty Azjata o pyzatej, pogodnej twarzy i kręconej czuprynie, czarnej, ale wyraźnie przyprószonej siwizną. Mo Khan sprawiał wrażenie zmęczonego, pod wielkimi oczami spaniela widniały ciemne

kręgi. Ostatnio mocno przytył — bez wątpienia po ostatniej próbie rzucenia palenia.

— Ach, oto wraca zbłąkany wędrowiec — rzekł z uśmiechem Mike, ciesząc się z wizyty. — Udało ci się cokolwiek z tego zrozumieć?

— Trochę. Najwyraźniej Paul Wise świetnie potrafi pracować pieniądze.

— I potrzebowali miesiąca, żeby to stwierdzić? Od trzydziestu lat jest przestępcą. Oczywiście, że potrafi pracować pieniądze.

— No, dowiedzieli się czegoś więcej. — Usiedli z Mo naprzeciw siebie. — Odkryli, że z samej prostytutki i przemytu narkotyków zarabia rocznie co najmniej dwadzieścia pięć milionów dolarów. Większość gotówki przemyca z kraju. Część trafia do firm budowlanych i rozrywkowych, zwłaszcza restauracji, gdzie trudno je odróżnić od uczciwych zarobków. Reszta przechodzi przez zwykłe pralnie, trafiając w końcu na konta bankowe w krajach takich jak Islandia, Panama i oczywiście Północny Cypr, a stamtąd do kieszeni Wise'a. W całym procesie traci około trzydziestu procent, nadal jednak zgarnia wielką forszę i ma jakiś układ z tamtejszymi władzami, toteż nie musi nawet płacić podatków.

Bolt już dawno temu przestał wkurzać się na wieść o osobistych majątkach różnych ważniaków, jednak gwizdnął przez zęby, słysząc padające liczby.

— I kto mówi, że zbrodnia nie popłaca? No dobrze, w jaki sposób ten raport może nam pomóc?

Mo wzruszył ramionami.

— Gdybyśmy odkryli, jakimi drogami przemyca kasę z kraju, i zdołali ją przechwycić, moglibyśmy zakłócić obieg gotówki. Lecz z tego, co tu piszą, skonstruowanie aktu oskarżenia o pranie brudnych pieniędzy będzie bardzo trudne. Używa zbyt wielu pośredników, a fakt, że jest właścicielem różnych firm, w

których obraca się głównie gotówką, przemawia na jego korzyść.

— A zatem zgromadzili piękne dane statystyczne i przygotowali bajerancki raport, który w sumie niczego nie zmienia? — Bolt z irytacją pokręcił głową.

— Zgadza się, szefie. Mam jednak dobre wieści. Załamanie rynku finansowego mocno dało się Wise’owi we znaki. Nie tylko jego legalne biznesy podupadły, ale też wpakował miliony w fundusz hedgingowy w City, kierowany przez nowego wilka finansjery, sir Henry’ego Portmana.

— Gdzie ja słyszałem to nazwisko?

Mo uśmiechnął się szeroko.

— „News of the World”: sfilowali go ubranego w pończochy i podwiązki, jak wciąga kokainę i zabawia się z grupką wysokiej klasy prostytutek, z których jedna biła go packą po tyłku.

Bolt uniósł brwi.

— I to jest w raporcie?

— Nie, przed chwilą znalazłem w Google’u.

— Jezu. Ale dlaczego miałbym to pamiętać? Co dzień zdarzają się podobne skandale.

— Po pierwsze, z powodzeniem zaskarżył ich o naruszenie prywatności, co także trafiło do dzienników. Po drugie, w City to ważna figura, a jego fundusz, HPP, przez ostatnie pięć lat należał do najlepszych. To jest do niedawna. Obecnie jego wartość spadła o ponad trzydzieści pięć procent, co dla Wise’a oznacza utratę milionów.

— Świetnie. Przynajmniej istnieje coś takiego jak wyższa sprawiedliwość. Ale nadal nie zbliża nas to do niego ani na krok. Czy cokolwiek wiąże osobiście Wise’a z Portmanem?

Wise miał znakomite kontakty z ważnymi figurami z establishmentu. Bolt uważał, że to jedna z głównych przyczyn,

dla których tak długo unikał karzącej ręki sprawiedliwości.

— W raporcie nic o tym nie piszą — odparł Mo. — A nawet jeśli, niczego by to nie zmieniało. Pieniądze inwestowane przez Wise'a przechodzą przez jego firmę Ratten Holdings i są oficjalnie czyste. Sam twierdzi, że jest zwykłym biznesmenem.

Słuchając Mo, Bolt na swym komputerze wrzucił w Google'a „sir Henry Portman” i otrzymał kilkaset trafień. Kliknął pierwsze i ujrzał na monitorze artykuł o zwycięstwie sądowym nad „News of the World”.

— Posłuchaj, szefie, pozwolisz, że już się zmyję? Chciałem zabrać dziś dzieciaki na basen, a robi się późno. Napisałem ci streszczenie raportu, możesz je przejrzeć.

Bolt się uśmiechnął. Mo Khan uwielbiał czwórkę swoich dzieci, a biorąc pod uwagę długość pracy w APPZ, każda wolna chwila się liczyła.

— Jasne. Już skończyliśmy. Baw się dobrze.

Przez jedną przelotną chwilę poczuł zazdrość na myśl o tym, że Mo ma rodzinę, do której może wrócić. Jego własna żona, Mikaela, umarła na raka siedem lat wcześniej. Nie ożenił się po raz drugi ani nie miał dzieci.

Odepchnął te myśli i z powrotem skupił się na monitorze, oglądając kolorowe zdjęcie szacownego dżentelmena o oszronionych skroniach, odzianego w prążkowany garnitur. Na zdjęciu sir Henry Portman stał przed budynkiem Sądu Najwyższego naprzeciwko reporterów, obok niego czuwała jasnowłosa, cholernie przystojna adwokatka, znacznie ładniejsza niż większość prawników, z którymi Bolt miał do czynienia. Portman miał minę poważną, stosownie do okazji, lecz było w nim coś zawadiackiego, jakiś błysk w oczach, który z łatwością pozwalał go sobie wyobrazić zabawiającego się z ładnymi dziewczynami.

Wedle ocen policji, Paul Wise maczał palce w co najmniej dwudziestu pięciu zabójstwach, między innymi nastolatki, i co

najmniej jednego policjanta, choć zazwyczaj brudną robotę odwalali za niego inni. Bolt zastanawiał się, czy Portman wie, skąd biorą się pieniądze inwestowane przez Wise'a w jego fundusze. I czy w ogóle go to obchodzi.

Ostatecznie, wedle jego doświadczenia, kiedy w grę wchodzi naprawdę duże sumy, ludzie bardzo, bardzo szybko zapominają o moralności.

13

— Oczywiście braki w urodzie nadrabiała zarówno talentem, jak i entuzjazmem — oznajmił Ramon, opisując swoją podrywkę z poprzedniej nocy, kontrolerkę w bankowym dziale kredytów, Cheryl. — I muszę przyznać, stary, że nawet wielkie libido Ramona czasowo nie wytrzymało. W tej chwili, jakby to powiedzieć, wyprztykałem się ze wszystkiego.

Uśmiechnął się szeroko i zaciągnął jointem, wciągając dym w płuca i przytrzymując go dobre dziesięć sekund przed wypuszczeniem cienką smużką ku sufitowi.

Siedzieliśmy w moim sypialnio-salonie. Ramon zajął miejsce w starym fotelu przy łóżku, ja uważyłem się naprzeciw niego, z butelką peroni w ręku. Z iPoda leciał stary album Santany (wybór Ramona) i po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin zdołałem się odprężyć. Miałem ugotować kolację dla nas obu, lecz poważnie wątpiłem, by szybko do tego doszło.

— Co z tobą, staruszkę? — spytał. — Wczoraj kręciło się tam mnóstwo lasek. Zwabiłeś którąś na tę twoją zabójczą kombinację dowcipu i urody?

— Choć wydaje się to nieprawdopodobne, nie. — Pociągnąłem łyk piwa, zdumiony, że nie mam nawet ochoty opowiedzieć, co mi się przytrafiło. Przypuszczam, że w tym momencie chciałem jedynie o wszystkim zapomnieć.

— Ach, Roberto — oskarżycielsko wycelował we mnie jointem — taki przystojny gość jak ty nie powinien marnować

lat młodości. Pewnego dnia usiądziesz na kanapie, zastanawiając się, gdzie się podziały dawne czasy. Powiem ci coś, staruszk. Jeszcze nikt nigdy nie żałował, że nie spędził więcej czasu w biurze.

— Ja nie pracuję w biurze.

— Wiem, że nie. Ale i tak musisz dać sobie na luz. Masz, pociągnij trochę. To trawa pierwszej klasy. Nie te uliczne śmieci. — Pochylił się naprzód z jointem.

W zwykłych okolicznościach odmówiłbym. Rzadko palę marychę. Zazwyczaj pod jej wpływem robię się jednocześnie śpiący i niesamowicie napalony, a to bezsensowne połączenie, zwłaszcza jeśli jest się w towarzystwie drugiego faceta, lecz tego wieczoru miałem ochotę zapomnieć o ostrożności. Skorzystałem z oferty i zaciągnąłem się głęboko, napawając się dymem w płucach. Rzuciłem palenie wiele lat temu, lecz jak większość palaczy, wciąż tęskniłem.

— Wszystko u ciebie w porządku, Roberto? — spytał Ramon, patrząc na mnie z powagą.

Uśmiechnąłem się.

— Jasne, wszystko spoko. To niezły komplement, słyszeć, że marnuję młodość, mam przecież trzydzieści cztery lata.

— Owszem, ale gość, który ci to mówi, ma czterdzieści dwa.

Obaj roześmialiśmy się i zaciągnąłem się ponownie. Powoli ogarniało mnie uczucie lekkości.

— Chcę, żebyś był szczęśliwy, stary, kumaszu? Przeżyłeś ciężkie chwile, ale musisz pamiętać, że życie jest krótkie i trzeba się nim cieszyć. Oto moja filozofia. Jak dotąd zawsze się sprawdzała. — Rozsiadł się wygodnie w fotelu, poprawiając przepaskę na włosach (tym razem czerwoną).

Istotnie, musiałem przyznać, że to dobra filozofia. Być może Ramon nie zarabiał zbyt wiele, ale był najszczęśliwszym ze znanych mi ludzi. Miał swoją trawkę, tańce, podboje i zawsze

potrafił dodać mi otuchy, nawet gdy byłem w najczarniejszym nastroju.

Wysączyłem resztkę piwa i wycelowałem w niego butelką.

— Jeszcze jedno?

— A czy niedźwiedzie wypróżniają się na terenach zalesionych?

— Najwyraźniej tak — odparłem i wstałem, oddając mu jointa.

Gdy wyciągnąłem z lodówki dwa kolejne peroni, poczułem nagle wyrzuty sumienia. Świetnie się bawiłem, piłem i paliłem trawkę, nie myśląc nawet o Jenny. Zerknąłem na zegarek. Właśnie minęło wpół do ósmej. Wiedziałem, że powinienem zadzwonić do Tiny i pogonić ją do działania, ale powiedziałem sobie, że zrobię to później. Jeśli będę zanadto naciskał, zacznie ignorować moje telefony.

— Wiesz, co by mi się przydało — rzekłem, wracając do pokoju z piwem. — Wakacje. Właśnie uświadomiłem sobie, że nie byłem nigdzie oprócz wypadu do Francji przed urodzeniem Chloe, a to już ponad cztery lata temu. — Postawiłem butelkę Ramona na stoliku obok fotela i klapnąłem z powrotem na miękkie puffy. — Może coś w stylu Kostaryki. Byłeś tam kiedyś? — Pamiętałem, że zawsze twierdził, iż sporo podróżował po świecie.

Ramon nie odpowiedział.

Nawet nie drgnął.

Spiąłem się, czując nagłą pustkę w żołądku.

— Ramon? — Głos załamał mi się lekko.

Siedział w fotelu pochylony naprzód, jakby zasnął; joint nie tkwił już między jego palcami.

Odstawiłem butelkę i wstałem, poruszając się zbyt szybko, tak że zakręciło mi się w głowie.

— Ramon? — Podszedłem do niego. — Nic ci nie jest, bracie?

Przykucnąłem. Wciąż zero reakcji. Pustka rozszerzała się, ogarniając całe moje wnętrze. Uniosłem jego głowę — nie chciałem, ale wiedziałem, że muszę.

— O Jezu. O Chryste Panie.

W miejscu lewego oka ziała głęboka czerwona dziura. Wypływała z niej krew, szeroka struga ściekająca powoli po twarzy na szyję i zbierająca się w zagłębieniu.

Natychmiast pojąłem, że Ramon nie żyje. Nie miałem wątpliwości. Jego głowa ciążyła mi bezwładnie w dłoniach, lecz wciąż nie mogłem w to uwierzyć, nie było mnie przecież zaledwie chwilę — najwyżej trzydzieści sekund — a kiedy wychodziłem, śmiał się, gadał i popalał. Nie pojmując, co widzę, choć krew ciekła coraz szybciej, zacząłem rozpaczliwie macać w poszukiwaniu nieobecnego pulsu.

Nagle ogarnęła mnie przeraźliwa panika.

— Ramon! Ramon! Obudź się! Zostań ze mną! — Klepnąłem go lekko w twarz. — Proszę — wyszeptalem. — Zostań ze mną. Nie odchodź.

I wtedy usłyszałem ruch.

Zamarłem.

— Kto to jest Chloe? — spytał za moimi plecami głos z ostrym, północnoirlandzkim akcentem.

14

W ustach mi zaschło. Żołądek ścisnął się boleśnie. Najbardziej na świecie nie chciałem się odwracać.

Ale nie mogłem patrzeć na pustą, martwą twarz Ramona. Całkowity brak życia w jego rysach rozdzierał mi serce.

Wolno, bardzo wolno obróciłem głowę. Czy to koniec? — pytałem się w duchu. Kres mojego życia? Samotna krwawa śmierć w ciasnym mieszkanku, z dala od wszystkich, których kocham? Nie chciałem umierać. Boże, ja nie chcę umierać.

Stał między mną i drzwiami, blokując wszelką możliwość ucieczki — ten sam groteskowy Irlandczyk o okrągłych oczach i złowrogim uśmiechu na stałe odcisniętym w naciągniętej skórze twarzy. Jedną rękę chował za plecami, w drugiej trzymał stojące wcześniej przy łóżku zdjęcie, przedstawiające Yvonne, Chloe i mnie, zrobione w ogrodzie parę tygodni po przyjeździe do Francji, tuż przed drugimi urodzinami Chloe, w czasach, gdy wciąż przepełniał nas optymizm. Zanim wszystko poszło w diabły.

Najwyraźniej nie potrzebował dużo czasu, by odnaleźć mój adres.

— Zadałem panu pytanie, panie Fallon — rzekł cicho, spokojnie. — Kto to jest Chloe?

Wyprostował drugą rękę i przekonałem się, że trzyma w niej sztylet, ten sam, którym zeszłej nocy próbował poderznąć mi

gardło, tyle że tym razem poplamiony krwią Ramona. Postukał koniuszkiem ostrza w zdjęcie.

— Czy to ona? — Obrócił ramkę, przesuwając klingą wokół niewinnej, uśmiechniętej twarzyczki Chloe.

— To moja córka — odparłem ledwie dosłyszalnym głosem.

— Nie chce pan, żeby skończyła tak jak pański przyjaciel, prawda?

— Nie.

— Znakomicie. W takim razie zrobi pan dokładnie to, co powiem. — Rzucił zdjęcie na dywan i postąpił krok ku mnie.

— Nie musiałeś go zabijać — wyszeptałem. — Nie miał z tym nic wspólnego.

— Wiem, ale miałem ochotę. — Urwał, napawając się moim przerażeniem. Jego jasne, okrągłe oczy pojaśniały niemal dziecinną radością. — Strach to osobliwe uczucie, prawda? Ponoć wspomaga przetrwanie, lecz w tej chwili nie pozwala panu na zrobienie najbardziej oczywistej rzeczy, która mogłaby pomóc ocalić życie: na ucieczkę.

Milczałem. Nie musiałem nic mówić. Miał rację.

— Strach potrafi odebrać siły i rozum, lecz kiedy umie się nad nim zapanować, można go wykorzystać na swą korzyść. Mam ten dar. Zawsze go miałem. Pański problem w tej chwili to jego brak. Zamiast tego strach każe panu zrobić dokładnie to, co powiem. — Zbliżył się o kolejny krok, tak że stał tuż nade mną. Poczulem w nozdrzach zapach drogiej wody po goleniu. — A to oznacza, że wypije pan to. — Wyciągnął z kieszeni płaszcza piersiówkę i rzucił mi na kolana. — No dalej, pij.

Wziąłem ją do ręki, ale nawet nie próbowałem podnieść do ust. Zamiast tego skupiłem wzrok na zakrwawionym ostrzu, zaledwie metr od mojej twarzy. Po raz pierwszy głęboki gniew zaczął przesłaniać strach. Nie mogłem uwierzyć, że ten skurwiel ot tak sobie zamordował Ramona. A teraz groził, że

zrobi to samo mojej ukochanej córce, jedynej osobie na tym świecie, w obronie której gotów byłem zginąć.

Nagle obudził się we mnie prymitywny instynkt. Przypomniawszy sobie, jak poprzedniej nocy zdołałem go zaskoczyć, z wrzaskiem zerwałem się na równe nogi, nie myśląc o niebezpieczeństwie. Próbując chwycić dłoń z nożem, rzuciłem się naprzód z piersiówką, którą zamachnąłem się niczym zaimprovizowaną maczugą w kierunku znienawidzonej twarzy.

Z łatwością uskoczył i wytrącił mi piersiówkę, a potem wymierzył kopniaka prosto w krocze.

Poczułem potworny ból rozdzierający mi brzuch i natychmiast straciłem wolę walki. Gdy zacząłem osuwać się na kolana, dłoń w rękawiczce chwyciła mnie za gardło i pchnęła na ścianę. Po drodze potknąłem się o trupa Ramona.

— Przestań mnie wkurwiać — syknął i w ułamek sekundy później poczułem ostrze przyciśnięte do policzka.

Przez moment w pokoju zapadła cisza, potem przysunął twarz bardzo blisko mojej. Po raz pierwszy zauważyłem otaczające podbródek zygzakowate blizny w miejscach, w których nawet operacja plastyczna nie zdołała ich zlikwidować, oraz fakt, że używał różu, by je zamaskować.

Przesunął ostrzem wzdłuż mego policzka, aż do zagłębienia tuż pod okiem, naciskając lekko. Cały czas wzmacniał uchwyt na gardle, prawie nie mogłem oddychać.

— Raz odciąłem człowiekowi twarz tym nożem — wyszeptał łagodnie, czułem na skórze ciepły oddech. — Zacząłem tutaj — mocniej przycisnął ostrze i jęknąłem, nie wając się nawet drgnąć — i ciąłem w dół, o tak. — Powoli nakreślił linię od szczęki po brodę. — A kiedy skończyłem, trzymałem w dłoni filet. Potem zrobiłem to samo z drugiej strony. Jego żona patrzyła. Poinformowałem ją, że jeśli nie zdradzi mi miejsca pobytu syna, który był winien mojemu klientowi dużą sumę

pieniędzy, usmażę policzki jej męża na patelni i nakarmię ją nimi. Była jednak uparta, jak często kobiety, toteż tej nocy nieźle się posiliła. Dopiero kiedy nadeszła jej kolej na dostarczenie mięsa, złamała się i zdradziła syna. — Zachichotał cicho, przesuwając ostrze tak, że dotknęło mi gardła; wyraźnie napawał się moim strachem. — Mówię to, żebyś zrozumiał, do czego jestem zdolny, jeśli mnie okłamiesz.

— Rozumiem — wyszeptalem. Mój gniew przeminął, jego miejsce znów zajęła obojętniająca groza. — Przysięgam, nikomu nie powiem.

— Już na to trochę za późno, prawda? Wygadałeś się już policji, opowiadając o tym, co, jak ci się zdawało, widziałeś zeszłej nocy. Komu jeszcze powiedziałeś?

Skąd do diabła wiedział? Czyżby jakoś mnie śledził?

Natychmiast pojąłem, że nie mogę zdradzić Dorna, mimo to jednak zawahałem się przed odpowiedzią.

— Nikomu — rzekłem w końcu, starając się skłamać możliwie najbardziej przekonująco.

Dostrzegł moje wahanie. Cienkie jak szrama po chłasknięciu biczem wargi wygięły się w znaczącym uśmiechu.

— Chyba nie traktuje mnie pan poważnie, prawda, panie Fallon? — spytał, kładąc przesadny nacisk na moje nazwisko, podkreślając fakt, że to on panuje nad sytuacją. — Choć przecież właśnie zabiłem pańskiego przyjaciela. Mógłbym pokroić pana na kawałeczki, ale ma pan szczęście. Pańskie zabójstwo mogłoby przyciągnąć uwagę, a tego byśmy nie chcieli, w końcu gadał pan już z policją. Na razie zatem wolę zachować pana przy życiu. Jeśli jednak nadal będzie mi pan wciskał kit, mogę uznać, że lepiej będzie się pana pozbyć.

Przełknąłem głośno, ruch grdyki sprawił, że nóż boleśnie naparł mi na gardło.

— Zadałem panu pytanie: komu jeszcze pan powiedział? Odpowiadaj, cipo.

— Nikomu — wyszeptałem, patrząc mu prosto w oczy, błagając, by mi uwierzył.

Nagle odsunął się tak, że zachwiałem się i o mało nie upadłem, zostałem jednak pod ścianą, a on tymczasem podniósł piersiówkę i ponownie wcisnął mi do ręki.

— Ma pan dokładnie minutę na wypicie zawartości tej butelki — oznajmił spokojnie, machając nożem tam i z powrotem tuż przed moją twarzą. — Jeśli coś pan wyleje albo zawaha się z jakiegokolwiek przyczyny, zacznę odcinać kawałki ciała. — Zerknął na zegarek. — Czas start.

Odkręciłem piersiówkę i poczułem mdlącą woń szkockiej. Tak się składa, że nie znoszę whisky, odkąd wyrzygałem się po niej na imprezie w wieku lat szesnastu. Odetchnąłem głęboko i przełknąłem łyk, krzywiąc się na ostry, palący smak. Przed oczami tańczyły mi wizje własnej okaleczonej twarzy. Drżącymi rękami ścisnąłem piersiówkę, zmuszając się do dalszego picia, myśląc, że jeśli mam cierpieć, to równie dobrze najpierw mogę się urznąć. Chciałem zwymiotować, lecz walcząc z mdłościami, piłem dalej. Zdumiewające, do czego możemy się zmusić pod groźbą poważnej, zagrażającej życiu przemocy. W miarę opróżniania piersiówki zacząłem nawet przywykać do kwaśnego, palącego smaku. A on cały czas przyglądał mi się z tą samą spokojną, lekko obojętną miną. A ja wciąż bałem się go jak nigdy wcześniej, bo wiedziałem, że kiedy wspominał o odcinaniu kawałków mojego ciała, mówił szczerą prawdę.

Pokój zaczął wirować mi przed oczami, upuściłem na podłogę pustą piersiówkę, z trudem utrzymując się na nogach.

— Proszę zadzwonić do policjantki, z którą pan rozmawiał — polecił, sięgając do kieszeni i wyciągając komórkę, którą zostawiłem w kurtce u Jenny. — Niech pan jej powie, że ostatnio był pan w depresji i za dużo pił, że wymyślił pan historyjkę o porwaniu i że przeprasza za to, iż marnował jej

czas. Jeśli powie pan cokolwiek jeszcze, zginie pan, nim zdąży dokończyć zdanie. Zrozumiano?

Zacząłem grzebać w kieszeni w poszukiwaniu wizytówki Tiny Boyd, potem wybrałem jej numer. Nie odpowiedziała, lecz po dziesięciu dzwonekach włączyła się poczta głosowa; wówczas wyrecytowałem dokładnie to, co mi kazał, bełkocząc lekko, wciąż z trudem utrzymując się na nogach. Potem zamknąłem telefon.

— Od tej chwili będzie pan siedział cicho, żył spokojnie dalej i nigdy więcej nie wspomni imienia tej dziewczyny. Proszę tak zrobić, a wraz z rodziną zostaniecie przy życiu.

Nie próbowałem stawiać oporu, gdy chwycił mnie za włosy i obrócił twarzą do ściany. W gardle wezbrała mi żółć, z trudem zdołałem ją przełknąć.

— Jeśli jeszcze kiedyś mnie zobaczysz — wyszeptał przy samym uchu — to będzie oznaczało, że nadszedł twój koniec. Że stracisz wszystko, cokolwiek przeżyłeś. Na zawsze. Tak jak biedny Ramon.

A potem rąbnął mnie twarzą o ścianę i cały pokój eksplodował w wirze bólu i ciemności.

15

Kiedy wieczorem Tina stawiała się na służbie, w komisariacie w Islington panował totalny chaos. Tego popołudnia doszło do poważnego incydentu, gdy dwie grupki dzieciaków z rywalizujących ze sobą szkół starły się przed smażalnią kurczaków na Holloway Road, w wyniku czego piętnastolatek trafił na oddział intensywnej terapii z poważnymi ranami kłutymi. Większość kolegów z dziennej zmiany wciąż tam była — próbowali porównać liczne zeznania świadków i przeglądali nagrania z kamer. Natychmiast zagonili ją do pomocy, tak że z trudem znalazła chwilę na zamówienie kuriera, który miał dostarczyć pendrive z materiałem z kamery z bloku Jenny do Matta Turnera w zakładzie kryminalistyki. Rozmawiała z nim wcześniej po raz pierwszy od czasu, gdy odwiedziła go w szpitalu ponad rok wcześniej, i choć tak naprawdę nic jej nie był winien, powiedział, że natychmiast się tym zajmie.

Minęły niemal trzy godziny, nim w końcu zrobiło się luźniej i Tina mogła zająć się własną stertą papierów i pozbierać myśli. Miała naprawdę paskudny dzień. Nie dość, że Mikę znów przypomniał jej o istnieniu Paula Wise'a i fakcie, że facet jest wolny i żyje w luksusie nad Morzem Śródziemnym po tym, co zrobił mężczyźnie, którego kiedyś kochała. Nie usłyszałaby o tym, gdyby nie Rob Fallon. Nie dość, że nakarmił ją tymi swoimi bajeczkami, to jeszcze nie dał się wyspać. Kiedy odsłuchiwała jego pijaną wiadomość na poczcie głosowej, z frustracji omal nie cisnęła telefonem o najbliższą ścianę. Jak

gdyby przesadne picie stanowiło jakąkolwiek wymówkę. Tina czasami też za dużo piła, zdarzało jej się to, odkąd Wise kazał zamordować jej kochanka, bardzo jednak pilnowała, by nad tym panować. Nigdy nie pozwoliłaby sobie na pomylenie fantazji z rzeczywistością.

Tego wieczoru napiła się, choć zwykle nie robiła tego przed pracą. Duży kieliszek czerwonego wina przed wyjściem z mieszkania i dwa szybkie papierosy. Wiedziała, że postępuje głupio i dwa razy wyszorowała zęby, żeby zamaskować zapach. Kolejna rzecz, o którą mogę winić tego fiuta Fallona, pomyślała. Miała ochotę oskarżyć go o marnowanie czasu policji, lecz szczerze mówiąc, uznała, że to niewarte zachodu.

— Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, mała — rzekła na głos i wbrew przepisom zapaliła papierosa przy biurku.

Zaciągnęła się głęboko, po czym w buntowniczym nastroju ułożyła nogi na stercie zeznań obok komputera. Ten leniwy skurwiol Hunsdon znów wziął wolne, co oznaczało, że była sama. Oto, dodała ponuro w myślach, historia mojego życia w pigułce.

Zadzwoił telefon. Uznała, że jeśli to znów Fallon, nieźle mu nagada, ale nie. Dzwoniącym był Matt Turner.

— Chryste, pracujesz do późna. — Tina wypuściła z ust chmurę dymu.

— A co u ciebie? Co słyhać na poczciwej, starej nocnej zmianie?

— Jak zwykle. Zabójstwa, napady, ogólny burdel. Nie mów mi, że już zdążyłeś przejrzeć materiał z pendrive'a.

— Jasne, że zdążyłem.

— Przepraszam, nie chciałam marnować twojego czasu. Cała ta sprawa to podpucha. Powinłam cię była uprzedzić.

— Naprawdę? To dziwne.

— Czemu?

— Bo nagranie, które mi przesłałaś, zostało zmanipulowane. Tina zdjęła nogi ze stołu i usiadła prosto, marszcząc brwi.

— Jesteś pewien?

— Jasne, że jestem. Kiepska robota. Ktoś próbował wyciąć trzydzieści sekund, ale tylko je zamaskował. Zdołałem odzyskać całość.

— Co na nich widać?

— Mężczyznę i kobietę podchodzących do drzwi frontowych.

— Opisz ich.

— Mężczyzna rasy białej, po trzydziestce, ciemne kręcone włosy. Kobieta przed trzydziestką, blondynka, jeśli mogę dodać, bardzo atrakcyjna.

Rob Fallon i Jenny Brakspear. A jednak coś tam się stało. Tina poczuła ukłucie podniecenia.

— Dzięki, Matt — rzekła. — Bardzo mi pomogłeś.

— Czyli to nie jest podpucha?

— Jeszcze nie wiem. Dam ci znać.

Rozłączyła się i zgasiła papierosa, nagle otrzeźwiona.

Natychmiast zrobiła to, co doradził Mikę Bolt, kiedy rozmawiała z nim tego popołudnia. Zalogowała się do bazy danych kryminalistycznych i wprowadziła nazwisko człowieka, który najprawdopodobniej majstrował przy nagraniu z kamery.

Czterdziestosiemioletni John Lionel Gentleman, portier w apartamentowcu Jenny, miał na koncie osiem wyroków, głównie związanych z kradzieżami i obejmujących dwadzieścia lat. Z całą pewnością był to człowiek, którego można kupić.

Pytanie, które w tej chwili najbardziej interesowało Tinę, brzmiało: jeśli Gentleman został kupiony, to kto dokonał transakcji?

16

Nie wiem dokładnie, jak długo byłem nieprzytomny. Może parę minut, najprawdopodobniej godzinę, dwie. Nie potrafiłem stwierdzić, bo kiedy w końcu otworzyłem oczy i dźwignąłem się na kolana, nadal byłem mocno pijany. Głowa ciążyła mi jak ołów, a kiedy dotknąłem czoła, wyczułem wielki, bolesny guz. Rozejrzałem się, czekając cierpliwie, aż obraz pokoju się wyostrzy. Ani śladu Ramona. Ani śladu, że w ogóle tu był.

Dźwignąłem się z ziemi i chwiejnym krokiem ruszyłem do łazienki. Niesiony falą mdłości padłem na kolana przy kiblu i zgięty wpół gwałtownie wyrzygałem whisky do muszli. Pozostałem w tej pozycji bardzo długo, oddychając głęboko ze zwieszoną głową.

W końcu wróciłem chwiejnie do sypialni, starając się nie myśleć o siedzącym tam bez życia Ramonie, i położyłem się na łóżku, wbijając wzrok w sufit. Wiedziałem, iż mam niewiarygodne szczęście, że wciąż żyję. Jednego dnia o włos uniknąłem śmierci i dwa razy dostałem kolejną szansę. Wiedziałem, że powinienem po prostu pogodzić się z faktem, iż to przegrana walka, i zrobić to, co polecił mi ów bezczelny skurwiel o okrągłych oczach, bo widziałem jasno, że w przeciwnym razie nie zawaha się mnie zabić, nie mówiąc już o mojej rodzinie.

Należę do ludzi unikających wszelkich konfliktów. Zawsze wołałem spokojne życie. Może dlatego zrezygnowałem z szaleńczej gonitwy w City, próbując szczęścia jako pisarz. Ale

mam też silne poczucie sprawiedliwości. Wiem, że uczciwe postępowanie to sprawa kluczowa, bo jeśli zapomnimy o tej podstawie, społeczeństwo się załamie. Niektórzy twierdzą, że w Wielkiej Brytanii ten proces już się zaczął: ludzie przechodzą na drugą stronę ulicy, by uniknąć dzieciaków tkwiących przed sklepem i nie ingerują, gdy ktoś zachowuje się głośno i ordynarnie. Sam też tak robiłem. Kiedyś widziałem, jak grupka starszych dzieci napadła na jakiegoś dwunastolatka. Kazali mu opróżnić kieszenie, jeden z nich miał w ręku coś, co przypominało nóż. Dzieciak wyglądał na przerażonego. Spojrzał ku mnie, próbując przyciągnąć moją uwagę, ale ja odwróciłem głowę i szedłem dalej. Zadzwoiłem na policję, lecz dopiero gdy skręciłem za róg, tak by napastnicy mnie nie widzieli.

Nienawidziłem siebie za to. Naprawdę szczerze nienawidziłem. Pamiętam, jak tego wieczoru Yvonne spytała, czy nic się nie stało, a ja za bardzo się wstydziłem, by opowiedzieć jej o wszystkim, bo wiedziałem, że choć zrozumie, dlaczego tak postąpiłem, także będzie się za mnie wstydzić. I wiedziałem też, że jeśli teraz czegoś nie zrobię, nie poradzę sobie z poczuciem winy. To takie proste.

Z jakiejś przyczyny Jenny Brakspear została porwana. Stanowiło to element spisku (cokolwiek twierdziła Tina Boyd, to musiał być spisek), w którym uczestniczyło trzech ludzi, porywacze i portier — albo czterech, jeżeli liczyć też ojca Jenny. A skoro zadali sobie tak wiele trudu, by ją porwać i zatrzeć ślady przestępstwa, to musieli mieć po temu bardzo ważne powody. Co oznaczało, że Jenny, w odróżnieniu od Ramona, być może wciąż żyje.

Sytuacja wyglądała jednak nieciekawie. Ludzie, którzy porwali Jenny, pokazali wyraźnie, do jak brutalnych działań mogą się posunąć. I jak znakomicie są zorganizowani. Znaleźli mnie bez żadnych kłopotów i wiedzieli, że rozmawiałem z policją, co oznaczało, iż jeśli nadal będę podążać tą ścieżką, to

muszę zachować znacznie większą ostrożność. Muszę też dopilnować, by nikomu innemu z moich bliskich nic się nie stało. Na szczęście Yvonne i Chloe przez najbliższe dwa tygodnie nic nie groziło, bo były na wakacjach w Szwecji. Ale Dom?

Wypiłem szklanek wody, a potem zadzwoniłem do niego na komórkę. Musiałem zapewnić mu bezpieczeństwo, a jedynym sposobem było uspokojenie jego obaw co do Jenny.

Jadł właśnie obiad z klientami, lecz przeprosił ich, by móc odebrać. Odetchnąwszy głęboko, powiedziałem mu, że zeszłej nocy bardzo dużo wypilem, że biorę leki na depresję i że najwidoczniej wyobraźnia zaczęła mi płać figle. Dodałem, że tego wieczoru Jenny odezwała się do mnie i nic jej nie jest.

Z początku Dom był wściekły, nie tylko dlatego, że przez całą noc na próżno się zamartwiał, lecz także ponieważ urznąłem się, zażywając lekarstwa. W końcu jednak okazał więcej współczucia, spytał, od jak dawna cierpię na depresję i czy chodzę na jakąś terapię. Pragnąc jak najszybciej zakończyć rozmowę, odpowiadałem na pytania jak najlepiej umiałem, a on oznajmił, że kiedy wróci, musimy się spotkać i spróbować rozwiązać moje problemy.

— Musisz zapomnieć o przeszłości, Rob. Yvonne odeszła. Myśl o przyszłości i nie spieprz sobie reszty życia.

Obiecałem mu, że tak zrobię, i rozłączył się, mówiąc, iż jeśli nie pozbięram się do kupy, skończę gdzieś martwy w rowie. Nie miał pojęcia, jak blisko trafił.

Ale przynajmniej kupił moją historyjkę.

Teraz, kiedy pozbyłem się jedynej osoby, która naprawdę mi wierzyła, zostałem zupełnie sam, a ponieważ byłem analitykiem inwestycyjnym, który próbował zostać pisarzem, nie detektywem, oznaczało to, iż będę potrzebował fachowej pomocy.

Nadal zastanawiałem się nad tym, co teraz zrobię, gdy odezwał się telefon stacjonarny. Podniosłem się nagle i świat przed moimi oczami pociemniał. Potrzebował kilku sekund, by wrócić do normy. Wciąż czując się koszmarnie, po raz pierwszy od śmierci Ramona zerknąłem na zegarek i ze zdumieniem odkryłem, że jest już niemal wpół do pierwszej w nocy. Sięgnąłem po słuchawkę.

— Panie Fallon — powiedziała Tina Boyd. — Wytrzeźwiał pan już?

Na dźwięk jej głosu o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Po wszystkim, co się stało, Tina Boyd nadal dodawała mi otuchy. Wiedziałem też jednak, iż człowiek, który odwiedził mnie dziś wieczór, to nie dureń i mógł zostawić w mieszkaniu jakąś pluskwę, nagrywającą wszystkie rozmowy. Czas zacząć myśleć jak oni.

Ze swych badań do pracy nad *Spiskiem* wiedziałem, że jest praktycznie niemożliwe, by osoba prywatna podsłuchiwała komórkę, uznałem zatem, że to najlepsze wyjście.

— Czy mogę oddzwonić? — spytałem. — Za pięć minut.

— Będę czekać — odparła i odłożyła słuchawkę.

17

Kiedy Fallon oddzwonił, Tina siedziała za biurkiem, pijąc trzecią kawę tej nocy.

— Skąd pan dzwoni? — spytała.

— Idę właśnie moją ulicą.

— Czy to bezpieczne o tej porze?

— Znacznie bezpieczniejsze niż moje mieszkanie. Miałem dziś wieczór gościa.

— Co się stało?

— Jeden z porywaczy włamał się i groził mi nożem. Wiedział, że rozmawiałem z policją. To on mnie zmusił, żebym do pani zadzwonił.

— Który z nich?

— Irlandczyk. Ten po operacji plastycznej.

— Mógłby pan opisać go dokładniej? Jakies szczegóły, o których pan nie wspomniał?

— Ma blizny wokół podbródka. Wyglądało to trochę, jakby ktoś zranił go butelką, ale nie tak wyraźne. Myślę, że operacja zlikwidowała większość, to znaczy, że kiedyś musiał być poważnie ranny.

Tina zmarszczyła brwi, zapisując te informacje. Wszystko to brzmiało niewiarygodnie, lecz jej wstępne podejrzenia, że Fallon mówił prawdę, okazywały się słuszne.

— Nie zrobił panu krzywdy, prawda?

— Nie, ale nie pozostawił cienia wątpliwości, że zrobi, jeśli nadal będę szukał Jenny. Dlatego właśnie dzwonię z miejsca czterysta metrów od domu. Nie chcę, żeby ktokolwiek nas podsłuchał.

— A jest pan pewien, że nikt pana nie śledzi?

— Byłem naprawdę bardzo ostrożny.

— Cieszę się. I proszę się nie martwić. Jeśli będzie trzeba, zapewnimy panu ochronę. — Lecz nawet wymawiając te słowa, Tina zastanawiała się, czy rzeczywiście zdołają go ochronić.

Fallon westchnął.

— Chyba będę jej potrzebował. Co sprawiło, że pani do mnie dzwoni?

Opowiedziała mu o zmanipulowanym nagraniu z kamery i o przeszłości kryminalnej portiera.

— Zatem drań brał w tym udział.

— Niemal na pewno, a to oznacza poważną operację kryminalną. Jeśli zadali sobie tak wiele trudu, to musiał istnieć bardzo ważny powód porwania Jenny. Ojciec twierdzi, że nic jej się nie stało...

— Kłamie. Musi kłamać.

— Zgadza się. I sądzę, że kłamie pod przymusem, co oznacza, iż porywacze nawiązali z nim kontakt. Nadal jednak nie wiemy dlaczego.

— Zazwyczaj chodzi o pieniądze, prawda?

— Zazwyczaj tak, ale zdziwiłabym się, gdyby było tak w tym wypadku. Dość dokładnie sprawdziłam Roya Brakspeara. To wdowiec, jego żona pięć lat temu zmarła na raka. Jest dyrektorem i współwłaścicielem dość zyskowej, średniej firmy w Cambridge, sprowadzającej materiały do produkcji leków i dla sektora technologicznego. Zarabia sto siedemdziesiąt tysięcy funtów rocznie, ma też piętnaście procent udziałów firmy, gdyby sprzedał je jutro, dostałby około trzystu tysięcy. Z

całą pewnością nie można go nazwać biedakiem, ale nie jest też bogaczem. Zatem tu chodzi o coś innego i myślę, że aby odkryć o co, musimy skupić się na osobie Brakspeara.

— Co mam robić? — spytał Fallon. Wyraźnie bardzo chciał pomóc.

— W tej chwili nic. Proszę wrócić do domu, przespać się i zostawić śledztwo nam.

— Czy teraz potraktuje pani poważnie sprawę Jenny? Nie ma jej już od dwudziestu czterech godzin i bardzo się o nią martwię.

— Mamy już dość dowodów, by rozpocząć śledztwo, toteż owszem, potraktujemy je poważnie. I będę pana informowała o postępach, ma pan moje słowo. Proszę mi jednak obiecać, że nie będzie pan z nikim o tym rozmawiał. Bo coś takiego mogłoby zaszkodzić dochodzeniu.

Fallon oznajmił, że nic nie powie, i rozłączyła się, wracając do sterty zeznań świadków popołudniowej bójki przy Holloway Road.

Jak zwykle była to ponura lektura. Głośna kłótnia pomiędzy bandą dzieciaków w wieku szkolnym, seria wyzwisk, po niej w ruch poszły pięści i buty, a potem nagle któryś wyciągnął nóż i wbił w najbliższego przeciwnika. Jedna rana kłuta w pierś, zadana bez namysłu i zastanowienia i oto piętnastolatek trafił do szpitala, walcząc o życie. Tina nigdy nie zdołała się uodpornić na przemoc, z którą miała do czynienia, i podobne zdarzenia — nieistotne, bezsensowne spory kończące się dramatem — dogłębnie ją przygnębiały. Sprawa miała jednak jeden pozytywny aspekt — nietrudno będzie zidentyfikować sprawcę. Oznaczało to, że wydział kryminalny będzie miał dość środków, by poszukać Jenny. Tina podjęła już decyzję, że porozmawia z nadkomisarzem Knoxem, gdy tylko skończy zmianę. Ponieważ od porwania minęły już dwadzieścia cztery godziny, pośpiech stanowił element kluczowy. Przyszło jej do

głowy, by zwrócić się wprost do wydziału do spraw porwań, ale wiedziała, że są zavaleni sprawami narkotykowymi i zapewne nie potraktują jej poważnie. Będzie prościej, jeśli załatwi to przez Knoxa.

Ziewnęła i sięgnęła po papierosy, uznawszy, że chyba może sobie pozwolić na zapalenie jeszcze jednego przy biurku, a nie ukradkiem przy oknie w kiblu. Kiedy jednak zapaliła, ujrzała wyczerpanego nadkomisarza Knoxa maszerującego korytarzem. Zdążyła tylko wrzucić papierosa do fusów kawy w filiżance i schować pod stołem, kiedy szef otworzył drzwi i wszedł do środka.

Zazwyczaj zachowywał się wkurzająco pogodnie, stale gotów do motywacyjnej psychogadki, lecz tej nocy nie wyglądał na uszczęśliwionego.

— Mam złe wieści — oznajmił ze znużeniem. — Nasza bójka właśnie zamieniła się w morderstwo. Dzieciak zmarł o północy.

Tina poczuła ciężar w piersi. Nie tylko dlatego, że piętnastolatek stracił życie, a rodzina będzie go opłakiwać, lecz ponieważ wiedziała, co to oznacza dla Jenny Brakspear.

Teraz nie dostanie już niezbędnych środków.

WTOREK

Kiedy Tina Boyd miała dziewiętnaście lat i studiowała na pierwszym roku uniwersytetu, pewnego wieczoru wybrała się na drinka do baru studenckiego z wesołkowatymi kolegami z wydziału psychologii. Nagle jakiś koleś zaproponował konkurs sprawdzający, kto zdoła najszybciej wypić kufel piwa. W dwie minuty później jedenaście osób — dziewięciu facetów, Tina i jeszcze jedna dziewczyna imieniem Claire — ustawiło się wzdłuż baru z drinkami na blacie. Kolejna dziewczyna wzięła na siebie rolę stopera.

Zwycięski czas osiągnął stukilowy gracz w rugby i dawny uczeń ekskluzywnej szkoły, Josh. Wynosił sześć sekund. Druga była Tina z ośmioma. Nikt inny nie zbliżył się nawet do tego wyniku, a piątka zawodników w ogóle nie ukończyła konkurencji. Claire zakreśliło się w głowie i musiała zostać odwieziona do domu.

To powinien być koniec, lecz kiedy Josh zaczął się przechwalać swoją mocną głową, w Tinie zagrała ambicja i zaproponowała mu próbę. Przez cały wieczór będą pili po równo, na zmianę wybierając drinki. Patrząc na trzeźwo, był to wyjątkowo kretyński pomysł — w końcu Josh ważył dwa razy więcej od niej — lecz czasami Tinie zdarzały się podobne wybryki. W swej determinacji potrafiła zachowywać się bardzo autodestruktywnie.

Przez następne dwie godziny pili tequilę, sambucę, kufle bittera, a nawet malibu z ananasem (o dziwo, wybrane przez

Josh). Chłopak Tiny błagał, żeby przerwała. Nie zgodziła się. Przynajmniej nie z własnej woli. W końcu po prostu urwał jej się film i koledzy musieli zawieźć ją do akademika, gdzie przez większość nocy wymiotowała w łazience.

Następnego dnia jej chłopak, szczupły intelektualista Vemon, zerwał z nią, stwierdziwszy z irytacją, że nie może spotykać się z kimś takim, bo Tina zupełnie nad sobą nie panuje i nie potrafi powiedzieć nie. Oczywiście miał rację. Mógł jeszcze dodać, że nigdy nie wybiera najłatwiejszego rozwiązania. Dlatego właśnie tyle razy oberwała — zarówno w karierze policyjnej, jak i w życiu prywatnym. Dlatego raz została zakładniczką uzbrojonego przestępcy i została ranna w wyniku strzelaniny. Tylko lekkiemu odchyleniu broni zawdzięczała życie.

Ale to tylko połowa historii, bo Tina zazwyczaj osiągała także wyniki. Kula, która trafiła ją w czasie strzelaniny, pozostawiła jedynie powierzchowną ranę, a mężczyzna, który przykładał jej lufę do głowy — i którego sama wytropiła — zginął. Po wszystkich zmaganiach i próbach dorosłego życia (a było ich całe mnóstwo) wciąż stała na własnych nogach i nadal chwyciła przestępców, a to oznaczało, że musi coś robić jak należy.

Kiedy zatem nadkomisarz Knox odrzucił jej prośbę o zgodę na zajęcie się porwaniem Jenny Brakspear, postanowiła załatwić to sama. Poszła do niego w czasie jednej ze swoich krótkich przerw, ale przedstawiając dowody, dostrzegła od razu, że Knox jej nie słucha. Kiedy musiała przyznać, że nie tylko ojciec Jenny uparczywie twierdzi, iż córka nie zniknęła, ale świadek, który złożył wstępny raport później zadzwonił i wszystko odwołał, szef zupełnie się wyłączył. Tina doskonale rozumiała jego sceptycyzm. W ostatecznym rozrachunku praca policjantów jest jak gaszenie pożaru. Trzeba stale wyznaczać

priorytety. A mało jest spraw o większym rozgłosie niż zabójstwo ucznia.

Kiedy wyszła z komendy, tuż po szóstej rano, kierując się do samochodu w pomarańczowym blasku poranka, znali już nazwisko podejrzanego. Pozostawało tylko zgromadzić dość dowodów. Tina mogła zostawić kolegów samych. Teraz zamierzała przede wszystkim ułożyć plan pozwalający zebrać dość materiału, by zainteresować porwaniem Jenny Knoxa bądź wydział do spraw porwań, bo tak czy inaczej dziewczynie kończył się czas.

Kiedy z papierosem w ustach Tina pokonywała krótką drogę do domu, pojęła, że najpierw będzie musiała się przespać. Inaczej nic nie zdziała. Lecz Rob Fallon mógł się tymczasem na coś przydać. Pora go obudzić.

19

— Nastąpiła zmiana planów.

— Co się stało? — spytałem, mrużąc oczy, oślepione jasnym blaskiem porannego słońca.

Była szósta czterdzieści pięć i szedłem ulicą w stronę parku. Dziesięć minut wcześniej jej telefon wyrwał mnie z nietypowo głębokiego snu.

— Nie dostałam środków na dochodzenie w sprawie Brakspear.

— Czemu nie, do diabła? — Nie mogłem pojąć, czego trzeba w dzisiejszych czasach, by uzyskać pomoc policji.

— Po pierwsze, mamy na głowie dochodzenie w sprawie morderstwa, a to ma pierwszeństwo. Po drugie, nadal nie dysponujemy żadnymi konkretnymi dowodami, iż faktycznie doszło do uprowadzenia.

Zacząłem protestować, lecz Tina mi przerwała.

— Panie Fallon. Próbuje pan przekonać nawróconego. Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż panu. Ale chwilowo musimy pogodzić się z tym, że zostaliśmy sami.

Już drugi raz miałem okazję powiedzieć jej o tym, co spotkało Ramona. Wiedziałem, że powinienem to zrobić. Fakt, iż Ramon zginął w moim własnym domu, z całą pewnością zainteresowałby policję. Problem w tym, że pod nieobecność ciała czy nawet podejrzanego mogło to nie być zainteresowanie, na jakim by mi zależało. Ponownie

dysponowałem tylko własnym słowem. Tym razem może nawet Tina mi nie uwierzy. Postanowiłem zatem milczeć.

— No dobrze. — Westchnąłem. — Co więc teraz zrobimy?

— Uważam, że Roy Brakspear ma w tym udział i że działa pod przymusem. Musimy dowiedzieć się dlaczego. Kiedy dzwoniłam do niego wczoraj nad ranem, był w domu. Chcę, by podrzucił pan tam urządzenie podsłuchowe.

— Czy to legalne?

— Ja będę się o to martwić. Znam kogoś, kto zdobędzie dla mnie potrzebny sprzęt, ale zapewne trochę to potrwa. Tymczasem chcę, żeby pan tam pojechał.

— Skąd pani wie, że mam samochód?

— Sprawdziłam pana, panie Fallon. Zazwyczaj opłaca się wiedzieć, z kim ma się do czynienia.

Trzeba jej przyznać, była sprawna i profesjonalna — dokładnie taka osoba, jakiej potrzebowaliśmy z Jenny. Ale mimo to łatwość, z jaką zyskała dostęp do mojego życia, wzbudził we mnie niepokój.

— Chciałabym, żeby przeprowadził pan dyskretną obserwację domu Roya; przyślę panu e-mailem adres i wskazówki, jak tam dotrzeć. To oznacza znalezienie miejsca, w którym nie będzie pan wyglądał podejrzanie ani dziwnie, i przyczajenie się tam. Chcę wiedzieć, czy Brakspear jest w domu, czy nie, a jeśli jest, czy ktoś mu towarzyszy. Jeździ srebrnym audi A cztery saloon. Jeśli na jego parceli bądź tuż za bramą parkują inne samochody, proszę zapisać numery rejestracyjne i natychmiast do mnie zadzwonić. Nie mam pojęcia o rozkładzie nieruchomości, ale jeżeli uzna pan, że może zbliżyć się bezpiecznie do domu i zajrzeć, proszę to zrobić, lecz pod żadnym pozorem nie wolno panu dać się złapać. — Jej głos stwardniał. — Rozumie pan? Proszę nie ryzykować i pamiętać, by wyłączyć telefon. I coś jeszcze: nadstawiam za pana karku, jeśli zatem bomba wybuchnie i

pana przyłapią, proszę o mnie nie wspominać. Jeżeli pan to zrobi, zaprzeczę, że w ogóle odbyliśmy tę rozmowę.

— A co pani planuje? — spytałem, czując się dziwnie, jak jeden z bohaterów mojej dawnej książki, *Spisku*.

— Prześpię się kilka godzin, a potem zdobędę urządzenia podsłuchowe.

— Jeśli uda się pani je podrzucić i czegoś się pani dowie, jak wyjaśni to pani szefom, nie obciążając się przy tym?

— Coś wymyślę — odparła spokojnie. — Jak zawsze.

Zapisała mój adres e-mailowy i się rozłączyła. Ja tymczasem zastanawiałem się, z jaką właściwie policjantką mam do czynienia. Przede wszystkim miałem nadzieję, że z taką, która osiąga wyniki, bo przecież kładłem na szalę nie tylko życie Jenny.

Kładłem na szalę także własne życie.

20

Dom rodziny Brakspearów okazał się imponującą willą na końcu wioski nieopodal Cambridge, która kiedyś musiała zachwycać urodą, lecz obecnie wybudowano na jej końcu centrum biznesowe. Minąłem wjazd na posesję, brama była zamknięta, a wysoki ceglany mur po obu stronach nie pozwalał zajrzeć do środka. Pokonałem jeszcze sto metrów i zaparkowałem w cichej, zacienionej drzewami uliczce, odchodzącej od głównej drogi.

Było dziesięć po dziesiątej, z powodu korków na autostradzie jazda zabrała mi sporo czasu. Nikt mnie nie śledził, a jeśli śledził, to musiał być diabelnie dobry, i kiedy wysiadłem z samochodu, oddychając rześkim wiejskim powietrzem, poczułem nową determinację. W końcu przynajmniej robiłem coś ważnego, pomagałem w poszukiwaniu Jenny, a jeśli zdołam postawić drania, który zamordował Ramona, przed obliczem sprawiedliwości, warto będzie podjąć ryzyko.

Lecz nie tylko to dodawało mi sił. Czułem też, że po latach przeciętnej egzystencji i niepewności, w którą stronę zmierzam, w końcu znów zaczynam naprawdę żyć.

Choć front domu Brakspeara wychodził na centrum biznesowe (wyobrażam sobie, że musiał się wkurzyć, kiedy go zbudowano) częściowo wynagradzał to fakt, iż na tyłach posesji ciągnęło się otwarte pole, graniczące z uliczką, przy której właśnie się zatrzymałem. Wdrapałem się na ogrodzenie i

podążyłem wzdłuż niego, póki nie dotarłem do muru z tyłu domu. W tym miejscu był niższy, tylko odrobinę wyższy ode mnie, tuż za nim rósł gęsty, nieprzenikniony żywopłot z cyprysowca Leylanda.

Zawahałem się przed wtargnięciem dalej, zwłaszcza że nie dostrzegłem żadnej możliwej trasy ucieczki. Wiedziałem też jednak, że z miejsca, w którym stoję, niczego się nie dowiem. Sprawdziłem tylną furtkę, zamknięta. Toteż upewniwszy się, że wyłączyłem dzwonek komórki, cofnąłem się parę kroków i wykonałem całkiem udaną próbę skoku wzwyż, podciągając się na mur i zsuwając po drugiej stronie; po drodze solidnie podrapały mnie gałęzie. Mojemu skokowi z pewnością brakowało wdzięku, potem zaś musiałem czołgać się na brzuchu niczym komandos pod żywopłotem, by w końcu wysunąć głowę po drugiej stronie.

Ogród składał się głównie z doskonale utrzymanego trawnika, wzdłuż domu ciągnęło się kamienne patio ze stołem, krzesłami i dużym gazowym grillem w stylu australijskim. Nie okazało się tak wielkie, jak przypuszczałem — od drzwi dzieliło mnie najwyżej dwadzieścia metrów. Były zamknięte, podobnie jak wszystkie okna, choć świeciło słońce i robiło się już gorąco — co najmniej dwadzieścia stopni. Zauważyłem coś jeszcze. Zasłony we wszystkich oknach na parterze, oprócz jednego, były zaciągnięte. Dziwne, zwłaszcza jeśli Brakspear przebywał w środku.

Leżałem bez ruchu kilka minut, obserwując jedyne odsłonięte okno i wypatrując jakichkolwiek śladów życia wewnątrz, nic jednak nie zauważyłem i szybko zacząłem się nudzić. Nigdy nie odznaczałem się przesadną cierpliwością, wyczołgałem się zatem spod żywopłotu i wciąż na brzuchu podpełzłem do drugiego — ligustrowego, starannie przystrzyżonego, sięgającego mi do pasa. Biegł wzdłuż kawałka muru w stronę domu. Podniosłem się z ziemi i korzystając z

jego osłony, ruszyłem przykucnięty ku drewnianej furtce, dającej dostęp do frontowego ogrodu. Na moment przystanąłem, nasłuchując. Niczego nie usłyszałem, toteż powoli uchyliłem furtkę. Na podjeździe stały dwa samochody. Jednym było audi A4 Brakspeara, drugim ciemnoniebieska mazda. Przeszedłem parę kroków, by odczytać tablicę rejestracyjną i zrobić zdjęcie komórką.

Nagle usłyszałem zgrzyt żwiru za plecami.

A potem, nim zdążyłem się odwrócić, czyjaś ręka chwyciła mnie mocno za ramię.

21

— Kim ty do diabła jesteś? — spytał dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku.

To musiał być Roy Brakspear. Miał takie same oczy jak Jenny i identyczny, zaokrąglony nos. Choć nie należał do ułomków, a głowę porastały mu gęste, kręcone siwe włosy, agresywny ton w jego ustach nie zabrzmiał naturalnie.

W sumie wyglądał na miłego faceta, typowego ojca z klasy średniej po pięćdziesiątce, którego jedynym grzechem jest przesadne folgowanie własnemu podniebieniu.

— Jestem znajomym Jenny — odpowiedziałem możliwie najbardziej stanowczym tonem, uwalniając się z uścisku. — Szukam jej od sobotniej nocy.

Jego twarz złagodniała.

— To ty zgłosiłeś jej zaginięcie?

— Tak, ja je zgłosiłem — odparłem. — A według policji, pan im powiedział, że wyjechała na wakacje do Hiszpanii. Ale była wtedy ze mną.

Z zatroskaną miną pokiwał głową.

— Zdawało mi się, że wyjechała, ale wygląda na to, że się myliłem. — Wziął mnie za rękę, tym razem delikatnie. — Posłuchaj, lepiej wejdź do środka.

Coś było nie w porządku, czułem to. Roy Brakspear uśmiechał się do mnie, lecz po czole spływała mu strużka potu, a pod lewym podkrążonym okiem co chwila przebiegał

nerwowy tik. Brakspear wyglądał, jakby ostatnio prawie nie spał.

Ogarnęło mnie paskudne przeczucie, że jeśli przekroczę próg tego domu, już nigdy z niego nie wyjdę. Zachowałem jednak spokój.

— Musi pan znów porozmawiać z policją, panie Brakspear. Zadzwoń do nich od razu.

Otworzyłem komórkę.

Uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy, a uścisk na mojej ręce znów się wzmocnił.

— Zrobimy to z domu. Chodź.

A potem uczynił coś dziwnego. Bezszelestnie wymówił jeszcze jedno słowo: „Uciekaj”.

Napiąłem mięśnie, czując nagłą falę adrenaliny.

— Przyjechałeś z daleka — ciągnął. — Pewnie chciałbyś napić się herbaty czy coś. A potem porozmawiamy o tym, co teraz zrobimy. Zgodna?

Gdzieś tu musiał ukrywać się ktoś jeszcze. Możliwe, że właśnie skradał się do mnie. Za plecami miałem zamkniętą i zabezpieczoną bramę, zbyt wysoką, by się na nią wdrapać. To oznaczało powrót tą samą drogą, którą przyszedłem.

Po twarzy Brakspeara niczym chmury nadal przebiegały różne sprzeczne emocje. Powątpiewanie. Zmieszanie. Współczucie. Strach.

Jednym nagłym ruchem wyrwałem mu się i przemknąłem obok, zmierzając w stronę ogrodu na tyłach. Zdumiewająco mocno złapał mnie za koszulę, rozdzierając ją, nie było jednak mowy, bym się zatrzymał, toteż biegłem dalej. Po drodze wepchnąłem komórkę do kieszeni. W ostatniej chwili zauważyłem wystający zza muru but.

Wielki bandzior o ogolonej głowie — ten z mieszkania Jenny, przemawiający z londyńskim akcentem — wyłonił się nagle z

kryjówki za rogiem, biorąc zamach ciężkim młotkiem. Lecz ułamek sekundy wcześniej zauważyłem jego zasadzkę i to wystarczyło. Opuściwszy głowę, gnany falą adrenaliny zaatakowałem niczym byk, waląc go mocno w żołądek. Poczułem nagły ból trafionych młotkiem pleców, lecz napastnik zachwiał się i poleciał do tyłu, a ja zdołałem go odtrącić, wymachując szaleńczo rękami, by nie mógł odzyskać równowagi. Kiedy znalazłem się naprzeciwko ligustrowego żywopłotu, przeleciałem przez niego, pędząc niczym sprinter z opuszczoną głową na koniec ogrodu.

Obejrzałem się szybko. Łysa Pała gnał przez trawnik równoległe do mnie; jak na kogoś tak wielkiego poruszał się bardzo szybko. W dłoni trzymał młotek, uniesiony niczym tomahawk, jego twarz wykrzywiał wściekły grymas. Próbował odciąć mi drogę. Zacisnąłem zęby, nakazując nogom biec szybciej.

Młotek poleciał wprost ku mnie, wirując w powietrzu, idealnie wycelowany. U skoczyłem i przemknął mi nad głową, dotykając jej lekko i rozdzielając mi włosy.

Łysa Pała natychmiast zaczął grzebać przy pasku dzinsów. Nie wiedziałem, co tam chowa, ale mogłem się domyślać. Kurwa! Kurwa! Kurwa! Patrząc wprost przed siebie, wpadłem w cyprysowce i odnajdując w sobie siłę i zręczność, o jakie bym siebie nie podejrzewał, dosłownie wdrapałem się na mur, nurkując głową naprzód po drugiej stronie i wywijając bolesne salto na ścieżce.

Tym razem się nie odwróciłem. W ciągu sekundy zerwałem się na równe nogi i popędziłem do samochodu i wolności.

22

Rob Fallon zadzwonił o dziesiątej trzydzieści osiem, budząc Tinę z głębokiego snu — po raz drugi w ciągu doby.

Gdy tylko odebrała, zaczął mówić.

— Mamy problem. Przyłapali mnie u Brakspeara. Ledwo się wydostałem.

Tina słuchała w milczeniu Fallona relacjonującego swoją przygodę. Terkotał jak nakręcony, wyraźnie wciąż napompowany adrenaliną.

— Tego nam tylko trzeba — rzekła, kiedy skończył. — Co mówiłam o tym, by nie dać się przyłapać?

— Wiem, ale nigdy wcześniej niczego takiego nie robiłem. Zdołałem jednak sfotografować komórką samochód tamtego faceta. Razem z rejestracją.

— Świetnie. Proszę przesłać mi zdjęcie, gdy tylko się pan rozłączy. — Usiadła na łóżku i przeciągnęła się. — A co z panem? Nic się panu nie stało?

— Mam parę siniaków i skaleczeń, ale mogło być znacznie gorzej.

I niemal było. Tina wiedziała, że nie powinna go była posyłać. Takie rzeczy lepiej robić samemu.

— Gdzie pan jest teraz? — spytała.

— Jakies dziesięć minut od domu Brakspeara, jadę z powrotem autostradą M jedenaście. Staram się oddalić od nich jak najszybciej.

— Chcę, żeby pan wrócił.

— Co takiego? Po co? — Sprawiał wrażenie zdumionego.

— Bo teraz, kiedy ich pan spłoszył, najpewniej zechcą jak najszybciej zabrać stamtąd Brakspeara. Jeśli jeszcze tego nie zrobili i wciąż tam jest, będziemy musieli wezwać kawalerię.

— Ale czy to nie narazi Jenny?

Tina westchnęła. Dobre pytanie.

— Jeszcze się nad tym zastanowię — zapowiedziała. — Lecz w tej chwili chcę, by pan sprawdził, czy nadal tam są. Proszę się nie narażać, nie wysiadać z samochodu. Niech pan po prostu przejedzie obok i sprawdzi, czy mazda nadal parkuje przed domem. Potem proszę natychmiast do mnie zadzwonić. Dobrze?

Odparł, że tak zrobi, choć w jego głosie nie słyszała specjalnego zachwytu. Rozłączyli się.

Tina wstała z łóżka i wzięła szybki prysznic, by się ocucić. Była wkurzona na siebie. Cała sprawa wymykała jej się spod kontroli. Podejmowała decyzje w biegu, bo musiała działać sama i ścigać się z czasem. Rok wcześniej w APPZ miała do czynienia z porwaniem: czternastolatka Emma Devern została uprowadzona dla okupu. O mało nie skończyło się to tragicznie, a wtedy na odnalezieniu dziewczynki koncentrowały się połączone siły APPZ. Teraz starała się wszystko robić sama i brutalnie mówiąc, spieprzyła sprawę. Pytanie brzmiało: co dalej?

Fallon zadzwonił w kwadrans później, gdy akurat parzyła kawę.

— Mazda zniknęła. Samochód Brakspeara wciąż tam stoi.

Tego właśnie się spodziewała. Niemożliwe, by porywacze zostali na miejscu, skoro Fallon uciekł. Ale fakt ten bynajmniej nie ułatwiał sprawy.

— No dobrze — rzekła, ważąc w duchu wszystkie wątpliwości. — Zna pan jakieś miejsce, w którym mógłby pan zamieszkać na kilka dni? Gdzie będzie pan się mógł ukryć, póki nie wymyślimy co dalej?

— Nie byłoby łatwiej, gdybym po prostu wszedł na komendę i poprosił o ochronę? To się robi zbyt wielkie dla nas obojga.

— Byłoby, gdyby panu uwierzyli. Ale nie jestem w stu procentach pewna, że dadzą się przekonać.

— Czemu nie? Mamy przecież dowody, prawda? Widziałem jednego z porywaczy Jenny w domu jej ojca. Z pewnością to musi oznaczać, że ją mają.

— Ale już raz wycofał pan zeznania. Gdyby Brakspear nadal przebywał w domu i gdybyśmy wiedzieli, że przetrzymują go tam wbrew woli, moglibyśmy ściągnąć do pomocy policję. On jednak zniknął i potrzeba by ogromnego wysiłku, by przekonać tych na górze, że muszą się zająć dochodzeniem. Do tego czasu Jenny może zginąć.

— Ale nie wiemy na pewno, czy porywacze zabrali Brakspeara ze sobą. Może mógłbym wrócić do domu i porozmawiać z nim, przekonać, żeby...

— Panie Fallon — przerwała mu Tina — czy naprawdę szczerze wierzy pan, że po pańskiej niezapowiedzianej wizycie porywacze nie zabrali stamtąd Brakspeara?

Jej słowa na moment go uciszyły. Gdy odezwał się w końcu, w jego głosie brzmiało zmęczenie.

— Mówi pani, żebym nie szedł na policję i gdzieś się przyczaił. Ale na jak długo? I co będziemy robić w tym czasie?

— Musimy zmienić taktykę — oznajmiła cicho. — Podnieść nieco stawkę.

— Jak?

— Proszę to zostawić mnie. Załatwię parę telefonów, potem skontaktuję się z panem. Tymczasem proszę nie zbliżać się do

domu.

— Niech pani nie zwleka zbyt długo, detektyw Boyd. — Fallon sprawiał wrażenie wściekłego i sfrustrowanego, Tina doskonale to rozumiała. — Niedługo facet, który groził, że mnie zabije, dowie się, że nie posłuchałem ostrzeżenia, a wtedy nie da mi drugiej szansy. Teraz stałem się celem.

— Zabicie pana zwróci tylko uwagę na nich samych, toteż proszę próbować zachować spokój.

Po drugiej stronie linii zapadła długa cisza, w końcu Fallon odparł, że o zachowaniu spokoju łatwiej gadać, niż wcielać to w życie. To rzekłszy, przerwał połączenie.

Biedny skurwiel, pomyślała Tina. Było jej głupio, że tak go naraża, ale wiedziała też, że to, co mówiła na temat sceptycyzmu policji, gdyby zażądał ochrony, było prawdą. Mimo to potrzebowała wskazówek. Nie chciała wciągać do sprawy Mike'a Bolta, lecz zaczynała wierzyć, iż nie ma innego wyjścia. Mikę dysponował także środkami niezbędnymi do odnalezienia miejsca pobytu Brakspeara za pomocą albo komórki, albo też tablicy rejestracyjnej tajemniczej mazdy, która tego ranka parkowała na jego podjeździe i która wkrótce znajdzie się w telefonie Tiny.

Mikę nie odbierał. Zostawiła wiadomość, prosząc, by pilnie zadzwonił, potem zapaliła papierosa. W myślach ułożyła pod prysznicem plan B, był on jednak zbyt ryzykowny i miała nadzieję, że nie będzie musiała go wykorzystać.

Spojrzała na zegarek. Właśnie minęła jedenasta. Wskazówki zegarka przesuwają się nieubłaganie naprzód. Da Mikę'owi czas do jedenastej trzydzieści. Jeśli nie oddzwoni, będzie musiała zaryzykować.

To jedyny sposób.

23

Kwestia znalezienia bezpiecznej kryjówki stanowiła poważny problem, który zaprzętał mnie przez większość drogi powrotnej do Londynu. W zwykłych okolicznościach zwróciłbym się do Dorna, ale mój przyjaciel miał wrócić dopiero następnego dnia, a poza tym przyrzekłem sobie, że nie będę go więcej do tego mieszał. Zawsze pozostawały też Yvonne i Chloe (i oczywiście Nigel), lecz i one chwilowo wyjechały, a nawet jeśli wróciłyby do domu we Francji, nigdy nie zaryzykowałbym sprowadzenia na nie nieszczęścia swoją obecnością.

Poza tym nie miałem nikogo. Nawet z rodziny. Moja mama zmarła po długiej, beznadziejnej walce z rakiem, kiedy miałem piętnaście lat. Mój starszy brat mieszkał w Nowej Zelandii i spędził tam niemal całe ostatnie dziesięciolecie, a ojciec zamieszkał z macochą (muszę przyznać, z całkiem miłą) w Afryce Południowej. Co oznaczało, że zostałem sam.

Przyszło mi do głowy, by zwrócić się do Maxwella, ale zasypałby mnie tylko pytaniami, a naprawdę nie chciałem mówić mu o wszystkim.

Ostatecznie postanowiłem wejść do sieci i znaleźć sobie tani hotelik w anonimowym gąszczu West Endu, gdzie nikt nie zdoła mnie znaleźć.

Po pierwsze jednak musiałem coś zjeść. Od czterdziestu ośmiu godzin nie miałem prawie nic w ustach, a to, co miałem, szybko wróciło tą samą drogą. Zdecydowanie potrzebowałem

posiłku. Kiedy dotarłem do północnego Londynu, skierowałem się na południe i w końcu znalazłem stosownie ponury barek przy Edgware Road, gdzie pochłonąłem potężną porcję smażonego bekonu, kiełbasek, kaszanki i wszystkich innych tłustych, miążdżycowych potraw, jakie zdołałem wcisnąć na talerz, popijając je sokiem pomarańczowym i dwoma kubkami mocnej kawy.

Kiedy spałaszowałem wszystko, usiadłem wygodnie i odprężyłem się po raz pierwszy, odkąd zaczęła się cała afera.

To prawda, wciąż groziło mi najpoważniejsze niebezpieczeństwo w życiu, bo teraz ludzie, z którymi walczyłem, muszą pragnąć mojej śmierci, choćby Tina Boyd nie wiem jak upierała się, że tak nie jest. Lecz w tym momencie w zatłoczonym barze, z dala od moich zwykłych rewirów, nie czułem tego. Zamiast tego miałem wrażenie, że robię coś dobrego, coś wartościowego. Być może po raz pierwszy w życiu.

Może właśnie dlatego tak mocno zaangażowałem się w poszukiwania dziewczyny, którą w istocie ledwie znałem. Może też jakaś część mnie napawała się przygodą. Podróżowałem po świecie i poznawałem różne kultury. Nurkowałem z rekinami na rafie barierowej, płynąłem parowcem w górę Amazonki i wdrapałem się na szczyt Kilimandżaro. Lecz wszystko to były przygody cywilizowane. Teraz dopiero robiłem coś naprawdę niebezpiecznego — wręcz samobójczego, zważywszy na fakt, że nie miałem broni ani odpowiedniego wykszolenia. Ale nie przeszkadzało mi to. Jeśli wyjdę z tego cało i dowiem się, co spotkało Jenny, może przynajmniej Yvonne uzna, że jest we mnie coś więcej, niż dotąd sądziła.

Szedłem właśnie do samochodu po zapłaceniu rachunku, gdy zadzwoniła Tina. Spojrzałem na zegarek. Dwadzieścia po pierwszej.

— Chcę podkreślić atmosferę, panie Fallon — oznajmiła — i będę potrzebowała pańskiej pomocy.

W jej głosie dźwięczała ponura powaga, której wcześniej nie słyszałem.

— Dobrze — rzekłem niepewnie, przystając obok wozu.

— Będę z panem całkiem szczerą. To może pana narazić na poważne niebezpieczeństwo.

— Już jestem w poważnym niebezpieczeństwie. — Zabraniało to odważniej, niż się czułem. — O co chodzi?

Wysłuchałem szczegółów, a kiedy skończyła, spytała, czy jestem gotów to zrobić.

— W tej chwili uważam, że to najlepszy plan — dodała. — Cały czas będę monitorować sytuację i jeśli tylko zdobędziemy twarde dowody, dostarczę je moim kolegom i załatwię panu pełną ochronę.

Zastanawiając się, o co mnie prosi, słyszałem głośnie walenie własnego serca.

— Nie musi pan tego robić — rzekła i zawiesiła głos. — Piłka jest na pana boisku.

Pomyślałem o Jenny. O Ramonie. Nie miałem wyboru.

— Zaczynajmy.

24

John Gentleman, portier z apartamentowca Jenny Brakspear, pełniący dyżur w noc jej porwania, mieszkał w brudnej, trzypiętrowej kamienicy, zbudowanej w jednej z mniej atrakcyjnych części Hackney, na tyłach której wznosił się ruchliwy most kolejowy. W odróżnieniu od bloku Jenny, nie było tu domofonu i Tina weszła wprost do środka.

Mieszkanie Gentlemana mieściło się na drugim piętrze, na schodach nie spotkała nikogo. Podłogę korytarza wyłożono tanim linoleum, stąpała po nim cicho, starając się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Przystanęła przy drzwiach Gentlemana i przyłożyła do nich ucho. Niczego nie usłyszała. Drzwi chroniły trzy osobne zamki — nic dziwnego w tak zapuszczonym miejscu, gdzie z pewnością często dochodziło do włamań i napaści. Nie stanowiły one jednak prawdziwej przeszkody dla kogoś, kto znał się na rzeczy.

Podczas swej służby w APPZ Tina nauczyła się szybko i sprawnie włamywać do budynków. Stanowiło to część jej pracy. Większość ludzi nie ma pojęcia, iż władze mogą zupełnie legalnie włamywać się i zakładać podsłuchy w dowolnym miejscu, jeśli tylko mają podstawy sądzić, że mieszkające tam osoby popełniają poważne przestępstwo.

Teraz Tina zaczęła zmagać się z nowym, pięcioletnim zamkiem, wykorzystując do tego mały zestaw wytrychów z okresu pracy w APPZ, w pełni świadoma faktu, że gdyby ją przyłapano, natychmiast wyleciałaby z roboty. Nie zniechęciło

jej to. Nie po raz pierwszy postanowiła złamać prawo, którego powinna strzec. Nie, żeby nie wierzyła w prawo. Bo wierzyła — przynajmniej w ogólnym sensie tego słowa — ale też wyraźnie dostrzegała jego słabości. Sprawiedliwości nie zawsze stawało się zadość i czasami niewłaściwi ludzie wychodzili na wolność. Paul Wise, zabójca jej kochanka, stanowił żywy przykład i za każdym razem, kiedy zdarzało jej się naginać przepisy, używała go jako wytłumaczenia. Nie chciała jednak posuwać się aż tak daleko. Niechętnie zdecydowała się na samotne działanie tylko dlatego, że Mikę Bolt wciąż się nie odezwał, mimo że zostawiła mu na sekretarce drugą wiadomość.

Do otwarcia pięcioletniego zamka potrzebowała niemal dwóch minut. Wyszła z wprawy, a poza tym musiała dołożyć wszystkich sił, by zachować spokój, świadoma, że w każdej chwili ktoś może jej przeszkodzić. Z drugiej strony korytarza dobiegał głośny rap i odgłosy kłótni. Nim skończyła, twarz miała mokrą od potu.

Pozostałe dwa zamki były starsze i mniej solidne, razem zabrały jej pół minuty. Potem, raz jeszcze przystawiwszy ucho do drzwi, uchyliła je i wślizgnęła się do środka, czując nagły przypływ niezdrowego podniecenia.

Znalazła się w ciasnym, skromnie urządzonej salonie. Drzwi na końcu były niedomknięte, dobiegało zza nich ciche pochrapywanie. Najwyraźniej John Gentleman chwilowo wyłączył się z gry. Zamknęła drzwi frontowe. Na kominku dostrzegła słuchawkę stacjonarną, stojącą obok zdjęcia na oko pięcio-, sześćioletniej dziewczynki w szkolnym mundurku, uśmiechającej się do aparatu. To zapewne wnuczka Gentlemana, Tegan. Tina dokładnie go sprawdziła. Mieszkał sam, osiem lat temu rozwiódł się z żoną. Na widok jego wnuczki poczuła nagłe wyrzuty sumienia, bo dokładnie zrozumiwała, co zamierza zrobić.

Zmuszając się do skupienia, przekradła się przez salon i zerknęła do sypialni. Gentleman leżał na wznak, ubrany w luźne szorty i połowicznie okryty kołdrą. Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając innych słuchawek, ale ich nie dostrzegła. Doskonale. To jej ułatwi zadanie.

Wycofawszy się do salonu i przymknąwszy drzwi, zabrała słuchawkę z kominka i zdjęła z niej tylną ściankę. Potem sięgnęła do kieszeni żakietu i wyciągnęła mały kawałek plastiku, długi na siedem centymetrów i szeroki najwyżej na centymetr. Wcisnęła go w wolne miejsce. Była to pluskwa z czujnikiem ruchu, wyposażona w maleńki mikrofon i własne źródło zasilania, włączająca się automatycznie, gdy tylko ktoś podniósł słuchawkę i nagrywająca wszystkie rozmowy do czasu wyczerpania baterii. Tina kupiła ją po drodze tutaj. Może nie najnowsza zdobycz techniki i z łatwością da się ją wykryć, jeśli tylko ktoś zna się na rzeczy. Ale, o ile jej było wiadomo, Gentleman się nie znał, toteż pluskwa świetnie posłuży jej celom.

Zmontowała z powrotem słuchawkę i odłożyła na kominek, po czym wyciągnęła z tej samej kieszeni komórkę na kartę, kupioną wcześniej w Carphone Warehouse. Włączyła ją, doczepiła zestaw głośnomówiący, a potem schowała wszystko w zasłoniętym kącie pokoju za telewizorem. To była jej zapasowa pluskwa, na wypadek gdyby ta w telefonie nie zadziałała. Choć aparat był tani i standardowy, podczas jazdy zmieniła odpowiednio ustawienia, wyłączając dzwonek i uruchamiając autoodbieranie, dzięki temu, gdy tylko zadzwoni na ten numer, komórka zamieni się w mikrofon, pozwalając słuchać wszystkiego, co dzieje się w pokoju. Nawet teraz nieprzyjemnie zdumiewało ją, jak łatwo można podsłuchiwać ludzi. Gentleman bez wątplenia znajdzie w końcu komórkę, ale do tego czasu Tina zdobędzie niezbędne informacje, a poza tym nikt w żaden sposób nie zdoła jej powiązać z aparatem.

Wyszła z mieszkania równie cicho, jak do niego wtargnęła, i za pomocą wytrychów zamknęła drzwi. Potem, z opuszczoną głową, starając się nie rzucać w oczy, wróciła do samochodu. Dopiero gdy znalazła się w środku, z papierosem w ustach, pozwoliła sobie na uśmiech i pogratulowała w duchu dobrze wykonanej roboty.

Wyciągnęła komórkę. Za dziesięć druga, a Mikę wciąż nie zadzwonił. Czas zatem rozpocząć operację.

Zadzwoniła do Roba Fallona.

— Proszę zaczynać — powiedziała i wyłączyła się.

Następnie uruchomiła odbiornik połączony z pluską w telefonie Gentlemana, wsunęła do ucha słuchawkę i zaczęła czekać.

25

Kiedy Tina zadzwoniła, stałem właśnie w budce telefonicznej na Edgware Road. Gdy tylko się rozłączyła, podniosłem słuchawkę, odetchnąłem głęboko i wybrałem numer stacjonarny Johna Gentlemana.

Telefon dzwonił bardzo długo, w końcu włączyła się sekretarka. Nie zostawiłem wiadomości, jedynie odliczyłem do pięciu i znów zadzwoniłem.

Tym razem Gentleman odebrał, zaspany i wkurzony.

— Kto mówi?

Raz jeszcze odetchnąłem głęboko i odezwałem się powoli i wyraźnie, tak jak kazała Tina.

— Johnie Gentleman, wiem, że brałeś udział w porwaniu Jenny Brakspear, mieszkającej w budynku, w którym pracujesz. Dostarczyłeś porywaczom klucz do jej mieszkania, uszkodziłeś kamerę bezpieczeństwa przy wejściu na parking podziemny, żeby mogli się wydostać, posprzątałeś po nich...

— Nie mam pojęcia, o czym gadasz! — warknął, lecz w jego głosie dźwięczała niepewna nuta.

— Owszem, masz i jeśli przyznasz się teraz i powiesz, kim są porywacze, dopilnuję, by twoje nazwisko nie wypłynęło.

— Mówiłem już: nie wiem, kurwa, o czym gadasz!

— Zdajesz sobie chyba sprawę, że ją zabiją, prawda? A kiedy to zrobią, staniesz się współnikiem zabójstwa, co oznacza lata za kratami. A przecież wiesz dokładnie, jak to jest, prawda?

— Kto mówi, kurwa?

— Jedyne człowiek, który może ci pomóc. Masz tylko jedną szansę wyjścia z tego cała, Gentleman: pójść na współpracę. Powiedz policji, dla kogo pracujesz, w przeciwnym razie poświęcę każdą chwilę reszty mojego życia na zbieranie dowodów przeciw tobie i dopilnuję, abyś został oskarżony o zabójstwo. Zrozumiałeś?

— Jesteś tym gościem, który był z nią wtedy, prawda? Dobrze mnie posłuchaj! Niczego mi, kurwa, nie udowodnisz! Jasne? I przestań mieszać się do rzeczy, które cię nie dotyczą. Inaczej, kurwa, będziesz trupem!

— Przekonamy się — odparłem i przerwałem połączenie.

Teraz nie było już odwrotu.

Zadzwoiłem do Tyny.

— Zrobione.

— Wiem — odparła. — Słyszałam. Brzmiało bardzo groźnie. Teraz przekonajmy się, co zrobi.

26

Gentleman zareagował bardzo szybko. Tina słuchała, jak podnosi słuchawkę telefonu. Na to właśnie liczyła. Niestety w żaden sposób nie mogła sprawdzić, jaki numer wybiera, ale nie miało to znaczenia. W razie konieczności będzie mogła skontaktować się z firmą telekomunikacyjną i później uzyskać tę informację.

Po drugiej stronie nikt nie odpowiedział, jedynie automatyczny głos poprosił o zostawienie wiadomości.

— Właśnie dzwonił do mnie ten koleś, który widział was w mieszkaniu w niedzielę w nocy — oznajmił zdyszany Gentleman. — Skurwiel grozi mi, że pójdzie na glinowo i mnie wyda. Wszystko się, kurwa, sypie. Musicie coś zrobić, bo nie dam tego zwalić na siebie. Oddzwonieć jak najszybciej, dobra? Jestem w domu — wyrecytował numer. — Zaczynam się bardzo denerwować i jeśli szybko się nie odezwiecie, może sam pójde do glin!

Gwałtownie odłożył słuchawkę i pluskwa przestała nagrywać.

Tina wypuściła powietrze. Właśnie usłyszała ostateczny dowód, że rzeczywiście doszło do porwania. Teraz wiedziała, że musi coś zrobić. Niestety, zakładając nielegalny podsłuch w telefonie Gentlemana, postawiła się w trudnym położeniu. Gdyby poszła z nagraniem do nadkomisarza Knoxa bądź wydziału do spraw porwań, musiałyby odpowiedzieć na kilka

bardzo niewygodnych pytań. Ale jeśli tego nie zrobi, Jenny Brakspear może zapłacić życiem.

Nagle poczuła się zupełnie sama. Wiedziała, z kim musi pogadać. Lecz jedyna osoba, która być może zdołałaby wydostać ją z tarapatów i pchnąć sprawę naprzód tak, by nie kosztowało jej to utraty pracy, pozostawała poza zasięgiem.

— Gdzie się do diabła podziewasz, Miko? — wyszeptała Tina, wyglądając przez szybę w stronę kamienicy Gentlemana.

Zgasiła papierosa, pociągnęła łyk z butelki wody mineralnej leżącej na siedzeniu obok i po raz trzeci zadzwoniła do Bolta. Znów nie odebrał. Znów zostawiła wiadomość, tym razem dodała, że do porwania z całą pewnością doszło i że rozpaczliwie potrzebuje jego pomocy. Później przekląła się za użycie tego słowa. Przez nie wydała się słaba. Jednak rzeczywiście czuła się zdesperowana.

Ciekawa, co robi Gentleman, zadzwoniła na ukrytą za kanapą komórkę, wcześniej dodając 141, tak by Gentleman nie zdołał sprawdzić numeru, z którego dzwoniło — oczywiście gdyby najpierw, co bardzo mało prawdopodobne, znalazł aparat, nim ona zdoła go stamtąd zabrać. Komórka odebrała automatycznie i przełączyła się na mikrofon. Tina usłyszała poruszenie w mieszkaniu. Brzmiało to, jakby krążył tam i z powrotem, lecz odbiór nie był najlepszy. Bez wątpienia facet wpadł w panikę i przyszło jej do głowy, by zapukać do drzwi, pokazać mu legitymację i sprawdzić, co powie. Ale nie miała gwarancji, że mógłby pomóc odnaleźć Jenny czy nawet zidentyfikować ludzi, którzy ją porwali. Zatem spocona i zgrzana nadal siedziała w samochodzie, zastanawiając się, co ma teraz robić, i słuchając Gentlemana krążącego po mieszkaniu. Od czasu do czasu wyrzucał z siebie gniewne, stłumione przekleństwo. Szybko znudziła się próżnym słuchaniem i przerwała połączenie. Na ulicy panował śmiertelny spokój, od czasu do czasu zjawiał się samotny

samochód bądź pieszy, toteż po jakimś czasie zamknęła oczy i zasnęła.

Obudziła się gwałtownie, słysząc warkot silnika. Otworzyła oczy i ujrzała ciemnoniebieską toyotę land cruiser z zaciemnionymi szybami, przejeżdżającą wolno drugą stroną jezdnii jakieś dwadzieścia metrów od domu Gentlemana. Z drzwi od strony pasażera wyskoczył biały mężczyzna w ciemnych okularach i czapeczce baseballowej, błyskawicznie rozejrzał się po ulicy. Mimo temperatury dwudziestu pięciu stopni i dusznej wilgoci miał na sobie kurtkę i nawet z odległości dwudziestu metrów Tina mogła stwierdzić, że jego jasna, niemal przezroczysta, mocno napięta skóra na twarzy to efekt operacji plastycznej.

Był to porywacz, który groził Robowi.

Chwyliła leżącego na fotelu obok nikona i zaczęła robić zdjęcia. Zdołała uchwycić kilka dobrych ujęć z profilu, nim podejrzany odwrócił się i ruszył w stronę mieszkania Gentlemana. Tina skupiła uwagę na land cruiserze — sfotografowała tablicę rejestracyjną, a potem kierowca dodał gazu i zniknął pod mostem kolejowym.

Podejrzany podszedł do budynku, przystanął na sekundę i zniknął w środku.

Tina spięła się cała, wyęzając słuch. Jakaś część jej się ucieszyła. Teraz miała zdjęcie jednego z porywaczy, a biorąc pod uwagę jego wygląd, zapewne nietrudno go będzie zidentyfikować. Lecz inna jej część bardzo się martwiła, bo metoda jego przybycia, wygląd i zachowanie sugerowały, że nie zjawił się, by dodać otuchy Gentlemanowi.

Spojrzała na zegarek, zapamiętała godzinę — druga czterdzieści pięć — i ponownie zadzwoniła na komórkę w mieszkaniu, słuchając sygnału odbieranej rozmowy.

Przez pierwszych kilka sekund w mieszkaniu panowała cisza. Potem Tina usłyszała lekkie stukanie do drzwi i odgłos kroków. Gentleman spytał, kto tam, ale nie usłyszała odpowiedzi. Szczęknął otwierany zamek, Gentleman powiedział coś jeszcze, tym razem zupełnie niezrozumiałego, a potem nic. Przez co najmniej dziesięć sekund w mieszkaniu panowała głucha cisza. Tinie wydało się, że słyszy odgłos zamykanych drzwi, ale nie miała pewności.

Zmarszczyła brwi. Przyciskając telefon do ucha, wolną ręką uniosła nikon. Minęło trzydzieści sekund, nim znów usłyszała niski warkot silnika toyoty. Obserwowała w lusterku wóz, po raz drugi przejeżdżający obok, w stronę mostu kolejowego. Gdy dotarł do budynku Gentlemana, kierowca zwolnił. W sekundę później z drzwi frontowych wyłonił się mężczyzna w czapeczce i okularach.

Tina się wzdrygnęła. Był sam. Gdzie do diabła podziewał się Gentleman?

Upuściła telefon, zrobiła zbliżenie nikonem i pstryknęła jeszcze parę fotek w chwili, gdy facet, nie unosząc głowy, otwierał drzwi od strony pasażera. Kiedy land cruiser po raz drugi odjechał, Tina chwyciła komórkę, lecz z mieszkania Gentlemana dobiegała wyłącznie cisza. Zaczęła czuć złowieszczy ucisk w żołądku.

Spojrzała na okna drugiego piętra. Nic się nie poruszało. Klnąc pod nosem, zadzwoniła na numer stacjonarny. Telefon dzwonił i dzwonił, w końcu włączyła się automatyczna sekretarka. Tina sprawdziła w notesie numer komórki Gentlemana, zadzwoniła. Poczta głosowa.

Albo nie było go już w domu, albo, co bardziej prawdopodobne, nie żył. Tina wiedziała, że popełniła błąd. Jeśli Gentleman zginął, nie da się uniknąć wniosku, że to jej wina, bo to ona wszystko zaczęła.

— Cholera — wyszeptała. — Co ja zrobiłam?

Znała odpowiedź: zachowała się jak amatorka i może spodziewać się potężnych reperkusji.

Wciąż jednak zachowała dość profesjonalizmu, by wiedzieć, że dysponuje niezwykle cennymi dowodami. Wyciągnęła spod siedzenia laptopa, podłączyła aparat i czekała, aż zdjęcia ściągną się na dysk. Następnie otworzyła konto pocztowe i wysłała fotografie na adresy e-mailowe Roba Fallona i Mike'a Bolta, z tą samą wiadomością: „Czy poznaj esz tego człowieka?”. Potem wylogowała się i ponownie schowała laptopa.

Nie było sensu dzwonić do Bolta — i tak zostawiła mu dość wiadomości — zamiast tego zatem wybrała numer Fallona i spytała, gdzie jest.

— Na West Endzie, szukam sobie hotelu. Co się dzieje?

— Później wszystko opowiem. Tymczasem zaloguj się do poczty. Przed chwilą posłałam ci kilka zdjęć. Ściągnij je na pendrive'a, ale nie pokazuj nikomu, póki się nie odezwę. Zrozumiano?

— Jasne. — Fallon, zaczął mówić coś jeszcze, lecz Tina oznajmiła, że zadzwoni za godzinę, i przerwała połączenie.

Przeciągnęła się w fotelu i westchnęła. Co do diabła ma teraz robić? I wtedy drzwi od strony pasażera się otworzyły i do środka wsiadł mężczyzna w czapeczce i okularach. W dłoni trzymał krótkolufowy pistolet z doczepionym tłumikiem.

— Jedź prosto przed siebie — polecił spokojnie — albo zginiesz.

27

Mikę Bolt był wykończony. Nawet w najlepszych okolicznościach nienawidził narad międzywydziałowych, kiedy jednak ciągnęły się bez końca, tak jak ta z ludźmi z wydziału wywiadu finansowego, doprowadzały go do szału. O wpół do jedenastej wszedł do sali konferencyjnej wraz z Mo Khanem, swym szefem, Wielkim Barrym Freudem, i trzema innymi członkami zespołu i teraz, za pięć trzecia, właśnie z niej wychodził, niemal cztery godziny później. Ich lunch składał się z kanapek smakujących folią, zjedzonych przy stole, podczas gdy kolejni ludzie recytowali monotonna swoje kwestie. Bolał go kręgosłup i wciąż był głodny.

— Czy to tylko mnie się wydaje — rzekł do Mo; szli właśnie razem z powrotem do biura — czy z Paulem Wise’em jesteśmy dokładnie w tym samym punkcie co cztery godziny temu?

— Nie wiem — odparł wyraźnie otępiały Mo. — Jestem zbyt zmęczony, by myśleć. Ale nie liczyłbym na natychmiastowe aresztowanie.

Bolt sapnął i włączył dzwonek komórki.

— Też mam takie wrażenie.

Spotkanie stanowiło jedynie irytująco szczegółową powtórkę z tego, co napisano w raporcie. Jak zwykle padły obietnice dalszej szerszej współpracy między różnymi wydziałami APPZ, lecz poza kilkoma zaleceniami ludzi z wywiadu finansowego, zmierzającymi do wywarcia nacisku na osoby związane z

praniem funduszy Paula Wise'a, nadal nie dysponowali planem postawienia go przed obliczem sprawiedliwości czy nawet ograniczenia jego działań.

Zdaniem Bolta w APPZ przeprowadzano zbyt wiele narad, co tylko spowalniało ich działania. Nie po raz pierwszy od kilku miesięcy zatęsknił za dobrymi dawnymi czasami, kiedy był częścią lotnej brygady policyjnej i zajmował się względnie prostym chwytem sprawców napadów z bronią w rękę. Z nimi człowiek przynajmniej wiedział, na czym stoi.

Telefon zapiszczał i Mikę zobaczył, że ma trzy nowe wiadomości, wszystkie od Tiny Boyd. Zastanawiał się, co tak pilnego sprawiło, że dzwoniła tyle razy. Odsłuchując pocztę, pojął, że poczyniła poważne postępy w sprawie porwania, o której rozmawiali poprzedniego dnia. Mimo wszystko jednak zdumiało go, że chciała rozmawiać z nim, a nie ze swymi szefami z Islington.

Próbował oddzwonić, lecz telefon miała wyłączony. Dziwne, skoro tyle razy usiłowała się z nim skontaktować. Westchnął z nadzieją, że nie wpakowała się w kłopoty. Nie byłyby to pierwszy raz. Tina miała w zwyczaju polegać na własnej inicjatywie, była gotowa samotnie prowadzić śledztwo i czasami nie potrafiła w porę przerwać. Miało to tę zaletę, że zazwyczaj osiągała wyniki. Lecz, pomyślał ponuro, zaleta może zamienić się w wadę, jeżeli Tina była tam sama i miała do czynienia z niewłaściwymi ludźmi.

— Czy coś się stało, szefie? — spytał Mo, kiedy wrócili do biura.

— Nic ważnego — odparł Bolt, nie wiedząc, jak wiele może zdradzić. Mo nigdy nie przepadał za Tiną i zapewne nie zaaprobowałby tego, że Mikę zachęcał ją do dalszego dochodzenia.

Choć zespół pracował w jednej dużej sali, Bolt miał własny pokój na samym końcu. Poszedł tam i po raz drugi wybrał

numer Tiny. Nadal wyłączony. Usiadł za biurkiem i wywołał ekran poczty na komputerze.

Miał dziesięć nowych wiadomości od najróżniejszych ludzi, nic niezwykłego, lecz natychmiast przekonał się, że najnowsza pochodzi od Tiny i że wysłano ją zaledwie dziesięć minut wcześniej. Otworzył ją i przeczytał treść: „Czy poznajesz tego człowieka?”.

Do listu dołączono pięć zdjęć. Kliknął dwa razy pierwsze. Ujęcie z profilu przedstawiało mężczyznę w czapce i ciemnych okularach. Niezła jakość — Bolt widział, że skóra na bladej twarzy mężczyzny napina się mocno jak po operacji plastycznej — lecz obiekt był wyraźnie dobrze zamaskowany. Drugie ujęcie przypominało pierwsze, ukazywało jednak mniejszy fragment twarzy. Trzecie przedstawiało tył toyoty land cruiser, jadącej niewielką ulicą. Zapisał numer rejestracyjny, żałując, że Tina nie wyjaśniła w swoim e-mailu, o co właściwie chodzi. A potem otworzył zdjęcie numer cztery.

Tę fotografię zrobiono w zbliżeniu z przodu. Przedstawiała mężczyznę w czapce i okularach od piersi w górę. Próbował pochylać głowę i nie patrzył w obiektyw, lecz mimo wszystko było w nim coś znajomego. Bolt powiększył zdjęcie tak, że wypełniło cały ekran, i skupił się na bladej twarzy. Wyglądało to, jakby facet został kiedyś poważnie poparzony, a operacja plastyczna nie miała poprawić mu urody, lecz zamaskować blizny. Zrobił zbliżenie na podbródek. Jakość się pogorszyła, obraz rozmazał, nadal jednak dostrzegł prostokąt skóry pokrytej bliznami. Był wielkości połówki karty kredytowej i znacznie mniej wyraźny niż kiedyś, ale i tak go rozpoznał.

Bolt poczuł gwałtowny, niemal fizyczny wstrząs. Odetchnął głęboko i zmniejszył obraz, powracając do twarzy.

— Chryste, niemożliwe — wyszeptał. — To nie możesz być ty. Odwrócił się od monitora i zawołał Mo.

— Czy to ten gość, o którym myślę? — spytał, obracając monitor, gdy tamten wszedł do biura.

Mo długą chwilę wpatrywał się w zdjęcie.

— To on, prawda? — Bolt znów zrobił najazd, powiększając bliznę.

— Tak — rzekł w końcu Mo. — To Hak. Kto ci to przysłał?

Boltowi nagle zaschło w gardle.

— Tina Boyd. Jakies dziesięć minut temu. Zgaduję, że to ona zrobiła to zdjęcie.

— Rozmawiałeś z nią już?

Pokręcił głową.

— Nie. Ma wyłączony telefon. Właśnie znów próbowałem.

— Wiesz, kiedy je zrobiła?

— Nie, ale domyślam się, że pewnie dzisiaj. I tutaj, w Londynie.

Mo zagwizdał przez zęby.

— A zatem Hak wrócił do miasta. Musi mieć bardzo dobry powód, by tak nadstawiać karku.

Bolt ponownie wybrał numer komórki Tiny. Wciąż była wyłączona.

— Cóż, cokolwiek to jest — rzekł — mam szczerą nadzieję, że ich drogi się nie skrzyżowały. Bo jeśli tak...

Nie dokończył. Obaj aż za dobrze wiedzieli, do czego jest zdolny Hak.

Tina patrzyła wprost przed siebie, zgodnie z poleceniem Strzelca, jadąc ulicami Hackney w kierunku autostrady A12. Bardzo pilnowała, by unikać jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego — nie chciała dawać mu pretekstu, by posłał jej kulkę.

Próbowała zachować jak największy spokój, ale nie przychodziło jej to łatwo, czuła że się poci, usiłując wymyślić, jak się wyplątać z tej sytuacji. Wiele razy była już w niebezpieczeństwie i grożono jej bronią, jak dotąd wychodziła ze wszystkiego bez szwanku, nie miała jednak gwarancji, że znów się tak stanie, a siedzący obok mężczyzna budził w niej bardzo złe przeczucia. Większość przestępców, nawet doskonale zorganizowanych zawodowców, okazuje choć lekką nerwowość, zwłaszcza kiedy celuje do kogoś z broni. Lecz ten gość siedział tam spokojny jak mnich buddyjski i doświadczenie Tiny podpowiadało, że to czyni go niezwykle niebezpiecznym.

Zatrzymała się na czerwonym świetle na ruchliwym skrzyżowaniu. Za szybą samochodu ulice wypełniał tłum przechodniów, rojących się wokół niczym mrówki zaledwie kilka metrów dalej, lecz równie dobrze mogły ją od nich dzielić miliony kilometrów. Nikt nie patrzył na Tinę, nie spoglądał jej w oczy. Grupka dzieci w wieku szkolnym przeszła przez ulicę przed samochodem, jedno trąciło torbą maskę. Były tak blisko, że słyszała ich przekomarzania — jedno nazwało kolegę

brzydkim słowem. Spięła się, wypatrując właściwej chwili, by wykonać jakiś ruch.

— Wiem, o czym myślisz — powiedział i ponownie zaskoczył ją jego mocny, północnoirlandzki akcent. Nie pasował do delikatnych, niemal kobiecych rysów twarzy. — Myślisz, że nadeszła dobra chwila, by spróbować ucieczki. Że nie odważę się zastrzelić cię w samym środku dnia, pośród tłumu ludzi. I dobrze to rozumiem. Obawiam się jednak, że popełniłabyś wielki błąd. Nie zdążysz nawet sięgnąć do klamki, nim wpakuję ci kulkę prosto w serce. Pociski z tego pistoletu są poddźwiękowe, więc nie pozostawiają rany wylotowej ani stłuczonych okien. A z tym tłumikiem nie czynią też hałasu. Wiesz, jak bezosobowy i obojętny bywa Londyn, jak jego mieszkańcy spieszą się nieustannie, zaprzątnięci wyłącznie własnymi sprawami. Gwarantuję ci, że nikt nie będzie miał pojęcia, iż właśnie zostałaś zamordowana.

Tina nie odpowiedziała. Czytał jej w myślach. Światło zmieniło się i jakakolwiek szansa ucieczki (a po prawdzie i tak nie miała żadnej) zniknęła. Ruszyła naprzód, wrzucając prawy kierunkowskaz.

— A zatem, moja piękna pani, kim właściwie jesteś? I czemu robiłaś mi zdjęcia?

Wiedziała, że będzie musiała rozegrać to ostrożnie. Jeśli powie coś nie tak, zginie.

— Nazywam się Tina Boyd i jestem policjantką.

— A co robiłaś na tej ulicy? Nie mogłaś wiedzieć, że się zjawię, musiałaś zatem znaleźć się tam z jakiegoś powodu. Jakiego?

Wiedziała, że nie ma sensu kłamać. Nie teraz.

— Obserwowałam pewną nieruchomość.

— Ach, założę się, że należącą do naszego znajomego, pana Gentlemana.

— Istotnie.

— Ciekawe.

— Posłuchaj — rzekła, próbując przemawiać najbardziej pewnym siebie tonem. — Równie dobrze możesz od razu się poddać. Tak będzie najlepiej.

Mężczyzna zachichotał cicho, jego wargi ledwo się poruszyły.

— Niby dlaczego miałbym to robić? Nie masz broni, w żaden sposób mi nie zagrażasz, a jeśli nawet miałaś towarzystwo, to koledzy... jak by to ująć... nie ustawiają się w kolejce do twoich drzwi. — Obrócił się w fotelu i wyrżał przez tylną szybę. — Prawda?

I znów Tina przemówiła z pewnością siebie, której nie odczuwała.

— Moi koledzy wiedzą, gdzie jestem, i już tu jadą.

— Czyżby? I czy to właśnie z nimi rozmawiałaś przed chwilą przez komórkę?

— Owszem, toteż na twoim miejscu nie robiłabym niczego głupiego. Jeśli coś mi się stanie, zamkną cię do końca życia.

— Myślę, skarbie, że jeśli mnie złapią, i tak zamkną do końca życia. Raz już dziś kogoś zabiłem. — Kącikiem oka dostrzegła, że jej się przygląda, jego wąskie wargi wygięły się w uśmiechu. — Naszego wspólnego znajomego, pana Gentlemana. Jak myślisz, ile dostanę za to, że go załatwiłem?

Tina zeszywniała. Pomyślała o zdjęciu wnuczki Gentlemana na kominku.

— Był bardzo upierdliwy. — Mężczyzna z bronią wyraźnie napawał się jej reakcją. Lekko pochylony, tak że jego usta znalazły się tuż przy jej uchu, pistoletem gładził jej brzuch. — Wołałbym załatwić go powoli, to zawsze bardziej... satysfakcjonujące, ale nie miałem czasu. — Przesunął wargami

po jej uchu, liżąc i skubiąc zębami. — Oddaj mi telefon — wyszeptał łagodnie — i to bez żadnego wahania, albo cię zabiję.

Tina czuła dreszcze, nie pozwoliła sobie jednak na najmniejsze wzdrygnięcie. Odrywając rękę od kierownicy, sięgnęła do kieszeni i podała mu komórkę.

Kiedy otworzył klapkę i zaczął przeglądać spis numerów, Tina zatrzymała się na kolejnym skrzyżowaniu i znów pomyślała o ucieczce. Byłaby bardzo ryzykowna, bo sukinsyn zdecydowanie nie blefował. Lecz pozostanie w wozie stanowiło jeszcze większe ryzyko, była bowiem przekonana, że facet nie pozwoli jej ujść z życiem.

— Ach, zatem kiedy się zjawiłem, nie rozmawiałaś z kolegami, tylko z kolejnym wspólnym znajomym, panem Fallonem. To dopiero upierdliwiec. Na pewno pracujesz w policji? Chyba mnie nie nabierasz. — Jego język poruszył się szybko jak u jaszczurki, zwilżając wargi.

A potem bez ostrzeżenia mężczyzna pochylił się naprzód, wbijając jej broń między nogi tak, że koniec tłumika naparł mocno na krocze.

— Co się tu dzieje? — spytał ostro, wbijając wzrok w bok jej twarzy. — Powiedz mi albo zastrzelę cię tu, w tej chwili.

— To fucha. — Tinie nie udało się uniknąć wzdrygnięcia. Patrzyła wprost przed siebie, praktycznie nie dostrzegając świata zewnętrznego. — Odwałam zlecenie dla Fallona.

— Interesujące. Naprawdę uparty z niego facet.

Samochody znów ruszyły. W tym samym momencie jej porywacz wyłączył telefon, zębami odsunął tylną ściankę, wyciągnął kartę SIM i schował do kieszeni, po czym otworzył okno i wyrzucił resztę.

Tina zakłęła w duchu. Facet wiedział, co robi — pozbył się jedyne go przedmiotu, dzięki któremu można by ją namierzyć.

Podniósł nikona.

— Te zdjęcia, które zrobiłaś. Wysłałaś je do Fallona?

— Nie — odparła stanowczo, z gorączkową nadzieją, że nie obserwował jej wozu, kiedy wysyłała zdjęcia z laptopa. Teraz jedynie starała się pozostać przy życiu; miała nadzieję, że jeśli gość uzna, iż nie zdoła go zidentyfikować, może ją wypuści. Mało prawdopodobne, ale kiedy ma się lufę wbitą między nogi, człowiek chwyta się każdej nadziei.

Mężczyzna z bronią wolną ręką skasował zdjęcia z nikona i nonszalancko wyrzucił go przez okno.

Po powiece Tiny spłynęła kropla potu, wpadając jej do oka. Zamrugowała gniewnie.

— Ten aparat kosztował mnie pięćset funtów — rzekła chłodno.

— Gdybyś nie wtykała nosa w cudze sprawy, nie straciłabyś go.

Otarła dłonią czoło, rozpaczliwie miała ochotę na papierosa.

— Będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

— Masz spluwę przyciśniętą do cipy i myślisz o papierosach?

— Znow zachichotał. — Twarda z ciebie sztuka, moja śliczna. To mi się podoba. Bardzo proszę.

Tina wyciągnęła rękę i wydłubała paczkę oraz zapalniczkę z uchwytu na kubek.

— Chcesz jednego?

— Nie, dzięki. Wolę przyjemniejsze nałogi.

Cofnął pistolet spomiędzy jej nóg i zaczął gładzić nim łagodnie uda Tiny, ani na moment nie odrywając od niej oczu.

Nie zważając na jego spojrzenie, zapaliła i zaciągnęła się mocno. Wiedziała, że przede wszystkim musi z nim rozmawiać. Zawsze trudniej jest zabić kogoś, z kim nawiązało się już jakąś więź, choć obawiała się, że ten facet może stanowić wyjątek od tej zasady.

— Zauważyłeś coś? — spytała.

— Co takiego? — Sprawiał wrażenie zadowolonego.

— Ani razu na ciebie nie spojrzałam. Nie widziałam twojej twarzy.

— Zrobiłaś mi przecież zdjęcia.

— Z daleka i miałaś na sobie czapkę i ciemne okulary. Nie potrafię cię opisać. Poza tym wolę w tej sprawie unikać policji. Kazałam Fałlonowi zadzwonić do Gentlemana, żeby go spłoszyć, skoro więc go zabiłeś, to moja wina. Innymi słowy, będę siedzieć cicho. Zamiast więc mnie zabijać i wkopywać się po uszy w gówno, równie dobrze możesz mnie wypuścić. Wsiądę z tego samochodu i nie powiem nikomu ani słowa. Przymierzam.

Kątem oka zobaczyła, że jego uśmiech staje się nieco szerszy.

— Dzięki za radę — odparł. — Ale nie trzeba. — Znów się pochylił, przesuwając nosem wzdłuż jej szyi. Węszył. — Bardzo odpowiada mi twoje towarzystwo.

— Co chcesz ze mną zrobić? — spytała, walcząc o to, by głos jej się nie załamał. Od wielu lat nie była tak przerażona. Może nawet nigdy w życiu.

— Ależ sądziłem, że to oczywiste — odpowiedział cicho. A potem złapał ją za podbródek i szarpnięciem odwrócił jej głowę, tak by spojrzała mu prosto w bladą twarz, choć jechali z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. — Zamierzam cię zabić.

29

Minęła czwarta, kiedy w końcu znalazłem kafejkę internetową przy bocznej uliczce niedaleko Bloomsbury, w samym sercu West Endu, i zalogowałem się na swoje konto pocztowe. Dzień był słoneczny, ulice zatłoczone, a ja przegrzany i spocony. Większą część popołudnia spędziłem na kupowaniu ciuchów i niezbędnych rzeczy, a potem szukaniu miejsca, w którym mógłbym sprawdzić pocztę. Cały czas czekałem na wieści o tym, co kombinuje Tina, bo wyraźnie widziałem, że coś planowała.

Otworzyłem jej e-maila, zobaczyłem wiadomość i ściągnąłem zdjęcia.

Już pierwsze sprawiło, że zamarłem. To był on. Irlandzki porywacz o dziwnej twarzy. Mogłem tylko założyć, że Tina zrobiła mu zdjęcie przed domem Johna Gentlemana. Jego widok zmroził mnie natychmiast, przywołując mroczne, straszliwe wspomnienia, które, jak wiedziałem, pozostaną ze mną do końca życia. Przejrzałem kolejne zdjęcia. Z trudem przychodziło mi uwierzyć, że ten człowiek porwał Jenny i z zimną krwią zamordował Ramona. W okularach przeciwsłonecznych i czapeczce wyglądał znacznie normalniej.

Zawsze noszę na szyi czterogigabajtowy pendrive z najnowszymi wersjami *Spisku* oraz swojej książki o Maxwellu. Skopiowałem na niego wszystkie zdjęcia. A ponieważ nie należę do osób zanadto ufających technice, przed wykasowaniem ich z komputera wydrukowałem wszystkie w kolorze na kafejkowej

drukarce, zapłaciłem kompletnie obojętnemu facetowi za ladą i wyszedłem.

Teraz, kiedy Irlandczyk w końcu się objawił, nie mogłem się już doczekać informacji od Tiny. Podczas ostatniej rozmowy zapowiedziała, że zadzwoni za godzinę, było to jednak godzinę i dwadzieścia minut wcześniej, uznałem zatem, że mogę nieco ją pogonić.

Miała wyłączony telefon. Odczekałem pięć minut i spróbowałem ponownie. Ta sama wiadomość. Aż za dobrze pamiętałem, do czego zdolny jest ten człowiek — w końcu zdołał ukryć się w moim mieszkaniu, podsłuchał rozmowę z Ramonem, a potem w ciągu paru sekund zaatakował cicho i zabójczo. Jeśli Tina robiła mu zdjęcia, musiała się do niego zbliżyć. Może za bardzo.

Jakiś czas krążyłem ulicami West Endu, bez powodzenia próbując dodzwonić się na jej numer i czekając na telefon, choć koszmarnie przeczucie podpowiadało mi, że się nie doczekam.

I rzeczywiście.

Mój samochód stał niedaleko stacji metra Belsize Park, pojechałem do niego linią północną. Gdy dotarłem na miejsce, miałem już plan. Całkiem prosty, jak większość moich planów, ale musiał wystarczyć.

Jakiś czas wcześniej kupiłem książkowy plan Londynu, toteż zagłębiłem się w płątaniu zakorkowanych ulic w północnej dzielnicy, aż w końcu dotarłem do cichej uliczki tanich budynków mieszkalnych z lat sześćdziesiątych. Mam dobrą pamięć do faktów i liczb i zapamiętałem adres Johna Gentlemana — poznałem go w noc porwania Jenny, kiedy się z nim widziałem. Ponieważ ostatnim miejscem pobytu Tiny była ulica przed domem portiera, uznałem, że równie dobrze mogę zacząć poszukiwania właśnie tam. Owszem, możliwe, że to ryzykowne, ale zaczynało brakować mi pomysłu.

Kiedy jednak wyłoniłem się spod mostu kolejowego z nadzieją, że po prawej ujrzę dom Gentlemana, musiałem się nagle zatrzymać. Przede mną po obu stronach parkowały radiowozy, jezdnię przecinała jaskrawożółta taśma do znakowania miejsc zbrodni, tabliczka poniżej głosiła: „Z polecenia policji droga zamknięta”. Tuż za granicą kordonu zebrał się tłumek podnieconych gapiów, tymczasem grupa mężczyzn i kobiet w najnowocześniejszych białych kombinezonach ochronnych zniknęła i pojawiała się w drzwiach zapuszczonego budynku, pomalowanego na oślizgłoszary kolor.

Nie musiałem sprawdzać numeru, by zgadnąć, że to adres Gentlemana. I podobnie jak wszyscy inni oglądałem dość programów kryminalnych w telewizji, żeby wiedzieć, iż obecność tak wielu policjantów, zwłaszcza tych w białych strojach, oznacza, że doszło tu do czegoś bardzo poważnego. Na przykład morderstwa.

Kiedy tak siedziałem, próbując ogarnąć, co widzę, do samochodu podszedł mundurowy i gestem polecił mi się wycofać. Posłuszny instrukcjom zawróciłem i znalazłem miejsce parkingowe kawałek dalej, po czym wróciłem na piechotę, rozglądając się w poszukiwaniu Tyny.

Znów spróbowałem zadzwonić. Wciąż miała wyłączony telefon.

— Wiedzą panie może, co się tu stało? — spytałem parę wystrojonych staruszek, które obserwowały policję przy pracy, cmokając i kręcąc głowami.

— Morderstwo — warknęła jedna. — Jakiś biedak zabity we własnym domu.

— Robi się coraz gorzej — dodała druga, nadal kręcąc głową. — Człowiek zastanawia się, kiedy to się skończy.

— Powinni ich wieszać — oświadczyła pierwsza. — Wprowadzić z powrotem karę śmierci. To by ich załatwiło.

Podziękowałem i okrążyłem taśmę wraz z gapiami drugą stroną ulicy. Nadal jednak nie widziałem Tiny. Dotarłem do wylotu, sprawdziłem zaparkowane samochody. Wszystkie były puste.

Gdzie się do diabła podziewała?

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła szósta. Od naszej ostatniej rozmowy minęły ponad trzy godziny: dwie od zapowiedzianego przez nią telefonu. Promienie słońca przygasały, zapadał wieczór, a żołądek ciążył mi jak ołów.

Może powinienem był od razu zwrócić się do policji. Teraz, gdy na to patrzyłem, wiedziałem, że byłoby to najrozsądniejsze posunięcie. Ale ponownie powstrzymała mnie obawa, że mi nie uwierzą, zwłaszcza w historię o Ramonie, i że nawet jeśli pokażę im zdjęcia, uznają mnie za podejrzanego.

Zamiast tego postanowiłem zwrócić się do jednego, jedyne go człowieka, którego od początku unikałem. Tematu mojej książki i ostatniej deski ratunku.

Maxwella.

30

Pięć lat wcześniej, niedługo po tym, jak dołączył do Krajowego Zespołu Przeciwdziałania Zbrodniom, organizacji, która później zamieniła się w APPZ, Mikę Bolt zaangażował się w sprawę, która wycisnęła na nim trwałe piętno.

Wszystko zaczęło się, kiedy trzyosobowy gang jamajskich bandytów mieszkających w Dalston zaczął grozić dealerom narkotykowym bronią i uwalniać ich od ciężaru towaru i pieniędzy. Byli przy tym niezwykle brutalni i gdy pewnego razu napotkali opór, zastrzelili dealera i ciężko zranili jego ochroniarza. Miało to być złowieszczą wiadomością dla wszystkich, którzy mogliby im się sprzeciwić. W istocie szło im tak dobrze, że na krótki czas podaż heroiny i cracku w całym okręgu gwałtownie spadła, bo inni dealerzy przenieśli się w bezpieczniejsze rewiry. Wiadomo było jednak, że wcześniej czy później szczęście się odwróci, i kiedy banda napadła na dwie meliny należące do Nicholasa Tyndalla, ważnego gangstera z sąsiedniego Islington, pozbawiając go dziesiątków tysięcy w gotówce i narkotykach, w końcu nadeszła ta chwila.

Tyndall nie należał do ludzi, którzy puściliby płazem podobny brak szacunku. Ponieważ miał znacznie większe wpływy i władzę niż dealerzy, których Jamajczycy napadali wcześniej, potrzebował niewiele czasu, by ich zidentyfikować. Co niewiarygodne, wyglądało na to, że nie próbują nawet ukrywać swej działalności. Wyraźnie uważali, że są nietykalni.

Zmieniło się to, gdy jeden z nich, Ralvin Menendez, został znaleziony martwy na śmietniku nieopodal domu. W głowie miał kulkę, a w usta wepchnięto mu odciętego penisa i jądra. W tydzień później drugi członek gangu, Julius Barron, został znaleziony martwy w domu, w łóżku, dokładnie w tym samym stanie.

Śmierć dwóch bandytów wzbudziła jedynie minimalne zainteresowanie. W społeczności ciemnoskórych co rusz dochodziło do zabójstw na tle narkotykowym, a choć te wyróżniały się brutalnością, nadal ginęły w gąszczu wielu innych popełnianych co roku w Londynie.

Sytuacja zmieniła się diametralnie w miesiąc później, kiedy trzeciego rabusia, Clyde'a Jonesa, spotkał ten sam los co współników. Ponieważ kiedy zabójca zjawił się w jego mieszkaniu i włamał przed okno, Jones nie był sam. Towarzyszyła mu dwunastoletnia siostrzenica Leticia, którą opiekował się tego wieczoru. Nikt nie znał dokładnej kolejności wydarzeń, najpewniej jednak Leticia wyszła wcześniej z pokoju i przeszkodziła zabójcy dopiero w chwili, gdy kastrował jej już nieżyjącego wuja. Jeśli nawet krzyknęła, nikt tego nie zgłosił. Mało prawdopodobne, by zdążyła. Została postrzelona w głowę z odległości około trzech metrów, a potem jeszcze dwa razy w serce, z bliska. Wyraźnie było widać, że zabójca z rozmysłem ją dobił.

Powszechne oburzenie sprawiło, że do odnalezienia zabójcy zaangażowano Krajowy Zespół Przeciwdziałania Zbrodniom. Bolt stanowił część zespołu dochodzeniowego i pamiętał aż nadto wyraźnie wizytę w domu Jonesa, ciasnym, nieporządnym lokalu na szóstym piętrze wieżowca, z którego okien rozciągał się widok na inne wieżowce. Na kanapie w salonie pozostała wielka plama krwi — w tym miejscu zginął Jones. Druga, mniejsza, na wytartym chodniku przed drzwiami sypialni, oznaczała miejsce, w którym Leticia wydała ostatnie tchnienie.

Bolt pomyślał, że to strasznie zimne i samotne miejsce dla umierającego dziecka. Był już dość długo policjantem, by wiedzieć, jak twardy i niesprawiedliwy bywa świat, lecz mimo wszystko widok ten potężnie nim wstrząsnął i poprzysiągł sobie w tym miejscu, że uczyni wszystko co w jego mocy, by odnaleźć człowieka, który to zrobił.

Dzięki pięćdziesięciu tysiącom funtów nagrody bardzo szybko wypłynęło nazwisko Nicholasa Tyndalla, toteż Krajowy Zespół Przeciwdziałania Zbrodniom założył podsłuch w jego luksusowym domu w Islington. Dzięki temu usłyszeli, jak Tyndall wielokrotnie wspomina o kimś, kogo nazywał Hakiem, zabójcy wynajętym do zlikwidowania wszystkich trzech Jamajczyków. Wyglądało na to, że Tyndall z niezmierną irytacją przyjął fakt, iż Hak zabił cywila; zastanawiał się nawet nad wstrzymaniem reszty płatności z powodu oburzenia, jakie wywołało zabójstwo Leticii Jones. Nikt nie wie, czy to zrobił, czy nie, bo wkrótce potem zamówił profesjonalną firmę szukającą podsłuchów, która wykryła wszystkie zamontowane pluskwy. Co niewiarygodne, mimo obciążających nagrań, prokuratura z jakichś powodów uznała, że nie ma dość dowodów, by o cokolwiek go oskarżyć.

Zamiast tego Krajowy Zespół Przeciwdziałania Zbrodniom skoncentrował wszystkie wysiłki na zlokalizowaniu tajemniczego Haka, a zespołowi Bolta powierzono zadanie odkrycia jego prawdziwej tożsamości. Wymagało to głębokiego kopania, w końcu jednak zidentyfikowali go jako Michaela Jamesa Killena, trzydziestosiedmioletniego dawnego Strzelca IRA, podejrzanego o zabicie co najmniej osiemnastu osób w przeciągu niemal dwudziestu lat. Gdy w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku w wyniku układu wielkopiątkowego został zwolniony z więzienia Maze, w którym odsiadywał karę dożywocia za zabójstwo dwóch funkcjonariuszy Royal Ulster Constabulary i brytyjskiego żołnierza, przeniósł się do Wielkiej

Brytanii i został zabójcą do wynajęcia w rozkwitającym londyńskim półświatku, gdzie zawsze ceniono sprawnych fachowców.

Nieliczni członkowie londyńskiego podziemia gotowi mówić o Haku wymieniali jego pseudonim z nabożnym lękiem i podziwem. Wyróżniał się brutalną sprawnością, miał pustaki zamiast serca i reputację kogoś, kto przyjmuje każdą robotę i ją wykonuje. Otaczała go także aura tajemniczości. Ów syn bogatych księgowych z Belfastu (ojciec katolik, matka protestantka) nie przypominał typowych żołnierzy IRA i w ruchu zapamiętano go jako kogoś bardziej zainteresowanego podniętą przemocą niż sprawą zjednoczenia Irlandii. Kiedyś był ponoć całkiem przystojny, lecz w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, w wyniku wybuchu bomby, nad którą pracowali jego koledzy z IRA, odniósł rozległe obrażenia twarzy i ciała. Stracił także dwa palce lewej ręki, stąd ksywka Hak.

Choć Hak na początku dwa tysiące pierwszego roku został aresztowany przez policjantów pod zarzutem zabójstwa, w jakiś sposób uniknął oskarżenia. Od tego czasu pozostawał w ukryciu.

Wiadomo było, że z pomocą chirurgów plastycznych kilka razy zmieniał wygląd. Był przy tym tak zdeterminowany, że niemal żadna z osób, z którymi rozmawiał zespół Bolta, nie potrafiła dokładnie go opisać (a co dopiero pomóc odnaleźć miejsce jego pobytu). Ci, którzy próbowali, podawali zupełnie odmienne wersje, z których żadna nie przypominała młodego człowieka z twarzą zoraną bliznami i przeszczepionym kawałkiem skóry na podbródku, widniejszego na policyjnym zdjęciu z czasu aresztowania w dwa tysiące pierwszym.

Uzbrojone w te wszystkie informacje władze wydały list gończy za Hakiem; wszystkim policjantom w Wielkiej Brytanii polecono go szukać. Lecz dni zamieniały się w tygodnie i widzieli coraz wyraźniej, że zdobycz wyniknęła się z sieci. W

końcu opinia publiczna zapomniała o Leticii Jones, zajęta nowymi potwornymi zbrodniami.

Bolt jednak nigdy nie zapomniał owej dwunastolatki, uroczej dziewczynki z promiennym, szczerbatym uśmiechem, wyglądającej na młodszą niż w rzeczywistości. Kiedy dwa lata później w południowej Hiszpanii doszło do serii zabójstw kontraktowych na wysokim szczeblu, łącznie z morderstwem rosyjskiego biznesmena, zabitego we własnej willi w Marbelli wraz z trzema ochroniarzami, Bolt uznał, że to robota Haka. Wbrew temu, co sądzą ludzie, na świecie jest niewiele zawodowych zabójców, jeszcze mniej potrafi załatwić czterech ludzi naraz. Bolt poinformował Interpol, i rzeczywiście, jego przeczucie się spełniło. W miesiąc później Hak został zatrzymany na podstawie europejskiego nakazu aresztowania w chwili, gdy wsiadał do samolotu na lotnisku w Madrycie, podróżując z fałszywym paszportem. Nawet mistrz kamuflażu nie mógł ukryć faktu, że brakuje mu dwóch palców.

W niecały tydzień później Bolt wraz z pięcioma kolegami z Krajowego Zespołu Przeciwdziałania Zbrodniom polecili do Hiszpanii, by sprowadzić go do kraju i postawić przed sądem za zabójstwo. Nim jednak ich samolot wylądował, rozeszła się wieść, że Hak uciekł z konwoju, zabijając policjanta z jego własnej broni.

Nigdy więcej nie widziano go w miejscu publicznym. Choć jego nazwisko figurowało wysoko na liście najbardziej poszukiwanych przestępców Interpolu, zniknął bez śladu. Od czasu do czasu napływały pogłoski o tym, że go widziano, a w różnych częściach świata dochodziło do śmiałych zabójstw na zlecenie, być może stanowiących jego dzieło — znany indonezyjski polityk zabity wraz z całą rodziną; amerykański miliarder naftowy, który zniknął z powierzchni ziemi podczas polowania w Jukonie wraz z synem i dwoma członkami ochrony,

pozostawiając cały majątek młodszej o trzydzieści lat żonie — lecz nigdy nic konkretnego.

A teraz, trzy lata po aresztowaniu w Hiszpanii, znów wypłynął.

Pierwsze pytanie brzmiało: dlaczego?

Drugie: co się stało z kobietą, która go sfotografowała? W chwili, gdy o szóstej tego samego wieczoru Bolt siedział w gabinecie szefa, informując go o pojawieniu się Haka, to właśnie pytanie zaprzętało go najbardziej. Ponieważ Tina wciąż nie dawała znaku życia.

Trzeba przyznać, że SG2 1, Barry Freud, odpowiednik naczelnego nadinspektora w APPZ, nie ucieszył się, słysząc te wieści. Wielki Barry, jak go nazywano, wysoki, łysy przybysz z York shire, z wyglądu nieodparcie kojarzący się z Humptym Dumptym, nieustannie liczył na awans, toteż w konsekwencji wołał działać spokojnie, ograniczając podejmowane ryzyko do absolutnego minimum.

W zwykłych okolicznościach Bolt potrafił to tolerować (choć nie był specjalnie zachwycony), lecz dziś sytuacja diametralnie się zmieniła.

— Nie możemy tak po prostu siedzieć — nalegał. — Hak od pierwszego dnia widnieje na liście najbardziej poszukiwanych przestępców APPZ, a teraz widziano go w naszym kraju. Musimy skoncentrować wszystkie zasoby na jego poszukiwaniu.

Wielki Barry przewrócił oczami i niebezpiecznie przechylił się na krześle.

— Właśnie spędziliśmy pół dnia na cholernym spotkaniu z wywiadem finansowym...

— Które do niczego nie doprowadziło.

— I jesteśmy w samym środku długotrwałego dochodzenia — ciągnął, nie zważając na wtręt — przeciwko niezwykle

ważnemu celowi.

— Trudno znaleźć ważniejszy cel niż Hak, szefie. Były żołnierz IRA, obecnie zawodowy zabójca, który podczas jednego ze zleceń zabił dwunastoletnią dziewczynkę. Gdybyśmy go schwytali, to by było coś — rzekł Bolt, odwołując się do ambicji przełożonego.

Wielki Barry nie wyglądał na przekonanego.

— Ale gdzie go znajdziemy? W tym właśnie problem. Nie wiemy, gdzie ani kiedy zrobiono te zdjęcia, prawda?

— Nie, ale...

— I mówiłeś, że przysłała ci je Tina Boyd?

— Zgadza się.

— Zdawało mi się, że wróciła do dochodzeniówki. Dlaczego ci je przysłała?

Bolt opowiedział o wczorajszym telefonie Tiny i sprawie porwania, którą badała.

— Wszystko to wygląda dziwacznie, stary druhu. — Wielki Barry Freud się skrzywił. Nazywał tak wszystkich znanych sobie mężczyzn niby na znak przyjaźni, lecz zawsze brzmiało to lekko protekcyjnie.

— Może i tak, ale Tina zaginęła. Przestała się odzywać wkrótce po tym, jak zrobiła te zdjęcia. Ma wyłączoną komórkę, wciąż próbujemy ustalić, gdzie straciła zasilanie. Korzystamy też z ARNR, próbując zlokalizować jej samochód — dodał Bolt, mając na myśli system automatycznego rozpoznawania tablic rejestracyjnych, ogólnokrajową sieć kamer wykorzystywanych do śledzenia ruchu samochodowego.

— Zatem już zaangażowałeś w to ludzi? Nie masz stosownych uprawnień, Mike.

— Tina przez ponad rok była jedną z nas, szefie. Przynajmniej tyle możemy dla niej zrobić. A jeśli pomoże nam

to wytropić Haka, upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

— Czy już coś mamy?

Bolt westchnął.

— Jak dotąd niewiele. Wysłałem list gończy za Hakiem, mój zespół kontaktuje się ze wszystkimi informatorami, sprawdzając, czy ktokolwiek słyszał coś o jego powrocie i o tym, co tu robi. Bo jedno jest pewne: nie przyjechał z wizytą towarzyską.

— A co z porwaniem, które podobno badała Tina? Jakies tropy?

Bolt pokręcił głową.

— Kiedy do mnie dzwoniła, nic nie zapisałem. I wygląda na to, że pracowała nad tym nieoficjalnie. Rozmawiałem z komendą z Islington, gdzie jest teraz zatrudniona, i zdołali odnaleźć złożony przez nią raport. Nie jest zbyt szczegółowy, ale widnieje w nim nazwisko człowieka, który początkowo zgłosił porwanie: Robert Fallon, bezrobotny trzydziestoczterolatek z Colindale. Tyle że Fallon nie odbiera domowego telefonu, a jeśli ma jakąś komórkę, to na kartę, bo nie znaleźliśmy żadnej umowy.

— Nie brzmi to zbyt obiecująco — powiedział Wielki Barry z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

Bolt nie dał się zniechęcić.

— Tina zrobiła także zdjęcie toyoty land cruiser. Uważamy, że coś łączy tę toyotę z Hakiem, i kazaliśmy ludziom z ARNR poszukać także jej. Mamy wiele piłek w grze, wystarczy, by jedna bądź dwie trafiły w cel, abyśmy rozwiązali sprawę.

Wielki Barry Freud pochylił się na swoim krześle i oparł łokcie na olbrzymim blacie biurka.

— No dobrze, stary druhu — rzekł, obdarzając Bolta stosownie poważnym spojrzeniem. — Ponieważ wcześniej

osiągałeś znakomite wyniki, jestem gotów pójść ci na rękę. Jeśli któryś z tych tropów do czegoś doprowadzi, skupimy nasze siły na odnalezieniu Haka. Wygląda na to, że robimy już co w naszej mocy, próbując odszukać Tinę. Ale nie mogę oderwać całego zespołu od pracy i posłać ich na pościg za cieniem. A skoro rozesłałeś list gończy za Hakiem, to zrobiliśmy już, co do nas należy. Rozumiesz moją pozycję? — dodał tonem sugerującym, że to niezwykle szczodra oferta.

Bolt wiedział, że nie ma sensu dalej się spierać. W sumie nie mógł liczyć na nic więcej, toteż odparł, że będzie informował szefa, i wrócił korytarzem do sali, w której jego zespół wciąż pracował nad odszukaniem dawnej koleżanki. Podczas pracy w APPZ Tina nie cieszyła się zbyt dużą popularnością, głównie dlatego, że trzymała się na uboczu i unikała spotkań towarzyskich, wszyscy jednak szanowali ją za jej umiejętności i determinację i wszystkim członkom zespołu zależało na tym, by ją odnaleźć.

W chwili, gdy przekroczył próg, pojął, że stało się coś złego.

W środku zastał dziewięć osób — siedmiu mężczyzn i dwie kobiety — zgromadzonych w kręgu wokół Mo Khana, który z ponurą miną siedział na krześle, przyciskając do ucha telefon. Nikt się nie odzywał. Kiedy usłyszeli Bolta, odwrócili się w jego stronę.

Próbując nie okazywać po sobie nagłego zdenerwowania, Bolt zatrzymał się i rozejrzał.

— Co się stało?

To Mo, jego najdawniejszy kolega i najstarszy członek zespołu, oprócz samego Bolta, odpowiedział.

— Samochód Tiny znaleziono porzucony niedaleko wioski Bramfield w Hertfordshire.

— I? — Bolt wiedział, że musi być jakieś i. Ich miny wyraźnie o tym świadczyły.

Mo odetchnął głęboko, starając się nie okazywać po sobie emocji.

— Nieopodal leżały zwłoki młodej kobiety.

1 Odpowiednik nadinspektora policji.

31

Mężczyzna w kremowym garniturze przeczesał grzebieniem rzednące włosy, poprawił marynarkę i przejrzał się w wysokim lustrze, zadowolony z obrazu, jaki ujrzał.

Wiedział, że trudno go nazwać przystojnym. Fizycznie był drobny i krągławy, miał wielki, haczykowany nos i wąskie, przebiegłe oczy, sugerujące inteligencję, której nie do końca można ufać. W szkole koledzy przezywali go Krętaczem i unikali jego towarzystwa.

Nic z tego jednak szczególnie mu nie wadziło. Ostatecznie uroda przemija. W końcu całkiem znika. A on dysponował czymś znacznie cenniejszym. Władzą. Miał w sobie wyniosłość, chłodną pewność siebie, efekt lat odnoszenia sukcesów na wybranym polu. Ludzie traktowali go z szacunkiem. Byli też tacy, którzy się go bali, bo wiedzieli, że zasłużył na swą reputację człowieka zdecydowanego, nieobawiającego się podejmowania trudnych decyzji. Kogoś, z kim lepiej nie zadzierać.

Lecz człowieka w kremowym garniturze najbardziej cieszył fakt, że nikt, nawet jego najbliżsi, nie miał pojęcia o prawdziwym zakresie władzy, jaką dysponuje. Ani o ukrywanych przez niego straszliwych tajemnicach.

Gdy odwrócił się od lustra, telefon w lewej kieszeni spodni zaczął wibrować. Dostał SMS-a. Przyszedł z numeru, którego

nie rozpoznał, doskonale jednak wiedział, kim jest nadawca. Mogła to być tylko jedna osoba na całym świecie.

Wiadomość wypisano drukowanymi literami, liczyła trzy słowa.

ETAP DRUGI SUKCES.

Mężczyzna w kremowym garniturze poczuł przyjemne, niemal seksualne mrowienie wzdłuż kręgosłupa, podszedł do okna i wyjrzał na ciemniejące morze.

Wydarzenia toczyły się bardzo szybko. Wiele miesięcy planowania w końcu przynosiło owoce.

Spojrzał na zegarek i się uśmiechnął.

Jeszcze dwadzieścia cztery godziny...

Istniało mnóstwo powodów, dla których dotąd z rozmysłem unikałem angażowania w całą sprawę Maxwella, a najważniejszym z nich był fakt, że mu nie ufałem. Maxwell to przecież zawodowy przestępca, w najlepszym razie kierujący się osobliwym kodeksem moralnym, w najgorszym niemający żadnych zahamowań. Czyli ktoś, do kogo nie zwracamy się odruchowo w poszukiwaniu pomocy. Ale jednocześnie czyniło to z niego osobę idealnie nadającą się do powiedzenia mi, co powinienem teraz do diabła robić, bo jako przestępca musiał mieć przynajmniej pojęcie o tym, jak rozumują inni przestępcy. Co oznacza, że mógł mi doradzić. A nawet jeśli nie zechce się wtrącać, uznałem, iż fakt, że piszę o nim książkę, może zachęcić go do pomocy. W ostatecznym rozrachunku bowiem byłem dla niego cenniejszy żywy niż martwy.

Maxwell (nigdy nie podał mi swojego nazwiska) wycofał się z londyńskiego światka przestępczego, bo, wedle jego własnych słów, narobił sobie zbyt wielu wrogów (w ostatnich dniach aż nadto dobrze zaczynałem rozumieć, co to znaczy). Obecnie mieszkał w samym środku hrabstwa Berkshire, godzinę jazdy z miasta w sprzyjających warunkach, niemal dwie godziny, jeśli jechało się z Hackney w samym szczycie, jak ja teraz.

Nie zadzwoniłem wcześniej, uznawszy, że łatwiej będzie zjawić się niezapowiedzianym, i gdy dotarłem do zwieńczonego strzechą wiejskiego domku jak z obrazka, w którym osiadł Maxwell, dochodziła ósma. Jak na chłopaka z miasta,

dorastającego na tanim osiedlu we wschodnim Londynie, był to dziwny wybór — półtora kilometra od najbliższego domu, pośród niemal całkowitej ciszy, którą zakłócało jedynie ciche brzęczenie samochodów słyszane w całej południowej Anglii i od czasu do czasu odgłos przelatującego nad głową samolotu. Był to jednak zaledwie jeden z wielu paradoksów otaczających Maxwella. Może i w swoich czasach należał do śmietanki londyńskich twardzieli, ale też lubił hodować własne warzywa i spędzać całe dnie, łapiąc pstrągi w pobliskich strumieniach.

Z ulgą przekonałem się, że drzwi frontowe stoją otworem, i gdy wysiadłem z samochodu i odetchnąłem świeżym wiejskim powietrzem, poczułem się nagle znacznie lepiej. Miasto i wszystkie związane z nim niebezpieczeństwa wydały mi się bardzo odległe, poza tym, bądźmy szczerzy, myśl o tym, że ktoś taki jak Maxwell będzie po mojej stronie, sprawiła mi ogromną ulgę.

Słyszałem odgłosy dobiegające z wewnątrz — dodający otuchy brzęk garnków i patelni w kuchni — toteż zastukałem mocno do drzwi i zawołałem go po imieniu, by wiedział, że to nie jeden z jego dawnych wrogów.

W parę sekund później w wąskim przedpokoju pojawił się sam Maxwell — metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, zbudowany jak beczułka, z twarzą buldoga. Wyglądał nieco komicznie w fartuchu z nadrukiem przedstawiającym wielkie kobiece piersi. Jego pobrużdżona twarz zmarszczyła się lekko.

— No dobra, Robbie. Nie spodziewałem się ciebie dzisiaj. Nie umówiliśmy się chyba na spotkanie, prawda?

Maxwell zawsze zwracał się do mnie per Robbie — nie znosiłem tego zdrobnienia, ale nie miałem serca (albo jaj), żeby go poprawić.

— Potrzebuję twojej pomocy — oznajmiłem, patrząc wprost w wąskie oczy gospodarza skryte pod opadającymi powiekami.

Jeszcze mocniej zmarszczył czoło, ale pokiwał głową.

— W takim razie lepiej wejść do środka. Napijesz się czegoś?

Wiedziałem, że muszę zachować trzeźwy umysł, ale myśl o drinku okazała się zbyt kusząca.

— Piwo, jeśli jakieś masz.

Poszedłem za nim do kuchni, na kuchence bulgotał wielki garnek. Nie zajrzałem do środka, lecz pachniał świetnie i po raz pierwszy od lunchu poczułem głód.

Maxwell otworzył dwie butelki peroni, po czym ruszył do ciasnego salonu, w którym zawsze toczyliśmy nasze rozmowy i który wyraźnie zaprojektowano dla ludzi wzrostu Maxwella, a nie mojego. Schyliłem się, o włos unikając zderzenia z belką sufitową, w którą podczas pierwszej wizyty walnąłem się tak mocno, że o mało nie straciłem przytomności, i usiadłem w jednym z dwóch starych skórzanych foteli przy kominku.

Maxwell zajął miejsce w drugim, postawił piwo na stoliku obok i zapalił papierosa. Jeśli choć trochę interesowało go to, co miałem do powiedzenia, nie okazywał tego po sobie. Ale to cały Maxwell. Nie należał do ludzi, którzy przejmują się byle czym.

— No dobra — rzekł, wypuszczając z ust chmurę dymu. — Co się stało?

Odnosiłem wrażenie, że już tysiąc razy opowiadałem tę historię, zwykle bardzo sceptycznym słuchaczom, ale miałem przecucie, że Maxwell mi uwierzy. Przez bardzo długi czas żył w świecie, w którym podobne wydarzenia były na porządku dziennym. Opowiedziałem mu zatem wszystko z wyjątkiem zabójstwa Ramona, od czasu do czasu pociągając głęboki łyk piwa, a on słuchał w milczeniu.

Kiedy skończyłem, zgasił papierosa, potarł nos grubym, poplamionym nikotyną palcem i spojrzał na mnie z podejrzliwością, której nie oczekiwałem.

— Na pewno nie popalałeś za dużo trawki-dmuchałki, Robbie? To strasznie pojebana historia, a wiem, że masz skłonność do, no wiesz, załamania.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

— To szczerą prawdą. Daję słowo.

Kiedy podejrzliwość nie zniknęła, dodałem, że mogę mu pokazać na dowód zdjęcia, i wyciągnąłem z tylnej kieszeni wydruki fotografii przysłanych przez Tinę.

— No dobra, zobaczymy — rzekł i odebrał mi je. Rozłożył trzy i przyjrzał się uważnie. — I mówisz, że zrobiono je dzisiaj w Londynie?

— W Hackney. A co? Znasz tego faceta?

Mało prawdopodobne, ale biorąc pod uwagę poprzednią karierę Maxwella, nie całkiem niemożliwe.

Pokręcił głową.

— Mówiłeś, że to Irlandczyk, tak?

— Zgadza się. Chyba z Irlandii Północnej.

— Parę lat temu miałem do czynienia z bojownikami z Belfastu, z UVF, ale nigdy im nie ufałem. To chciwe dranie, zawsze próbowali wszystkich przekręcić.

Westchnął i oddał mi zdjęcia.

— A zatem — spytałem — wierzysz mi?

Przytaknął powoli niczym mądry, bandycki Yoda. Maxwell nigdy się nie spieszył.

— Tak — rzekł w końcu. — Wierzę ci. Wygląda na to, że tkwisz po uszy w gównie, brachu.

— Tak, Maxwell, wiem. Chodzi mi jednak o radę, co powinienem z tym zrobić.

— Moja rada? — Zawiesił głos. — Zrób sobie długie, pieprzone wakacje. Co najmniej miesiąc. Gdzieś bardzo daleko. I dopilnuj, żeby mieć kontakt e-mailowy. Musimy pogadać o książce. Spróbuj zapomnieć o całym tym kurewstwie.

— Ale co z Jenny? Nie mogę tak po prostu zostawić jej na łasce kogoś, kto chce ją zabić.

Twarz Maxwella wykrzywiła się w nieprzyjemnym uśmiechu.

— Nigdy nie miałem cię za bohatera, Robbie. Sądziłem, że należysz raczej do gości, którzy lubią o nich pisać.

— W takim razie może nie znasz mnie aż tak dobrze. Jeśli ktoś ma kłopoty, a ja mogę mu pomóc, to pomogę.

Dwa dni temu sprawy wyglądały inaczej, ale obecnie mówiłem szczerze.

— No cóż, Robbie, to naprawdę wstrząsające, ale jeśli wetkniesz nos w podobne sprawy, ktoś ci go obetnie, rozumiesz? Pozwól, że coś ci poradzę — rzekł, celując w moją stronę butelką peroni. — Angażuj się w coś, tylko kiedy absolutnie musisz albo kiedy chodzi o pieniądze. Od wszystkiego innego trzymaj się z daleka, bo nie warto się mieszać. Zwłaszcza w tym wypadku. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, możliwe, że zabili glinę, a to znaczy, że są gotowi zabić każdego. Następnym razem to możesz być ty.

Wygłosiwszy mądrą poradę, usadowił się wygodnie w fotelu i zapalił kolejnego papierosa.

I w tym momencie dopiero w pełni pojąłem, jaki naprawdę jest Maxwell. Kiedy go spotkałem, wydał mi się fascynujący — owszem, zdecydowanie twardy i bezlitosny, lecz ponieważ lubił się śmiać, opowiadał świetne historie i zawsze traktował mnie mile, zacząłem go uważać za uroczego łobuza, kogoś, kto może skrzywdzić innych przestępców — ludzi, którzy sobie zasłużyli — lecz zawsze wystąpi w obronie pokrzywdzonych, nie da się nikomu zastraszyć, kogoś, z kim można się dogadać, bo pod grubą skorupą nadal kryje w sobie szczerze serce. Teraz pojąłem, że to bzdury. Maxwell był kolejnym samolubnym bandziorem i wstrząsnęło mną odkrycie, że trzeba było dopiero bezpośredniego zetknięcia z innymi samolubnymi bandziorami, by to dostrzec.

— Zabiłeś kiedyś kogoś? — spytałem.

Pokręcił głową.

— Parę razy byłem blisko, kiedy ktoś próbował mnie wydymać, ale nie, nie zabiłem.

— A porwania? Porwałeś kogoś kiedy?

Przez chwilę milczał.

— Musiałem przekonać ludzi, by oddali mi forszę, którą byli winni. Czasami to oznaczało zatrzymanie ich wbrew ich woli, póki ich wspólnicy nie zjawili się z kasą. Może też lekkie skopanie, by zapewnić sobie współpracę. Ale nie. Nie tak, jak opowiadasz. Nigdy nie krzywdziłem kobiet. Za bardzo je szanuję.

Słuchałem go z odrazą i chyba ów niesmak musiał odbić mi się na twarzy, bo Maxwell skrzywił się gniewnie.

— Tylko nie zaczynaj mi tu moralizować, Robbie. Robiłem paskudne rzeczy. Dobrze to wiesz. I z części z nich nie jestem dumny, ale jestem też realistą. Owszem, wielka szkoda, że ta dziewczyna, kimkolwiek jest, dała się porwać, ale to nie moja sprawa i twoja też nie. Ledwie ją znasz. Poza tym i tak masz już mnóstwo kłopotów. Zrobiłeś, co mogłeś. Odpuść.

— Nie mogę.

— W takim razie ja ci nie pomogę, brachu. Przykro mi, ale tak to już jest.

Wzruszył potężnymi ramionami, jakby chciał rzec, że nic więcej nie może zrobić. Czułem się okropnie. Byłem głupcem, oczekując, że mi pomoże. Zastanowiłem się, czy nie zagrozić mu rezygnacją z książki, chyba że zmieni zdanie, ale natychmiast odrzuciłem ten pomysł. Potrzebowałem jej tak samo jak on, a poza tym w tym momencie książka wydawała się zupełnie pozbawiona znaczenia.

Jednym haustem wychyliłem resztkę piwa, napawając się jego chłodem.

— Chcesz jeszcze jedno? — spytał.

Chciałem. Rozpaczliwie. Potrzebowałem wypoczynku i odprężenia, a fotel kuśił swą miękkością. Czuję, jak powoli moje oburzenie znika.

— Tak, proszę. I czy mogę poprosić cię o przysługę? Muszę gdzieś się zatrzymać na parę dni. Po prostu przycząić się i pomyśleć. Przenocujesz mnie tutaj?

— Zgoda, ale pod jednym warunkiem: dopóki jesteś pod moim dachem, nie będziesz próbował szukać tej dziewczyny. Jak mówiłem, nie chcę się w to angażować.

Przygwoździł mnie wyzywającym spojrzeniem.

Miałem przecucie, że niewielu ludzi się odważyło, i nie stanowiąłem wyjątku. Obiecałem, że przerwę poszukiwania, a on wrócił do kuchni po kolejne peroni.

Wiedziałem jednak, że nie zdołam dotrzymać słowa. Co prawda wydarzenia ostatnich dwóch dni skurwysyńsko mnie przeraziły, nadal jednak byłem zdecydowany odnaleźć Jenny i ją uratować. Moje życie się zmieniło. Ja się zmieniłem. Nawet w najbardziej szalonych snach nie przypuszczałem, że zaryzykuję własne życie, aby pomóc dziewczynie, którą ledwie znałem. A przecież właśnie to robiłem i teraz nie było mowy, żebym zrezygnował. I w tym momencie, siedząc w domu Maxwella, po raz pierwszy poczułem się z tym dobrze.

Lecz dziś w nocy... dziś w nocy będę musiał odłożyć na bok poszukiwania. Byłem zmęczony. Musiałem odpocząć.

Kiedy Maxwell wrócił z butelkami, już ziewałem. Oznajmił, że wyglądam na porządnie zjebanego, a ja nie zaprzeczyłem. Wypiłem szybko drugie piwo, a on tymczasem snuł kolejną zabawną historyjkę ze swych gangsterskich czasów. Tak naprawdę go nie słuchołem i kiedy zaproponował trzecie, odmówiłem.

— Muszę na chwilkę przymknąć oczy — powiedziałem, czując obezwładniające zmęczenie.

Pamiętam, że odparł „nie ma sprawy” i dodał coś o rosole, kiedy się zbudzę. Pamiętam też, że przyglądał mi się uważnie, kiedy odpłynąłem, co uznałem za nieco dziwne. A potem nadszedł sen i przynajmniej na chwilę uwolnił mnie od wszelkich trosk tego świata.

33

Większość drogi jechali w milczeniu. Dwaj mężczyźni, od sześciu lat pracujący razem, którzy mieli dobre i złe chwile, ale którzy w razie potrzeby byli gotowi zaryzykować dla siebie nawzajem karierę i życie.

Bolt doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że to Mo przez lata częściej ryzykował, że krył go w trudnych sytuacjach, i nie chciał, by ktokolwiek inny towarzyszył mu w samochodzie podczas jazdy do miejsca, w którym mieli sprawdzić, czy nieżywa kobieta znaleziona nieopodal porzuconego samochodu Tiny Boyd to w istocie Tina. Przy zwłokach z ranami postrzałowymi na twarzy, znalezionych przez kobietę wyprowadzającą psa dwie godziny wcześniej, nie było żadnych dokumentów. Bolt i Mo dysponowali jedynie opisem: ciemnowłosa kobieta po trzydziestce. To niestety pasowało do Tiny, a Bolt nie należał do ludzi wierzących w zbiegi okoliczności. W samochodzie starał się nie wykluczać innych możliwości i nie wyciągać pochopnych wniosków, lecz przegrywał w tej walce.

Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Tiną, w spelunkowatym pubie w Highgate, pewnego deszczowego, sobotniego wieczoru. Poszli tam z Mo wyciągnąć od niej informacje na temat sprawy, nad którą pracowali. Działo się to niedługo po śmierci jej chłopaka i Bolt pamiętał, jak zmęczona i krucha mu się wydała i jak natychmiast zapragnął chwycić ją w

ramiona i ochronić. To uczucie nie opuściło go już przez cały okres ich znajomości.

Kiedy Bolt zaparkował jaguara na skraju kordonu policyjnego, ciało ofiary nadal leżało na miejscu zbrodni. Zmrok zapadał bardzo szybko, lecz na cichym odcinku obsadzonej drzewami bocznej drogi na południe od wioski Bramfield roilo się od ludzi. Dwa policyjne radiowozy z włączonymi kogutami blokowały jezdnię, w jednym z nich siedział mundurowy jedzący bagietkę, po obu stronach szosy stało kilkanaście innych policyjnych samochodów i karetka. Tuż za linią drzew rozbito plastikowy namiot, parę metrów za nim, na poboczu, stał czerwony nissan micra, w którym Bolt rozpoznał własność Tiny.

Obaj pokazali legitymacje mundurowemu, który zdołał przełknąć bagietkę i wskazać im furgonetkę, gdzie mogli włożyć plastikowe kombinezony wymagane od wszystkich wchodzących na miejsce zbrodni. Tak przygotowani, prześlizgnęli się pod taśmą policyjną i ruszyli specjalnie wyznaczoną ścieżką, ogrodzoną kolejną porcją taśmy, w stronę namiotu.

Bolt zdawał sobie sprawę z faktu, że oddech mu przyspiesza. Zawsze, od czasów dzieciństwa, obawiał się śmierci, bo nigdy nie potrafił uwierzyć — a Bóg jeden wie, iż próbował — że poza nią jest coś jeszcze. Niestety z powodu swej pracy oglądał ją znacznie częściej niż większość ludzi i niemal zawsze nadchodziła gwałtownie. Nigdy nie przywykł do widoku pustych twarzy i perspektywa ujrzenia w takim stanie kogoś, kogo znał i lubił, wydała mu się jeszcze gorsza.

— Jeśli chcesz, ja mogę to zrobić, szefie — rzeki Mo cicho, odwracając się ku niemu.

Kilka miesięcy wcześniej, w pubie niedaleko siedziby głównej APPZ w Vauxhall, gdzie wypili o jedno piwo za dużo, Bolt opowiedział Mo o tamtej nocy, kiedy próbował zbliżyć się

do Tiny, i o swoich uczuciach. Zwykle nie dzielił się z nikim podobnymi zwierzeniami, wołał zachowywać sprawy sercowe dla siebie. Lecz piwo zrobiło to co zawsze i naoliwiło mu język, a ponury nastrój, w jaki popadł po niedawnym odejściu Tiny z APPZ, też zrobił swoje. Bolt wiedział, że Mo nie aprobeuje tej sytuacji, ale okazał współczucie wobec szefa, podobnie jak teraz.

Spojrzał i dostrzegł troskę w jego oczach. Doceniał propozycję, ale wiedział, że nie może sobie pozwolić na okazanie słabości.

— Nie, nic mi nie będzie — powiedział. — Dam radę.

Jedna z postaci w białych kombinezonach oderwała się od grupy i podeszła do nich.

— Mo Khan?

To była kobieta dobrze po trzydziestce, o atrakcyjnej, przyjaznej twarzy, wyglądającej, jakby nie potrzebowała zbytnej zachęty, by rozpromienić się w uśmiechu. Pod zakrywającym głowę przezroczystym kapturem jej związane z tyłu włosy oślepiały czerwienią.

— To ja. A to mój szef, SG3² Mikę Bolt.

— Jestem nadkomisarz Miller, oficer prowadząca tę sprawę — oznajmiła i we troje uścisnęli sobie dłonie. — Dziękuję, że się zjawiliście. Jest tam. Ciało odkryła kobieta wyprawdzająca psa, około dwóch i pół godziny temu — ciągnęła. Mo i Bolt podążyli za nią do namiotu. — Nie próbowano nawet ukryć zwłok. — Uniosła klapę i odsunęła się na bok. — Wygląda na to, że strzelono jej parę razy w twarz i zostawiono tam, gdzie upadła.

Bolt nie wzdrygnął się, lecz twarz miał jak z kamienia. Wszedł do środka, ledwie świadom obecności Mo i nadkomisarz Miller, którzy stanęli po jego bokach.

Leżała tam samotna, na wznak, w aureoli zakrzepłej krwi, ręce spoczywały prosto po bokach, oczy miała zamknięte. Na

twarzy ziały dwie niewielkie czarne dziury: jedna tuż pod ustami, druga wysoko na policzku, niczym duża zabłąkana muszka. Wyglądała pogodnie, jak uśpiona, jakby śmierć zdjęła jej z ramion brzemień wszystkich trosk tego świata. Bo oczywiście zdjęła.

Bolt odetchnął głęboko i odwrócił się do nadkomisarz Miller.

— To nie ona — rzekł.

2 * Odpowiednik inspektora policji.

34

Zamierzam cię zabić.

To popołudnie okazało się najbardziej przerażające w życiu Tiny Boyd. Niemal godzinę prowadziła samochód obwodnicą północną i dalej, z Londynu autostradą A10 na północ. A przez cały ten czas towarzyszący jej mężczyzna trzymał ją na muszce, zadawał pytania, często też, mówiąc, dotykał i ją głaskał. Lekko, swobodnie wypytywał o jej przeszłość, upodobania i to, czego nie lubi, o pracę w policji. A potem nagle ton jego głosu stawał się okrutny: wówczas pytał cicho, żartobliwie, do czego by się posunęła, byle tylko przeżyć, i czy wierzy w życie po śmierci.

Wyraźnie napawał się dręczeniem swej ofiary, lecz Tina nie dała się w to wciągnąć. Odpowiadała wyzywającym tonem (owszem, zrobi wszystko, czego trzeba, by pozostać przy życiu, i tak, wierzy w życie pozagrobowe), lecz jednocześnie dawała mu dość informacji, by nie tracił zainteresowania, a nawet zadawała własne pytania, choć tamten zazwyczaj unikał odpowiedzi. Mimo wszystko była z siebie dumna, bo zdołała zachować spokój, nawet gdy zostawili za sobą hałas i ruch A10 i skręcili w spokojniejsze boczne drogi. Nawet gdy poleciał jej zjechać z jednej z owych bocznych dróg w pustą leśną dróżkę.

Dopiero gdy kazał zatrzymać samochód i odebrał jej kluczyki, strach opanował ją w pełni. Nogi Tiny ugięły się lekko, gdy zgodnie z rozkazem wyszła na trawiaste pobocze. To było to. Chwila prawdy.

Widziałaś jego twarz! — krzyczał głos wewnątrz jej głowy. Zabije cię!

Ale nie wpadła w panikę. Zamiast tego odwróciła się ku niemu, wiedząc, że nawet najbardziej brutalnym zabójcom trudniej przychodzi strzelić do kogoś, z kim stają twarzą w twarz. Zmusiła się do zignorowania oczywistego faktu, że ma do czynienia z socjopatą.

Mężczyzna uniósł pistolet tak, że celował jej w pierś. Przez długą, ciągnącą się nieznośnie chwilę patrzyli na siebie.

A potem się uśmiechnął.

— Opróżnij kieszenie i zdejmij zegarek — polecił.

Zrobiła, jak kazał, wyciągając z kieszeni portfel i klucze od domu. Na jego rozkaz cisnęła je w krzaki.

Podszedł do niej i jedną ręką przeszukał ją szybko, sprawdzając, czy nic nie zostało. A potem otworzył bagażnik i wepchnął ją do środka, zatrzaszukując klapę.

Mimo niewygodnej skulonej pozycji, po raz pierwszy Tina poczuła autentyczną nadzieję. Zamierzał zachować ją przy życiu, przynajmniej na razie, a to dawało jej szansę. Popęłił także błąd: przeoczył zestaw wytrychów w tylnej kieszeni jej dżinsów i nie skrępował jej rąk. Natychmiast sięgnęła do tyłu, wyciągnęła je i schowała w skarpetce, gdzie jeszcze trudniej byłoby je odnaleźć. Wiedziała, że ukrywając wytrychy, bardzo ryzykuje i naraża się na gniew prześladowcy, ale uznała, że nadszedł czas na podjęcie ryzyka.

Długi czas samochód stał bez ruchu, silnik milczał. Tina zaczęła się już zastanawiać, czy mężczyzna po prostu jej tak nie zostawił. W końcu usłyszała, jak obok zatrzymuje się drugi wóz. Zaczęła tłuc pięścią w metalową klapę bagażnika i wrzeszczeć z całych sił, podniecona perspektywą wolności. Kiedy jednak bagażnik się otworzył, powitał ją znajomy widok mężczyzny z bronią.

Bez słowa wyciągnął ją na zewnątrz. Spytała, co się dzieje, ale kazał jej się zamknąć, a potem pchnął brutalnie do bagażnika nowego, ciemnego samochodu. Nim się zmieściła, musiała odsunąć na bok parę siatek z zakupami. Zaciekawilo ją, skąd właściwie wziął samochód. W parę minut później znów ruszyli naprzód.

Jadąc kolejnymi krętymi drogami, Tina pojęła wyraźnie, że mężczyzna, który ją porwał, to nie tylko socjopata, ale też człowiek niezwykle inteligentny, doskonale zaznajomiony z narzędziami dostępnymi policji i służącymi do tropienia ofiar porwań — stąd decyzja o pozbyciu się jej telefonu i samochodu. Były to złe wieści, nie tylko dla niej, ale też dla Jenny Brakspear, bo nie wątpiła, że facet brał udział także w tamtym uprowadzeniu.

Nie mogła natomiast zrozumieć, czemu zachował ją przy życiu.

— Po prostu bądź za to wdzięczna, dziewczyno — wyszeptała do siebie, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego znalazła się w takiej sytuacji. Zawsze uważała, że jej pragnienie samotnego załatwiania spraw i naginania przepisów wywodzi się z potrzeby sprawiedliwości, lecz kryło się w tym coś więcej. Jej odruchy miały w sobie element autodestrukcji, jakby kierowała nią potrzeba kuszenia losu, mimo świadomości, że w końcu się doigra.

Teraz jednak, gdy naprawdę groziło jej najgorsze, pojęła, niemal ze zdumieniem, że rozpaczliwie pragnie żyć. Pragnęła powrócić do szczęśliwszych dni, za którymi od dawna tęskniła. Leżąc przerażona i skulona niewygodnie obok toreb z zakupami, powtarzała sobie, że jeśli z tego wyjdzie, skończy z pićciem — zbyt długo dźwigała to brzemie — a może nawet rzuci pracę w policji i wyjedzie poznawać nowe miejsca. Do Ameryki Południowej albo Afryki.

Po pewnym czasie, który zdawał się trwać wieki, samochód zwolnił i mocno skręcił. Potem, po jakichś dalszych stu metrach, usłyszała zgrzyt żwiru pod kołami. W końcu się zatrzymali. Już wcześniej zrobili mniej więcej dziesięciominutowy postój, lecz tym razem instynkt podpowiadał jej, że dotarli do celu.

Usłyszała kroki na żwirze i stłumione głosy, a potem kłapa otworzyła się gwałtownie i mężczyzna z pistoletem wrzasnął, żeby zamknęła oczy, grożąc śmiercią w razie nieposłuszeństwa.

Nie zamierzała ryzykować. Zacisnęła powieki niczym dziecko bawiące się w chowanego, a porywacz naciągnął jej na głowę kaptur. Potem dwaj mężczyźni poprowadzili ją żwirową ścieżką, każdy trzymał ją pod rękę i ciągnął, musiała zatem poruszać się szybko. Przeszli przez kilkoro drzwi, potem wspięli się po schodach i za kolejnymi drzwiami pchnięto ją w końcu na krzesło.

W milczeniu skuli jej przeguby za oparciem i dokładnie, od szyi do brzucha, przykleili do krzesła rolką taśmy maskującej. Nie mogła nawet drgnąć i znów zaczęła tracić nadzieję. Nadal miała w skarpetce wytrychy, ale teraz w żaden sposób nie zdołałaby do nich sięgnąć.

Mężczyzna z bronią polecił koledze wyjść, w jego głosie zabrzmiała niebezpieczna gardłowa nuta. Potem ściągnął Tinie kaptur. Jego wargi wygięły się w uśmiechu, w wielkich oczach błyszczała nieskrywana żądza i Tina poczuła, jak serce ścisną jej się w piersi. W tym momencie zrozumiała, że sukinsyn mówił prawdę, kiedy oznajmił, że zamierza ją zabić.

Ale najwyraźniej najpierw chciał się zabawić.

35

Kiedy wrócili do jaguara, wyjaśnwszy niezręcznie nadkomisarz Miller, że szukają Tiny Boyd, Mike Bolt głęboko odetchnął.

— Mówię ci, Mo, czasami ta praca mnie wykańcza.

— Jak nas wszystkich, szefie. Dobrze wiesz.

Mo odwrócił się i Bolt ujrzał bruzdy napięcia na jego twarzy. On też ciężko to przeżył.

— Wiesz, nie widziałem jej od ponad roku, ale gdyby to była ona, chybabym się załamał. Dotąd nie miałem pojęcia, że tak bardzo na mnie działa.

— Ale to przecież nie była Tina, prawda? Dobry znak. Musisz tak na to patrzeć, szefie. Skupiać się na pozytywach. Nie tracić wiary.

— Ale gdzie ona jest, do diabła? — Bolt wyjrzał przez okno na drzewa.

Prawda była taka, że skończyły im się tropy. Sfotografowany przez Tinę land cruiser zniknął z radaru ARNR; ostatnio widziano go pięćdziesiąt kilometrów od Essex, a teraz Tina także zniknęła. Pozostała tylko anonimowa kobieta, na oko zastrzelona przez zawodowca, najpewniej samego Haka — i Bolt domyślał się, dlaczego: aby porwać jej samochód, maksymalnie utrudniając pościg. Jak zawsze wyprzedzał ich o krok.

— Nie przestaniemy jej szukać — oznajmił w końcu Mo znużonym głosem. — Oczywiście, że nie przestaniemy. Ale nie

wydaje mi się, abyśmy dziś wieczór działali coś jeszcze.

Bolt przytaknął. Mo miał rację. W tej chwili niewiele mogli zrobić. Cała angielska policja została postawiona w stan gotowości, teraz pozostawało tylko czekać. Bez słowa uruchomił silnik i skręcił na szosę. Lecz po zaledwie paru minutach rozdzwoniła się jego komórka.

— Kto to? — spytał Mo, gdy Bolt podniósł aparat i sprawdził ekranik.

Mike zmarszczył brwi.

— Mój stary informator. Drobny kanciarz. Nazywa się Maxwell.

36

Kiedy się zbudziłem, nie miałem pojęcia, gdzie jestem. A potem zobaczyłem pusty fotel naprzeciwko i stół z do połowy wypełnioną popielniczką oraz butelki po peroni i przypomniałem sobie: u Maxwella.

Usiadłem, trąc ręką oczy. W salonie paliło się światło, zasłony były zaciągnięte, ale wiedziałem, że na dworze zrobiło się już ciemno. Zerknąłem na zegarek. Dwadzieścia po dziesiątej. Spałem co najmniej godzinę, może dłużej. Wstałem z fotela. Drzwi do kuchni były zamknięte, słyszałem jednak Maxwella. Musiałem się napić wody, a potem położyć do łóżka.

Zdażyłem jednak postąpić tylko krok, gdy drzwi się otworzyły i z nagłą, najczystsza grozą uświadomiłem sobie, że to nie Maxwell.

— Witam ponownie. — Irlandczyk wszedł do pokoju, unosząc przed sobą pistolet z tłumikiem.

Miał na sobie czarny kombinezon ochronny i czarne gumki, okrągłe jak spodki oczy mroziły gniewnym chłodem.

Żołądek zabołał mnie gwałtownie, miałem wrażenie, że nogi ugną się zaraz, nie utrzymując mojego ciężaru. Wszystkie optymistyczne myśli o tym, że nie ustąpię, póki nie znajde Jenny, że stawię czoło ludziom, którzy mnie ścigali — tak atrakcyjne, gdy siedziałem wygodnie w domku Maxwella z dużym piwem w dłoni — zamieniły się w pył i ponownie stałem

się tym czym zawsze: przerażonym facetem, który sam nie wie, w co się wpakował.

Nie myślałem nawet o ucieczce. Nie było sensu. Tkwiłem w pułapce. Próbowałem coś powiedzieć, coś, co mogłoby go powstrzymać przed zrobieniem tego, co zamierzał, ale nic nie przyszło mi do głowy.

— Czyżbyś mi nie uwierzył, kiedy powiedziałem, że cię zabiję, jeżeli będziesz kontynuował swoje głupie wybryki? — W szorstkim głosie Irlandczyka dźwięczało niedowierzanie z powodu tak porażającej głupoty.

I w istocie miał rację, byłem głupi, beznadziejnie głupi, że w ogóle się w to wplątałem. W tej chwili przeklinałem Jenny Brakspear. I przeklinałem Maxwella. Nie mogłem uwierzyć, że mnie tak zdradził. Wiedziałem, że nie jest najuczciwszym gościem na świecie, ale mu ufałem.

— Teraz nadszedł czas zapłacić za to, co zrobiłeś — oznajmił morderca, chwytając mnie mocno i popychając kolbą pistoletu do kuchni.

Kiedy przekroczyłem próg, poczułem zapach rosołu. Zobaczyłem Maxwella w towarzystwie drugiego porywacza, wielkoluda o ogolonej głowie. Obaj stali zwrócenii do mnie tyłem i mimo przerażenia ogarnęła mnie wściekłość.

— O co chodzi, Maxwell? Nie możesz nawet na mnie spojrzeć, ty wredny zdrajco?

Maxwell i Łysa Pała obrócili się niemal jednocześnie i wtedy pojąłem, że Maxwell wcale w tym nie uczestniczył. Twarz miał zakrwawioną, nad okiem dostrzegłem głęboką ranę. Szyję ciasno okalał sznur, od którego oczy wychodziły mu z orbit. Łysa Pała trzymał jeden jego koniec w dłoni w rękawiczce, w drugiej dzierzył pistolet, przyciśnięty mocno do boku Maxwella. Gospodarz, który obok oprawcy wydawał się niski niczym karzełek, wyglądał dokładnie tak jak ja: śmiertelnie przerażony. Nie próbował nawet ukryć strachu, a to bardziej niż cokolwiek

innego unicestwiło resztki nadziei, jaką jeszcze czułem. Skoro ci ludzie potrafili pokonać nawet takiego twardego sukinsyna, to jaką ja miałem szansę?

— No dobra, idziemy — rzucił niecierpliwie Irlandczyk.

Łysa Pała przytaknął i pociągnął Maxwella do przedpokoju. Irlandczyk pchnął mnie w jego ślady.

Wyraźnie wiedzieli, dokąd zmierzają, bo przeprowadzili nas przez przedpokój do tylnych drzwi. Zdziwiłem się, czemu wybrali tę stronę. Mieścił się tam jedynie ukochany warzywnik Maxwella.

Odpowiedź stała się oczywista, gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz: Irlandczyk podniósł dwa oparte o drzwi szpadle i wręczył nam po jednym.

Z szaleńczo tłukącym się w piersi sercem ująłem łopatę, patrząc, jak Maxwell bierze drugą. Potem usłyszałem, jak jęczy — on także wiedział, do czego nas teraz zmuszą.

Nie potrafię nawet opisać strachu, który poczułem. Był absolutny i wszechogarniający. Życie nie przebiegło mi przed oczami, nic z tych rzeczy. Pamiętam tylko absolutną, niewzruszoną pewność, że to już koniec, że wkrótce nastanie czarna pustka. Pożałowałem, że nie jestem religijny, bo wówczas mógłbym uczepić się nadziei na zbawienie, ale nie wierzyłem w Boga od czasów dzieciństwa, a śmierć zawsze wydawała mi się zbyt odległą, by się nad nią zastanawiać.

Teraz jednak... teraz stała u mego boku.

Idąc przez niewielki, lecz starannie utrzymany trawnik Maxwella, poczułem, jak kręci mi się w głowie. Zacząłem upadać, lecz lufa pistoletu Irlandczyka wbiła mi się w kręgosłup, zmuszając mnie do dalszego marszu. Wyprostowałem się, rozpaczliwie pragnąc jak najbardziej opóźnić nieuniknione, i szedłem dalej.

Ogródek warzywny Maxwella był rozmiarów trawnika, tyle że dzieliła go na pół ścieżka biegnąca do granicy działki i dalej

do lasu. Szliśmy nią w martwej ciszy, aż w końcu znaleźliśmy się na miękkiej ziemi, naprzeciw linii drzew. Noc była ciepła i cicha, poczułem na głowie pierwsze krople lekkiego deszczu. Przełknąłem ślinę i zamarłem, patrząc tępo między sosny, nie zwracając uwagi na Maxwella. Ani na nic innego.

Irlandczyk stanął obok nas, natomiast Łysa Pała pozostał na ścieżce i wyciągnął z kieszeni latarkę. Poświecił na moją twarz i wydało mi się, że słyszę, jak prycha. Miałem wrażenie, że zaraz puszcza mi zwieracze, zacisnąłem pośladki, nie chcąc do końca się poniżyć w ostatniej chwili życia.

— Czas zacząć kopać, panowie. — W głosie Irlandczyka dźwięczała szczerą radość.

Nie zawahałem się, nacisnąłem stopą szpadel z większą siłą, niż się spodziewałem, i uniosłem w górę łopatę pełną piachu. Kątem oka zobaczyłem, że Maxwell nawet nie drgnął, i poczułem nagłą iskrę nadziei. Czyżby zamierzał coś zrobić? Coś, co nas ocali?

I wtedy przemówił.

— Posłuchaj, brachu, proszę, ja nie mam z tym nic wspólnego. To jego chcecie. Ja nic nie wiem. Przyjechał tu dziś na drinka, to wszystko.

— Wiesz, że wkrótce umrzesz. — Irlandczyk zwracał się teraz do Maxwella, mówił spokojnym, rozsądnym tonem. — Istnieją jednak różne rodzaje śmierci. Może być szybka i względnie bezbolesna. Albo długa i pełna cierpienia — podkreślił ostatnie słowo, wymawiając je niemal żartobliwie. — Możesz sam wybrać rodzaj, uwierz mi jednak, że jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci każę, nim z tobą skończę, będziesz błagał, abym cię zabił.

Do Maxwella w końcu dotarły jego słowa. Zaczął kopać.

I tak kopaliśmy razem. Kopaliśmy własne groby. W moich żyłach krążyła adrenalina, deszcz padał coraz mocniej. Byłem przerażony, lecz sama czynność wbijania łopaty w ziemię

dawała mi coś, na czym mogłem się skupić, i choć wiedziałem, że chwila, gdy skończę, oznaczać będzie także mój koniec, kopałem dalej, jeszcze przyspieszając, jakbym skupił na tym zadaniu cały swój strach i bezsilność. Zupełnie jakbym chciał mieć pewność, że ostatnią rzecz, jaką zrobię na tym świecie, wykonam jak najlepiej, by móc odejść z wysoko podniesioną głową.

— Jak się nazywasz, przyjacielu? — spytał Maxwella Irlandczyk, gdy jego dziura była gotowa w połowie, a moja w dwóch trzecich. Płytką, lecz niemal dość długa, bym się w niej zmieścił. Wyobraziłem sobie, jak tam leżę z kulą w tyle głowy, a deszcz bębni o moje zwłoki. Zwłoki, które nigdy nie zostaną odnalezione ani opłakane przez dwie osoby, na których zależało mi najbardziej na świecie: Yvonne i Chloe.

— Mówią mi Maxwell — odparł bezbarwnym tonem.

— To twoje prawdziwe imię?

Tym razem się nie zawahał.

— Nie — odrzekł. — Nazywam się Harvey Hammond.

O mało nie roześmiałem się w głos. Harvey Hammond. Co to niby za imię? Jak można być gangsterem, mając na imię Harvey? Powoli zacząłem pojmować, że człowiek, którego burzliwą przeszłość zamierzałem opisać, mógł nie być wcale takim twardzielem, jak sądziłem.

— I co dokładnie powiedział panu Fallon, panie Hammond?

Kątem oka ujrzałem Maxwella, Harveya czy jak mu tam było, do diabła. Przestał kopać i spojrzał prosto przed siebie, obracając się w stronę Irlandczyka.

— Wszystko — rzekł, uznawszy bez wątpienia, że tamten i tak mu nie uwierzy, jeśli skłamię. — Ale daję słowo, nie ma mowy, żebym komukolwiek o tym, kurwa, wspomniał. Nie jestem taki. Nie mieszam się w sprawy, które mnie nie dotyczą. I wolałbym umrzeć, niż gadać z glinami. Przez całe życie niczego im nie zdradziłem. Słowo. — Otarł deszcz z oczu,

widziałem, jak trzęsą mu się ramiona. — Proszę — wyszeptał — to jego chciecie. Nie mnie. Będę siedział cicho. Ani słowa. Przyrzekam. — A potem głośniej, niemal z jękiem. — Przyrzekam, kurwa.

W tym momencie zrozumiałem, że płacze. Szlocha cicho. I pożałowałem go, nie mogłem nic na to poradzić, choć próbowałem ich przekonać, by zabili nie jego, ale mnie.

Kopałem dalej, wbijając wzrok w mokrą dziurę w ziemi, w której stałem. Próbowałem nie rzucać się w oczy, pozwalając, by cała uwaga porywaczy skupiła się na Maxwellu. Nie musiałem patrzeć, by wiedzieć, że Irlandczyk uniósł broń i szykuje się, aby go zabić.

— Proszę — błagał Maxwell. Maxwell, ponury twarzą z blizną na twarzy. Maxwell, który nigdy niczym się nie przejmował. Maxwell, który teraz dygotał i trząsał się niczym zmoczony kociak. — Błagam, nie zabijajcie mnie. Nic nie powiem. Przysięgam. Przysięgam, kurwa.

— Odwróć się — polecił Irlandczyk. — W stronę drzew.

Maxwell wydał z siebie cichy, jękliwy dźwięk. Nawet nie drgnął. Zacisnąłem zęby, kopiąc szaleńczo i nie zważając na pieczenie bicepsów. Na próżno usiłowałem się wyłączyć, niczego nie dostrzegać.

Usłyszałem dźwięk przypominający wystrzał korka szampana, ledwie słyszalny w szumie deszczu. Pod Maxwellem ugięły się nogi. Usiadł gwałtownie na ziemi i tak pozostał. Jego pomarszczona twarz wykrzywiła się w maskę bólu, mięsiste dłonie ścisnęły zranione kolano.

Irlandczyk postąpił dwa kroki naprzód, zatrzymał się tuż przed Maxwellem, kierując dymiącą lufę prosto w jego głowę.

Przestałem kopać, wyprostowałem się, nie odrywając wzroku od rozgrywającej się przede mną sceny.

Maxwell spojrział z dołu na swego kata. Przez moment na jego twarzy pojawił się nagły spokój, gdy pogodził się z

nieuniknionym. A potem, z kolejnym pyknięciem, z tyłu jego głowy wytrysnęła strużka krwi, gdy kula trafiła go w twarz. Niewiarygodnie długą chwilę pozostał bez ruchu, potem upadł do tyłu. Wciąż miał otwarte oczy. W błocie obok mnie wylądowała łuska, tymczasem Irlandczyk od niechcienia wpackował w jego ciało jeszcze dwie kulki. Maxwell zadygotał gwałtownie, uniósł bezsensownie rękę w powietrze, a potem jego pięść wylądowała w rozmokłej ziemi i znieruchomiał.

Irlandczyk odwrócił się ku mnie z szerokim uśmiechem. Ledwie zerknął na dziurę, którą wykopałem, najwyraźniej uznawszy, że wystarczy. Uniósł pistolet, tak że koniec dymiącej lufy celował mi dokładnie między oczy.

— Cóż, przyjacielu, teraz twoja kolej. To samo, co wcześniej. Mogę to zrobić szybko albo powoli. Bądź ze mną szczerzy. Oprócz pani Boyd, czy wspominałeś jeszcze komuś o panie Brakspear?

Wiedziałem, że jeśli mu odpowiem, zginę. Jeśli nie odpowiem, dostanę kulkę w kolano jak Maxwell i pewnie coś jeszcze gorszego. Tak czy inaczej, moje życie dobiegło końca i przez kilka sekund nie mogłem wydać z siebie dźwięku. Po prostu patrzyłem na niego, nie odrywając wzroku od ciała Maxwella, krwawiącego w płytkim grobie, świadom, że po nodze spływa mi ciepła strużka moczu. Rozpaczliwie szukałem choćby cienia litości w owych zimnych, bezwzględnych oczach, wiedząc, że go nie znajdę. Nadal jednak szukałem, bo w końcu pozostaje tylko resztką nadziei, gdy rozpaczliwie szukamy jakiegokolwiek szansy pozostania przy życiu choćby tylko chwilę.

Ponury wybór. Zdradzić Dorna i cieszyć się jeszcze kilkoma cennymi sekundami, choć ostateczny efekt będzie ten sam. Albo nie powiedzieć ani słowa i natychmiast wylądować w grobie.

— Mów — rzekł, opuszczając pistolet tak, że celował mi w kolano.

Otworzyłem usta. Kompletnie mi w nich zaschło. Z trudem zwalczałem pragnienie wydania Dorna i pozostania jeszcze chwilę przy życiu.

W tym momencie jednak Irlandczyk odwrócił głowę w stronę domku. Ja też to zrobiłem, bo również coś usłyszałem. Odgłos samochodu skręcającego na podjazd. Jego reflektory oświetliły las. Wóz się zatrzymał. Dokładnie przed domkiem. Usłyszałem szczęk otwieranych drzwi. I w tym momencie wyrwałem się z kamiennego transu i z gniewnym okrzykiem cisnąłem szpadel w człowieka, który miał mnie zabić.

37

Nie sprawdziłem nawet, jak zareagował mój niedoszły zabójca. Zauważyłem tylko, że szpadel trafił go gdzieś w brzuch, gdy wciąż stał odwrócony, usłyszałem, jak sapnął ze zdumieniem, ja jednak tymczasem pędziłem już w stronę drzew, bryzgając dokoła błotem, wiedząc, że od zbawienia dzieli mnie niecały metr.

Na wpół zanurkowałem, na wpół wślizgnąłem się między pnie, przeturlałem po sosnowych szpilkach i zerwałem na nogi. Za sobą usłyszałem stłumione pyknięcie strzału, a potem odgłos warkniętych rozkazów i pościgu.

Czując wolność, niesiony nagłym wyrzutem adrenaliny, wbiegłem w czekającą ciemność, nie zważając na gałęzie, które drapały mi skórę. Raz jeden potknąłem się i o mało nie upadłem, lecz siła rozpędu połączona z rozpaczliwą, upajającą wolą życia, niosła mnie naprzód.

Promień potężnej latarki poruszał się miarowym lukiem wśród wilgotnych liści, próbując mnie odszukać, a gdy skręciłem, by go uniknąć, kula z pistoletu przeleciała z sykiem obok mojej głowy i wbiła się w sosnowy pień tuż przede mną, pozostawiając małą okrągłą dziurkę i wąską smużkę dymu. Poczulem zapach kordytu i próbowałem przyspieszyć, lecz nogi nie były w stanie poruszać się szybciej, a płuca bolały z wysiłku. Nie byłem w dobrej formie i zaczynałem to odczuwać. Wiedziałem jednak bez cienia wątpliwości, że mężczyźni, którzy

mnie ścigają, są znacznie sprawniejsi, toteż albo będę biegł dalej, albo zginę.

Nagle bez ostrzeżenia grunt pod moimi stopami po prostu zniknął i nim się zorientowałem, spadałem w dół zbocza. Raz jeden przekoziołkowałem, uderzając głową o coś twardego, a potem znalazłem się w wodzie. Podniosłem się szybko, odkryłem, że stoję po kolana w płytkim strumieniu, i popędziłem dalej, wdrapując się na przeciwległy stromy brzeg. Kiedy dotarłem na szczyt, głośno chwytając powietrze i mrugając, aby przegnać krople deszczu z oczu, po raz pierwszy odważyłem się spojrzeć przez ramię.

I zobaczyłem go tam. Stał w ciemności na przeciwległym brzegu strumienia, zaledwie dwadzieścia metrów ode mnie. Twarz wściekłego wilka wykrzywiła się lekko w miejscu, gdzie oberwał, przed sobą oburącz trzymał pistolet, celując.

W chwili, gdy wypalił, zanurkowałem naprzód w błoto, próbując stać się możliwie najmniejszym celem. Kula przeleciała gdzieś nade mną, a ja zacząłem czułgać się po wojskowemu na brzuchu, póki nie znalazłem się pod osłoną drzew. Wówczas znów wstałem i puściłem się biegiem. Za sobą słyszałem plusk wody w strumieniu — mój prześladowca nie ustawał w pościgu.

Czułem ogromną pokusę, by przykucnąć i ukryć się w gęstym poszyciu. Wiedziałem, że odnalezienie mnie tam byłoby niezmiernie trudne, lecz instynkt upierał się, że najlepszą szansę przetrwania daje mi oderwanie się od nich i dotarcie do cywilizacji.

Z trudem chwytałem oddech — miałem wrażenie, że zaraz eksplodują mi płuca — lecz nogi jakimś cudem wciąż się poruszały i przebyłem kolejnych pięćdziesiąt metrów, nim w końcu ujrzałem szczelinę między drzewami. Odgłosy pościgu ucichły, nagle ogarnęła mnie upajająca radość. Najwidoczniej

moi prześladowcy zrezygnowali, uznawszy, że zbyt trudno mnie zabić.

Prześwit między drzewami zamienił się w cichą wiejską drogę, po lewej stronie wznosił się wysoki żywopłot nie do przebycia. Kiedy wybiegłem na środek, zobaczyłem światła domów jakieś sto metrów dalej.

Wolność. Wiedziałem, że gdy tylko tam dotrę, będę bezpieczny. I tym razem udam się wprost na policję, nieważne czy mi uwierzą, czy nie.

Lecz sto metrów to bardzo daleko, kiedy boli nas każdy mięsień w ciele, a oddech staje się płytki i bolesny.

I kiedy ściga nas dwóch facetów z bronią.

Po prawej dostrzegłem błysk latarki wśród drzew, lecz tym razem dalej z przodu, pomiędzy mną a domami. Skurwiele próbowali odciąć mi drogę.

Znów wystartowałem, wymachując rękami, krokiem niewiele szybszym od wyczerpanego pijackiego zataczania się.

Sto metrów. Osiemdziesiąt. Pięćdziesiąt. Promień latarki zniknął i gdy pokonałem lekki zakręt, ujrzałem na jednym z budynków czerwony pubowy szyld. Wewnątrz płonęły wszystkie światła, a obok parkowało kilka samochodów. Deszcz padał coraz słabiej.

Trzydzieści metrów. Dwadzieścia. Słyszałem już brzęk szklanek, cudowny gwar głosów. Bezpieczeństwo.

Drzwi pubu otworzyły się i ze środka wyszedł mężczyzna w średnim wieku, odwrócił głowę, by raz jeszcze pożegnać się z kumplami w środku.

— Pomóż mi — zdołałem krzyknąć, każde słowo sprawiało mi fizyczny ból. Jeszcze dziesięć metrów. — Proszę, pomóż!

Kiedy odwrócił się w moją stronę, nadal się uśmiechał. Ja także. Nigdy w życiu nie ucieszył mnie tak niczyj widok. Stanąc

tak blisko śmierci i dostać drugą szansę życia to najśłodsza, najbardziej niewiarygodna nagroda.

Kula trafiła go w oko ze złowieszczym sykiem, krew bryzgnęła na okno pubu. Pełną sekundę chwiał się na nogach z wyrazem zaskoczenia na twarzy, a potem stracił równowagę na stopniu i runął na ziemię. Jego głowa z gniewnym łoskotem rąbnęła o chodnik.

Zatrzymałem się, nagle tracąc wszelką nadzieję, i obróciłem powoli.

Irlandczyk stał dwadzieścia metrów ode mnie. Unosił broń, celując wprost we mnie.

O dziwo, niczego nie czułem.. Chyba byłem zbyt wykończony. Próbowałem wszystkiego. Zrobiłem, co tylko mogłem, i w ostatecznym rozrachunku okazało się, że to za mało.

I wtedy rozległ się ryk, coraz bliższy i bliższy. Irlandczyka zalała nagle fala światła z reflektorów.

Samochód. Zbliżał się szybko, w poślizgu.

Odruchowo obróciłem się mu na spotkanie, oślepiony światłami. Jechał wprost na mnie i w ostatniej sekundzie uświadomiłem sobie, że stoję na środku drogi, a potem leciałem w powietrzu, niczym szalenciec wymachując rękami i nogami. Ujrzałem, jak ziemia wychodzi mi na powitanie.

A potem bum.

Nic.

38

Mike Bolt zbyt szybko pokonał zakręt. Miał po temu mnóstwo powodów: było ciemno, padał deszcz, jechał nieznaną, krętą, wąską drogą i co najważniejsze, bardzo się spieszył.

Nacisnął gwałtownie hamulec, rejestrując, jak Mo Khan przyciska rękę do deski rozdzielczej, by nie stracić równowagi. Jednocześnie wykrzykiwał przez radio wezwania wsparcia. Samochód zdążył już wpaść w poślizg. Bolt ostro zakręcił kierownicą, usiłując wyprostować koła, nim uderzy w wyrastający przed nimi dom. Minął go o włos, lecz koła się zablokowały i na moment stracił panowanie nad wozem, sunącym szybko śliską od deszczu drogą. Pomiędzy gorączkowo pracującymi wycieraczkami pojawił się czerwony szyld pubu i nagle Mo wrzasnął, niemal go ogłuszając.

— Szefie! Uważaj!

Na drodze, dokładnie naprzeciw nich, stał jakiś facet. Sparaliżowany niczym spłoszona sama.

Dzięki naciskowi na hamulce samochód już zwalniał, ale nie dość szybko. Bolt widział strach na twarzy tamtego, widział, jak jego oczy się rozszerzyły. Rozpoznał go: to był Rob Fallon, którego zdjęcie oglądał wcześniej na komendzie i z którym przyjechał się spotkać u Maxwella, jedyna osoba, która mogła im pomóc odnaleźć Tinę.

A potem rozległ się huk i uderzyli w niego.

Fallon przeleciał nad maską, całym ciałem rąbnął o przednią szybę, która pękła, odbił się i zniknął w ciemności.

Opony zapiszczały, samochód zakołysał się i wreszcie zatrzymał. Dwaj mężczyźni polecili do przodu w pasach, Bolt o mało nie uderzył głową o szybę.

I wtedy pośród deszczu dostrzegł kolejną postać stojącą na drodze, zaledwie parę metrów dalej. To był mężczyzna, lecz Bolt nie zdołał mu się przyjrzeć, bo tamten celował do nich z pistoletu.

— Padnij! — krzyknął, szarpiąc Mo za kołnierzyk i nurkując za kierownicą.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i kula przeleciała ze świstem przez samochód, po czym z kolejnym trzaskiem przebiła tylną szybę.

Trzymając głowę poniżej poziomu okna, Bolt gwałtownie dodał gazu. Jaguar skoczył do przodu. Kolejne dwa pociski, jeden po drugim, uderzyły o szybę, oba chybiły celu. A potem kątem oka Bolt zobaczył, jak strzelec uskakuje na bok, gdy go mijali, i znika. Uniósł głowę ponad kierownicę, zobaczył, jak tamten biegnie w stronę drzew, próbował jednak zrobić zbyt wiele rzeczy naraz i nim zdążył skrócić w pościgu, jaguar pokonał nasyp na poboczu, wbił się w żywopłot i zatrzymał pod kątem czterdziestu pięciu stopni do jezdni.

Przez chwilę Bolt siedział bez ruchu, zbyt wstrząśnięty, by cokolwiek powiedzieć. Zaledwie pięć minut wcześniej jechał do domu informatora, żeby sprawdzić otrzymany cynk. Od tej pory zdążył odkryć jego trupa, wdać się w szalony pościg za zabójcami, przejechać Roba Fallona, najpewniej skasować drugi samochód w ciągu roku i o włos uniknąć śmierci.

Ale teraz nie miał czasu, by rozmyślać o tym wszystkim. Wstrząśnięty, lecz cały i zdrowy, wyskoczył z wozu i ukrywając się za drzwiami, przebiegł wzrokiem linię drzew w poszukiwaniu Strzelca. Po raz pierwszy zastanowił się, czy to

aby nie Hak. Bo jeśli tak i gdyby zdołali go złapać, być może dowiedzieliby się, co się stało z Tiną.

Tamten jednak wyraźnie zniknął.

Bolt zająrzył z powrotem do samochodu.

— Nic ci nie jest? — spytał Mo Khana, który macał po podłodze w poszukiwaniu radia.

— Wszystko super — odparł Mo, a jego gęsta, siwiejąca czupryna zjeżyła się wyraźnie i wyglądał, jakby zobaczył ducha. — Chyba uratowałeś mi skórę.

Wskazał ręką jedną z dziur po pociskach z lewej strony szyby. Znajdowała się dokładnie na wysokości fotela pasażera.

Bolt nie miał czasu zareagować na wdzięczność, którą usłyszał w głosie kolegi.

— Znajdź to radio i powiedz im, żeby jak najszybciej ściągnęli tu wsparcie z helikopterem. Musimy odnaleźć tego Strzelca. I wezwij karetkę, migiem. Ja sprawdzę ofiarę.

Pozostawiając Mo w samochodzie, pobiegł z powrotem w stronę pubu. Adrenalinowe podniecenie tłumiała świadomość, że właśnie przejechał jedyne go człowieka, z którym rozpaczliwie musieli porozmawiać.

Przed pubem zebrał się tłumek — kilkanaście osób, głównie mężczyzn. Większość po prostu kręciła się bez celu, nie pojmując, co się właśnie zdarzyło, lecz jeden pochylał się obok leżącego na ziemi mężczyzny, z coraz większą desperacją próbując przeprowadzić masaż serca.

Bolt poczuł, jak ściska mu się serce. Z pewnością nie zabił Fallona. To byłaby doprawdy przeraźliwa ironia losu.

Jeden z miejscowych zauważył go.

— To on, on go przejechał! — krzyknął donośnie, z akcentem wyższej klasy, jego głos rozszedł się echem po całej ulicy.

Bolt wyciągnął legitymację i pomachał nią przed grupą.

— Jestem policjantem! — zawołał tonem tak władczym, jak tylko potrafił. Wiedział, że musi natychmiast opanować sytuację. — Proszę się odsunąć.

Tłumek rozstąpił się lekko, przepuszczając go, choć słyszał za plecami gniewne pomruki.

— Nie żyje — oznajmił mężczyzna od masażu serca, unosząc głowę w chwili, gdy Bolt stanął obok niego. Na jego twarzy odbijało się głębokie niedowierzanie. — Jim nie żyje.

Bolt popatrzył na leżącego i poczuł nagłą ulgę, zabarwioną poczuciem winy. Jim okazał się dobrze zbudowanym facetem po pięćdziesiątce, w kraciastej koszuli i sztruksowej kamizelce. W miejscu prawego oka ziała czarna dziura w kształcie monety.

— Tego człowieka zastrzelono — stwierdził stanowczo, tak by wszyscy go usłyszeli. — Za parę minut będzie tu karetka. W tej chwili próbujemy odnaleźć zabójcę, lecz niedaleko leży druga ofiara.

A potem, otarłszy twarz z deszczu, przecisnął się przez zebranych, szukając Fallona, modląc się, by nic mu nie było.

Znalazł go leżącego w wąskiej uliczce tuż obok pubu. Spoczywał na boku w pozycji płodowej, nie ruszał się.

Klnąc pod nosem, Bolt przykucnął obok niego, macając w poszukiwaniu pulsu.

— Panie Fallon, Rob... Słyszysz mnie?

W dali zaczęły zawodzić syreny, przybywające z różnych stron.

Fallon jęknął. Krwawił z ust, ale puls miał mocny. Powoli jego powieki się uniosły, przekręcił się tak, że patrzył na Bolta z oszołomioną, wstrząśniętą miną. Nad okiem miał ranę, z której spływały po policzku krwawe łyzy, rozciął też sobie głowę.

— Już dobrze, Rob, nic ci nie grozi. Jestem policjantem, karetka już tu jedzie. — Pokazał mu legitymację. — Możesz

mówić? — spytał, świadom że syreny się zbliżają i że ma tylko chwilę, by porozmawiać z Fallonem, nim zabiorą go do szpitala.

— Tak — odparł słabo Fallon. — Mogę mówić. Ale chyba złamałem rękę.

Bolt popatrzył niżej. Prawa ręka Fallona, przygnieciona ciężarem jego ciała, była wygięta pod nieprzyjemnym kątem.

— Lekarze to naprawią. Ale muszę się dowiedzieć czegoś o Tinie Boyd. Masz jakieś pojęcie, gdzie jest? Próbujemy ją znaleźć.

Fallon zdołał lekko pokręcić głową.

— Nie. Wcześniej też próbowałem się z nią skontaktować.

— Byłeś z nią wcześniej w kontakcie?

— Tak.

— Gdzie była, kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś?

Fallon skrzywił się z bólu.

— Przed mieszkaniem portiera. Johna Gentlemana.

— Portiera?

— Tego od Jenny. Jenny Brakspear. — Fallon spróbował usiąść, bez powodzenia. — Posłuchaj, musicie ją znaleźć. Ten Irlandczyk, facet z bronią... chyba ją dorwał.

Zaczął mówić coś jeszcze, lecz jego słowa zagłuszyły wyjące syreny. Pierwsze pojazdy wezwanego wsparcia zatrzymywały się na drodze za nimi.

Pośród hałasu Bolt powtórzył Fallonowi, że nic mu nie będzie, i uściśnął jego zdrową rękę. Lecz w głowie czuł zamęt.

Gdzie do diabła podziewała się Tina Boyd?

39

Kiedy telefon w jego lewej kieszeni zaczął wibrować, mężczyzna w kremowym garniturze przeprosił zabawianych wcześniej rozmową burmistrza i jego żonę — kobietę wielką jak góra, zdolną samodzielnie pochłonąć dwa talerze kanapek — i manewrując pomiędzy gośćmi, przeszedł wzdłuż basenu na brukowane stopnie prowadzące na plażę.

— Skąd dzwonisz? — spytał ostro, oddalając się piaszczystym wybrzeżem od przyjęcia.

— Z budki — odparł człowiek, którego znał wyłącznie jako Haka. — Mamy problem. Świadek, o którym panu mówiłem. Fallon. Nie załatwiliśmy go.

Mężczyzna w kremowym garniturze syknął przez zęby. Zawsze wydawał z siebie ten dźwięk na znak gniewu bądź frustracji. W tym wypadku w grę wchodziło jedno i drugie.

— Zdawało mi się, że poleciłem wyraźnie, abyście się go pozbyli.

— Istotnie, ale zdołał nam uniknąć.

— Gdybyście załatwili go na początku, tak jak chciałem, teraz nie mielibyśmy tego problemu. Obecnie Fallon stanowi poważne zagrożenie dla całej operacji. Chcę, żeby zginął. Skupcie się na tym.

— Za późno. Jest w rękach policji.

Mężczyzna w kremowym garniturze syknął ponownie.

— Nie mogę sobie pozwolić na problemy w tej sprawie. Zbyt wiele od niej zależy. I ty także. Z pewnością nie muszę ci przypominać o dwóch milionach, które dostaniesz, pod warunkiem że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jeśli Fallon zacznie mówić, tak się nie stanie.

— Jest ranny. Nie mam pewności, jak ciężko, ale uderzył go rozpedzony samochód i wyrzucił w powietrze. Widziałem to. Możliwe nawet, że nie żyje.

— Byłoby miło, ale nie możemy pozostawić tej sprawy przypadkowi. Dasz radę dostać się do niego w szpitalu?

— Możliwe, ale ryzyko jest duże.

— Zdawało mi się, że niełatwo pana wystraszyć, panie Haku.

— Owszem, ale nie jestem też głupcem. Dlatego wciąż żyję.

Mężczyzna w kremowym garniturze zastanowił się chwilę, czy nie nacisnąć mocniej, ale uznał, że nie warto. Przywykł, że wszyscy go słuchają, ale był pragmatykiem, wiedział, że Hak ma rację.

— Postaraj się. Jesteśmy już blisko i teraz nie możemy pozwolić sobie na żadne potknięcia. Zbyt wiele od tego zależy. Ile potrwa, nim dostaniemy towar?

— To kwestia godzin. Gdy tylko dotrze, nikt nie zdoła nas powstrzymać.

— Zatem wszystko jest gotowe?

— Absolutnie.

— Doskonale. Zabij Fallona. Będę spał lepiej, wiedząc, że nie żyje. I informuj mnie o dalszych postępach.

Rozłączył się i zatrzymał, obserwując łowiące kalmary łodzie na horyzoncie.

Jak zawsze w życiu, i tu pojawiły się komplikacje, lecz mężczyzna w kremowym garniturze nie należał do ludzi, którzy mają w zwyczaju się zamartwiać. Z natury był hazardzistą. Po prostu tym razem grał o większą stawkę. Nawet gdyby się nie

powiodło, wciąż pozostanie chroniony przed reperkusjami, bo był także mistrzem w zacieraniu śladów.

Wróciwszy na przyjęcie, usłyszał piskliwy, fałszywie arystokratyczny śmiech swojej żony, zagłuszający szmer głosów. Rozmawiała właśnie z dwoma facetami w średnim wieku, obaj mieli na sobie garnitury. Jeden z nich gapił się bezwstydnie na jej nowe cycki. Przyjęcie stanowiło jej pomysł. Charmaine uwielbiała odgrywać serdeczną gospodynię, a mężczyzna w kremowym garniturze chętnie się na to zgadzał. Była użyteczną przykrywką i niczym więcej. Tak naprawdę interesowało go znacznie młodsze towarzystwo i aby zaspokoić swe upodobania, zwykł wyjeżdżać daleko, do Phnom Penh, Sajgonu i Manili.

Charmaine zauważyła go w chwili, gdy brał kieliszek kruga od jednej z kelnerek, i obdarzyła kosztownym uśmiechem.

— Mój drogi, gdzieś się podziewał? Chciałam cię przedstawić paru przyjaciołom. To jest Mohammed. — Wskazała gościa zagapionego w jej dekolt — a to Atul. Zajmują się importem-eksportem.

Mężczyzna w kremowym garniturze podszedł do nich i po kolei uściskał im dłonie.

— Paul Wise — przedstawił się, także błyskając w uśmiechu zębami. — Bardzo mi miło poznać.

W wiosce komórki miały zasięg tak słaby, że prawie nieistniejący, toteż Bolt odkrył, że wrzeszczy do telefonu, oddalając się od kłębowniska radiowozów i karetek skupionych wokół pubu.

— Potrzebuję zbrojnej ochrony dla Roberta Fallona. Co najmniej trzech funkcjonariuszy. Właśnie jedzie do szpitala w Wexham Park w Slough. Ta sprawa ma absolutny priorytet. Jest jedynym świadkiem, który wie, co się tu dzieje.

Człowiekiem, z którym rozmawiał, był Frank Carruthers, zastępca naczelnego posterunkowego policji z Thames Valley, obecnie kierujący wszystkim, bo jego szef aktualnie opalał się w Algarve. Zaledwie parę minut temu odpoczywał w domu przed telewizorem. Fakt, iż nagle ma do czynienia z dochodzeniem w sprawie podwójnego zabójstwa bez żadnych podejrzanych, potężnie nim wstrząsnął.

— Będę potrzebował czasu, żeby zebrać zespół — wyjaśnił Carruthers. — Wszyscy nasi funkcjonariusze obecnie szukają Strzelca uczestniczącego w tym wypadku, a nie mamy środków, jakimi wy dysponujecie w Londynie.

— Nie ma czasu, proszę pana. Pan Fallon był dziś celem Strzelca. Zdołał przeżyć, ale uważamy, że ten strzelec to zawodowy zabójca, niejaki Michael James Killen, znany także jako Hak. Obecnie poszukujemy go za liczne zabójstwa. Całkiem możliwe, że spróbuje ponownie dotrzeć do Fallona.

— A my usiłujemy go złapać. To nasz najwyższy priorytet.

— Szpital to całkiem dobre miejsce.

— Istnieją stosowne procedury, panie Bolt. Wie pan o tym. Muszę się upewnić, że zabezpieczyliśmy teren i że miejscowym nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Bolt mógł przewidzieć podobną reakcję. Ostatnimi laty policjanci na wszystkich szczeblach zarządzania mieli tendencję do ścisłego trzymania się przepisów, zniechęcano ich do robienia użytku z własnej inicjatywy. Dobrze rozumiał Carruthersa. W dzisiejszych czasach wszystko miało swoje cele i procedury, a gość, jako jeden z szefostwa, miałby kłopoty, gdyby nie postąpił jak należy. Bolt zmienił zatem taktykę.

— Jak mówiłem, Fallon jest jedynym świadkiem tego, co się dziś stało. Jeśli schwytamy Haka i oskarżymy go o morderstwa, będziemy potrzebowali zeznań Fallona. Jego ochrona ma kluczowe znaczenie.

— Jak poważnie został ranny? — spytał Carruthers.

— Mocno, ale jest przytomny i może mówić.

— A dlaczego dokładnie jest celem?

— Na razie nie mam pewności, ale gdy tylko się dowiem, dam panu znać.

Po drugiej stronie zapadła krótka cisza.

— No dobrze — rzekł w końcu Carruthers. — Poślę ludzi do szpitala najszybciej, jak zdołam.

Bolt podziękował mu, wiedząc, że zrobił, co mógł. Nie zamierzał jednak pozostawiać niczego przypadkowi, toteż pospieszył w miejsce, gdzie Mo opierał się o jeden z radiowozów obok kordonu policyjnego, popijając z kubka kawę i rozmawiając przez komórkę. Wciąż wyglądał na wstrząśniętego, Bolt świetnie to rozumiał. Sam nie przeżył tego aż tak mocno, częściowo dlatego, że kilka razy wcześniej już do niego strzelano i lepiej umiał sobie z tym radzić. Może później,

kiedy zostanie sam, wszystko do niego dotrze. W tej chwili jednak nie miał na to czasu.

Deszcz osłabł, przechodząc w lekką mżawkę, w uliczce kręciła się mieszanina ciekawych gapiów, przerażonych świadków i miejscowych mundurowych, którzy materializowali się coraz większą gromadą, a także kryminalistyków szykujących się do sprawdzenia dokładnie miejsca zbrodni. Nad ich głowami krążył policyjny helikopter, choć jego obecność nie miała już znaczenia. Hak — a Bolt uważał, że to niemal na pewno on — już dawno zniknął.

Kiedy Bolt się zbliżył, Mo skończył rozmowę.

— To była Saira — wyjaśnił, mając na myśli swą żonę i matkę czwórki dzieci. — Mówiłem jej, żeby na mnie nie czekała. Nie miałem serca dodać, że ktoś właśnie próbował nas zastrzelić.

Bolt uśmiechnął się ponuro.

— Może i lepiej.

— Wiesz, szefie — Mo przemawiał lekko zdławionym tonem — jeśli wydział wewnętrzny się tym zainteresuje, zaświadczę, że Fallon stał na środku drogi, a ty, kiedy na niego wpadłeś, jechałeś zgodnie z przepisami. No wiesz, na wypadek kłopotów.

— Dzięki, doceniam. — Poklepał przyjaźnie Mo po ramieniu. — W tej chwili jednak to najmniejsze z naszych zmartwień. Musimy się dostać do szpitala. Nie wysłali jeszcze strażników, a chcę mieć pewność, że Fallonowi nic się nie stanie.

— Jak się tam dostaniemy? Straciliśmy transport.

— Nieprawda.

Polecił gestem Mo, by szedł za nim, i zaczął przedzierać się przez ludzkie kłębowisko, świadom faktu, że musi zająć czymś kolegę, by szok minął. W tej chwili potrzebował Mo.

Jaguar wciąż stał na nasypie na końcu wioski, chwilowo zapomniany. Pilnował go jeden mundurowy, bo technicznie

rzecz biorąc, wóz stanowił część miejsca zbrodni. Bolt wyciągnął kluczyki, mignął legitymacją i oznajmił, że ma zgodę zastępcy naczelnego posterunkowego Carruthersa na zabranie pojazdu.

— Chyba nie powinniśmy tego robić, szefie — mruknął Mo, kiedy wsiedli do środka. — Jest pewien drobny problem: przez tę szybę zupełnie nic nie widać.

Bolt nigdy nie opisałby siebie jako człowieka impulsywnego, lecz następne posunięcie wywołało w nim prawdziwą satysfakcję. Sięgnął pod fotel kierowcy, wyciągnął enforcera — ciężkie cylindryczne narzędzie używane do wyważania drzwi — i rąbnął nim w potrzaskaną przednią szybę. Część od strony kierowcy zniknęła całkowicie, na maskę i trawę w dole posypały się odłamki szkła.

— Teraz już widać — rzeki.

Z mocnym podskokiem wymanewrował samochód z powrotem na drogę, tak że stali zwróceny tyłem do miejsca zbrodni, i z ulgą odkrył, że wóz jest nadal całkiem sprawny. We wstecznym lusterku ujrzał patrzącego na nich ze zgrozą mundurowego. Przez chwilę także poczuł wątpliwości, ale nie powstrzymały go przed dodaniem gazu, ominięciem znaku DROGA ZAMKNIĘTA i jazdą w kierunku Slough.

Pokój był ciasny, kwadratowy i pusty, pomijając ciężkie biurowe krzesło, do którego przywiązano Tinę Boyd. Ona sama była zmęczona i zmarznięta — a także naga, poza bluzką i skarpetkami.

Wcześniej, kiedy zostali sami, zdjął z niej resztę ciuchów, rozcinając je nożem i odrzucając od niechcienia w kąt. Tina spodziewała się, że ją zgwałci, o dziwo jednak nie zrobił tego, wolał posłużyć się rękami, gładząc ją i obmacując. Od czasu do czasu puszczał i zaczynał krążyć powoli wokół krzesła, drwiąc z niej okrutnym szeptem.

— Czy jesteś gotowa umrzeć?

— Chcesz, żebym zerznął cię teraz, czy mam zaczekać na pozostałych?

Nie odpowiedziała, znosząc jego karesy w zimnym, wyniosłym milczeniu, próbując ignorować ciarki i dreszcze na skórze pod jego dotykiem, szykując się na nieuniknione.

Lecz jak dotąd nieuniknione nie nastąpiło. Zupełnie jakby nagle stracił zainteresowanie. Z powrotem założył jej na głowę kaptur i wyszedł z pokoju z ostatnim, niemal niechętnym szyderstwem.

— Do zobaczenia później, suko.

Od tego czasu minęły godziny i nie słyszała nic prócz ciszy. Nie docierały do niej żadne odgłosy z zewnątrz. Zamarzała

żywcem i konała z głodu, a co najgorsze, była zupełnie sama, bez żadnej nadziei na pomoc.

Myśl ta ją przerażała. Przez ostatnie cztery lata żyło jej się ciężko i pod różnymi względami robiło się coraz gorzej, zwłaszcza jeśli chodzi o nieustanną walkę z alkoholem, nie zamierzała jednak poddać się bez walki. W nagłej desperacji zaczęła szarpać więzy, krzycząc z wściekłości przez knebel, gdy znów dotarła do niej świadomość absolutnego bezsensu wszelkich wysiłków. Jedyłą częścią ciała, którą mogła poruszyć, pozostawała głowa. Zupełnie jakby od szyi w dół była sparaliżowana. Kostki miała przywiązane do nogi krzesła sznurami, ręce i łokcie przymocowane do poręczy. Piersi i brzuch owinięto grubą taśmą klejącą, przez co wyglądała jak na wpół rozebrana mumia. Na szczęście prześladowcy nie znaleźli tkwiących w skarpetce wytrychów. Owszem, nie mogła do nich sięgnąć, ale nadal dawały jej pewną, choć słabą nadzieję.

I nagle coś usłyszała. Stłumiony krzyk, dobiegający zza ściany.

Przez sekundę wydało jej się, że go sobie wyobraziła. A potem zabrzmiał ponownie: ktoś próbował ją zawołać, ale także był zakneblowany.

Jenny Brakspear! To musiała być ona. A zatem wciąż żyła...

W odpowiedzi Tina wydała z siebie donośny dźwięk, usiłując przenieść swój ciężar tak, by przesunąć krzesło bliżej ściany. Cholerstwo nawet nie drgnęło. Ktoś usunął kółka, a samo krzesło było zbyt ciężkie. Znów zaczęła hałasować, by dać Jenny znak, że nie jest zupełnie sama.

Ona też poczuła ulgę na myśl, że nie jest tu jedynym więźniem.

Czekała na odpowiedź, lecz krzyki zza ściany umilkły. A potem usłyszała coś jeszcze, znacznie cichszego. Odgłos płaczu.

Wydała z siebie serię pocieszających pomruków w nadziei, że Jenny przestanie płakać, ona jednak szlochała dalej. W końcu umilkła i lodowata cisza powróciła.

Tina zastanawiała się, co Jenny musiała znosić z rąk człowieka, który ją porwał, jakim poddał ją męczarniom. Zastanawiała się też, co się tu dzieje. Porwali Jenny dwa dni temu i wyraźnie utrzymywali przy życiu. Tiny też nie zabili.

Palące pytanie brzmiało: jak długo?

ŚRODA

Czułem się senny i oszołomiony po środkach przeciwbólowych, podanych mi przez zafrasowanego lekarza, na oko niedawnego absolwenta akademii medycznej. Proszki musiały być bardzo silne, bo palący ból w prawej ręce zmienił się wkrótce w tępe pulsowanie. Wciąż byłem cały poobijany, zaschło mi w ustach, lecz jednocześnie czułem dojmującą radość. Żyłem. Mimo wszystko zdołałem przeżyć.

Leżałem w łóżku w niewielkim jasnym pokoju. Na zewnątrz słyszałem głosy i kroki ludzi. Dźwięki dodające otuchy. Ludzie oznaczali bezpieczeństwo. Zegar na ścianie wskazywał dziesięć po dwunastej w nocy.

I gdy tak leżałem, przypomniałem sobie z niezwykłą wyrazistością to, jak kopałem własny grób w deszczu i patrzyłem na śmierć Maxwella. Nigdy dotąd nie widziałem nikogo umierającego, choć w *Spisku* dość często pisałem o śmierci. Widok Ramona siedzącego bez życia w mojej sypialni był okropny, ale Maxwell, mordowany na moich oczach, wstrząsnął mną znacznie bardziej. Pamiętałem bieg między drzewami i tupot ścigających mnie mężczyzn, i pamiętam, jak myślałem, że to już koniec: a potem reflektory, przesywający pisk opon i samochód, który we mnie uderzył i wyrzucił w powietrze.

Jezu, byłem tak cholernie bliski śmierci. Po raz drugi w ciągu niecałych czterdziestu ośmiu godzin. Zupełnie jakbym

znalazł się w przejmującym, niekończącym się koszmarze, który z każdą chwilą stawał się coraz gorszy i gorszy.

Wyglądało jednak na to, że może wreszcie się skończył. Rozpaczliwie chciało mi się pić. Nie piłem niczego od czasu owych dwóch piw u Maxwella, niemal przed czterema godzinami, i ani kropli wody od wczesnego popołudnia. Na stoliku przy stole nie znalazłem szklanki, wygramoliłem się zatem z łóżka, szeleszcząc czystą szpitalną piżamą. Zakręciło mi się w głowie, na chwilę musiałem stanąć bez ruchu i zamknąć oczy.

Kiedy znów poczułem się normalnie, otworzyłem drzwi i ze zdumieniem odkryłem, że na zewnątrz nie stoją policjanci. Facet, który podbiegł do mnie, kiedy leżałem półprzytomny, mówił, że jest z policji i że nic mi już nie grozi. Gdzie się zatem podziewali?

Wyszedłem na korytarz.

I natychmiast go zobaczyłem.

Dzieliło nas jakieś dziesięć metrów, rozmawiał właśnie z jedną z pielęgniarek. Miał na sobie czarną kurtkę i dżinsy, te same co wcześniej u Maxwella, na butach wciąż pozostało błoto z ogródka warzywnego. Teraz jednak uzupełnił swój strój czapeczką i okularami w rogowej oprawie.

Przez ułamek sekundy zamarłem, niezdolny się ruszyć, a potem on powoli odwrócił się w moją stronę i nasze oczy się spotkały.

Jego wargi wygięły się w lekkim triumfalnym uśmiechu. Nie zwracając uwagi na pielęgniarkę, wsunął dłoń za pazuchę.

Nie czekałem, co będzie dalej. Pobiegłem.

Tyle że przypominało to brodzenie w syropie. Środki przeciwbólowe, moje obrażenia, przejmujące wyczerpanie — wszystko to tylko mnie spowalniało, sprawiając, że każdy krok wydawał się niewiarygodnym sukcesem. I cały czas

wyobrażałem sobie, jak mój prześladowca podnosi pistolet, celuje, naciska spust...

Ostro skręciłem w lewo, o mało nie wpadając na nadchodzącego z naprzeciwka sprzątacza z wózkiem. Za sobą słyszałem kroki mordercy, gonił mnie. Ktoś głośno wzywał ochronę. Ktoś inny wykrzyczał słowa, których się obawiałem: „On ma broń!”.

Przede mną korytarz ciągnął się na dobre trzydzieści metrów, z naprzeciwka nadchodziła para pielęgniarzy z pacjentem na noszach. Oprócz nich było pusto. Nie uda mi się. Nie ma mowy. Kierując się czystym instynktem, odepchnąłem na bok zdrową ręką sprzątacza i w chwili, gdy mój prześladowca wyłonił się zza rogu ze spokojną zdeterminowaną miną i pistoletem, z którego zabił Maxwella, kopnąłem wózek wprost ku niemu.

Wziąłem go z zaskoczenia. Zderzył się z wózkiem, a siłą rozpędu posłała go na podłogę.

Nie zważając na wzbierające w gardle mdłości i pulsowanie głowy i ręki, biegłem dalej. Serce waliło mi jak młotem.

Dwaj pielęgniarze patrzyli na mnie ze zgrozą, potem obaj uskoczyli, wykorzystując wózek jako osłonę.

Nie czekałem na kulę. Zobaczyłem zbliżające się drzwi po prawej i skręciłem w nie, zatrzasnąwszy je za sobą.

Znalazłem się na niewielkim oddziale. Wzdłuż przeciwległej ściany ustawiono kilka łóżek. Wszystkie jednak okazały się puste. Całe pomieszczenie było puste. Na zewnątrz słyszałem spanikowane okrzyki. Kolejne kroki.

Byłem w pułapce. Jezu, byłem w pułapce.

Rozglądając się szybko, zlokalizowałem wyłącznik światła i zgasilem je, pogrążając salę w ciemności. Potem, najszybciej jak zdołałem, wślizgnąłem się pod łóżko stojące najdalej od drzwi i położyłem na wznak, wbijając wzrok w materac, od

którego dzieliło mnie kilkadziesiąt centymetrów, wiedząc, że to żadna kryjówka. Próbowałem uspokoić oddech. Czekałem...

Drzwi otworzyły się i znów zamknęły. Zapłonęło światło.

Wstrzymałem oddech. Na zewnątrz hałas zdawał się cichnąć. Gdzie do diabła podzieli się wszyscy?

Przybysz krążył po pomieszczeniu, słyszałem ciche, stopniowo zbliżające się kroki. Wnętrznosci skręciły mi się w ciasną kulę, serce tłukło się szaleńczo w piersi. Rozpaczliwie próbowałem wymyślić plan ucieczki, lecz choć umysł pracował desperacko, niczego nie znalazł, bo oczywiście inne wyjście nie istniało.

Kroki ucichły. Tuż obok łóżka. Miałem wrażenie, że zaraz pękną mi płuca. Musiałem odetchnąć, musiałem.

— Pan Fallon?

Rozpoznałem ten głos. Należał do spotkanego wcześniej policjanta, tego, który podbiegł do mnie po tym, jak wpadłem pod samochód, nim zjawiła się karetka.

— Nazywam się Mike Bolt, jestem z Agencji do spraw Przystępczości Poważnej i Zorganizowanej.

Pomógł mi wydostać się spod łóżka i po raz pierwszy przyjrzałem mu się bliżej. Wysoki, dobrze zbudowany siwiejący blondyn, o krótko przystrzyżonych włosach i przenikliwych, błękitnych oczach. Na pociągłej, lekko pomarszczonej twarzy dostrzegłem trzy blizny, jedna z nich tworzyła na policzku wyraźną literę C. Nadawały mu niemal zbójceki wygląd. W tym momencie jednak budził we mnie otuchę i cieszyłem się, że jest po mojej stronie.

— Ma pan doprawdy magiczne szczęście, panie Fallon — oznajmił, wyprowadzając mnie na korytarz, gdzie zebrał się tłumek personelu medycznego, próbującego stwierdzić, co się dzieje.

— Dopadliście gościa, który chciał mnie zabić? — spytałem.

— Właśnie go szukamy — odparł w drodze do mojego pokoju. — Ale nie musi pan się już martwić. W całym budynku roi się od uzbrojonych policjantów.

Ugryzłem się w język, by nie powiedzieć, że chyba trochę poniewczasie, ale dałem spokój. Cieszyłem się, że jestem bezpieczny, które to uczucie wzmocnił jeszcze widok trzech odzianych na czarno gliniarzy żywcem z *Robocopa*, stojących przed moimi drzwiami z pistoletami maszynowymi w dłoniach.

Nieco z boku dostrzegłem niskiego, przysadzistego Azjatę w dżinsach i koszuli w kratkę, z gęstą czupryną ciemnych włosów przedzielonych jasnym kosmykiem. Rozmawiał właśnie z ozywieniem z zatroskanym młodszym lekarzem, który wcześniej mnie badał.

— To mój kolega, Mo Khan — oznajmił Bolt w chwili, gdy Azjata obrócił się ku nam. — Jeśli można, chcielibyśmy zadać panu parę szybkich pytań. To niezwykle pilna sprawa.

— Uważam, że to zły pomysł — wtrącił doktor, przepychając się obok Mo Khana. — Pacjent potrzebuje odpoczynku — dodał stanowczo pod adresem Mike'a Bolta.

— W porządku — ucieszyło mnie, że w końcu będę mógł komuś opowiedzieć całą moją historię. — Pomówię z nimi teraz.

W kilka minut później leżałem już w łóżku ze szklanką wody w rękę, lekko odprężony, a tymczasem policjanci zajęli miejsca po obu moich stronach.

— No dobrze — zaczął Bolt, gdy Mo Khan wydobył z kieszeni magnetofon. — Rozumiemy, że był pan świadkiem porwania. Proszę opowiedzieć nam wszystko od początku. I niczego nie pomijać.

Tym razem zatem zrobiłem, co kazał. Opowiedziałem im wszystko, łącznie z tym, co spotkało Ramona, wiedząc, że nie ma już sensu niczego ukrywać. Moje słowa jakoś nimi nie wstrząsnęły. Zamiast tego przeprowadzali mnie powoli i ostrożnie przez wszystkie ważne szczegóły wydarzeń ostatnich

czterdziestu ośmiu godzin, w razie potrzeby zadając pytania, lecz poza tym pozwalając mi mówić.

Kiedy skończyłem, czułem się wyczerpany i odrętwiały. Pociągnąłem haust wody i opadłem na poduszki. Miałem nadzieję, że mi uwierzyli, ale sam nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym rzec.

— Ma pan ogromne szczęście, panie Fallon. — Bolt pochylił się na krześle. — Człowiek, który pana ściga, to zawodowy zabójca.

— A zatem go znacie?

— Wiemy, kim jest. Nazywa się Michael Killen. To niezwykle niebezpieczny człowiek.

Nazwisko odebrało zabójcy część aury tajemniczości. Teraz wydał mi się jakby mniejszy, wredniejszy, nie aż tak nieśmiertelny.

— Wiem, że mam szczęście, iż żyję — odparłem z nagłą rezygnacją. — Ale czy to znaczy, że teraz zdołacie odnaleźć Jenny? I Tinę? Wciąż nie daje znaku życia, prawda?

Bolt przytaknął, po jego twarzy przemknął grymas troski. Bez wątpienia ją znał.

— Niestety, tak — powiedział. — Teraz, po rozmowie z panem i uzupełnieniu luk w naszej wiedzy, mamy większe szanse odnalezienia ich obu, ale przyznam szczerze, brak nam tropów.

— A zatem Killen uciekł?

— Na to wygląda. A nie wątpię, że wie, gdzie przetrzymują obie kobiety.

Następny odezwał się Mo Khan.

— Czy przychodzi panu do głowy coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc, panie Fallon? Jakaś wskazówka? Coś, co pan widział bądź słyszał, a o czym dotąd nie wspomniał?

— Nadal mam zdjęcia, które przysłała mi Tina.

— Już je widzieliśmy — odrzekł.

Zastanawiałem się, jak to możliwe, ale nie spytałem. Byłem zbyt zajęty wyteżaniem pamięci, niestety jednak bez skutku.

— Przykro mi — powiedziałem w końcu. — Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Podziękowali mi za pomoc, wyraźnie zawiedzeni, i wstali z miejsc. Ewidentnie chwilowo ze mną skończyli.

— Nim panowie pójdą, jeszcze jedno — rzekłem. — Zjawiliście się dziś wieczór u Maxwella zupełnie niespodziewanie. Skąd wiedzieliście, że tam jestem?

— Maxwell... Harvey Hammond... był od wielu lat moim informatorem — wyjaśnił Bolt.

To mnie zaskoczyło.

— Pisałem o nim książkę — oświadczyłem. — Sądziłem, że był grubą rybą w świecie przestępczym.

— Nie, drobną płotką. Znał wielu ludzi na obrzeżach i zawsze umiał słuchać, ale daleko mu do Ronniego Kraya.

Obdarzył mnie współczującym spojrzeniem, widząc, że wieści te stanowią dla mnie nieprzyjemną niespodziankę.

W istocie był to jeden z większych wstrząsów, jakie przeżyłem w ciągu ostatnich dni. Naprawdę wierzyłem Maxwellowi, całkowicie zafascynowały mnie jego przestępcze opowieści. Odkrywszy, że był w istocie jedynie drobnym rzezimieszkiem, poczułem się jak naiwny dupek.

— W ciągu dwudziestu lat pracy w policji nauczyłem się jednego — ciągnął Bolt. — Prawdziwi przestępcy zazwyczaj nie opowiadają o tym, co robią, zostawiają to nieudacznikom. Ale proszę spojrzeć na to z innej strony. Gdyby Maxwell nie zadzwonił i nie dał nam znać, że jest pan u niego, już by pan nie żył.

Kiedy odwrócili się do wyjścia, coś jeszcze przyszło mi do głowy.

— Ale w jaki sposób Killen i jego kumpel wytropili mnie w domku Maxwella? Jestem pewien, że nikt mnie nie śledził i nikt nie wiedział, dokąd się wybieram.

Ponownie spojrzeli po sobie. Najwyraźniej żaden z nich dotąd o tym nie pomyślał.

Po chwili milczenia twarz Mo Khana się rozpuściła.

— Mówił pan, że kiedy w poniedziałek w nocy Killen odwiedził pana w domu, oddał panu telefon, tak?

Przytaknąłem.

— Gdzie jest teraz?

— W kieszeni dżinsów.

Wskazałem ręką ubranie, wiszące na oparciu krzesła w kącie.

Podszedł tam i wyłowił komórkę, a potem na moich oczach zdjął tylną ściankę i zaczął grzebać w środku. W parę sekund później wyciągnął stamtąd niewielki okrągły przedmiot, wielkości połowy monety pensowej. Pokazał mi go. Przedmiot połyskiwał czerwonym mrugającym światełkiem.

— Pluskwa GPS. Prosta, ale bardzo skuteczna. — Posłał mi spojrzenie pełne współczucia, a może tylko litości. — Wygląda na to, panie Fallon, że cały czas wiedzieli dokładnie, gdzie pana szukać.

43

Bolt stał na parkingu szpitalnym, wciągając w płuca chłodne nocne powietrze. Deszcz całkiem minął, pozostawiając po sobie zapach późnoletnich liści. Właśnie zapłacił facetowi z firmy Autoglass, który zamontował mu w jaguarze nową przednią szybę, i był wkurzony.

Niełatwo przyszło mu strawić fakt, że dotarł tak blisko Haka — człowieka, którego ścigał od pięciu lat — i znów go zgubił, zwłaszcza że wciąż nie miał znaku życia od Tiny. Ale mogło być gorzej. O mało nie stracili też Fallona. Kiedy wcześniej zjawili się w szpitalu i w wejściu natknęli się na grupę policyjną przysланą do ochrony świadka, usłyszeli hałas i dotarli na miejsce w samym środku akcji, przeszkadzając Hakowi, który zaprzestał pościgu za Fallonem i uciekł, używając jako osłony dwóch pielęgniarek i ich wózka. Bolt zdołał nawet go zobaczyć z odległości trzydziestu metrów, na końcu korytarza. Tak blisko, a jednak tak daleko.

Zadzwoiła jego komórka.

To był Wielki Barry Freud.

— Co się do diabła dzieje, Mike? — spytał ostro. — Właśnie zadzwonił do mnie zastępca naczelnego posterunkowego policji z Thames Valley. Twierdzi, że brałeś udział w strzelaninie w Berkshire, przejechałeś kogoś i odjechałeś, zabierając samochód z miejsca zbrodni. Zechcesz to wyjaśnić?

W takim ujęciu sprawy nie wyglądały dobrze, lecz Bolt był przekonany, że działając w ten sposób, pomógł ocalić życie Fallona, co z pewnością zasługiwało na pochwałę. Zwięźle streścił Barry'emu sytuację.

— Twierdzisz zatem, że wszystko to wiąże się z tym cholernym porwaniem, które badała Tina Boyd?

— Na to wygląda. Hak niewątpliwie ze wszystkich sił stara się uciszyć Fallona. I podejmuje gigantyczne ryzyko. Na przykład zjawiał się tu dzisiaj.

— Rany. To musiało być bardzo lukratywne porwanie, skoro jest warte takiego wysiłku i tak wielu zabójstw. Co wiemy o dziewczynie?

— Nazywa się Jenny Brakspear. Z tego, co mówiła Tina, jej ojciec zaprzeczał, by doszło do jakiegokolwiek uprowadzenia. Twierdził, że wyjechała na wakacje. Kazałem wcześniej jednemu z moich ludzi sprawdzić przeszłość Jenny i jej ojca, lecz kiedy dostaliśmy telefon w sprawie Tyny, odłożyliśmy wszystko na później i nie znam jeszcze wyników.

— Słyszałem, że to nie było jej ciało.

— Nie.

Bolt wiedział, że powinien był zadzwonić do Barry'ego i poinformować go o tym, ale tej nocy wszystko działo się tak szybko, że nie miał ani chwili, by się zastanowić.

— Wciąż się nie odzywała?

Bolt westchnął.

— Niestety. Ale rozmawialiśmy z Fallonem.

— Pomógł w czymś?

— Poinformował nas dokładnie, co się stało. Problem jednak w tym, że tak naprawdę nie znał zbyt dobrze Jenny.

— Super. — Wielki Barry głośno dmuchnął w telefon. — Kto z zespołu zbierał informacje o Jenny?

— Kris Obanje. Chyba Mo właśnie z nim rozmawia. — Bolt zerknął na swego towarzysza stojącego na schodach szpitala, mówiącego coś z ożywieniem do komórki i jednocześnie notującego.

— Świetnie. Dowiedz się wszystkiego, czego zdołasz, i informuj mnie. Jestem w domu.

Bolt odparł, że tak zrobi, i się pożegnał. Minęła pierwsza dwadzieścia nad ranem, był wykończony. Miał jednak przeczucie, że tej nocy wraz z Mo Khanem raczej się nie wyśpią.

— Według Obanego Jenny Brakspear to kompletna niewiadoma. — Mo schował komórkę do kieszeni. — Obecnie bezrobotna. Wcześniej pracowała w internetowym biurze podróży z Islington, lecz trzy miesiące temu została zwolniona z powodu załamania rynku kredytowego. Rejestr kryminalny czysty. Zwykła, przeciętna dziewczyna z klasy średniej.

— Klucz stanowi jej ojciec — odparł Bolt. — To jego musieli szantażować. Czego dowiedział się o nim Obanje?

— Dyrektor firmy sprowadzającej hurtowe ilości różnych gazów z siedzibą w Cambridge. Niezła pensja, jest też współwłaścicielem, ale to za mało, by wymuszać okup. Gdyby jutro upłynął wszystkie swoje walory, Kris ocenia, że zebrałby kilkaset tysięcy, ale nawet nie próbował. Firma jest notowana na AIM, giełdzie małych przedsiębiorstw, w tym tygodniu nie doszło do żadnych transakcji akcjami, a to one stanowiłyby oznakę, że Brakspear próbuje zgromadzić większą gotówkę.

— Zatem chodzi o coś innego.

Przez chwilę obaj stali w milczeniu.

Nagle Boltowi przyszło coś do głowy.

— Mówiłeś, że Brakspear jest dyrektorem firmy sprowadzającej gazy. Jakże dokładnie?

Mo wzruszył ramionami.

— Nie wiem i wątpię, by Kris to sprawdził. Ale chyba nie zażądali okupu w gazie? Nie może być wart aż tyle forsy.

— Lecz jeśli nie chodzi o pieniądze, nie wiem, co jeszcze mogłoby wchodzić w grę. Masz nazwę tej firmy?

Mo otworzył notes.

— Mainline Gas Services.

— Sprawdźmy ich.

Mo Khan w czasie pracy zawsze miał przy sobie laptopa. Obecnie tkwił pod siedzeniem jaguara. Wsiedli do wozu i sprawdził Mainline w sieci, łącząc się przez kartę telefoniczną.

Strona firmowa okazała się całkiem prosta. Przedstawiała krótką historię i jeszcze krótszy opis oferowanych usług oraz listę gazów, którymi się zajmują. Nic z tego nie wyglądało szczególnie kontrowersyjnie, choć Bolt wiedział, że to niewiele znaczy.

Mainline miała dwóch dyrektorów. Jednym był Roy Brakspear, a kiedy Mo kliknął na jego nazwisko, na ekranie pojawiło się zdjęcie przeciętnego mężczyzny po pięćdziesiątce o szpakowatych włosach i uśmiechu poczciwego wujaszka. Przeszłość miał równie zwyczajną. Ukończone studia chemiczne w Cambridge, dwanaście lat pracy jako chemik w ICI, a potem w 1987 założenie firmy z kolegą z pracy. Jedna dorosła córka. Żadnej wzmianki o żonie. Kolegą z ICI był Miles Cavendish, obecnie dyrektor zarządzający. Ze zdjęcia na stronie spojrział na nich znacznie młodszy gość, o rudych włosach z przedziałkiem z boku i pewniejszym siebie, profesjonalnym uśmiechu.

— Musimy porozmawiać z tym facetem. — Bolt wskazał palcem portret Cavendisha.

— Nie ucieszy się, kiedy obudzimy go o tej godzinie.

— To sprawa niecierpiąca zwłoki. Nie mamy wyboru.

Potrzebowali zaledwie kilku minut, by zdobyć numer Cavendisha. APPZ miała dostęp do wszystkich zarejestrowanych telefonów w kraju, lecz w tym wypadku Bolt

pomiął drogę służbową i zadzwonił wprost na informację, trafiając w dziesiątkę.

— Gość musi być jednym z ostatnich ludzi w kraju, którzy figurują w książce telefonicznej — rzekł, zapisując numer. — Ja sam nigdy nie umieściłbym tam swego numeru, żeby mógł go sprawdzać każdy ciekawski.

Mo wzruszył ramionami.

— Saira się uparła. Na wypadek gdyby ktoś ze starych znajomych próbował ją znaleźć.

— A próbował?

— Nie. Dzwonią do nas wyłącznie telemarketerzy z Indii.

— Myślę, że kiedy Cavendish dowie się, o co chodzi, pożałuje, że nie dzwonimy z Indii.

Wybrał numer. Telefon dzwonił i dzwonił. Bolt właśnie miał zrezygnować, kiedy w słuchawce odezwał się głęboko poirytowany męski głos.

— Tak?

— Miles Cavendish?

— To ja — odparł, wciąż wyraźnie senny. — Przepraszam, ale z kim mówię?

Bolt przedstawił się i usłyszał głośnie sapnięcie. Nikt nie przepada za telefonami z APPZ.

— W czym mogę pomóc? — W głosie zadźwięczała nuta troski.

Bolt wiedział, że musi starannie dobierać słowa. Potrzebował odpowiedzi, ale nie mógł zdradzać zbyt wiele.

— Może mi pan powiedzieć, czy pańska firma, Mainline, ma do czynienia z gazami, które dałoby się opisać jako kosztowne? Albo niebezpieczne?

— Przepraszam, mógłby pan wyjaśnić, o co do diabła chodzi? Jest wpół do drugiej w nocy.

— Zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie?

— Słuchaj pan — warknął Cavendish. — Skąd mam w ogóle wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje? Mógłby pan być kimkolwiek. Proszę podać mi numer, oddzwonię.

— Dzwonię z komórki.

— W takim razie żegnam. Nie będę rozmawiał z ludźmi, których nie znam.

Bolt zaczął coś mówić, lecz po drugiej stronie odezwał się sygnał, a kiedy znów wybrał numer, telefon okazał się zajęty. Gniewnie pokręcił głową.

— Dupek — zaklął.

— Nie możesz mieć do niego pretensji, szefie. Ty też nie przekazałbyś takich informacji komuś, kto zadzwoniłby do ciebie do domu, prawda?

Bolt westchnął.

— Musimy zdobyć jego adres i tam pojechać.

— Moglibyśmy posłać tam miejscowych i powiedzieć im, czego chcemy się dowiedzieć. To by nam oszczędziło długiej jazdy.

Bolt zerknął na swego towarzysza. Mo miał pod oczami ciemne kręgi, sprawiał wrażenie zdruzgotanego.

— Wolałbym załatwić to sam, ale nie musisz jechać ze mną. Poważnie. Po drodze mogę cię podrzucić do domu. Dla mnie to coś innego. Sprawa osobista.

Mo zmarszczył brwi.

— Nigdy nie byłem wielkim fanem Tiny Boyd, szefie, ale nadal chcę ją odnaleźć. I chcę dopaść Haka tak samo jak ty. Ja też pracowałem przy sprawie Leticii Jones, pamiętasz?

— Pomyślałem po prostu, że przydałby ci się odpoczynek. Wyglądasz na wykończonego.

— I jestem wykończony. Ale popatrz w lustro. Ty też, szefie. Tkvimy w tym razem. A poza tym dziś wieczór ocaliłeś mi

życie. Nieważne, co powiesz, jestem ci coś winien. Korzystaj z tego. To nie potrwa wiecznie.

Bolt się uśmiechnął. Czuł wzruszenie, ale nie wiedział, jak je wyrazić. W końcu uruchomił jedynie silnik jaguara, wycofał się z parkingu i ponownie ruszyli w drogę.

45

Miles Cavendish mieszkał w wiosce Stretham, jakieś piętnaście kilometrów na północ od Cambridge, przy autostradzie A10, i kiedy Bolt z Mo zajechali w końcu przed bardzo ładną przerobioną stodołę, cofniętą sto metrów od drogi, dochodziła trzecia.

Dobrze utrzymany frontowy ogród oświetlały automatyczne lampy. Kiedy wysiedli z wozu, w domu zapłonęły kolejne światła. Gdy dotarli do drzwi, otworzył je na łańcuchu rozczochrany mężczyzna ze zdjęcia na stronie internetowej. Miał na sobie szlafrok i pasiastą piżamę, przyjrzał im się z mieszaniną troski i podejrzliwości.

— Panie Cavendish, rozmawialiśmy wcześniej. — Bolt wsunął w szczelinę legitymację, by Cavendish mógł obejrzeć ją tak dokładnie, jak tylko zechce.

— O Boże. — Gospodarz odpiął łańcuch i otworzył drzwi. — A zatem to nie był dowcip.

— Niestety, nie — odparł Bolt, wchodząc wraz z Mo do środka.

Podążyli za Cavendishem do tradycyjnie urządzonego salonu. Gospodarz poprosił, by usiedli.

— Przepraszam za to wcześniejsze, ale padłem już kiedyś ofiarą kradzieży tożsamości i bardzo uważam na to, co mówię przez telefon nieznanym ludziom. Zechcecie panowie mi powiedzieć, o co chodzi? — Spojrzał na nich nerwowo.

Po drodze uznali, że najlepiej będzie traktować Cavendisha jak podejrzanego, co oznaczało niezdradzanie zbyt wiele.

— Niestety, nie możemy powiedzieć za dużo — odparł Bolt.
— W tej chwili prosimy jedynie, by odpowiadał pan na nasze pytania.

Cavendish pobladł.

— Jesteśmy bardzo szanowaną firmą, panowie. Daję słowo, nie mamy nic do ukrycia. Płacimy na czas podatki.

— Po pierwsze — wtrącił Mo — zechce mi pan powiedzieć, czym zajmuje się wasza firma?

— Jesteśmy hurtownikami gazów. Mówiąc w skrócie, kupujemy pewne specjalistyczne gazy wprost od producentów w kraju i w całej Europie i sprzedajemy je w mniejszych ilościach naszym klientom, przede wszystkim działającym w sektorach farmaceutycznym i technologicznym.

— A czy któryś z tych gazów można określić jako bardzo kosztowny?

— Owszem. Niektóre ładunki są warte mnóstwo pieniędzy. Powiedzmy mieszanka ksenonu, sześćofluorku tunstenu i izotopu helu-trzy może być warta nawet sto tysięcy funtów.

Boltowi wydało się to całkiem sporo za gaz, ale nie dość, by zabijać za to ludzi.

— A czy macie też do czynienia z niebezpiecznymi gazami?

— Wieloma. Handlujemy gazami toksycznymi i łatwopalnymi. Musiałby pan bardziej to zawęzić.

— Materiały radioaktywne?

— Nie, nie zajmujemy się radioaktywnymi. To bardzo wyspecjalizowana dziedzina. Proszę, panie Bolt, może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

Bolt nie mógł powstrzymać uczucia litości. O ile facet nie był świetnym aktorem, wyraźnie nie miał nic wspólnego z

porwaniem Jenny Brakspear. Najważniejsze jednak, by potraktował ich pytania śmiertelnie poważnie.

— Mógłby mi pan powiedzieć, czy w ciągu ostatnich trzech dni złożyliście jakiegokolwiek zamówienia na niebezpieczne gazy? Czy da się to sprawdzić?

Cavendish powiódł po nich wzrokiem.

— Wszystkie zamówienia niebezpiecznych gazów bądź środków chemicznych wymagają podpisu dyrektora — rzekł w końcu. — A jest tylko dwóch dyrektorów. Ja sam...

— I Roy Brakspear — dokończył za niego Mo. — Kiedy ostatnio z nim pan rozmawiał?

— W poniedziałek rano. Roy nie czuł się dobrze. Powiedział, że przez cały weekend miał skurcze żołądka. Rozmawialiśmy chwilę o ofercie klienta, ale nie trwało to długo.

— Czy w tym tygodniu zjawiał się w pracy?

Cavendish pokręcił głową.

— Nie, ustaliliśmy, że lepiej będzie, jeżeli popracuje z domu, dopóki nie poczuje się lepiej.

— Zatem w tym tygodniu nie widział pan Roya?

Znów przeczący ruch głowy.

— Nie. Dziś wieczór próbowałem do niego dzwonić, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale nie odebrał. Zakładam, że spał. Jest jak ja, mieszka sam.

— Ale ma córkę — zauważył Bolt.

— Zgadza się. Jenny.

— Był więc kiedyś żonaty?

— Owszem. Celia zmarła pięć lat temu. Rak żołądka. Straszna tragedia.

Bolt poczuł ukłucie współczucia dla Brakspear. On sam stracił Mikaelę siedem lat temu, lecz nadal myślał o niej co dzień. Smutek z powodu takiej straty nigdy nie mija i

Brakspear nie zniósłby utraty także jedynej córki. Zrobiłby wszystko, byle utrzymać ją przy życiu. Pytanie brzmiało: co.

— Może mi pan powiedzieć, czy Roy złożył w tym tygodniu jakiegokolwiek zamówienia na gaz? — spytał. — Zwłaszcza nietypowe.

Cavendish zmarszczył brwi.

— Panie Bolt, od ponad dwudziestu lat pracuję z Royem Brakspearem i zapewniam, że jest nieskazitelnie uczciwy. Z pewnością nie zrobił niczego złego.

Bolt pochylił się w fotelu i przygwoździł Cavendisha twardym spojrzeniem.

— Zechce pan mimo wszystko sprawdzić, panie Cavendish? Proszę.

— No dobrze — zgodził się niechętnie gospodarz i wstał. — Jeśli tak, informacja trafiła do systemu. Mogę to sprawdzić z gabinetu.

Poszli za nim przez salon do przestronnego pomieszczenia na tyłach domu, z mahoniowym biurkiem stojącym pod oknem wychodzącym na tylny ogród. Czekali w milczeniu, a tymczasem Cavendish odpalił peceta. Potem usiadł i zaczął stukać w klawisze. Bolt przetarł ręką oczy, myśląc o Tinie. Zastanawiał się, gdzie się podziewa i czy w ogóle jeszcze żyje. Nie chciał przyznać tego nawet przed samym sobą, ale choć porywacze mogli mieć powody, by utrzymać Jenny przy życiu, jeśli chcieli, by jej ojciec coś dla nich zrobił, to samo nie dotyczyło Tyny. W istocie jej sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Prowadziła śledztwo w ich sprawie, toteż lepiej dla nich byłoby się jej pozbyć. Nadziei dodawał mu jedynie fakt, że jak dotąd nie znaleziono jej ciała, jedynie samochód. To niewiele, lecz póki nie zyska pewności, będzie jej szukał.

— Jak dotąd nic. — Cavendish, nie odrywając wzroku od ekranu, wciąż stukał w klawiaturę. — Jak już wcześniej mówiłem, Roy jest krystalicznie uczciwy. Nie złożyłby żadnego

większego zamówienia... nietypowego, jak to określiliście... nie informując mnie wcześniej.

Bolt oparł się o ścianę, coraz bardziej sfrustrowany. Był absolutnie pewien, że porywacze szantażowali Roya Brakspeara. Nic innego nie miałoby sensu. Ale jeśli nie wiązało się to z jego pracą, to z czym, do diabła?

— Chryste! — Cavendish przestał pisać i wbił wzrok w ekran.

— O co chodzi? — Bolt i Mo podeszli do niego pospiesznie. Na ekranie widniał rachunek wypisany po niemiecku.

— Nie rozumiem tego. — Cavendish sprawiał wrażenie ogłuszonego. — Roy złożył zamówienie. Na całą ciężarówkę fosgeny. Ale po co, u licha? Zazwyczaj kupujemy zaledwie paletę. To składnik produktów farmaceutycznych.

Bolt patrzył na niego oszołomiony.

— Fosgen? Ten, którego użyli w pierwszej wojnie światowej? I Roy Brakspear mógł go zamówić? Ot tak?

— To legalny środek, panie Bolt, produkowany między innymi w Niemczech. Mamy upoważnienie, by go sprowadzać. Zamówienie jest nietypowo duże, ale nikt go nie kwestionował, bo od lat współpracujemy z tą firmą.

— Kiedy złożono to zamówienie? — spytał Mo.

Cavendish sprawdził.

— O siódmej rano w poniedziałek, musiał to zrobić zdalnie. Rozmawiałem z Royem jakieś dwie godziny później, nie wspomniał o niczym ani słowem.

— Czy można jeszcze je skasować? — warknął Bolt.

Cavendish wystukał kolejną komendę, Bolt usłyszał, jak głośno przetyka ślinę.

— Nie — rzekł cicho. — Według naszego systemu zamówienie odebrano w fabryce w Niemczech wczoraj po

południu, o drugiej. Musiało być bardzo pilne, ale nie mam pojęcia, dla kogo. Roy nie wymienił końcowego użytkownika.

Nie musiał, pomyślał Bolt. W tym wypadku końcowym użytkownikiem był z pewnością Hak. Ale co do diabła zamierzał zrobić z całą ciężarówką fosgenu?

— Co by się stało, gdyby wypuścić ten gaz? — spytał Cavendisha. — Jakie szkody by wyrządził?

Cavendish obrócił się wraz z krzesłem tak, że patrzył wprost na Bolta. Wyglądał na oszołomionego.

— Ale kto miałby go wypuścić?

— Po prostu proszę odpowiedzieć.

— To zależy od warunków pogodowych i od tego, jak by go wypuszczono. Przewozi się go w lekkich stalowych cylindrach. Nie można po prostu ich wysadzić, bo to unieszkodliwiłoby gaz. Jednak przy słabym wietrze i uwolnieniu gazu w zatłoczonym miejscu, i gdyby ludzie wypuszczający go zdołali jednocześnie otworzyć zawory cylindrów, nie uszkadzając fosgenu, wówczas... — Umilkł na chwilę, a kiedy znów przemówił, głos łamał mu się lekko. — Przerazająca wizja. Zginęłyby co najmniej setki osób. Może nawet tysiące.

Bolt spojrział na Mo, którego twarz śmiertelnie pobladła. Sam także był wstrząśnięty. Wiedział, do czego jest zdolny Hak. Obaj wiedzieli. Istniały tylko dwa powody, dla których ktoś taki miałby zdobyć coś równie śmiertelnośnego. Albo zamierzał zaszantażować inną organizację, może nawet rząd, albo też planował atak terrorystyczny.

Zmusił się do zachowania spokoju.

— Musimy pilnie odnaleźć ten ładunek — rzekł. — Jak to zrobić?

— Nie mam pojęcia, którego kierowcę zatrudnił. Roy nie wpisał jego nazwiska w formularzu. Ale w papierach pozostał podpis. To powinno nam powiedzieć, kogo szukać. — Znów

zaczął pisać i na ekranie pojawiła się kopia niemieckiego rachunku. — Oto podpis — powiedział, wskazując nieczytelny bazgroł w prawym dolnym rogu. Przyjrzał mu się uważnie i pokręcił głową. — Obawiam się, że go nie poznaję.

— Co to ma być, do diabła? — wtrącił gniewnie Mo, nagle poczerwieniały ze złości. — Nie wie pan nawet, do cholery, kto przewozi śmiercionośny ładunek w imieniu waszej firmy?

Bolt doskonale rozumiał reakcję przyjaciela. Mo miał w Londynie żonę i czwórkę dzieci. Jeśli Hak planował atak terrorystyczny, łatwo zgadnąć, że stolica byłaby celem, co nadawało całej sprawie wymiar osobisty.

— To nie moja wina, że Roy nie wpisał wymaganych informacji — bronił się Cavendish.

Mo nie dał się uspokoić.

— A co z rachunkami? — spytał. — Powinien pan o tym wiedzieć. Na miłość boską, jest pan dyrektorem firmy.

— Roy także. Do ciężkiej cholery, to on zajmuje się rachunkami i księgami rachunkowymi. Skąd miałem wiedzieć, że zrobi coś takiego? Kompletnie tego nie rozumiem. Co on sobie, do diabła, myślał? — Cavendish ukrył twarz w dłoniach, wbijając wzrok w blat biurka.

Bolt położył mu dłoń na ramieniu.

— Już dobrze, panie Cavendish, nikt nie twierdzi, że to pańska wina. Ale naprawdę musimy odnaleźć ciężarówkę przewożącą ten ładunek.

Cavendish powoli uniósł głowę i przerażonymi oczami spojrzął na Bolta.

— W tym właśnie rzecz, panie Bolt. My nie mamy własnych kierowców. Korzystamy z usług agencji pochodzących z całej Europy. Ten cholerny gaz może być wszędzie.

Mike Bolt był optymistą. Przeżył w swoim życiu sporo ciężkich chwil — najcięższą z nich była śmierć Mikaeli — ale zawsze pozostawał świadom faktu, że jeśli tylko nie straci głowy i przyjmie na siebie zadawane przez los ciosy, w końcu osłabną i znów będzie lepiej. Bo jeśli pozwolić rzeczom toczyć się własnym torem, zawsze w końcu robi się lepiej.

W tej chwili jednak musiał mocno się starać, by nie stracić otuchy. Odnalezienie fosgeny, a także Tiny i Jenny Brakspear wyglądało na zadanie niewykonalne. W osobie Haka mieli do czynienia z wysokiej klasy profesjonalistą, który zdołał tak długo pozostać na wolności, bo zawsze wyprzedzał o krok stróżów prawa. Mimo wszystko to jednak możliwe, rzekł do siebie. Trzeba tylko zachować spokój i rozpracować wszystkie tropy, a do tego potrzebowali środków.

Dokładnie za dwadzieścia czwarta Bolt wyszedł do ogrodu na tyłach domu Cavendisha, pozostawiając Mo w środku z gospodarzem. Wybrał numer domowy Wielkiego Barry'ego. Sprawa uległa dramatycznej zmianie, zagrożone było bezpieczeństwo narodowe i Bolt potrzebował pomocy szefa.

Kiedy Wielki Barry podniósł słuchawkę, nadal sprawiał wrażenie śpiącego, ale nie trwało to długo.

— Jak to się mogło stać? — spytał, gdy Bolt powiedział mu o fosgenie.

— Z tego, co słyszałem, bardzo łatwo. Oczywiście najważniejsze to znaleźć to cholerstwo. Cavendish jest chwilowo w stanie szoku.

— Wcale się, kurwa, nie dziwię. Będzie w jeszcze większym szoku, jeżeli wypuszczą ten gaz, a jego firma zostanie uznana za odpowiedzialną. Jak groźne byłyby skutki zatrucia?

Bolt mu powiedział.

— Chryste. — Po drugiej stronie zapadła cisza, Wielki Barry przetrwał informację. — Będę musiał włączyć w to dyrektora. Premier też musi się dowiedzieć. To sprawa wagi państwowej.

— Wiem. — Bolt przeszedł dalej w głąb ogrodu. — Cavendish przekazał nam listę agencji wynajmu kierowców w Wielkiej Brytanii i Europie, z których usług korzystała wcześniej Mainline. Ale jest ich całe mnóstwo. W sumie osiemnaście. A ponieważ Brakspear starał się ukryć to, co robi, możliwe, że zwrócił się do kogoś innego.

— Skąd wiemy, że w ogóle wynajął kierowcę? Czemu nie mógł wysłać jednego z porywaczy, by odebrał zamówienie?

— Spytałem o to Cavendisha. Wszyscy kierowcy przewożący materiały niebezpieczne muszą mieć coś, co nazwał licencją APR. To dokument z fotografią. Dostaje je mnóstwo ludzi, ale mało prawdopodobne, by niemiecka firma produkująca fosgen przekazała zamówienie komuś bez ważnej licencji. Owszem, można ją sfałszować, ale zakładam, że Hak spróbuje przechwycić ładunek gdzieś pomiędzy fabryką i punktem docelowym: bezpiecznym zakładem Mainline tuż pod Cambridge.

— Jeśli już tego nie zrobił. — Wielki Barry westchnął. — No dobrze, wyślij mi e-mailem listę i nazwę firmy w Niemczech. Zorganizuję ludzi, którzy skontaktują się ze wszystkimi, ale o tej porze to trochę potrwa.

— Może istnieje szybszy sposób — rzekł Bolt.

— Co?

— Jestem niemal pewien, że wkrótce po porwaniu Jenny Roy Brakspear został uwięziony we własnym domu. Był tam w poniedziałek, bo Tina i Cavendish mówili, że dzwonili do niego o różnych porach. Był tam też, kiedy wczoraj rano zjawił się Fallon. Możliwe zatem, że zadzwonił do agencji wynajmu kierowców z numeru domowego. Jeśli sprawdzimy billingi, może się dowiemy czegoś.

— Świetny pomysł. — W głosie Wielkiego Barry'ego zabrzmiała nieco pogodniejsza nuta. — Dobra robota, stary druhu. Powiadam ci, jeśli nie dopuścimy, by to cholerstwo wpadło w niepowołane ręce, APPZ odniesie prawdziwy sukces. I to wysokiej klasy.

Bolt wiedział, że jego szef zawsze szuka wielkich sukcesów, które pozwoliłyby mu wspiąć się na kolejny szczebel w hierarchii APPZ, bliżej ostatecznego celu: stołka dyrektora. W zwykłych okolicznościach Bolt odpuściłby. Przywykł do zachowania Barry'ego, a ponieważ był on całkiem przyzwoitym szefem, zazwyczaj go tolerował. To jednak nie były zwykłe okoliczności.

— Ja ucieszę się dopiero, kiedy uwolnimy Tinę i Jenny Brakspear — odparował, nie starając się nawet ukryć irytacji.

— Oczywiście, oczywiście — Wielki Barry wycofał się szybko. — A co z Royem Brakspearem? Mówiłeś, że wczoraj rano był wciąż w domu. Czy to możliwe, że jest tam dotąd?

— Poważnie wątpię. Przypuszczam, że Hak przeniósł go po ucieczce Fallona, na wypadek gdyby tamten wszczął alarm. A jeśli nie, z pewnością zrobił to do tej pory, bo musi wiedzieć, że rozmawialiśmy z Fallonem.

— Hak ma w tej chwili mnóstwo na głowie i z pewnością nie dysponuje zbyt dużą grupą ludzi. Możliwe, że nie miał jeszcze okazji. Pojedź do Brakspearów i rozejrzyj się, dobrze? I tak masz przecież po drodze. Ja tymczasem ściągnę pełną grupę śledczą,

ze zbrojnym wsparciem i nakazem rewizji. Możliwe, że będziemy musieli go uwolnić.

— Nie chcę w żaden sposób narazić Tiny. Ani Jenny.

— Dołożymy wszelkich starań, by sprowadzić je do domu cało i zdrowo, ale przykro mi to mówić, stary druha, w tej chwili przestały być głównym priorytetem.

47

Bolt i Mo, śmiertelnie zmęczeni, jechali do domu Brakspeara. Tylko czysta adrenalina pomagała im zachować przytomność.

— Chcę powiedzieć Sairze, żeby na parę dni zabrała dzieciaki z Londynu — oznajmił Mo po długiej ciszy. — Jej siostra mieszka w Leicester. Mogliby do niej pojechać. Ma dość miejsca.

— Na razie nic nie rób — odparł Bolt. — Nie wiemy nawet, gdzie w tej chwili znajduje się gaz, i bardzo ważne, byśmy zachowali wszystko w tajemnicy. Nie chcemy wywołać paniki.

— Łatwo ci mówić — warknął Mo. — Ty nie masz rodziny. — Nagle ugryził się w język, po jego twarzy przemknął grymas bólu. — Przepraszam, szefie. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Po prostu sam wiesz... — Pokręcił głową. — Za dużo tego wszystkiego.

— Nic się nie stało — powiedział Bolt. Wiedział, że gdyby Mikaela wciąż żyła, niemal na pewno zrobiłby to samo: zadzwoniłby i kazał jej bez słowa wyjechać z miasta. Teraz, kiedy mieszkał sam, byłoby z jego strony hipokryzją nie dać innym szansy ochrony ludzi, których kochają najbardziej. — Rób, co uważasz za słuszne, Mo — rzekł w końcu. — Nie będę ci przeszkadzał.

Mo przytaknął i obaj znów umilkli.

Za piętnaście piąta dotarli do domu Roya Brakspeara. Bolt zwolnił odrobinę, mijając główny wjazd. Brama z kutego

żelaza była zamknięta, dostrzegł jednak na podjeździe samochód Brakspeara.

Zaparkowali obok szeregu bielonych domków w pobliżu i wysiedli z wozu. Na horyzoncie pojawiła się pierwsza jutrzienka, wczesny ranek był spokojny i cichy. Wielki Barry oddzwonił, informując Bolta, że ekipa badawcza może przyjechać najwcześniej za godzinę. Dodał też jednak, iż jeśli uznają, że dom jest pusty, powinni wejść do środka i nie przejmować się konsekwencjami. Boltowi doskonale to odpowiadało.

Ścieżka na końcu szeregu domków biegła równoległe do zewnętrznego muru posiadłości Brakspeara, aż na pole kukurydzy. Wędrowali nią w milczeniu. Boczna furtka okazała się zamknięta, lecz obaj przywykli do długotrwałych obserwacji i dostawania się w miejsca, do których ich nie zapraszano, toteż podsadzając się nawzajem, pokonali mur i zeskoczyli do ogrodu.

Dom był spokojny i cichy, okna przesłonięte kotarami. Przekradli się bezszelestnie przez trawnik aż do tylnych drzwi. Bolt przyłożył ucho do szyby, niczego jednak nie usłyszał. Sprawdził klamkę, drzwi okazały się zamknięte. Zamek był stary, otworzyliby go bez trudu.

Wymienili z Mo spojrzenia. Najpewniej Brakspeara w środku nie było, możliwe jednak, że jest i że pilnująca go osoba ma broń.

— Zróbmy to — wyszeptał Mo.

Bolt przytaknął, wyciągnął z kieszeni wytrychy i w parę sekund znaleźli się w staroświeckim pomieszczeniu gospodarczym pomiędzy pralką i zamrażarką. Obaj dobyli standardowych gazów pieprzowych — jedynej broni, jaką dysponowali, żałośnie mizernej w wypadku napotkania kłopotów. Unosząc przed sobą pojemnik, z palcem na spuście,

Bolt skradał się przez cichy dom, świadom obecności Mo tuż za plecami.

Pomieszczenie gospodarcze prowadziło do przestronnej kuchni, pośrodku stała wyspa śniadaniowa, wyraźnie niedawno zamontowana. Zlew wypełniały brudne garnki i patelnie, w powietrzu unosił się lekki smród smażonego oleju.

Przeszli do pogrążonego w mrocznej ciszy holu. Przez okienko nad frontowymi drzwiami przenikały do środka promienie gasnącego księżyca, oświetlając oprawioną w ramki, powiększoną fotografię na przeciwległej ścianie. Bolt przystanął, by się jej przyjrzeć.

Był to portret rodzinny, przedstawiający młodszego Roya Brakspeara stojącego pomiędzy uroczą kobietą po trzydziestce i śliczną, na oko dziesięcioletnią dziewczynką. To musiała być Jenny. Cała trójka uśmiechała się do obiektywu i nawet w półmroku Bolt widział, że Brakspear wygląda na autentycznie szczęśliwego. Mężczyzna z rodziną. Zdjęcie to przemówiło do Bolta. Wzbudziło w nim też gniew, bo idealnie pokazywało, do jak wielkiego zła są zdolni ludzie, których ścigali. Skurwiele. Wezbrała w nim nagła żądza zemsty, tak potężna, że zadrzał.

Odwrócił się i pomaszerował cicho przez hol w stronę schodów.

I wtedy poczuł słabą mdlącą woń dochodzącą z góry. Woń psującego się mięsa.

Zatrzymał się i odwrócił. Mo też to zauważył. Zmarszczył nos. Obaj wiedzieli, co to oznacza.

Bolt wspiął się na schody i wyszedł na podest. Drzwi naprzeciwko były zamknięte, lecz smród zalegał tu gęściej, wisząc ciężko w powietrzu. Nagle mroczna cisza wydała się Boltowi bardzo głośna.

Unosząc przed sobą gaz pieprzowy, powoli otworzył drzwi i przekroczył próg.

Roy Brakspear leżał na brzuchu na łóżku, bokiem, nogi zwisały mu na ziemię. Miał na sobie typowy domowy strój faceta z klasy średniej — spodnie i granatowy sweter, na nogach brązowe półbuty. Padając, szeroko rozłożył ręce, a wokół głowy zebrała się niewielka kałuża krwi. Krople zaplamiały też pościel w miejscu, gdzie wystrzelona od niechcienia w tył jego czaszki kula przebiła się na drugą stronę.

Mo stanął obok Bolta. Milczał.

— Biedny frajer. Dla nich był tylko zawadą.

Bolt spojrział na trupa. Pomyślał o uśmiechniętym mężu i ojcu na zdjęciu z parteru. Dwoje z owej rodziny już nie żyło. Możliwe, że trzecia osoba, Jenny, także. A jeśli nie, to zginie, gdy tylko fosgen znajdzie się w rękach Haka.

Przeszukali pozostałą część domu, zapalając wszystkie światła — nie musieli już zachowywać się cicho. Nie znaleźli żadnych oczywistych dowodów wskazujących na tożsamość bądź obecne miejsce pobytu porywaczy. Wiedzieli, że rewizję należy powtórzyć, znacznie dokładniej, tym jednak zajmą się kryminaliści sądowi.

Wyszli tą samą drogą, Bolt zadzwonił do Wielkiego Barry'ego.

— Złe wieści — rzekł i poinformował szefa o znalezisku.

— Biedny palant. — W głosie Barry'ego był zaledwie cień współczucia. — Ja też mam dla ciebie wieści. Dobre i złe.

— Zaczynaj od dobrych.

— Twoje przeczucie się sprawdziło. Przejrzeliśmy billingi Brakspeara, znaleźliśmy numer agencji i znamy nazwisko kierowcy, który odebrał ładunek, oraz rejestrację jego ciężarówki.

— A złe? — spytał Bolt, choć domyślał się już, o co chodzi.

— Facet nie odbiera komórki, a urządzenie rejestrujące w ciężarówce nie działa. Jakby rozplynął się w powietrzu.

Frank O'Toole patrzył ze swego miejsca w kąciku za schodami wiodącymi na niższy parking promu, jak mężczyzna, którego śledził, manewruje pomiędzy nieruchomymi pojazdami, zmierzając do swego wozu. Nazywał się Trevor Gould. Pызaty facet tuż po pięćdziesiątce, z rumianą cerą sugerującą duże nadciśnienie i olbrzymim brzuchem, jakby połknął plażową piłkę. Zatrzymał się obok ciężarówki i przytknięciem wyłączył centralny zamek, nie zauważywszy, że ktoś podmienił tablice rejestracyjne.

Kolejny facet w garniturze, wyraźnie zmęczony, wsiadł do swojego pojazdu. O'Toole słyszał dobiegające z góry głosy. Czas zacząć działać.

W chwili, gdy Gould otworzył drzwi od strony kierowcy i dźwignął się po schodkach, niebezpiecznie balansując trzymaną w dłoni, na wpół zjedzoną bagietką, O'Toole wyslizgnął się ze swojej kryjówki i podszedł do niego, nie podnosząc głowy i kątem oka obserwując gościa w garniturze, który tymczasem wsiadł do samochodu.

Gould był tak zajęty wciskaniem się na swój fotel, że nie zorientował się, co się święci, póki O'Toole nie zajrzał do kabiny i nie przyłożył mu do boku noża myśliwskiego.

— Odsuń się — syknął — i nie patrz na mnie ani nie hałasuj. Inaczej zginiesz.

— Nie chcę żadnych kłopotów.

Gould miał dosyć rozsądku, by zrobić to, co mu każą. Z wyraźnym trudem zaczął gramolić się nad ręcznym hamulcem i dźwignią skrzyni biegów. O'Toole zauważył z cierpkim rozbawieniem, że nadal ścisnął w dłoni zatłuszczoną bagietkę, jakby to były klejnoty koronne.

— Gdzie masz tu GPS? — spytał.

— Pod moim siedzeniem — odparł Gould, demonstracyjnie unikając spojrzenia na napastnika.

— Rozłącz go.

Gdy Gould się nachylił, O'Toole wysunął z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki strzykawkę. Zdjął osłonkę i w chwili, kiedy kierowca się wyprostował, wbił mu igłę w ramię. W odróżnieniu od człowieka, dla którego obecnie pracował, Frank O'Toole nie lubił zabijać. Wcześniej zrobił to zaledwie raz, i to piętnaście lat temu: załatwił kapusia sprzedającego informacje Angolom. O'Toole i jeszcze jeden facet porwali go z ulicy przed domem i zawieźli do opuszczonego magazynu pod Newry, gdzie został osądzony przez wojskowy trybunał IRA i uznany za winnego zbrodni, o którą go oskarżono. Za kapowanie istniała tylko jedna kara: śmierć. O'Toole'owi wyznaczono zadanie wykonania wyroku; zrobił to bez wahania, posyłając kulkę w tył głowy tamtego, który klęczał z zasłoniętymi oczami, błagając o życie. Nie współczuł mu — kapuś zasłużył sobie — ale nie odczuł też żadnej satysfakcji. To była praca, nic więcej. Tak jak teraz. Tyle że tym razem miał dostać za swój wysiłek sto patyków — więcej, niż zarobił przez ostatnich dziesięć lat — co oznaczało, że nie może okazać słabości. Ani zadawać zbyt wielu pytań.

Twarz Trevora Goulda wykrzywił grymas; wybałuszył oczy, gdy trucizna wniknęła do jego ciała. O'Toole zatkał mu dłonią usta i pchnął na fotel, czując, jak tamtym wstrząsają gwałtowne drgawki. Mógł go zabić nożem, ale narobiłby zbyt wiele bałaganu. O'Toole nie był szczególnie przewrażliwiony, ale

przez następną godzinę miał jechać tą ciężarówką i wolał, by nie wyglądała ani nie śmierdziała jak rzeźnia.

Gould umierał kilka minut, lecz jego zgon był cichy i nie zwrócił niczyjej uwagi. Nieświadomi ludzie krążyli wokół swych samochodów, podczas gdy prom dobijał powoli do portu w Harwich. Gdy w końcu kierowca znieruchomiał z fioletowosiną twarzą, O'Toole sięgnął do kieszeni, wyciągnął zrobioną dla siebie licencję APR i przyczepił do kurtki. Następnie wcisnął trupa Goulda w miejsce do leżenia za przednimi fotelami i nakrył wyświnioną kołdrą. Nie zważając na zapach, rozchodzący się już w kabinie ciężarówki, dokończył bagietkę Goulda, po czym uruchomił silnik. Prom dobił właśnie do nabrzeża.

Zaledwie pięć minut później żelazne wrota się otworzyły i O'Toole dołączył do długiej linii wozów zmierzających w stronę kontroli paszportowej. Westchnął z ulgą, kiedy celnik, na oko niemający nawet dwudziestki, przepuścił go, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem. Nie musiał nawet otwierać okna, pomachał tylko fałszywym brytyjskim paszportem w stronę tamtego. Zdumiał go brak zabezpieczeń, choć domyślał się, że w dzisiejszych czasach ludzi takich jak on, białych w średnim wieku, nie uważa się już za podejrzaných.

Zachichotał do siebie.

Dawno, dawno temu figurował na liście najbardziej poszukiwanych przestępców Scotland Yardu, miał swoją własną teczkę w MI5. Teraz uważano go za element dawno minionej, nieistotnej przeszłości.

Podobne lekceważenie miało wkrótce okazać się potężnym błędem.

49

— Nigel jest gejem — oznajmiła Yvonne z przesadnym westchnieniem, podnosząc na mnie wzrok. Jej twarz wyrażała zawód połączony z nieskrywaną, nagą żądzą. — Przyłapałam go z miejscowym kowalem. — Dłonią powoli gładziła moją rękę i odkryłem, że zaczynam się podniecać. — Uważam, że powinniśmy się zejść, Rob. Minęło tyle czasu, a ja bez ciebie nie byłam szczęśliwa. Naprawdę. Ty jesteś mężczyzną dla mnie.

O mało nie rozplakałem się z radości. Od bardzo dawna tego właśnie pragnąłem. Żebyśmy znów byli razem, we trójkę. Zupełnie jakby w końcu ziścił się złożony plan.

A potem się obudziłem.

Oszołomiony, z pulsującą boleśnie ręką, usiadłem na łóżku i podniosłem leżący na stoliku zegarek. Wpół do jedenastej. Przespałem ponad dziesięć godzin. Przez okno do pokoju wpadały promienie słońca, przez szybę w drzwiach widziałem sylwetkę strzegącego mnie mężczyzny z pistoletem maszynowym. Po paru najbardziej przerażających i szalonych dniach życia w końcu byłem bezpieczny.

O dziwo jednak świadomość ta nie ucieszyła mnie tak bardzo, jak powinna. Zamiast tego ogarnęła mnie autentyczna melancholia. Częściowo wiązała się ze snem. Może i był dziwny, ale też przyniósł ze sobą słabą nadzieję, którą teraz zdmuchnęła rzeczywistość. Jednak chodziło o coś więcej. Dramat ostatnich kilku dni dobiegł końca i znów zostałem

zupełnie sam, nie stanowiłem już części otaczających mnie wydarzeń.

Pomyślałem o Jenny i Tinie Boyd, zastanawiając się, czy wciąż żyją. W jakiś sposób nie mogłem wyobrazić sobie tego drania o okrągłych oczach, jak je wypuszcza. Nie wyglądał na człowieka zdolnego do okazania litości. Pożałowałem, że nie zdołałem bardziej pomóc gliniarzom, którzy odwiedzili mnie zeszłej nocy. Sprawiali wrażenie inteligentnych i trzeźwo myślących, ale wszystko zależało od tropów, jakimi dysponowali, a ponieważ większość z nich pochodziła ode mnie, nie byłem pewien, czy do czegoś się nadadzą.

Na stoliku leżała wizytówka kierującego akcją Mike'a Bolta. Sięgnąłem po nią. Bardzo chciałem zadzwonić i poprosić o najnowsze informacje, wiedziałem jednak, że się nie ucieszy, zwłaszcza że nie miałem mu nic nowego do dodania.

Przy łóżku stał dzbanek wody, napełniłem szklankę i pociągnąłem głęboki łyk, wysilając umysł w poszukiwaniu czegoś, co mogłem przeoczyć w swej relacji z owych obłąkańczych czterdziestu ośmiu godzin.

Dopiero gdy dolałem sobie wody i podniosłem komórkę — tę samą, która informowała o miejscu mojego pobytu ludzi chcących mnie zabić — nagle to do mnie dotarło. Kiedy pojechałem do domu ojca Jenny, zanim mi przeszkodził, sfotografowałem telefonem niezidentyfikowany samochód na podjeździe. Z jakiejś przyczyny — zapewne dlatego, że zdarzyło się to pomiędzy znacznie ważniejszymi i bardziej przerażającymi wydarzeniami — nie wspomniałem o tym Boltowi i jego koledze, a przecież wóz niemal na pewno należał do ogolonego na łyso porywacza, który ścigał mnie po trawniku taty Jenny. Możliwe, że wciąż z niego korzysta.

Nie wiedziałem, czy policja odwiedziła dom jej ojca, czy też nie i czy zlokalizowali samochód, ale warto im o tym wspomnieć.

Z nadzieją, że Mike Bolt będzie miał dla mnie dobre wieści,
wybrałem jego numer.

50

Eamon Donald rozdeptał niedopałek, patrząc, jak ciężarówka wjeżdża przez otwarte podwójne wrota do przestronnej stodoły i zatrzymuje się na końcu. Gdy tylko kierowca wysiadł z kabiny, Donald go rozpoznał: Frank O'Toole, ochotnik z dawnych czasów. Na początku lat dziewięćdziesiątych, przed pierwszym rozejmem, spędzili razem parę miesięcy w więzieniu Maze i dotąd pamiętał, że ówczesny dowódca uważał go za godnego zaufania: dokładnie kogoś takiego potrzebowali przy obecnym zadaniu.

Znacznie mniej był pewien drugiego faceta, którego wynajął Hak, wielkiego ogolonego na łyso bandziora z południowego Londynu, niejakiego Stone'a. Obecnie tkwił on na drugim końcu stodoły, piłując długie kawały rury na prawie dwumetrowe odcinki. Stone rzadko się odzywał i nie zadawał żadnych pytań, choćby „po co właściwie piłuję na kawałki te rury?”. Bez protestów i zamieszania robił to, co mu kazano. W opinii Eamona Donalda ludziom niezadającym pytań nie należy ufać. Byli albo niewiarygodnie głupi, albo też, co gorsza, takich udawali. Hak mówił, że pracował już wcześniej ze Stone'em w czasach, gdy działał w londyńskim podziemiu, i że szło im nieźle. Donald ufał osądowi obecnego pracodawcy, ale i tak miał wątpliwości co do londyńczyka.

— Cześć, Eamon. — O'Toole podszedł do niego. — Tak przypuszczałem, że w pewnym momencie gdzieś na ciebie wpadnę. Co słychać?

— Wszystko w porządku — odparł Donald, uśmiechając się nieszczerze, gdy uścisnęli sobie ręce. Miał nadzieję, że inni ludzie nie wyciągną tych samych wniosków. Jako jeden z najbardziej doświadczonych specjalistów od bomb w IRA, od ponad dwudziestu pięciu lat zajmujący się produkowaniem ładunków wybuchowych, niektórych nader nowoczesnych, musiał bardzo uważać, by nie ujawnić swego udziału w tej operacji. — Wiesz, jaki ładunek przewiozłeś? — spytał.

O'Toole przytaknął.

— Owszem, wiem. Ale nie sądzę, żeby on wiedział. — Wskazał Stone'a, który piłował dalej, zwrócony do nich plecami.

— Nie i my też mu nie powiemy. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Poza tym mógłby się nie ucieszyć, słysząc, że zamierzamy podłożyć bombę w jego rodzinnym mieście.

— A zamierzamy? — W oczach O'Toole'a błysnęło zainteresowanie. — Wiesz, co jest celem?

— Nie, nie wiem. — To było kłamstwo, Donald wiedział dokładnie, co i kto będzie celem. — Wiem tylko, że wszystko musi być gotowe dziś na dziesiątą wieczór, musimy zatem brać się do roboty. Nie chcę, żeby Hak na mnie wsiadł i zaczął poganiać. Z czymś takim nie można się spieszyć.

— A gdzie jest Hak? — O'Toole rozejrzał się dokoła.

— Gdzieś się kręci. Pewnie z zakładniczkami.

— To znaczy, że wciąż żyją? Myślałem, że zdążył się już ich pozbyć.

Donald wzruszył ramionami. Hak zawsze był łasy na panienki. W dawnych czasach odnosił wiele sukcesów, ale wszystko się zmieniło, odkąd bomba rozszarpała mu twarz. Teraz wyglądał jak dziwoląg. Lecz Donald nie wątpił, że Hak wykorzystał obecną sytuację i że obie kobiety na górze do tej pory stały się już bez wątpienia obiektami niechcianych awansów z jego strony. Jako ojciec dwóch dorosłych córek

Donald patrzył na to z dezaprobatą. Sam służył ze swojej pruderii w kwestiach cielesnych, dopóki jednak nie przeszkadzało to w operacji i o ile Hak pozbędzie się ich obu przed jej końcem, był gotów przymknąć oko.

Uznawszy, że już najwyższa pora zakończyć pogawędkę, podszedł na tył ciężarówki.

— Kluczyki — rzekł do O'Toole'a, wyciągając rękę.

O'Toole oddał mu je i Donald otworzył tylne drzwi.

Przed sobą ujrzał ustawione parami otwarte drewniane palety, ze starannie ułożonymi, równymi rzędami prostych aluminiowych cylindrów — w sumie dwieście trzydzieści sześć. Lecz Eamon Donald nie widział zwykłych aluminiowych pojemników. Widział wielkie zębate pióropusze ognia i poszarpane chmury odłamków. Zniszczenie. I oczywiście zemstę. Co prawda walka IRA oficjalnie zakończyła się dziesięć lat wcześniej, lecz Donald wciąż zachował głęboką nienawiść do Brytyjczyków. W sumie trzymali go w Maze czternaście lat i zastrzelili jego brata, Pdraiga. On oczywiście też nieźle im odplacił serią bomb, które w ciągu lat zabiły ponad pięćdziesięciu członków angielskiego establishmentu. Niewinni ginęli także, co najmniej kilkudziesięciu, lecz stanowili nieuniknione straty uboczne w wojnie, która, przynajmniej dla Donalda, nigdy się nie zakończy.

Kiedy Hak zwrócił się do niego kilka tygodni wcześniej z propozycją pracy, Donald o mało nie odmówił. Robota była niezwykle ryzykowna i musiała przyciągnąć wiele uwagi. Zdecydował się jednak i nie chodziło wcale o sto pięćdziesiąt tysięcy, które mu obiecano. Po prostu Hak dawał mu okazję odniesienia krwawego, morderczego zwycięstwa nad starym wrogiem. Zwycięstwa, które przyćmi wszystko, czego dotąd dokonał.

O'Toole musiał odczytać jego myśli.

— To będzie wielki numer, prawda? — rzekł cicho.

Donald dostrzegł na twarzy tamtego cień zwątpienia, odwrócił się zatem i przygwoździł go twardym spojrzeniem.

— Cokolwiek się stanie, dranie sobie na to zasłużyli. Pamiętaj o tym.

51

Bolta obudził dzwonek komórki.

Usiadł gwałtownie i oszołomiony zaczął klepać się po kieszeniach. W końcu ją znalazł. Nie rozpoznał numeru, przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy to nie Tina.

Ale nie. To był Rob Fallon. Pytał, czy poczynili jakiegokolwiek postępy w poszukiwaniu Tyny i Jenny.

Bolt zdołał zdrzemnąć się chwilkę w biurze, podczas gdy wszyscy wokół harowali jak woły. Lecz jak dotąd Operacja Meduza, potężna akcja policyjna mająca na celu odnalezienie zaginionego ładunku fosgenu i przy okazji obu kobiet, nie odniosła żadnych sukcesów. Wiedzieli, że ciężarówka dotarła do Wielkiej Brytanii i że przyjechała nocnym promem z Zeebrugge do Harwich. Ale byli też pewni, że po drodze zmieniono jej tablice rejestracyjne, bo sprawdzenie wszystkich kamer przydrożnych w Harwich i okolicy niczego nie wykazało. Podobnie jak Hak, ciężarówka rozplynęła się w powietrzu. Wszystkie zasoby państwa brytyjskiego skupiały się na poszukiwaniach, zarządzono też całkowitą ciszę medialną. Lecz Bolt zdawał sobie sprawę, że nawet to może nie wystarczyć, bo czas nie był ich sprzymierzeńcem.

Teraz odchrząknął, z trudem zwalczając uczucie zawodu, i udzielił Fallonowi standardowej odpowiedzi, że sprawdzają kilka tropów i że przekaże mu wieści, gdy tylko czegoś się

downie. Czuł się do dupy, miał nadzieję, że Fallon zrozumie i da mu spokój.

— Możliwe, że mam dla was trop.

Bolt zainteresował się lekko, ale nie przesadnie. Sytuacja ewoluowała i w tak wielkiej sprawie Fallon stanowił najmniejszy z ich problemów. Spytał jednak, o co chodzi, i z rosnącym zainteresowaniem wysłuchał historii o samochodzie widzianym przez Fallona poprzedniego dnia na podjeździe przed domem Roya Brakspearera i zdjęciu zrobionym komórką.

— Nie mam pojęcia, czy to może pomóc — dodał Fallon niepewnie — ale uznałem, że powinniście o tym wiedzieć.

Bolt wyciągnął z kieszeni marynarki notes i zapisał markę, kolor i numer rejestracyjny samochodu, potem rozłączył się, nagle znów przepełniony nadzieją. Fallon wspomniał, że kiedy wrócił na miejsce, samochodu już nie było, wyraźnie zatem korzystał z niego porywacz. Jeśli zdołają go znaleźć, możliwe, że odnajdą także Haka.

Schował komórkę z powrotem do kieszeni i wstał. Wciąż czuł się mamie, lecz informacja od Fallona dostarczyła mu dość adrenaliny, by jeszcze przez kilka godzin mógł utrzymać się na nogach.

Kiedy Bolt wszedł do biura Wielkiego Barry'ego Freuda, szef akurat skończył rozmowę. Spojrzał na niego ze znużeniem.

— Wiesz — rzekł, gdy tamten usiadł — mimo tego całego cholerstwa szefostwo z Thames Valley wciąż zawraca mi dupę z powodu tego, że zeszłej nocy odjechałeś z miejsca zabójstwa. Dziś rano już dwa razy dzwonił do mnie zastępca ich naczelnego posterunkowego. Pieprzy jak stara przekupka. Chce cię przesłuchać w związku z ich śledztwem, ale poinformowałem go, że chwilowo nie jesteś dostępny. Nie zdołam jednak zbyt długo tego odwlekać. — Przerwał monolog, aby zetrzeć pot z czoła chusteczką wyglądającą, jakby tego dnia często spełniała swą powinność.

— Mam trop — oznajmił Bolt i powtórzył Wielkiemu Barry’emu historię o ciemnoniebieskiej maździe, którą Fallon sfotografował obok rezydencji Brakspeara. — Jeśli porywacz nie wie, że Fallon zrobił zdjęcie tablic rejestracyjnych, może nadal z nich korzystać. A jeśli go znajdziemy, możliwe, że znajdziemy też Haka i gaz.

Wielki Barry uśmiechnął się szeroko, wyraźnie zadowolony z nowych informacji.

— Warto spróbować, co? Przekażę to ludziom z ARNR.

System automatycznego rozpoznawania numerów rejestracyjnych stanowił najnowsze narzędzie techniczne w arsenale policji i pomagał w dwudziestopięciowiecznej walce ze światem przestępczym. Wykorzystywał rozległą sieć kamer przemysłowych, które automatycznie odczytywały numery rejestracyjne samochodów, zapisując ich ruch na wszystkich głównych drogach Wielkiej Brytanii. Następnie obrazy trafiały do olbrzymiej centralnej bazy danych, mieszczącej się obok krajowego policyjnego centrum komputerowego. Jeśli w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ktoś jeździł mazdą, ARNR będzie o tym wiedzieć.

Wielki Barry podniósł słuchawkę, w dwie minuty później przekazywał już numery rejestracyjne mazdy jednemu ze starszych oficerów zawiadujących bazą danych i informował stanowczym tonem, że ludzie mają odłożyć wszystkie inne zadania, bo wytropienie tego samochodu stanowi absolutny priorytet.

— To polecenie z samej góry, stary druhu — dodał, kładąc przesadny nacisk na słowo „góra”.

Wielki Barry Freud należał do ludzi, którzy lubią pokazywać innym, gdzie jest ich miejsce, zwłaszcza w czasie ważnych śledstw. Uważał, że to część jego władczyego, dominującego stylu bycia, lecz większość innych, łącznie z Boltem, widziała w tym tylko zwykłe buractwo.

Najwyraźniej jednak w tym wypadku zadziało i kiedy się rozłączył, pokiwał Boltowi głową.

— Oddzwoni za pięć minut.

— Jakieś postępy w sprawie ciężarówki? — spytał Bolt.

Funkcjonariusze z trzech różnych okręgów policyjnych raz jeszcze przeglądali nagrania ze wszystkich kamer z Harwich, sprawdzając, czy zdołają zidentyfikować ciężarówkę wyłącznie po jej opisie fizycznym.

— Jak dotąd nic — odparł Wielki Barry. — Sprawą zajmuje się co najmniej dwieście osób, ale żona Goulda niespecjalnie nam pomogła. Mówi, że ciężarówka jest wielka i biała, z czarnymi napisami bocznymi Banton Transport, nieszczególnie rzucającymi się w oczy. A, i że z tyłu kabiny Gould powiesił proporzeczek West Ham. Z drugiej strony, nie wydaje jej się, by dało się go zobaczyć z zewnątrz.

— Kurwa. To niezbyt wiele, co?

— Niezbyt. No i wiesz, jak wyglądają zdjęcia z kamer. Nawet w najlepszych okolicznościach są mocno rozmazane. To jak przysłowiowe szukanie igły w stogu siana, stary druhu. — Westchnął. — Gdybyśmy orientowali się chociaż, co może być celem, to już coś, ale nie mamy najmniejszego pojęcia.

— Coś takiego jak fosgen może służyć tylko jednemu celowi: zabiciu jak największej liczby ludzi. Czy wiemy chociaż, dla kogo może pracować Hak?

Wielki Barry pokręcił głową.

— Nie. Ale wysłuchałem krótkiego wykładu na temat właściwości gazu i o tym, jak można go wypuścić. Najwyraźniej jeśli się go podpali, fosgen traci swoje właściwości, toteż nie mogą po prostu wysadzić ładunku zwykłą bombą. Możliwe, że wyślą kogoś w porządnej masce przeciwgazowej, aby zrobił to ręcznie, otwierając kolejno cylindry. Jest ich jednak ponad dwieście, toteż trwałyby to wieki. A gdy tylko ludzie poczuliby zapach, zmyliby się bez śladu, więc niewiele by to dało.

— Co zatem zrobią?

— Nikt nie wie, ale mam przeczucie, że sobie poradzą. — Ponownie westchnął i Bolt dokładnie pojął, w jakim napięciu żyje jego szef. — Jeśli zdołają uwolnić gaz do atmosfery, to będzie prawdziwa katastrofa. Mamy słoneczny dzień, lekki wietrzyk, to ponoć idealne warunki do wypuszczenia gazu. Przyznaję szczerze, bardzo się cieszę, że moja kobieta wyjechała akurat z miasta.

Bolta zdumiała ta szczerłość. Wielki Barry Freud zwykle nie lubił się wychylać, najwyraźniej jednak sytuacja była nietypowa.

— Żony wielu z naszych wciąż tam są — rzekł, myśląc o Mo i Sairze, i czwórce ich dzieci.

Wcześniej, w drodze do pracy, podrzucił Mo do domu, by tamten mógł się przespać i spędzić trochę czasu z żoną i dziećmi. Zastanawiał się, czy ich także nie odesłał z miasta.

— Jeśli ci na górze uznają, że trzeba ewakuować Londyn, to to zrobią — oznajmił Wielki Barry. — Ale na razie montują blokady na wszystkich drogach do miasta, a kamery drogowe wypatrują wszystkich białych ciężarówek.

Starał się mówić pewnym siebie tonem, ale nie do końca mu się udało. Przed dalszą rozmową ocalił go dzwonek telefonu.

Najwyraźniej oddzwonił ktoś z ARNR. Barry zapisał coś w swym olbrzymim notatniku, zajmującym pół blatu biurka, a potem się rozłączył.

— Ostatnio kamery złapały mazdę wczoraj po południu, o drugiej czterdzieści siedem na północ od Saffron Welden w Essex na drodze B dziesięć pięćdziesiąt dwa w Linton w hrabstwie Cambridge. Jeśli później ktoś jej używał, to nie wyjeżdżał daleko, bo zarejestrowałaby ją któraś z kamer. Zaraz przyślą nam mapę pokazującą obszar, na którym może przebywać.

Bolt się uśmiechnął.

— To powinno zawęzić poszukiwania.

Kiedy jednak dziesięć minut później na ekranie komputera Barry'ego pojawiła się mapa, wyraźnie pojęli, że nie zawęziła ona poszukiwań tak bardzo, jak by chcieli. Choć miejsce ostatniego znanego pobytu mazdy otaczały kamery, był to wiejski obszar w północnym Essex z setkami bocznych dróg i wiosek, ograniczony od zachodu autostradą M11. Generowana komputerowo mapa wyliczała, że samochód może znajdować się gdziekolwiek na obszarze pięciuset kilometrów kwadratowych.

— Chryste, niezbyt nam to pomoże — mruknął Barry, pochylając się nad wydrukiem. — Założyłem alarm na te numery i jeśli wóz znów się pojawi, będziemy o tym wiedzieć, gdy tylko wyłapie go kamera. Lecz do tego czasu...

Bolt nie dał się zniechęcić.

— Mówił pan, że gazu nie da się wypuścić ot tak, ręcznie, zgadza się? Muszą zatem znaleźć jakiś skuteczny sposób, a w tym celu trzeba gdzieś go zabrać, by wszystko przygotować.

Wielki Barry wzruszył ramionami.

— No nie wiem. To chyba możliwe.

— A może samochód pojechał w to samo miejsce? Hak nie ma zbyt dużego zespołu. Jak dotąd wiemy tylko o jednej osobie, która z nim współpracuje.

— Nadal nie widzę, do czego zmierzasz, Mike.

— Pomyślałem sobie, że gdzieś tam mogą mieć swoją bazę. Centrum operacyjne — nakreślił palcem szeroki krąg na mapie — coś, co wynajęli. Jeśli pozwoli mi pan zabrać paru moich ludzi, którzy teraz przeglądają nagrania, możemy przepytąć wszystkich pośredników handlu nieruchomościami w okolicy i sprawdzić, kto niedawno wynajął jakiś dom. Szanse są niewielkie, ale...

— Bardzo niewielkie. Nie wiemy nawet, czy nie porzucili wozu gdzieś w jakimś lasku.

— Warto jednak spróbować. Nad kamerami siedzi dwieście osób. Z pewnością możemy zabrać parę z nich.

Wielki Barry spojrzał na niego z powątpiewaniem, należał jednak do ludzi, którzy wolą zawsze zabezpieczyć się z każdej strony na wypadek, gdyby z jednej z nich nadeszła okazja awansu.

— No dobra, weź jedną osobę. — Spojrzał na zegarek. — Mamy jedenastą. O drugiej sprawdzimy, co macie.

Bolt podziękował i wyszedł z mapą, nim szef zdążył zmienić zdanie. Nadal szukali igły w stogu siana, lecz przynajmniej stóg nieco się zmniejszył.

Poza tym warto sprawdzić każdy trop, który mógłby doprowadzić ich do Tiny.

Kabina ciężarówki nadal cuchnęła śmiercią, choć ponad godzinę wcześniej usunęli z niej zwłoki kierowcy, toteż Eamon Donald ucieszył się, gdy skończył wiercić prowadzące na tył otwory, potrzebne do podłączenia bomby, i mógł w końcu wyjść na względnie świeże powietrze zapalić wytęsknionego papierosa. Od prawie dziesięciu lat starał się rzucić — proces zaczął się, gdy u jego palącego całe życie staruszka stwierdzono śmiertelnego raka płuc — ale nigdy nie udało mu się wytrzymać dłużej niż tydzień i przynajmniej na razie zrezygnował z dalszych prób.

Zapalił marlboro lighta i podszedł do Stone'a i O'Toole'a. Obaj pracowali ciężko, otoczeni kawałkami rur, które wcześniej piłował Stone. O'Toole dzbankiem odmierzał porcje wybuchowej mazi stanowiącej mieszanekę azotanu amonu i oleju napędowego, którą czerpał z beczki obok i napełniał nią kolejne rury. Stone tymczasem na czworakach, za pomocą przemysłowej taśmy izolacyjnej, oblepiał każdą z nich garścią piętnastocentymetrowych gwoździ. Wszystkie używane składniki można było kupić legalnie, trzeba tylko wiedzieć, czego szukać.

— Jak wam idzie, chłopcy?! — zawołał Donald, pilnując, by nie zbliżyć się za bardzo do papierosem.

— Potrzebujemy jeszcze godziny — odparł O'Toole. — Potem będziemy musieli zrobić przerwę. — Stone mruknął coś, co zabrzmiało jak potwierdzenie.

— Nie martwcie się, kiedy skończycie, będziecie mogli odpocząć.

Donald zerknął na zegarek — wpół do pierwszej, wciąż mieli zapas czasu. Zaczynał robić się głodny, miał nadzieję, że Hak kupił jakieś jedzenie. Donald lubił dobrze zjeść i ciężko mu się pracowało z pustym żołądkiem. Przeczuwał jednak, że Hak nie zapewnił niczego smakowitego. Nie należał do ludzi czerpiących radość z jedzenia. Wyglądało na to, że jedyną przyjemność sprawiają mu gwałty i morderstwa.

Dokładnie w chwili, gdy myślał tak nieżyczliwie o swym obecnym pracodawcy, drzwi stodoły się otworzyły i pojawił się w nich Hak w kombinezonie ochronnym rodem z Piątku trzynastego i rękawiczkach. Jego anemiczna twarz wyglądała jak ilustracja z dokumentu o niepowodzeniach chirurgii plastycznej. Donald zastanawiał się, jakim cudem tamtemu udaje się tak dobrze wtopić w tłum. Według niego Hak pasował do reszty ludzkości jak striptizerka do klasztoru.

Po raz kolejny głęboko zaciągnął się upragnionym dymem i w tym momencie podszedł do niego Hak i poprowadził na przód ciężarówkę, poza zasięg słuchu Stone'a i O'Toole'a.

— Jak wam idzie? — spytał.

— Całkiem dobrze. Twoja bomba będzie gotowa na czas. Hak przytaknął.

— Świetnie. To właśnie chciałem usłyszeć.

Donald jednak dostrzegł w nim pewne napięcie. Hak zmarszczył brwi, sarkając na papierosa, i Donald przypomniał sobie, że nie lubi palenia.

Czniać to. Zaciągnął się ponownie, rozkoszując się smakiem.

Zatrzymali się przy kabinie, Hak przyszpilił go badawczym spojrzeniem.

— Słyszałem, że podpalony fosgen traci swoje właściwości. Jak zamierzasz temu zapobiec?

— Ach, widzę, że się przygotowałeś.

— Zawsze się przygotowuję, Eamon.

— No cóż, to bardzo proste. — Donald nie zdołał ukryć entuzjazmu, który ogarniał go zawsze, kiedy rozmowa schodziła na temat bomb. — Gdy ci dwaj skończą napełniać rury mieszanką wybuchową, zamierzam do każdej włożyć detonator i powtykać je w szczeliny w paletach z gazem. Według moich obliczeń na każdą przypadną dwie rury. Potem podłączymy je do skrzynki przekaźnikowej stanowiącej łącznik pomiędzy rurami ze środkiem wybuchowym i głównym detonatorem w kabinie. Po zwolnieniu głównego detonatora skrzynka prześle sygnał przewodami i nasze trzydzieści dwie minibomby eksplodują jednocześnie, rozrzucając na wszystkie strony przymocowane do nich gwoździe z siłą dostateczną, by przebić wszystkie cylindry. Lecz — tu Donald zawiesił głos dla większego efektu; czuł się niezwykle zadowolony z siebie — urok tego planu polega na tym, że ponieważ rury są zrobione z utwardzonego plastiku, siła wybuchu zostanie przez nie stłumiona — możesz to porównać do koca tłumiącego płomień — toteż choć podziurawione cylindry rozlecą się dokoła, sam gaz nie zostanie podpalony. Może nie wszystkie cylindry zostaną przedziurawione, kilka się pewnie zmarnuje, bo żaden plan nie jest doskonały, oceniam jednak, że jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent ładunku zostanie bez większych strat wypuszczona do atmosfery. Przy lekkim wietrzyku i braku deszczu wszyscy w promieniu półtora kilometra wciągną w płuca czystą truciznę. To będzie najstraszliwszy atak terrorystyczny w historii Wielkiej Brytanii. Angole nie będą nawet wiedzieli, co im spadło na głowy.

— A czy wprowadziłeś modyfikacje, o których rozmawialiśmy? — spytał cicho Hak.

Kiedy zatrudnił Donalda, zażądał, by bomba eksplodowała niezależnie od wszystkiego, nawet jeśli siły bezpieczeństwa

przechwyca ciężarówkę, inaczej żaden z nich nie dostanie pieniędzy. Technicznie rzecz biorąc, jak wyjaśnił Donald, nie stanowiło to żadnego problemu. Wymagało jedynie czujnika nacisku umieszczonego pod fotelem kierowcy i podłączonego do akumulatora zasilającego bombę. Kiedy się ją uzbroi — a można to zrobić jednym ruchem przełącznika, zanim ciężarówka wyruszy w drogę — w chwili, gdy kierowca podniesie się z fotela, zmiana ciężaru sprawi, że czujnik naciskowy zdetonuje bombę. Zatem nawet gdyby zastrzelono go podczas jazdy, gdy tylko spadnie z fotela, bomba wybuchnie. Była to taktyka stosowana przez grupy terrorystyczne w samochodach pułapkach na całym Bliskim Wschodzie. Nawet w wypadku gdyby zamachowiec samobójca nagle zmienił zdanie, śmiercionośny ładunek i tak by wybuchł.

Istniał tylko jeden problem. Kiedy Donald zgodził się na tę robotę, nie miał pojęcia, że kierowcą będzie ochotnik z dawnych czasów.

— Zrobię to na samym końcu — odparł. — To mi zajmie najwyżej pięć minut. Ale czy kierowcą musi być O'Toole? To jeden z naszych. Czemu nie użyjesz Stone'a? Jest dla nas nikim.

Hak spojrział na niego beznamiętnie.

— Stone jest za głupi. Potrzebujemy kogoś godnego zaufania. To musi być O'Toole.

Donald zaciągnął się mocno papierosem, patrząc ponad ramieniem Haka na O'Toole'a i Stone'a, skupionych na pracy. O'Toole nigdy by nie podejrzewał, że starzy druhowie go zdradzą, i fakt, że ich pracodawcę w ogóle to nie obchodziło, nieźle Donalda wkurzył.

— Tak naprawdę nigdy nie wierzyłeś w naszą sprawę, prawda, Michael? — spytał retorycznie, po raz pierwszy zwracając się do Haka po imieniu. — Nie wierzyłeś w nic, co robiliśmy.

— To nie twoja sprawa.

— Wiesz, czego nie rozumiem? Dlaczego w ogóle to robisz? Ja się zgodziłem, bo nienawidzę Angoli. Bo jestem im to winien za czterysta lat prześladowań. A skoro oni nigdy nie wahali się przed zabijaniem niewinnych, czemu ja miałbym się przejmować? Ale co ty z tego masz? Jasne, wiem, że twój klient, kimkolwiek jest, z pewnością dużo ci płaci. Ale wydaje mi się, że ktoś taki jak ty zdążył już zebrać sporo gotówki, a po takiej robocie i tak wielu trupach wszyscy gliniarze w kraju będą cię ścigać... Żadna suma nie jest tego warta. — Zaciągnął się po raz ostatni i zgniótł niedopałek obcasem. — Zatem co tobą kieruje?

Hak pochylił się naprzód, cała jego twarz jakby pociemniała.

— Robię to, bo, kurwa, mogę — syknął, a jego oczy rozbłysły złowieszczo. — A teraz zrób mi tę grzeczność, Eamonie Donaldzie i bierz się do roboty.

Obydwoj przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem, lecz to Donald wycofał się pierwszy i odwrócił, natychmiast żałując, że rozdrażnił swego rozmówcę.

Żałował też, że w ogóle zgodził się na tę pracę. Płacili nieźle — sto pięćdziesiąt tysięcy, pięćdziesiąt zaliczki, reszta po wykonaniu zadania. Lecz po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy dożyje ostatniej wypłaty. Skoro Hak był gotów posłać O'Toole'a na śmierć, czemu nie miałby zabić też Donalda? Uznał, że będzie musiał bardzo się pilnować.

53

Siedziałem na łóżku, myśląc o Jenny Brakspear, gdy ktoś zastukał do drzwi. I któż to wszedł do środka, jeśli nie mój stary kumpel Dom? W jednej dłoni trzymał bombonierkę, w drugiej siatkę z książkami Waterstone. Był ubrany w rozpiętą pod szyją koszulę i świetnie skrojony garnitur, twarz miał szczupłą i opaloną, stracił na wadze i wyglądał, jakby sporo ćwiczył.

Uśmiechnąłem się szeroko na jego widok, lecz część mnie poczuła zazdrość. Oto chłopak Jenny, facet, z którym była prawie rok, lecz gdy najbardziej go potrzebowała, akurat siedział w Dubaju. W odróżnieniu ode mnie. Ja natomiast byłem na miejscu we właściwej chwili.

— Cześć, stary — rzekł z ciepłym uśmiechem. — Jak się czujesz? Przyniosłem ci parę drobiazgów.

Położył na stoliku książkę i czekoladki i uściśnął mi zdrową dłoń. Zrobił to dziwnie słabo. Zazwyczaj ścisnął dłoń mocno i energicznie, może jednak uznał, że w moim stanie tego nie wytrzymam.

— Dzięki, stary, doceniam.

Przysunął sobie krzesło i usiadł, patrząc na mnie z czymś pomiędzy współczuciem i podziwem.

— Trudno uwierzyć w to, co cię spotkało. Naprawdę trudno.

— Dowód jest tam. — Wskazałem ręką policjanta, wciąż pełniącego straż przed drzwiami. — To się zdarzyło naprawdę.

— Słyszałem, że Maxwell nie żyje.

Przedstawiłem mu Dorna jakiś czas temu, bo zawsze chciał poznać prawdziwego, żywego gangstera. Maxwell powiedział mi później, że Dom to niezły dupek.

Pokiwałem głową.

— Widziałem, jak umierał.

I wtedy nagle wszystko jakby do mnie dotarło, jedną potężną falą szoku: to, jak blisko otarłem się o śmierć, nie raz, lecz dwa razy, krystalicznie wyraźny obraz trupa Maxwella w błotnistym grobie... Przez kilka sekund głos uwiązł mi w gardle.

Dom z wyraźną troską spytał, czy nic mi nie jest.

— W porządku. Po prostu potrzebuję chwili. — Przyglądałem włosy zdrową dłonią, zdumiony, że ciało nie boli mnie tak bardzo jak przedtem, choć podejrzewałem, że to kwestia leków, a potem pociągnąłem łyk wody. — Sam nie wiem, co się ze mną działo, Dom. Zupełnie jakbym znalazł się nagle w sennym koszmarze.

— Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek zdołał dopaść Maxwella.

Mruknąłem coś pod nosem, przypominając sobie, jak Maxwell błagał o życie.

— Ci ludzie grają w zupełnie innej lidze. Nikt im nie podskoczy. A najgorsze jest to, że wciąż mają Jenny.

— Wiem — odparł. — Po co ktokolwiek miałby ją porywać? I zabić tak wiele osób? Tego właśnie nie pojmuję. Czy policja nie wspominała, z jakiego powodu ktoś mógłby to zrobić?

— Nic mi nie mówili, ale nie wtajemniczają mnie we wszystko. Prosiłem, żeby mnie informowali, ale na to nie liczę.

— I co teraz zrobisz?

Dobre pytanie. Nie mogłem wrócić do domu, bo moje mieszkanie traktowano jako miejsce zbrodni — a poza tym w ogóle nie miałem ochoty tam wracać. Szczerze mówiąc, wolałbym nigdy już go nie oglądać.

— Nie wiem — odparłem. — Nie chcę zostać tu dłużej, a policja najwyraźniej zabiera mi ochronę, bo uważają, że nic mi już nie grozi, więc... — Urwałem z nadzieją, że potraktuje to jako sugestię.

Tak też się stało.

— Może na kilka dni zamieszkaż u mnie? — zaproponował i zabraniało to zupełnie szczerze. — Wziąłem sobie dziś wolne. Powinienem móc wziąć też urlop do końca tygodnia.

— Jesteś pewien? — spytałem z nadzieją.

— Jesteś moim kumplem, Rob. Jasne, że tak.

Wzruszył mnie. Tak bardzo, że omal nie uroniłem paru łez, lecz na szczęście zdołałem się powstrzymać. Zamiast tego wygramoliłem się z łóżka. Rozpaczliwie chciałem wyrwać się ze szpitala. Nawet w najlepszych okolicznościach trudno nazwać to miejsce przytulnym, lecz kiedy ktoś próbował cię w nim zabić, to całkiem niezły powód, by się stamtąd wynieść.

Jednakże moja nieco osobliwa sytuacja w połączeniu z brytyjskim upodobaniem do biurokracji sprawiły, że okazało się to niełatwe. Najpierw musiałem dostać pozwolenie od policji z Thames Valley, która kierowała moją ochroną — człowiek od nich zadzwonił do Mike'a Bolta, a on w zasadzie zgodził się na mój wyjazd, ale chciał dostać nowy adres na wypadek, gdyby musiał się ze mną skontaktować. Dopiero po tym zastępca naczelnego posterunkowego zatwierdził w końcu moją prośbę. Potem nadeszła kolej na szpital — musiałem go przekonać, że jestem w dość dobrym stanie, by mógł wypuścić mnie spod swej opieki. Z jakiejś przyczyny personel medyczny okazał się jeszcze bardziej niechętny do współpracy niż najlepsi chłopcy Jej Królewskiej Mości. Musiałem poczekać na dyżurnego doktora, aby dokładnie mnie przebadał, a on był dopiero w jednej trzeciej obchodu. Minęła zatem ponad godzina, nim w końcu wsiadłem do samochodu Dorna i ruszyłem w drogę

powrotną do Londynu, naszpikowany dostateczną dawką środków przeciwbólowych, by ogłuszyć drużynę piłkarską.

Podczas jazdy nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Wciąż byłem nieco oszołomiony po ostatnich wydarzeniach, a od zażytych prochów kręciło mi się w głowie. Kiedy jednak dotarliśmy do luksusowego mieszkania Dorna w Wanstead, gdzie on otworzył butelkę sauvignon blanc i kazał mi odpocząć, a sam zaczął szykować późny lunch, zacząłem odzyskiwać humor. Dom nie należał do najlepszych kucharzy na świecie — kiedy u niego mieszkalem, podstawę naszej diety stanowiły posiłki na telefon — lecz tym razem zdołał przygotować całkiem przyzwoity ryż z krewetkami, choć biorąc pod uwagę moje niedojadanie przez ostatnich kilka dni, zapewne w tym momencie pożarłbym ze smakiem wszystko.

Po posiłku zabraliśmy wino do salonu i zaczęliśmy rozmawiać o tym, co się stało. Dom zasypał mnie pytaniami, zwłaszcza jednak interesowały go wyczyny tajemniczego bladego Irlandczyka.

— Facet jest zimny jak gład — skomentował, gdy opowiedziałem mu, jak od niechcienia załatwił Ramona w mojej sypialni, i dosłyszałem w jego głosie lekką nutkę podziwu. — Może teraz, po śmierci Maxwella, napisałbyś książkę o tym wszystkim? Sprzedałbyś jej miliony.

Dom zawsze uwielbiał romantyczną otoczkę przestępczego podziemia, dlatego jego biblioteczkę wypełniały sensacyjne historie oparte na faktach i dlatego tak bardzo chciał poznać Maxwella. Jego stosunek do sprawy mocno mnie zirytował, ale też sam dałem się oczarować w dokładnie ten sam sposób.

— To nie człowiek, to zwierzę — odparłem ze stanowczością zamykającą temat.

— Cholera, przepraszam, stary, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. — Wyglądał na szczerze skruszonego. — Tylko że, no wiesz, nie miałem pojęcia, że tacy ludzie w ogóle istnieją.

Wino płynęło dalej, a my przeszliśmy do weselszych tematów. Zaczęliśmy wspominać dawne czasy: wspólne numery w szkole, katastrofalną podwójną randkę z bliźniaczkami Queen w nastoletnich czasach, kiedy Dom doprowadził swoją pannę imieniem Sam do placu, a moja, Justine, zaatakowała go pantoflem; koszmarną wycieczkę na południe Francji, gdy w wieku siedemnastu lat wsiedliśmy do złego pociągu na paryskim Gare du Nord i ostatecznie spędziliśmy cztery dni w zlanej deszczem Belgii. Dobre stare czasy, już dawno minione. Czasy, gdy świat był wesołym, pogodnym miejscem, którego nie odwiedzają zimni jak gład zabójcy.

Gdy tak rozmawialiśmy i śmialiśmy się głośno, w ciepłych, dodających otuchy objęciach alkoholu na moment zapomniałem o swoich problemach. Potem jednak przypomniałem sobie, że Jenny Brakspear wciąż gdzieś tam jest, i poczułem wyrzuty sumienia.

Widząc zmianę na mojej twarzy, Dom spytał, co się stało, a gdy mu powiedziałem, także spoważniał.

— Wiem, co czujesz, stary. Jeśli cię to pocieszy, czuję to samo. Ale żaden z nas nie może się tym zadręczać, zwłaszcza ty. Zrobiłeś wszystko co w ludzkiej mocy, żeby ją znaleźć, i teraz dzięki tobie szuka jej mnóstwo ludzi.

— To jednak nie znaczy, że ją znajdą, prawda? Zwłaszcza jeśli została dobrze ukryta.

— Nie możesz tak myśleć, Rob. Musisz zachować optymizm. Wiesz, że obecnie dysponują niesamowitą techniką, mogą znaleźć każdego. Do diabła, spójrz, jak łatwo znaleźli cię ten Irlandczyk i jego kumpel. Jeden maleńki nadajnik GPS wystarczy, by wytropić kogoś z dokładnością do metra.

— Chyba tak. — Nadal nie podzielałem jego pewności.

Zabrał z sosnowego stolika pustą butelkę po winie.

— Otworzyć następną?

— No nie wiem. Przez te prochy już je czuję.

Posłał mi przebiegły uśmiech.

— Daj spokój. Utop smutki. Zawsze możesz odespać to później. Pamiętaj, zrobiłeś już swoje.

Podobnie jak wielu chłopaków z City, Dom zawsze sporo pił. To najłatwiejsza metoda rozładowania napięcia i odpoczynku po długich godzinach pracy. Ja sam nie chlałem aż tak dużo, uznałem jednak, że jeszcze jedna butelka zbytnio mi nie zaszkodzi. W żaden sposób nie zdołałem więcej pomóc w poszukiwaniach Jenny, mogłem zatem na trochę o nich zapomnieć.

— No to otwórz jeszcze jedną — powiedziałem. — Gdy się powiedziało a i tak dalej...

Wyglądał na zadowolonego — ostatecznie nikt nie lubi pić sam — lecz kiedy wyszedł z pokoju, uświadomiłem sobie, że coś mnie gryzie, choć w zasnuwającej umysł alkoholowej mgiele trudno było ustalić co.

I wtedy to do mnie dotarło.

Nie wspomniałem Domowi o nadajniku GPS w swojej komórce. Odtworzyłem w myślach całą naszą rozmowę, sprawdzając, czy aby się nie mylę.

I wtedy uderzyło mnie coś jeszcze, coś tak potężnego i przerażającego, że nagle wyprostowałem się gwałtownie na kanapie.

W domu Maxwella komórki nie miały zasięgu.

Często powtarzał, że mu to odpowiada, bo tylko garstka ludzi zna jego numer stacjonarny, co oznacza, że mogą do niego dzwonić tylko ci, z którymi naprawdę chce rozmawiać. Oznaczało to też, że podczas naszych rozmów o książce nikt nam nie przeszkadzał.

A zatem porywacze nie mogli odnaleźć mnie za pomocą GPS-u. Co z kolei oznaczało tylko jedno: dysponowali informacjami od kogoś bliskiego.

I gdy odwróciłem się w stronę drzwi, natychmiast pojąłem od kogo.

54

W chwili, gdy Dom wrócił do pokoju i zobaczył wyraz mojej twarzy, jego uśmiech zniknął jak zdmuchnięty. Myślę, że w tym momencie zrozumiał, że go przejrzałem.

— Co się stało, Rob? — spytał z wymuszoną swobodą, odstawiając na stolik butelkę sauvignon blanc.

— Gdzie jest Jenny, Dom? — odparowałem ostro.

— O czym ty mówisz? Skąd miałbym wiedzieć?

Powiedziałem mu o braku zasięgu u Maxwella.

— Co to do diabła ma wspólnego ze mną?

— Wiedziałaś, gdzie mieszka Maxwell, prawda?

— No owszem, podobnie jak mnóstwo ludzi.

— Ale żaden z nich nie znał bliżej Jenny, zgadza się?

Jakaś część mnie nie mogła uwierzyć w to, co mówiłem. Ostatecznie Dom od ponad dwudziestu lat był moim przyjacielem, zwykłym gościem prowadzącym zwyczajne życie, i nigdy nie pakował się w kłopoty. Kiedy jednak tamtego dnia rozmawiałem z nim przez telefon w Dubaju, coś zabrzmiało fałszywie. Wtedy, gdy zaprzeczył, że przez ostatnie miesiące rozmawiał z Jenny, choć mówiła, że do niej wydzwaniał, próbując znów się zejść. Bo czemu u licha miałyby wymyślić sobie coś takiego?

— Kiedy mówiłaś, że od miesięcy nie rozmawiałaś z Jenny, kłamałaś, prawda? Powiedz mi — podniosłem głos — gdzie ona jest, do diabła?

— Chryste, Rob, nie bądź kretynem. Do cholery, po co miałbym mieszać się w porwanie? Jestem biznesmenem, nie przestępcą. Odbija ci, stary. Musisz odpocząć.

Próbował zmiażdżyć mnie wzrokiem, przybierając minę świętego oburzenia i zdumienia, którą tak dobrze znałem. Zwykle widywałem ją, kiedy próbował kogoś przekonać, że mówi prawdę. Zazwyczaj też działała i bez wątpienia stanowiła jeden z jego mocnych atutów biznesowych. W dawnych czasach zawsze udawało mu się przekonać nauczycieli, że mówi prawdę. Ja jednak za dobrze go znałem. Zazwyczaj miał taką minę, właśnie kiedy kłamał. Na potwierdzenie moich podejrzeń skóra pod prawym okiem Dorna zaczęła się poruszać, tik ten zawsze ujawniał się w chwilach napięcia.

Poczułem, jak wzbiera we mnie wściekłość.

— Ty draniu! Gdzie ona jest? Gdzie Jenny?

— O czym ty, kurwa, gadasz?! — wrzasnął, jego głos wypełnił pokój. — Pieprzysz w malignie, Rob. Nie mów rzeczy, których potem pożałujesz, dobra? Może się położysz, czy coś takiego? Dobra?

— Gdzie ona jest? Czy wciąż żyje?

— Zamknij się, kurwa — syknął, promieniując poczuciem winy.

— Zadzwoń na policję, Dom. W tej chwili. Mam w komórce numer jednego z ich szefów. Może zdołasz go przekonać, że nie wiesz, co się stało z Jenny. Bo wiesz co? Ja ci nie wierzę.

Wstałem i zdrową ręką wyciągnąłem z kieszeni komórkę. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje. Ze wszystkich przeżytych niedawno wstrząsów ten był największy. I dlatego właśnie potrzebovałem tak wiele czasu, by dostrzec prawdę.

— Odłóż telefon, Rob — powiedział Dom z lodowatym chłodem. — Natychmiast.

— Nie.

Cios padł znikąd, trafiając mnie prosto w szczękę i posyłając na kanapę. Komórka wyleciała mi z ręki i wylądowała na dywanie gdzieś poza zasięgiem wzroku.

Nim zdążyłem zareagować, Dom złapał jedną z poduch i skoczył nad stolikiem, jego twarz wykrzywił grymas wściekłej paniki; nigdy dotąd nie widziałem go w takim stanie. Wylądował na mnie, wbijając mi kolano w złamaną rękę, i krzyknąłem z bólu, próbując uniknąć zasypujących mnie ciosów. A potem nagle poduszka zakryła mi twarz i niczego już nie widziałem. Szarpałem się pod nim, kiedyś jednak grał w rugby i choć stracił na wadze, wciąż był z niego rosły facet, nie miałem szans.

Usłyszałem, jak sapie z wysiłku, napierając z całych sił na poduszkę, i poczułem nagłe przerażenie, gdy oddech uwiązał mi w gardle. Zdrową ręką chwyciłem go za udo i ścisnąłem najmocniej jak zdołałem. Chciałem błagać o litość, powiedzieć, że jeśli tylko mnie puści, nikomu nie powiem. Lecz z moich ust dobiegały tylko stłumione jęki, gdy walczyłem, aby chwycić powietrze.

Nagle bez ostrzeżenia poduszka zniknęła. Dom patrzył na mnie z góry ze łzami w oczach.

— Ty pierdolony fiucie! — krzyknął, waląc mnie pięścią. — Czemu musiałeś się w to mieszać? Czemu nie mogłeś odpuścić i znaleźć sobie własnej laski? Wtedy nic by się nie stało!

Zacząłem coś mówić, ale wałnął mnie ponownie, prosto w twarz, choć tym razem z mniejszą siłą. I wtedy pojąłem, że nie potrafi mnie zabić. Ledwie się ruszałem, a ręka bolała mnie tak bardzo, że miałem wrażenie, iż znów mi ją złamał. Mimo to poczułem nadzieję, bo wyglądało na to, że w Domie nadal pozostała odrobina sumienia.

Wstał, dysząc ciężko i zaciskając pięści.

Myślał.

Wyplułem wypełniającą usta krew i przemówiłem przez zaciśnięte zęby.

— Jeśli powiesz mi, gdzie ona jest, Dom, anonimowo zadzwonię na policję i przekażę im wiadomość. Przysięgam, że nie wymienię twojego nazwiska.

— Nie mam, kurwa, pojęcia, jasne! — wrzasnął, krążąc po pokoju. — Nie wiem, gdzie ona jest!

— W takim razie o co tu chodzi, Dom? Powiedz mi. Proszę. Jestem twoim kumplem.

Wydał z siebie jęk.

— Byłeś, Rob. Ale już nie jesteś.

— Mogę ci pomóc. Powaga.

— Nie, nie możesz. Nie ma, kurwa, takiej możliwości. Jedyni ludzie, którzy mogą mi pomóc, nie będą chcieli, żebyś kłapał dziobem na prawo i lewo.

— Wyjdę stąd — oznajmiłem, podnosząc się chwiejnie na nogi i nie zwracając uwagi na to, że świat wiruje wokół. — Nikomu nie powiem. Przysięgam. — Lecz moje błagania zabrzmiały pusto i obaj o tym wiedzieliśmy.

Dom stanowczo pokręcił głową.

— Przykro mi, stary, ale nie mogę ci na to pozwolić.

Wiedząc, że nie mam wyboru, ruszyłem do drzwi, posyłając mu zbolące, nieszczęśliwe spojrzenie. Miałem nadzieję, że pożałuje mnie dosyć, by się nie wtrącać.

Zagroził mi drogę i zobaczyłem, że jego twarz stwardniała w nowej determinacji.

Sięgnąłem po butelkę sauvignon blanc na stoliku, lecz prochy i alkohol sprawiły, że poruszałem się zbyt wolno, zdążył mnie odtrącić i sam ją złapał.

— Nie! — wrzasnąłem, unosząc ręce, by się osłonić, nie mogłem jednak powstrzymać butelki zmierzającej na spotkanie z moją skronią.

Miałem wrażenie, że coś eksploduje mi w głowie, nogi ugięły się pode mną. Wylądowałem ciężko na sofie, boleśnie uderzając tyłem głowy o oparcie. Prawe oko zalała mi krew, świat w lewym pociemniał.

Jak przez mgłę ujrzałem niewyraźną sylwetkę Dorna, wyciągającego z kieszeni komórkę. Tuż przed tym, nim w końcu straciłem przytomność, usłyszałem, jak z niezwykłym, niepokojącym chłodem, który zmroził mnie do szpiku kości, wymawia dwa krótkie słowa.

— Mamy problem.

55

Tina usłyszała szmery za drzwiami i napięła się, gdy się otworzyły. Kaptur na głowie nie pozwolił jej zobaczyć kto to.

Przez kilka sekund w pokoju panowała cisza, potem usłyszała dochodzące z bliska węszenie.

— Hm, sądząc po zapachu, ktoś nie zdołał nad sobą zapanować.

To był on. Człowiek, który ją porwał.

Nagle jednym gwałtownym ruchem zerwał jej z głowy kaptur. Mrużąc oślepienie blaskiem oczy, Tina ujrzała go stojącego przed sobą, ubranego w kombinezon ochronny i rękawiczki. Na wargach tańczył mu drwiący półuśmieszek, w dłoni tkwił pistolet z tłumikiem.

Wyszarpnął jej z ust knebel, lecz ledwie zarejestrowała ból. Wszystko przebijało szaleńcze pragnienie.

— Masz może wodę? — wychrypiała z trudem.

Bez słowa wyciągnął z kieszeni kombinezonu butelkę eviana i wcisnął jej do ust.

Tina zaczęła pić łapczywie, pochłaniając duszkiem całą butelkę.

Niemal natychmiast poczuła obezwładniającą ochotę na prawdziwego drinka, coś, co pozwoliłoby jej łatwiej znieść tę koszmarną sytuację.

— Masz może coś mocniejszego? — spytała, nim zdołała się powstrzymać.

Przysunął do niej twarz, okrągłe oczy patrzyły na nią z zainteresowaniem i przeklęła się w duchu za okazanie mu słabości.

— Obawiam się, że nie, Tino Boyd. Ale też wolę, żebyś pozostała trzeźwa. Wtedy lepiej docenisz to, co chcę ci pokazać.

I znów poczuła strach — napływał potężnymi falami, od których napinały jej się wszystkie mięśnie.

— A co chcesz mi pokazać?

Pochylił się jeszcze bardziej, tak że policzkiem dotknął jej policzka. Miała wrażenie, że czuje gumę.

— To niespodzianka — wyszeptał jej do ucha.

W wolnej dłoni mężczyzny pojawił się nóż. Porywacz przykucnął i przeciął nim taśmę izolacyjną i sznury. Ciął szybko, zdecydowanie i dokładnie, jakimś cudem nie kalecząc jej przy tym. Kiedy krępujące ją więzy leżały już w kilku stosikach wokół krzesła, na którym spędziła niemal całą ostatnią dobę, mężczyzna cofnął się i polecił jej wstać.

Zrobiła, co kazał, tak zeszywniała, że o mało od razu nie upadła. Dziwnie się czuła — nagle wolna. Ale nie dobrze, bo instynkt podpowiadał jej, że prześladowca już jej nie zwiąże. Wkrótce, może nawet za kilka minut, skończy zabawę. A wtedy skończy też z nią.

— Załóż ręce za plecy, dłońmi na zewnątrz — rozkazał, zabierając nóż i okrążając ją. — I nie próbuj niczego głupiego, inaczej dam ci powód do krzyku.

Tina posłusznie wykręciła ręce i czekała, gdy zakładał jej nowoczesne kajdanki policyjne. A potem znów stała przed nim, nadal ubrana jedynie w bluzkę i skarpetki.

— Pozwolisz, że coś na siebie włożę? — spytała. — Strasznie mi zimno.

Uśmiechnął się.

— Nie. Podoba mi się, kiedy trochę cierpisz.

Wziął ją za rękę i pchnął w stronę otwartych drzwi, idąc tuż za nią. Przekraczając chwiejnie próg, zastanawiała się, czy to ostatnie kroki jej życia. Starła się nie kuleć, choć zestaw wytrychów przy każdym kroku wpijał się jej boleśnie w podeszwę. Miała nadzieję, że mężczyzna niczego nie zauważy.

Drzwi wychodziły na wąski balkonik. Po lewej Tina ujrzała schody wiodące na parter, naprzeciwko — drugie drzwi.

— Idź dalej. — Wbił jej tłumik w krzyż.

— Dokąd? — spytała, stojąc na szczycie schodów. Nienawidziła niepewności, którą słyszała we własnym głosie, ta bowiem pokazała mu, że się boi, a na to nie chciała pozwolić.

— Tam. — Pchnął ręką drzwi. — No dalej, są otwarte.

Odetchnęła głęboko i weszła do środka, zastanawiając się, co do diabła ją tam powita. To, co ujrzała, było znacznie gorsze, niż sobie wyobraziła.

Znalazła się w ciemnym, cuchnącym pomieszczeniu, oświetlonym jedynie słabąjarzeniówką na suficie, jej nozdrza wypełnił ostry jak amoniak smród ludzkich odchodów. Na czarnym stojaku do praktyk sadomasochistycznych, przymocowanym do przeciwległej ściany i całkowicie przesłaniającym jedyne okno w pokoju, wisiała rozciągnięta i przypięta łańcuchami młoda kobieta, posiniaczona i naga, o potarganych jasnych włosach i przerażonych oczach. Tina poznała ją natychmiast. To była Jenny Braxsphear. Jej głowę przytrzymywała obroża z kolcami, w usta wepchnięto plastikowy kulkowy knebel. Kiedy Tina podeszła krok bliżej, ujrzała długie zaschnięte strumyczki krwi biegnące po jednej ręce. Podążyła wzrokiem do źródła i wzdrygnęła się, odkrywając, że Jenny brakuje koniuszka małego palca u lewej dłoni. W pokoju ustawiono kosztowną kamerę wideo na statywie, skierowaną na dziewczynę obiektyw rejestrował jej męki.

Gdy odpowiedzialny za nie mężczyzna wszedł do pokoju, Jenny Brakspear jęknęła i Tina rozpoznała ów dźwięk: słyszała go zeszłej nocy. Próbując nie wymiotować w panującym smrodzie, spojrzała na Jenny, która wpatrywała się w nią błagalnie umęczonymi oczami, i wymówiła bezdźwięcznie słowa, że wszystko będzie dobrze, choć widziała wyraźnie, że jeśli chodzi o dziewczynę, nic już nigdy nie będzie takie jak kiedyś.

— I co myślisz? — wyszeptał mężczyzna, pochylając się nad uchem Tyny. — Czyż nie jesteś szczęściarą, że nie trzymałem cię w takich warunkach?

— Dlaczego to robisz? — spytała z gniewem i mroczną rozpaczą. Trudno jej było uwierzyć, że na świecie istnieją ludzie do tego stopnia pozbawieni serca jak stojący obok mężczyzna.

— Co ona ci zrobiła?

— Wolałabyś, żebyśmy umieścił cię na jej miejscu?

— Po prostu ją wypuść, na miłość boską!

Zachichotał.

— Ach, jak już wcześniej mówiłem, Tino Boyd, masz w sobie ducha i wolę walki. Interesujesz mnie. Dlatego wciąż żyjesz. Lecz ta tutaj... nie ma już żadnej woli. — Westchnął dramatycznie. — Zatem musi umrzeć.

Nagłym ruchem kopnął Tinę, zbijając ją z nóg. W chwili, gdy padała na podłogę, uniósł broń, wycelował i podczas gdy oczy Jenny Brakspear otworzyły się szerzej po raz ostatni, strzelił jej raz w podbrzusze i drugi w czoło.

Na deski bryznąła krew, ciało Jenny przez kilka sekund dygotało gwałtownie, aż w końcu jej głowa opadła naprzód i znieruchomiała.

— Ty pieprzony skurwielu! — wrzasnęła Tina, próbując dźwignąć się z ziemi.

Z łatwością uskakując na bok, kopnął ją w głowę, posyłając na ziemię, a potem chwycił za włosy i podniósł.

— Ty też chcesz umrzeć, Tino Boyd? — Roześmiał się, a jego głos ociekał obłąkańczą sadystyczną ekstazą. — Chcesz tego, skarbie? Tak jak ona? — Powłókł ją naprzód, aż znalazła się tuż przed trupem Jenny i ujrzała krew ściekającą po desce za jej głową. — Czy też zaczniesz mnie błagać. — Wypuścił jej włosy i pchnął ją na przeciwległą ścianę, pewną ręką celując w głowę. Radość na jego twarzy zmroziła ją do szpiku kości. — I co, Tino Boyd? Co wybierasz? Błaganie czy śmierć?

Spojrzała wprost w lufę. Pomyślała o wszystkich ludziach, których straciła w życiu.

Nie załamuj się, Tino. Na miłość boską. Myśl.

— Proszę, nie zabijaj mnie — wyszeptała.

— Słucham? Co powiedziałaś?

— Proszę, nie zabijaj mnie.

— To znaczy, że zrobisz to, co ci każę?

Przełknęła ślinę.

— Tak.

Uśmiechnął się.

— Doskonale. To właśnie chciałem usłyszeć. Na kolana.

Tina zawahała się, myśli wirowały jej w głowie. Rozpaczliwie próbowała opracować jakikolwiek plan ucieczki.

— Klękaj, kurwa, ale już. Na kolana.

Powoli uklękła, kątem oka wciąż widząc trupa Jenny z wiszącą głową. Jasne włosy przesłaniały jej twarz niczym żałobny całun. Nie chciała wyglądać tak samo.

Podszedł krok bliżej, rozpinając rozporek. I zamarł. Z kieszeni kombinezonu dobiegał donośny, natarczywy dźwięk, wypełniający cały pokój. Nie opuszczając broni, mężczyzna sprawdził ekranik, zmarszczył brwi i przyłożył komórkę do ucha.

Kilka sekund słuchał z miną zdradzającą irytację, w końcu przemówił.

— Przyślij mi adres SMS-em. Już jadę.

Schował komórkę z powrotem do kieszeni i przyjrzał się Tinie z niemal naukowym zainteresowaniem, przesuając lekko broń tak, że celowała jej prosto w czoło.

Tina głośno przełknęła ślinę. Czekwała, aż mężczyzna zadecyduje o jej losie.

— Obawiam się, że nasza zabawa trochę się odwlecze — rzekł, opuszczając broń. — Możesz poczekać tu, z Jenny.

Tina nie odpowiedziała. Patrząc, jak mężczyzna idzie do drzwi i naciska kłamkę, myślała wyłącznie o wytrychach w skarpetce.

— Och, i jeszcze jedno — rzucił, jakby coś przyszło mu do głowy. — Wstań na moment.

Tina powoli podniosła się z podłogi i stanęła naprzeciw niego.

— Dzięki — rzekł z uśmiechem i strzelił jej w stopę.

Zegar na ścianie biura wskazywał za pięć czwartą, gdy Mike Bold skończył rozmowę telefoniczną z kolejnym pośrednikiem handlu nieruchomościami. Odkąd rozpoczął poszukiwania podejrzanych wynajętych budynków w północno-wschodnim Essex, gdzie ostatnio widziano niebieską mazdę, rozmawiał już z czterdziestoma pięcioma agentami. O niemal dwie godziny przekroczył limit czasowy wyznaczony przez Wielkiego Barry'ego i wiedział, że szef wkrótce każe mu dołączyć do Mo i reszty grupy w sąsiednim pokoju, gdzie przeglądali niekończące się nagrania z kamer przemysłowych w poszukiwaniu ciężarówki. Był też jednak pewien, że znalazł się na właściwym tropie. Założyłby się o miesięczną pensję, że gdzieś na tych pięciuset kilometrach kwadratowych Hak ma swoją bazę.

Przeciągnął się na krześle, nie zważając na potężne zmęczenie, i pociągnął łyk letniej kawy.

— Jak ci idzie? — spytał Krisa Obanjego, który siedział naprzeciwko, zatopiony w lekturze przysłanych im szczegółowych opisów nieruchomości. Po przeczytaniu rozdzielał je na odrębne stosiki. — Pamiętaj, że szukamy czegoś dość dużego, by pomieścić ofiary porwania, a może nawet ciężarówkę, w miejscu gdzie najemcy nie wzbudzą podejrzeń wścibskich sąsiadów. To musi nieco zawęzić wybór, prawda?

Obanje był roslym mężczyzną o budowie ciężarowca, a kiedy wyprostował się, krzesło zatrzeszczało pod jego ciężarem. Zdjął

grube okulary w rogowej oprawie, nadające mu wygląd intelektualisty.

— Jak dotąd mam pięćdziesiąt dziewięć nieruchomości wynajętych w tej okolicy w ciągu ostatniego półrocza i kosztujących ponad tysiąc pięćset miesięcznie. Nie sądzę, by sprawdzanie tańszych lokalizacji miało jakiś sens.

— Ja też nie. Ale osobiście uważam, że nie wynajęliby niczego na pół roku z góry. To nie miałyby sensu. Jak wiele z nich wynajęto w ciągu ostatnich trzech miesięcy?

— Dwadzieścia pięć. Z czego dziewięć według mnie wygląda obiecująco, to znaczy są dość duże, by pomieścić ciężarówkę, i stoją na uboczu. Wszystkie wynajęli ludzie bądź firmy nieznanego pośrednikowi. — Podniósł jeden ze stosików i wręczył Boltowi. — Sam zobacz. Rozmawiałem z agencjami, wszystkie umowy wyglądają legalnie.

Bolt, któremu niezwykle zaimponowały zdolności organizacyjne Obanjego, znacznie przekraczające jego własne, zaczął przeglądać szczegóły. Magazyny, budynki przemysłowe, farmy, parę wielkich wiejskich rezydencji, z których jedna szczyciła się parkiem ze zwierzyną, i zapuszczony domek z dwudziestoma hektarami ziemi. Każdy z nich idealnie nadawał się na kryjówkę.

— Hak to bardzo dokładny facet — rzekł Bolt. — Jeśli zatem wynajął jeden z tych budynków, na pozór wszystko będzie wyglądało jak należy. Założę się jednak, że jeśli trochę pokopiesz, wkrótce odkryjesz, że dane firmy bądź osoby podpisujące kontrakt sfałszowano. Chcę zatem, żebyś sprawdził najemców z każdej z tych dziewięciu nieruchomości, zobacz, co uda ci się odkryć. Ja tymczasem wracam do telefonu, kilka agencji wciąż nie przysłało nam informacji, a paru jeszcze nie zdołałem przycisnąć. Potem ci pomogę. Zgoda?

Podniósł słuchawkę, wkurzony na opieszałość części pośredników w obliczu jego pytania. Nim jednak zdołał wybrać kolejny numer, usłyszał na zewnątrz głosy i stukanie do drzwi.

To był Mo, wyraźnie podniecony. Bolt natychmiast założył, że w poszukiwaniach ciężarówki musiało dojść do przełomu.

Mylił się jednak.

— Twoja niebieska mazda, szefie — powiedział Mo. — Jest w ruchu. Ludzie z ARNR ją śledzą. Wielki Barry jest z nimi na linii w swoim gabinecie, chce, żebyś do niego przyszedł.

Bolt się rozpromienił. W końcu im się udało. Poleciał Obanjemu nadal sprawdzać listę i ruszył za Mo.

— Wchodzisz ze mną? — spytał podczas marszu przez otwartą salę. Reszta zespołu patrzyła na nich znad swych biurków z minami, które pojawiają się na twarzach policjantów tylko wtedy, kiedy dzieje się coś wielkiego.

Mo pokręcił głową.

— Nie, wezwał tylko ciebie. Lepiej się pospiesz.

Bolt pobiegł korytarzem i bez pukania wszedł wprost do gabinetu szefa.

Wielki Barry siedział za biurkiem, telefon przełączył na głośnik.

— Właśnie dołączył do mnie Mike Bolt — rzekł do mikrofonu. — To jego trop. Mike, mam na linii Deana Thomasa z kontroli ARNR i zastępcę komisarza, Antony'ego Bridgesa z centrali, kierującego tym dochodzeniem. Dean, gdzie jest teraz podejrzany pojazd?

— Na M jedenaście, zmierza na południe — odparł w głośniku wysoki nosowy głos. — Półtorej minuty temu minął skrzyżowanie numer sześć na M dwadzieścia pięć. Oceniamy, że przy obecnej szybkości za minutę znajdzie się na skrzyżowaniu numer pięć. Odbiór.

— Dobra — rzekł drugi, znacznie niższy głos, Bolt natychmiast rozpoznał Bridgesa. — Nie owijajmy w bawełnę, Mike. Uważasz, że ten pojazd ma związek z naszą zaginioną ciężarówką?

— Tak. W istocie jestem absolutnie pewien, że kieruje nim jeden z uczestników całej akcji.

— Masz pojęcie, dokąd się kieruje?

— Nie, i nie znam też tożsamości kierowcy, ale to z pewnością jeden z ludzi, których szukamy. — Rozumiał, że Bridges musi sprawdzać tropy, nim zezwoli na poważniejszą akcję, bo jak większość ludzi u władzy musiał bronić własnej dupy, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Wolałby jednak, by tamten się pospieszył.

— W takim razie będziemy obserwować pojazd i zobaczymy, dokąd nas doprowadzi. Na razie go nie przechwycimy — zdecydował w końcu Bridges. — W Lippetts Hill czeka wsparcie powietrzne. Wezwę je.

— Podejrzany pojazd minął skrzyżowanie numer pięć na M jedenaście w Loughton. Nadal kieruje się na południe główną trasą.

— Cholera, szybko jedzie — mruknął Bolt. — Jak dziś wygląda natężenie ruchu, Dean?

— Na wjeździe do miasta niezbyt duże. Kamera złapała go, gdy jechał z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Odbiór.

Typowe, pomyślał Bolt.

— No to lepiej się pospieszmy — rzekł do wszystkich, którzy go słuchali. — M jedenaście kończy się na skrzyżowaniu numer cztery. Dalej jest już Londyn.

— Helikopter z Lippetts Hill będzie w powietrzu za trzydzieści sekund — oznajmił Bridges. — Lot do skrzyżowania numer cztery zabierze mu dziewięćdziesiąt sekund. Pośleliśmy

też tam nieoznakowane wozy policyjne, dotrą na miejsce za dwie minuty. Nie zgubimy go. Odbiór.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Bolt był zwykle człowiekiem cierpliwym — aby przetrwać tak długo jak on w policji, trzeba sporej cierpliwości — w tej chwili jednak z trudem przychodziło mu zachowanie spokoju. Oczywiście nadal możliwe, że to fałszywy alarm, że mazda została porzucona i ukradziona przez miłośników szybkiej jazdy. Może w ogóle nic jej nie łączy z zabójcą Brakspeara. Lecz instynkt podpowiadał mu, że w samochodzie siedzi jeden z porywaczy, a już dawno nauczył się ufać swojemu instynktowi. Czekał zatem, bębniąc palcami o blat, a tymczasem Wielki Barry siedział z rękami splecionymi na kolanach, patrząc w przestrzeń, nietypowo cichy.

— Helikopter jest w powietrzu — oznajmił Bridges. — Czas przybycia na miejsce: niecała minuta.

— Podejrzany właśnie zjechał ze skrzyżowania numer cztery. Odbiór.

— Dokąd teraz jedzie? — spytał ostro Wielki Barry, po czym dodał z opóźnieniem: — Odbiór.

— Jeszcze nie mamy pewności — odparł kontroler, pierwszy raz w jego głosie zadźwięczała niepewna nuta. — Czekamy, aż minie kolejną kamerę. Odbiór.

Bolt zaklął. W tym właśnie problem z bajerancką nową techniką. Może znaleźć każdego praktycznie wszędzie, ale nie zawsze wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebujesz.

Cisza w pokoju świdrowała w uszach. Wszyscy pokładali całą swą nadzieję w człowieku, którego nawet nie widzieli, siedzącym przed monitorem komputerowym w Hendon.

W głośniku zatrzeszczało, kontroler znów się odezwał.

— Właśnie wyłapaliśmy go na objeździe obwodnicy północnej. Wygląda na to, że skręcił w A sto trzystaście, kieruje się na południe. Odbiór.

— Minutę od niego mam nieoznakowane pojazdy policyjne, a lada moment zjawi się helikopter. Odbiór.

Zapadła cisza. Bolt niemal słyszał mijające sekundy.

Zastępca komisarza Bridges znów się odezwał.

— Helikopter dotarł nad skrzyżowanie numer cztery, ale jeszcze nie widzi celu. Jest nad A sto trzystaście, wciąż nic nie widzi. Odbiór.

Czekali. Nikt się nie odzywał. Minęło trzydzieści sekund. Minuta.

— Helikopter nie widzi niebieskiej mazdy na całej A sto trzystaście — rzekł Bridges z irytacją. — Powtarzam, nigdzie nie widzimy podejrzanego pojazdu. Odbiór.

— Nie minął żadnych kamer? — Bolt pochylił się do mikrofonu.

— Mamy jedną na skrzyżowaniu z A sto dziewiętnaście, trzy kilometry na południe. Jeszcze go nie wyłapała. Odbiór.

— Jak wygląda ruch na A sto trzystaście na południe? — spytał Wielki Barry. — Odbiór.

— Nie mogę tego sprawdzić — odparł kontroler. — Możliwe, że stoi w korku. Odbiór.

Bridges przerwał mu natychmiast, z wyraźną złością.

— Nie ma żadnego korka. Helikopter zgłasza niewielkie natężenie ruchu. Leci na południe, wciąż nie widzi celu. Odbiór.

— Musiał gdzieś skręcić — rzekł kontroler. — Ale nie zajdzie daleko. Na wschód i zachód od niego są kamery. Gdy tylko minie jedną z nich, wyłapiemy go. Odbiór.

— Nie możemy zgubić tego cholernego samochodu — powiedział Bolt głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Lecz gdy minuta zamieniła się w dwie, a potem w trzy, zrozumieli wyraźnie, że tak właśnie się stało.

— Musiał się gdzieś zatrzymać. Odbiór.

— Helikopter krąży, ale nic nie widzi. Mam też w okolicy nieoznakowane pojazdy. Wysłałem je w ulice odchodzące od A sto trzystaście. Odbiór.

Wielki Barry wymamrotał coś pod nosem.

Bolt z irytacją pokręcił głową. W końcu wstał, zbyt zdenerwowany, by móc siedzieć dalej.

— Ma pan może gdzieś pod ręką plan Londynu? — spytał Wielkiego Barry'ego. — Muszę popatrzeć na coś namacalnego.

— Nie sądzę, aby to mogło nam w czymś pomóc — mruknął Wielki Barry, ale sięgnął do szuflady biurka i po paru sekundach wyciągnął plan książkowy, wręczając go Boltowi. On też nie sądził, by to cokolwiek dało.

Znalazł odpowiednią stronę i natychmiast zobaczył nazwę dzielnicy, w której ostatnio widziano niebieską mazdę.

Wanstead. Dlaczego to brzmiało znajomo?

I wtedy zrozumiał. Adres, który podał mu Rob Fallon przed wyjściem ze szpitala, był właśnie w Wanstead.

Jęknął.

— O co chodzi? — Wielki Barry pochylił się gwałtownie.

— Znów próbują dopaść Fallona. Jest teraz w Wanstead, w mieszkaniu kolegi.

— Adres?

Bolt pogrzebał w kieszeni.

— W moim notesie na dole.

Wypadł z gabinetu i popędził korytarzem, nie zważając na swój zespół. Biegiem wpadł do swojego biura, nie patrząc nawet na Obanjego, który z telefonem przy uchu notował coś pilnie, i zaczął grzebać na blacie pod stertami w poszukiwaniu notesu.

Minęło kolejnych trzydzieści sekund, nim zadzwonił do Wielkiego Barry'ego i przedyskutował mu adres Dominica

Moynihana. Wiedział, że popełnił straszny błąd, pozwalając Fallonowi opuścić szpital bez zbrojnej eskorty.

— Natychmiast pošlijcie tam funkcjonariuszy! — wrzasnął z nadzieją, że nie jest za późno.

57

Gdy otworzyłem oczy i wytarłem z nich krew zdrową ręką, zobaczyłem, że Dom nadal krąży po pokoju.

Widząc, że się ocknąłem, chwycił butelkę sauvignon blanc i pomachał przed sobą gniewnie.

— Jeśli spróbujesz się ruszyć, znów oberwiesz. Mówię poważnie. Tu chodzi o moje życie. Moje, kurwa, życie, stary. A w tej chwili jest dla mnie najważniejsze na świecie, ważniejsze nawet od naszej przyjaźni. Dlatego robię to, co muszę.

Odwrócił się i nadal krążył tam i z powrotem z butelką w dłoni, od czasu do czasu oglądając się przez ramię i sprawdzając, czy niczego nie próbuję. Każda cząstka mnie cierpiała katusze. Gdybym nawet zażył wszystkie środki przeciwbólowe, którymi obdarzył mnie szpital, prędzej bym umarł, niż złagodził ten ból. Było aż tak źle. Moja głowa. Twarz. Ręka. Nawet bok w miejscu, gdzie rąbnął mnie samochód Bolta. Wszystko.

Lecz kiedy tak leżałem, mrugając i próbując skupić wzrok na Domie, czułem coś silniejszego niż ból: strach.

— Co to znaczy: robisz to, co musisz? — spytałem, trudno mi było przekładać myśli na słowa. — I z kim rozmawiałeś przed chwilą?

Dom nie zareagował, demonstracyjnie mnie ignorując. Lecz mimo problemów ze skupieniem wzroku widziałem, że trzęsie mu się szczeka. Świadczyło to o potwornym napięciu.

— Proszę, Dom, wypuść mnie. Jestem twoim kumplem.

— Zamknij się, do kurwy nędzy — syknął, wciąż chodząc w kółko i patrząc wprost przed siebie.

— Nie wiem, jak się w to wmieszałeś, ale musi istnieć jakieś wyjście. Nie jest jeszcze za późno, żeby się poddać i pomóc Jenny. Jak dotąd nie zrobiłeś niczego naprawdę złego.

Oczywiście nie wiedziałem, czy to prawda, ale przemawiała przeze mnie desperacja.

Nawet nie zwolnił.

— Nic nie rozumiesz. Już za późno, jasne? Za późno na wszystko, kurwa.

— Nieprawda. — Ze wszystkich sił starałem się, by zabrzmiało to przekonująco. — Nigdy nie jest za późno, wierz mi...

Ale istotnie było, bo w chwili, gdy go błagałem, a on krążył dalej, rozległo się głośne pukanie do drzwi frontowych. Dom zastygł w miejscu jak słupek i spojrzał na mnie zbolalymi oczami. Potem, gdy do nas obu dotarło pełne znaczenie jego zdrady, wymówił bezdźwięcznie słowo „przepraszam”, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

W tym momencie zrozumiałem, że zużyłem już wszystkie dziewięć żyć. Że to naprawdę ostatnia szansa.

W sekundę później Dom wrócił w towarzystwie mężczyzny w kombinezonie ochronnym. Nim jeszcze ujrzałem jego twarz, wiedziałem bez cienia wątpliwości, że to będzie on.

— A zatem, Robie Fallonie, znów się spotykamy — rzekł cicho z owym ostrym, północnoirlandzkim akcentem i przekonałem się, że w dłoni trzyma ten sam pistolet z tłumikiem w kształcie cygara, z którego poprzedniej nocy zabił Maxwella.

Dom był blady jak ściana.

— Nie chcę tego oglądać — oświadczył i odwrócił się. — Proszę, zrób to szybko.

— Zrobię — odparł tamten — i nie musisz się martwić o oglądanie czegokolwiek.

Lekkim ruchem uniósł pistolet i strzelił Domowi w podbródek, siła odrzutu cisnęła nim na biblioteczkę. Zaczął osuwać się w dół, powoli znikając mi z oczu za kanapą. A wszystko to w absolutnej ciszy.

Irlandczyk odwrócił się do mnie, na jego bladej napiętej twarzy zagościł cień okrutnego uśmiechu.

— Wygląda na to, że czas się pożegnać, panie Fallon.

Straciłem już całą wolę walki, czułem tylko ból, nie zamierzałem jednak odchodzić bez słowa.

— Wiesz, chciałem powiedzieć ci już wcześniej — powiedziałem najgłośniej jak umiałem. — Paskudny z ciebie skurwiel.

Uśmiech zniknął.

— Ale żywy, prawda? A w tej chwili to znacznie ważniejsze.

Zatrzymał się przede mną i odwrócił lekko w stronę okna, gdy coś przyciągnęło jego uwagę. Ja też to słyszałem. Gniewny warkot helikoptera. Ogarnęła mnie nagła szaleńcza radość.

Która zniknęła, gdy tylko odwrócił się z powrotem ku mnie i uniósł broń.

— Przykro mi, że nie mogę zostać dłużej, panie Fallon, ale muszę załatwić parę spraw. Żegnam.

Pomyślałem o Yvonne. Pomyślałem o Chloe. Podziękowałem Bogu, że są bezpieczne. Żałowałem, że już ich nie zobaczę.

— Pierdol się — syknąłem tuż przed tym, nim pociągnął za spust.

Wanstead we wschodnim Londynie to atrakcyjna enklawa klasy średniej o niemal wioskowej atmosferze. A ulica, przy której mieszkał Dominic Moynihan, okazała się zadrzewioną alejką kosztownych edwardiańskich kamienic, w tej chwili zablokowaną z obu stron przez radiowozy z włączonymi kogutami. Kiedy zajechali na miejsce, Bolt zauważył stojącą nieco dalej niebieską mazdę, otoczoną kordonem z taśmy policyjnej.

Razem z Mo Khanem pokazali legitymacje i dotarli do wewnętrznego pierścienia radiowozów i furgonetek antyrozruchowych, ustawionych mniej więcej w półokręgu przed jednym z domów. Kilkunastu funkcjonariuszy — z sił lokalnych i dochodzeniówki — kręciło się wokół, nie okazując szczególnego zdenerwowania, a garstka policjantów z elitarnej zbrojnej jednostki Scotland Yardu, CO 19, zajęła pozycje za kordonem, trzymając na muszce dom.

Gdy się zbliżyli, od grupy oderwał się mężczyzna w cywilnym stroju — młody facet o rzadkich jasnych włosach, ubrany w garnitur stanowczo zbyt kosztowny jak na pensję policjanta — i powitał ich.

— Nadkomisarz Max Carter, dowództwo jednostek antyterrorystycznych — przedstawił się energicznie, wyciągając rękę. Przemawiał z wyraźnym akcentem ekskluzywnej szkoły. — Przypadło mi miłe zadanie dowodzenia tutejszymi siłami. Jesteście z APPZ?

— To my — potwierdził Bolt.

— Ja sam dopiero tu dotarłem — ciągnął Carter — ale nasi ludzie są na miejscu od dwudziestu pięciu minut.

— Czy w środku cokolwiek się dzieje? — spytał Mo.

Carter pokręcił głową.

— Nie wiem. Próbowaliśmy nawiązać kontakt telefoniczny, lecz nikt nie odbiera. Używaliśmy też głośnika, bez skutku. Czy któryś z was zna lokatora?

— Nie — odrzekł Bolt — lecz uważamy, że znamy tożsamość człowieka, który przebywa tam w tej chwili. Niejaki Robert Fallon. To on ujawnił całą sprawę. Możliwe, że ktoś przybył tu go zabić. Przyjechał obserwowaną przez nas niebieską mazdą.

— Nie miał ochrony policyjnej? — W głosie Cartera zabrzmiało zdumienie.

— Uważaliśmy, że nic mu już nie grozi — odparł szybko Mo.

— Ach tak. — Uniósł brwi. — No cóż, mazda wciąż tu jest, musimy zatem założyć, że kierowca także. Mam też ludzi na tyłach, jeśli zatem nie zniknął wcześniej, nie ucieknie.

Bolt miał nadzieję, że tak jest w istocie i że kierowca przetrzymuje w mieszkaniu Fallona, a może i jego przyjaciela, Moynihana. Lecz brak jakichkolwiek oznak życia sugerował coś innego.

— Istnieje tylko jeden sposób, by się dowiedzieć — rzekł. — Musimy tam wejść. A jeśli tam jest, musimy zatrzymać go żywego, bo niemal na pewno zna miejsce pobytu ciężarówki z gazem.

— Jak pan z pewnością rozumie, agencie Bolt, wolałbym nie przypuszczać ataku, póki nie wyczerpię innych możliwości. Ryzyko ofiar jest zbyt wielkie.

Bolt doskonale to rozumiał. Jednym z problemów współczesnej policji brytyjskiej jest fakt, że wszystko należy wykonywać ściśle według przepisów, do tego stopnia, że wśród

policjantów wytworzył się nawyk unikania ryzyka, poważnie szkodzący skuteczności ich pracy.

Lecz ciężarówka i jej śmiertelny ładunek całkowicie zmieniały sytuację.

— Wiesz o gazie, Max — powiedział cicho Bolt. — Może być wszędzie. Z tego, co wiemy, może nawet jechać tutaj, przygotowany do wybuchu. — Przypomniał sobie, że rodzina Mo mieszka zaledwie osiem kilometrów dalej. I choć twarz kolegi pozostała obojętna, szybko zmienił podejście. — Jeśli musisz wystąpić o upoważnienie, zrób to teraz. Jeżeli wolisz, żebym sam porozmawiał z Bridgesem, zgoda. Ale tak czy inaczej, wchodzę.

59

Przy wtórze donośnego huku enforcer, trzymany przez olbrzymiego funkcjonariusza jednostki antyterrorystycznej w pełnym rynsztunku obronnym — uderzył o główny zamek frontowych drzwi Dominica Moynihana.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, facet z antyterrorystycznej odsunął się na bok, a potem wśród chóralnych okrzyków „Uwaga, policja!” pierwsi funkcjonariusze CO 19 wpadli do środka.

— Czysto! — krzyknął ktoś i do pierwszych dołączyła kilkunastoosobowa grupa.

Kopniakami otwierali drzwi na parterze, wbiegali po schodach, błyskawicznie zabezpieczali teren.

— Chodźmy — rzekł Bolt i w następnej sekundzie wraz z Mo wyskoczyli zza kordonu, pokonując krótki odcinek asfaltu i przez otwarte drzwi wpadli do środka.

Hol był pusty. Po obu stronach ujrzeli otwarte drzwi, naprzeciwko mieli drewniane schody. Bolt słyszał donośne łaskoty dobiegające z pierwszego piętra, lecz nie było żadnych odgłosów stawianego oporu.

— Czysto! — krzyknął ktoś z góry.

Po lewej Bolta mieściła się przestronna, nowoczesna kuchnia, po prawej salon, ze środka dobiegały głosy, ale brzmiały spokojnie.

Przecisnął się tam wraz z Mo. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, było ciało ciemnowłosego mężczyzny po trzydziestce, leżące na wznak między na oko kosztowną kanapą a biblioteczką. Strzelono mu w twarz, kremowy dywan pod jego głową nabrał barwy mocnego burgunda. To musiał być Dominic Moynihan, bez wątpienia nie żył. Obok identycznej kanapy po drugiej stronie pokoju stało dwóch funkcjonariuszy CO 19, pistolety maszynowe MP3 trzymali opuszczone. Po przejściu kilku kroków Bolt przekonał się, że patrzą na kolejne ciało, z którego widział jedynie nogi. Jeden z nich trzymał ofiarę za rękę, szukając pulsu.

— On też nie żyje — oznajmił, wypuszczając rękę.

Bolt przełknął ślinę i podszedł do nich. Kiedy się odsunęli, zobaczył, kto leży bezwładnie na wznak, i jęknął.

— Kurwa — wymówił to słowo głośniejsz, niż zamierzał.

— Nie twoja wina, szefie — rzucił Mo i obaj spojrzeli na zwłoki Roba Fallona.

Strzelono mu w czoło. Zrobił to bardzo wprawny strzelec: pociemniała rana wlotowa otwierała się dokładnie między brwiami. Miał też rozległe sińce na twarzy i ranę na skroni — płynąca z niej krew poplamiała lewy bok Fallona. Zaledwie siedemnaście godzin temu siedział na szpitalnym łóżku i rozmawiał z nimi, pozornie bezpieczny, chroniony przed ludźmi, którzy chcieli go zabić. Teraz w końcu prześladowcom się udało. Najpierw brutalnie go pobili, a potem bez wahania zniszczyli jego życie. Bolt wiedział dokładnie, kto to zrobił.

Ale nigdzie nie widział Haka. Jak zwykle wyprzedzał ich o krok.

— To moja wina, Mo — rzekł cicho. — Powinienem był trzymać go pod strażą aż do zamknięcia sprawy.

— Nie mogłeś wiedzieć. Nikt z nas nie mógł. Nie istniał przecież żaden logiczny powód, by go zabijać, prawda? Niby jak mógł im teraz zagrozić?

Bolt westchnął. On też nie mógł pojąć, czemu Hak to zrobił. Nawet dla tak zimnokrwistego zabójcy kolejne podwójne morderstwo w dniu dostawy gazu wydawało się nadmiernym ryzykiem.

Gdy w salonie zjawili się kolejni policjanci, a wraz z nimi wyraźnie wstrząśnięty nadkomisarz Carter, Bolt odwrócił się od zwłok. Nie było sensu zostawać tu dłużej. Teraz to miejsce zbrodni, on tylko przeszkadzał.

— Ten też nie żyje? — spytał Carter.

Bolt przytaknął i mijając go, wyszedł do przedpokoju.

— Co teraz, szefie? — zagadnął go Mo.

— Bóg jeden wie. — Bolt zerknął na wiszące na ścianie oprawione w ramki zdjęcie formatu A4 przedstawiające grupkę mężczyzn w wieczorowych garniturach, wyszczerzonych do obiektywu. Było ich w sumie trzech, w tym po lewej rozpoznał drugiego nieboszczyka z salonu. Dominic Moynihan w jednej dłoni trzymał butelkę szampana, w drugiej do połowy wypełniony kieliszek. Był przystojnym, pewnym siebie facetem, najwyraźniej pozbawionym wszelkich trosk. Bolt nienawidził szybkości, z jaką śmierć pozbawia człowieka wszystkiego, pozostawiając jedynie pustą skorupę. Teraz Moynihan i Rob Fallon byli tylko zwłokami — kolejnymi z rosnącej serii. Zastanawiał się, czy następne, jakie zobaczy, będą należały do Tiny Boyd, kobiety, która nigdy nie została jego kochanką.

Przełknął głośno ślinę i odwrócił się od zdjęcia. Nagle zamarł, bo coś sobie uświadomił.

— Cholera.

Mo spojrział na niego ze zdumieniem.

— O co chodzi, szefie?

— Zobacz.

Bolt wskazał ręką zdjęcie, jego palec w rękawiczce dotknął podobizny eleganckiego mężczyzny po drugiej stronie

fotografii.

To był sir Henry Portman, błyskotliwy finansista, od niedawna inwestujący nieprawnie zdobyte zyski celu numer jeden APPZ, Paula Wise'a.

Ból w stopie napływał gwałtownymi falami, po każdej miała ochotę zemdleć, wiedziała jednak, że nie może sobie pozwolić nawet na zamknięcie oczu. Raz już została postrzelona, pięć lat wcześniej, ale wtedy to była lekka rana. Tym razem sytuacja wyglądała znacznie gorzej. Na czoło wystąpił jej zimny gorączkowy pot, całe ciało dygotało i trzęsło się z szoku.

Lecz nadal była przytomna. A to oznaczało, że wciąż istnieje nadzieja ucieczki, choćby niewielka. Sukinsyn, który ją postrzelił i zamordował Jenny, został gdzieś wezwany. Z dołu nie dobiegały jej żadne dźwięki, toteż uznała, że ma trochę czasu.

Wypełniający pokój smród śmierci i rozkładu budził odrazę, lecz Tina wciągnęła go głęboko w płuca, bo pomagał jej zachować przytomność i przypominał o czekającym ją losie, jeśli wkrótce nie zacznie działać.

Zaciskając zęby i wpatrując się w bezwładne zwłoki Jenny, pozwoliła kolejnej fali bólu przepłynąć, a potem zmusiła się, by usiąść. Strzelił jej w lewą stopę, skarpetka — ta niekryjąca w sobie wytrychów — wypełniła się krwią. Powoli Tina palcami drugiej stopy zsunęła ją, krzywiąc się z bólu, gdy materiał oderwał się od skóry. To był czysty strzał, przypieczona rana wlotowa otwierała się około dwóch centymetrów od drugiego palca, ciało wokół już zaczynało mocno puchnąć. Pocisk niemal na pewno strzaskał jedną z kości śródstopia. Drugą stopą zbadała uszkodzenia podeszwy. Wyczuła znacznie większą ranę

wylotową, która wciąż krwawiła, lecz przynajmniej oznaczało to, że pocisk nie utkwiał w ciele. Nie będzie mogła oprzeć ciężaru na tej nodze, ale mogło być gorzej. Mógł jej przestrzelić obie stopy.

Spróbowała posłużyć się zranioną, żeby zsunąć skarpetkę z wytrychami, okazało się to jednak tak bolesne, iż o mało nie zemdląła. Zamiast tego zatem zaczęła włożyć nogą tam i z powrotem po podłodze, powoli zsuwając skarpetkę, aż w końcu udało jej się ją ściągnąć. Pot kapał jej do oczu, musiała przerwać i kilka razy odetchnąć głęboko, dopiero potem obróciła się na podłodze tak, by sięgnąć skrzepowanymi dłońmi po mały skórzany woreczek z wytrychami.

Podobnie jak wszyscy policjanci Tina wiedziała, że kajdanki zaprojektowano jako środek tymczasowy — nawet najnowsze policyjne można otworzyć zwykłym kluczem, co sprawia, że niezwykle łatwo zrobić to wytrychem. Niestety ponieważ przed założeniem porywacz kazał jej wykręcić ręce dłońmi na zewnątrz, miała poważne problemy z dosięgnięciem zamka, a kiedy nawet jej się udało, nie mogła go otworzyć, bo wytrych wciąż się wyslizgiwał. W dodatku trzęsły jej się ręce. Nie wiedziała, czy sprawia to adrenalina, szok i strach, który nią kierował, czy też to objawy odstawienia alkoholu. Tak czy inaczej, rozpaczliwie pragnęła się napić.

Wciąż walcząc z bólem, zmusiła się do dalszych prób. Odwrócona plecami do ciała Jenny Brakspear, skoncentrowała się wyłącznie na najważniejszym zadaniu: ucieczce, wiedząc, że im dłużej próbuje, tym bardziej prawdopodobny staje się sukces.

Chyba że skurwieli wcześniej wróci. Żeby dokończyć to, co zaczął.

Na Boga, jeśli zdoła się stąd wydostać, jeszcze mu pokaże. Tina wyobraziła sobie nagle odwrotną sytuację, porywacza na kolanach przed nią, podczas gdy ona celuje do niego z broni.

Zmusiłaby go, aby błagał o litość, a potem posłała mu kulkę w jaja, tak żeby krzyczał. Drań.

Zdumiała ją głębia odczuwanej nienawiści. Nigdy nie należała do osób mściwych. Nie uważała, by tacy ludzie odnosili sukcesy w policji, a niezależnie od innych wad, Tina zawsze była dobrą policjantką. Teraz jednak to właśnie owa paląca żądza zemsty nie pozwalała jej ustać w wysiłkach.

Przeguby ją bolały, pot nadal spływał po twarzy, w końcu jednak zdołała zaczepić wytrych w środku i obrócić. Zamek otworzył się, zrzuciła kajdanki, kilka razy odetchnęła głęboko, próbując opanować podniecenie.

Teraz najtrudniejsze.

Znów wytarła pot z czoła, kilka razy pokręciła dłońmi, żeby rozruszać zeszywniałe mięśnie, zebrała wytrychy i schowała z powrotem do skórzanego woreczka, a potem obiema skarpetkami obwiązała zranioną stopę i powstrzymała krwawienie, płacząc przy tym z bólu. Następnie powoli, bardzo powoli wstała, opierając cały ciężar ciała na zdrowej nodze. Ściskając w dłoni wytrychy, zaczęła skakać do okna i wyjrzała. Choć niemal całe przesłaniała gruba decha, do której zamocowano Jenny, Tina ujrzała stojący naprzeciw stary domek, a za nim linię sosen. Dzień był słoneczny, świat na zewnątrz wyglądał podejrzanie spokojnie i uroczo.

Zrozumiała, że nie zdoła tędy wyjść. Okno zrobiono z utwardzonego szkła, otwierał się w nim tylko niewielki lufcik od góry, stanowczo za mały, by mogła się przez niego precyzyjnie przemieszczać dorosła osoba. Teraz zaś Tina usłyszała dobiegające z dołu łomoty, którym od czasu do czasu towarzyszyły krzyki. Brzmiało to jak odgłosy pracy i przypomniało jej, że w każdej chwili ktoś może wejść na górę. Musiała się spieszyć.

Drzwi wyposażono w pojedynczy zamek cylindryczny. Otworzyła go w niecałą minutę, cały czas stojąc na jednej nodze, a potem skokami wydostała się na podest i zamknęła za

sobą drzwi. Musiała oprzeć się o poręcz schodów, żeby złapać oddech. Osłabiona z braku jedzenia i wody, a także z powodu dodatkowej rany, przez którą straciła mnóstwo krwi, wiedziała, że ma niebezpiecznie niski poziom energii. Zastanawiała się, czy nie wrócić do pokoju, w którym ją uwięziono, żeby odzyskać ubranie, stanowiłoby to jednak zbyt wielką stratę czasu. Najważniejszą rzeczą było wydostanie się stąd. Później będzie się martwić o inne sprawy.

Z powodu rany w stopie nie miała nawet co próbować ucieczki z piętra, pozostawało jej zatem tylko jedno wyjście. Musiała uciec przez parter.

Tina miała wrażenie, że minęły wieki, nim dotarła na dół schodów. Co trzeci czy czwarty stopień musiała przystawać i odpoczywać, świadoma, że w każdej chwili zza rogu może wyłonić się drań, który ją postrzelił. Ale się nie zjawił — ani nikt inny — i w końcu znalazła się na ciasnej klatce schodowej. Jedyne wyjście stanowiły zamknięte drzwi po lewej, za nimi jednak słyszała poruszających się ludzi. Z akustyki odgadła, że jest tam duże, otwarte pomieszczenie, zapewne magazyn, co oznaczało, że trudno będzie się przez nie przedostać niepostrzeżenie.

Sprawdziła klamkę. Drzwi były otwarte, uchyliła je odrobinę i przez szparę ujrzała wielką, skąpaną w jasnym sztucznym świetle stodołę. Całe pole widzenia przesłaniała zapakowana biała ciężarówka z otwartymi tylnymi drzwiami. W środku coś się ruszało, ale nikogo nie dostrzegła. Widoczne za ciężarówką wrota stodoły były zamknięte.

Nagle usłyszała kroki na kamiennej posadzce, zaledwie parę metrów dalej, i w chwili, gdy cofnęła się i jeszcze mocniej przymknęła drzwi, ujrzała przechodzącego z drugiej strony bardzo wysokiego, chudego jak patyk łysego wścicza w średnim wieku. Nie zauważywszy jej, podszedł do drzwi od

strony kierowcy, w rękę trzymał coś, czego nie rozpoznała. Zobaczyła, jak gramoli się do środka i sięga za fotele.

Niech to szlag. Wiedziała, że w swym obecnym stanie w żaden sposób nie zdoła go wyminąć i dotrzeć do wrót. Będzie musiała poczekać na sposobność. Tyle że nie miała czasu. Cholera.

Nadal uchylając drzwi, oparła się o ścianę, obserwując sytuację z nadzieją, że dopisze jej szczęście, zanim zemdleje z wyczerpania.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Mógł to być kwadrans albo pół godziny. W tym czasie zobaczyła dwóch innych mężczyzn: jednego olbrzymiego o ogolonej czaszce, drugiego siwego po pięćdziesiątce — wchodzących i wychodzących z ciężarówki. Dźwigali coś, co wyglądało jak odcięte kawałki rynny, zatkane z obu stron i wypełnione czymś tak ciężkim, że trzeba było dwóch facetów, żeby przenieść jeden. Zastanawiała się, co robią, i czy ma to cokolwiek wspólnego z porwaniem i zabójstwem Jenny Brakspear, pracowali jednak w milczeniu, niczego zatem nie odkryła.

W końcu, właśnie gdy zaczynała wpadać w rozpacz, wążacz z kabiny krzyknął coś do dwójki z tyłu, a potem wyskoczył z wozu, zostawiając otwarte drzwiczki, i przeszedł na tył ciężarówki.

Tina uchyliła drzwi nieco szerzej, zobaczyła, jak tamci także wysiadają, i cała trójka zniknęła jej z oczu. Otworzywszy drzwi jeszcze szerzej, przekonała się, że zniknęli w wejściu na końcu stodoły.

To było to. Jej jedyna szansa. Nie zawahała się, zaczęła skakać przez stodołę w stronę maski ciężarówki w nadziei, że zdoła ukryć się za nią i dotrzeć do głównych wrót i wolności. Od wysiłku zrobiło jej się słabo, ale na myśl, że może jej się udać, poczuła też desperackie uniesienie.

Już przyrzekała sobie butelkę przyzwoitej rioji i porządnego papierosa w nagrodę za wycierpiany ból, gdy usłyszała ostry śmiech i przekonała się, że mężczyźni wracają. Od drzwiczek ciężarówki dzieliło ją zaledwie pół metra. Świadoma, że jedno spojrzenie któregoś z nich oznaczałoby koniec, rzuciła się naprzód, chwyciła siedzenie kierowcy i wciągnęła się do kabiny, przywołując na pomoc resztki sił, jakie jej jeszcze zostały.

Nie wyglądało na to, żeby ktoś ją usłyszał bądź zauważył. Z tyłu dobiegły ją kolejne śmiechy, ktoś powiedział „Dzięki” z mocnym irlandzkim akcentem, podobnym do akcentu porywacza. Tina dyszała z wysiłku, czując, jak ulatują z niej resztki energii. Wiedziała jednak, że nie może pozostać na przednich siedzeniach kabiny. Musiała gdzieś się ukryć na wypadek, gdyby wąsaty łysol wrócił.

Zagryzając wargę, by nie krzyknąć z bólu, przeczołgała się w niewielki zakątek za przednimi fotelami, gdzie sypiał kierowca. Na brudnym materacu leżała wymięta stara kołdra. Naciągnęła ją na siebie, starając się leżeć w bezruchu. Serce waliło jej w piersi.

Od wolności dzieliło ją zaledwie pięć metrów, lecz w tym momencie równie dobrze mogło to być tysiąc kilometrów.

— Twierdzisz zatem, że to ma coś wspólnego z sir Henrym Portmanem? — Wielki Barry Freud sprawiał wrażenie równie wstrząśniętego jak Bolt kwadrans wcześniej, kiedy zobaczył zdjęcie.

— Inaczej to byłby nieprawdopodobny zbieg okoliczności — odparł Bolt, opierając się o jeden z radiowozów i patrząc na drzwi Dominica Moynihana, gdzie mundurowy rozciągał kolejne kawałki żółtej policyjnej taśmy. — Musimy ściągnąć go do nas i sprawdzić, co wie.

— Pod jakim zarzutem? Jak dotąd dysponujemy tylko zdjęciem w domu nieboszczyka.

— W takim razie przynajmniej zorganizujemy obserwację.

— Przykro mi, stary druhu, ale w tej chwili jesteśmy za bardzo zarobieni. Przy wszystkim, co się dzieje, wątpię, czy po tej stronie Muru Hadriana znalazłbyś choć jedną wolną ekipę obserwacyjną.

Bolt poczuł, jak narasta w nim frustracja.

— No to lepiej taką znajdziemy, inaczej zostaną nam tylko kolejne trupy i nieuchwytny zabójca, który znów uciekł.

— Jak mu się to udało? Mazda wciąż tam stoi, prawda?

— Owszem. Musiał się zorientować, że go ścigamy, i znaleźć sobie inny środek transportu.

— Albo wciąż gdzieś tam jest — dodał Wielki Barry. — W okolicy kręci się pełno naszych ludzi, rozstawili też blokady na

wszystkich drogach dojazdowych do M jednaście.

Bolt pomyślał, że trochę za późno, ale uznał, że nie ma sensu o tym przypominać. Zamiast tego skupił się na innej kwestii, która go dręczyła.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego wyłapaliśmy mazdę dopiero na skrzyżowaniu numer sześć. Musiała wcześniej wejść w zasięg jakiejś kamery.

Wielki Barry westchnął.

— Zauważono by ją na A sto dwadzieścia, niedaleko lotniska Stanstead dwadzieścia minut wcześniej, ale osoba, która miała pilnować kamery, nie zareagowała dość szybko.

— Kurwa.

— Podzielał to zdanie. Ale teraz nic już na to nie poradzimy.

— A co z ciężarówką? Czy jesteśmy bliscy jej zidentyfikowania?

— Jeszcze nie. Nasi ludzie przesłali do kryminalistyków nagrania z kamer być może przedstawiające podejrzany pojazd, ale jeszcze się nie odezwali.

— Przynajmniej wiemy, że Hak rzeczywiście jeździł niebieską mazdą i że parkował całą noc na terenie wskazanym przez ARNR, co potwierdza, że ma tam gdzieś bazę. Ponieważ jeszcze nie wypuszczono gazu, domyślam się, że ciężarówka też się tam znajduje.

— To wciąż zbyt wielki obszar, żeby coś nam to dało, Mike — rzekł Barry. — Rozmawiamy o ponad pięciuset kilometrach kwadratowych wiejskich terenów w północnym Essex.

— Obanje nadal sprawdza tamtejsze wynajęte nieruchomości, lecz kiedy rozmawiałem z nim ostatnio, był zawalony robotą. Można mu jakoś pomóc?

— Zobaczę, czy uda mi się zorganizować kogoś z twojej ekipy. A ty co zamierzasz?

— Chcę tam pojechać, żeby móc szybko dotrzeć na miejsce, kiedy zidentyfikujemy podejrzany lokal.

— To brzmi trochę jak strzelanie na oślep. Przydałbyś mi się tutaj, stary druhu.

Lecz Bolt nalegał, wiedząc, że w ciągu ostatniej doby zrobił dość, by zasłużyć sobie na ustępstwa ze strony szefa. Wiedział też, że nie przyda się zbyt w kwaterze głównej, bo oznaczałoby to jedynie siedzenie i czekanie. Na wsi w Essex też może się nie przydać, ale przynajmniej będzie miał wrażenie, że coś robi. A poza tym w tej chwili rozpaczliwie pragnął się przejechać.

Wielki Barry dał się przekonać, toteż Bolt zadzwonił do Obanjego, który poinformował go, że pięciu z dziewięciu sprawdzanych najemców nieruchomości okazało się w porządku i nadal próbuje dowiedzieć się czegoś o pozostałych czterech. Bolt przekazał mu dobre wieści, że dostanie kogoś do pomocy, i zapisał cztery czekające potwierdzenia, po czym się rozłączył.

Kilka metrów dalej Mo Khan także rozmawiał przez komórkę. Zakończył rozmowę i podszedł do niego, nie mogąc do końca ukryć niepokoju.

— Właśnie rozmawiałem z Sairą — rzekł ze znużeniem.

— Jak się czuje?

— Wciąż błogo nieświadoma zagrożenia. W przeciwieństwie do mnie. Nie wiem, co robić, szefie. Gdyby coś się stało, a ja mógłbym temu zapobiec...

— Jest w domu z dziećmi?

— Tak, są tam wszyscy. Akurat odwiedziła nas moja teściowa.

Bolt objął przyjaciela ramieniem i spojrzał mu prosto w oczy.

— Wiem, jak się czujesz, Mo. Naprawdę. Ale w tej chwili dom to dla nich najlepsze miejsce.

Mo pokiwał głową.

— Tak, chyba masz rację. Chciałbym tylko, żebyśmy mieli lepsze rozeznanie, kto lub co jest ich celem. Jakież nowiny z dowództwa?

— Jak dotąd nic. Ale mam adresy czterech podejrzanych domów w okolicy, w której zeszłej nocy przebywała niebieska mazda. Możliwe, że to jednego z nich szukamy. Jedźmy i sprawdźmy je.

Mo nie wyglądał na przekonanego, ale bez słowa ruszył do samochodu.

Minęło właśnie dziesięć po szóstej. Gaz od ponad dwunastu godzin był w kraju.

Paul Wise siedział na swojej werandzie z drugim ginem z tonikiem tego wieczoru, kiedy tkwiąca w lewej kieszeni spodni komórka zaczęła brzęczeć. Dzwonił Hak. Wise zastanawiał się, czego chce. Nie spodziewał się, że tamten odezwie się do niego przed zakończeniem zadania, i na myśl, że coś mogło pójść nie tak, natychmiast stracił humor. Charmaine pojechała z przyjaciółkami do pobliskiego miasta Kyrenthia, a służba już sobie poszła, toteż odebrał w domu.

— Są coraz bliżej — rzekł Hak spokojnym głosem.

— Nie to chciałem usłyszeć.

— Pozbyłem się Fallona, ale zdołał powiadomić władze o części operacji.

— Co dokładnie chcesz powiedzieć? — spytał z irytacją Wise.

— Wszystko jest gotowe, ale musimy przesunąć czas operacji. Trzymanie ładunku na miejscu do dziesiątej wieczór jest zbyt ryzykowne i martwi mnie, że możemy mieć problemy z dotarciem do obszaru docelowego, toteż uważam, że powinniśmy wybrać inny.

Wise spojrzął na zegarek. Ósma trzydzieści tutaj; szósta trzydzieści w Wielkiej Brytanii. Od tak dawna planowana operacja zaczynała się sypać, a wszystko przez jednego człowieka. Może i już nie żył, ale problemy, których im przysporzył, bynajmniej nie zniknęły.

Lecz Wise nie należał do ludzi martwiących się zbyt­nio sprawa­mi, na które nie ma wpływu, a urok jego planu był taki, że jeśli tylko bomba wybuchnie, zabijając odpowiednio dużo ludzi (najlepiej znaczących), dokładne miejsce i czas zbytnio się nie liczyły.

— Czy wszystkie omawiane elementy są gotowe? — spytał.
— Te, które zapewnią nam sukces?

— Tak.

— W takim razie zabierzcie ładunek, gdy tylko będzie to możliwe. Kierujcie się na obszar docelowy. Ale jeśli ktoś was przechwyci, nie szkodzi, jeśli tylko ładunek zostanie dostarczony.

— I zostanie.

— Dopilnuj, by wszystko posprzątać, i pozbądź się telefonu, z którego dzwonisz. Nie chcę więcej słyszeć twojego głosu. Kiedy w Sky News zobaczę potwierdzenie sukcesu, przeleję ci resztę honorarium.

Wise rozłączył się i zapatrzył w morze oraz roziskrzoną gwiazdną układankę na niebie. Jeśli dziś wieczór wszystko pójdzie zgodnie z planem, zarobi miliony. Na tę myśl uśmiechnął się, uniósł do ust gin z tonikiem i pociągnął łyk, zastanawiając się, jakie to uczucie, umrzeć, dławiąc się fosgenem.

Ból stopy zmalął, przechodząc w tępe pulsowanie, lecz Tina czuła się słabo i rozpaczliwie chciało jej się pić. Leżała na boku w ciężarówce, ledwie ukryta pod cienkim materiałem paskudnie śmierdzącej kołdry, próbując wymyślić, co teraz zrobić. Trzej mężczyźni wciąż stali na zewnątrz i rozmawiali, fragmenty rozmowy, które zdołała wychwycić, były nudne i niewinne, a ich lekki ton sugerował, że zrobili już swoje, nieważne, co to było.

Wahała się, czy zostać na miejscu, w nadziei, że ciężarówka w końcu wyjedzie, czy wyslizgnąć się od strony pasażera, by umknąć przez wrota stodoły. W obecnym stanie, gdy była tak osłabiona, że ledwie mogła chodzić, to drugie rozwiązanie wydawało się zbyt ryzykowne. Z trudem zbierała myśli. Dziwne w ogóle, że udało jej się przeżyć do tej pory.

Słyszając kolejny dźwięk, cała się spięła. Wrota stodoły się otworzyły — po kilku sekundach zabrzmiał jego głos: mocny, północnoirlandzki akcent ciął powietrze niczym zardzewiałe ostrze.

— Co się do diabła dzieje?

— Jeden szybki drink — odparł drugi głos z Irlandii Północnej, nie wydawał się jednak zbyt pewny siebie. — Wszystko gotowe.

— Później będziecie mieli mnóstwo czasu na drinki. Teraz jednak wszyscy muszą zachować trzeźwy umysł. No dalej,

musimy brać się do roboty.

Tina zaklęła. Teraz, kiedy wrócił, wkrótce odkryją jej ucieczkę, a to oznaczało koniec.

Głosy ucichły, zaryzykowała więc i wysunęła głowę. Szybko rozejrzała się dokoła. Jej porywacz zamknął wrota stodoły, była jednak pewna, że nie na klucz. Zaledwie pięć metrów. Gdyby rzuciła się ku nim — albo przynajmniej postarała rzucić — może by jej się udało.

Nagle tuż obok zabrzmiały kroki. Zanurkowała z powrotem pod kołdrę.

W samą porę, bo w sekundę później usłyszała, jak ktoś wsiada na miejsce kierowcy. Coś brzęknęło w pustej dziurze między siedzeniami, zaledwie parę centymetrów od miejsca, gdzie się ukrywała. Usłyszała, jak tamten otwiera schowek na rękawiczki i grzebie w środku.

Tina leżała bez ruchu, wstrzymując oddech, aż do chwili, kiedy wysiadł.

Znów rozległy się głosy, zdawały się dobiegać z tyłu ciężarówki. Ponownie zaryzykowała wyrzucenie spod kołdry.

I wtedy go ujrzała. Aparat telefoniczny w dziurze za ręcznym hamulcem. Niewątpliwie mężczyzna upuścił go, grzebiąc w schowku, i zaraz tu wróci.

Lecz Tina wiedziała, że to jej szansa. Położenie komórki da się ustalić z dokładnością do paru metrów, co oznaczało, że jeśli policja wytropi ten telefon, znajdzie i ją.

Chwyciła zatem aparat, pospiesznie przerzucając menu aż do opcji UTWÓRZ TEKST, a potem zaczęła pisać szybko, rozpaczliwie, drukowanymi literami: TU TINA, JEST ŻLE, NIE ODPOWIADAJ, ZLOKALIZUJ TEN NUMER. Modliła się w duchu o porządny zasięg. Pamiętała numer Mike'a Bolta, bo zaczynał się od tego samego pięciocyfrowego kodu co jej własny, a po nim następowało równe łatwe do zapamiętania 787878. Wybrała go i nacisnęła WYŚLIJ, po czym skasowała wiadomość

i wróciła do głównego menu. Właśnie odłożyła telefon z powrotem, gdy znów usłyszała kroki, tym razem dobiegały z obu stron ciężarówki. Ogarnęła ją groza. Czy przyszli po nią?

Nie zważając na nagłe mdłości, wślizgnęła się z powrotem pod kołdrę, skuliła się i zamknęła oczy, jakby dzięki temu mieli jej nie znaleźć.

Do kabiny wsiadło dwóch ludzi, po jednym z każdej strony.

— No dobra, gotowi? — spytał głos z zewnątrz.

Kierowca i pasażer odparli, że tak, Tina zastanawiała się, do czego są gotowi. Zastanawiała się też, gdzie jest tamten. Czy poszedł na górę, żeby ją załatwić?

— Znacie współrzędne GPS miejsca przeznaczenia — powiedział człowiek z zewnątrz; wyglądało na to, że to on dowodzi. — Zaparkujcie tam i zadzwońcie do mnie. Jasne, O'Toole? Żeby wiedział, że jesteście na miejscu.

— Jasne.

Skulona w zaimprovizowanej kryjówce Tina błagała ich w duchu, by już ruszali. Zanim porywacz odkryje, że zniknęła.

— I jedźcie prosto na miejsce — ciągnął mężczyzna z zewnątrz. — Nie zatrzymujcie się pod żadnym pretekstem. Zrozumiano? W przeciwnym razie nie dostaniecie ani grosza. Jest kwadrans po siódmej. Do ósmej chcę usłyszeć, że jesteście na miejscu. Jedźcie już i powodzenia.

Silnik ciężarówki ożył, Tina pozwoliła sobie na ciche westchnienie ulgi, gdy kierowca zakręcił kierownicą i wyjechał przez wrota w gęstniejącą ciemność. Przynajmniej oddalała się od swojego oprawcy.

Teraz już tylko kwestia pozostania w ukryciu, siedzenia cicho i czekania.

64

Bolt i Mo wjechali do Essex od strony południowej, drogą B184, unikając autostrady M11, na której zgodnie z przewidywaniami Wielkiego Barry'ego Freuda rozstawiono blokady na wszystkich dojazdówkach. Na niemal całej trasie ruch był spory, toteż jechali powoli. Kilka razy przeleciały im nisko nad głową helikoptery, zwiększając jeszcze i tak wysokie napięcie panujące w samochodzie.

Dla Mo źródło napięcia stanowiła obawa o los rodziny i rodzinnego miasta. Bolt, którego matka mieszkała pięćdziesiąt kilometrów dalej, w St. Albans, czuł to samo. Towarzyszyła temu także przejmująca frustracja wynikająca z faktu, że stale pozostawał krok za ściganym od lat celem, kimś, kto tak bardzo miał za nic innych ludzi, że zniszczył życie wielu z nich, i kto po raz pierwszy niemal na pewno zabił kogoś mu bliskiego.

Tego dnia Bolt często myślał o Tinie, częściej, niż przyznałby się komukolwiek, i myśлом tym towarzyszył autentyczny żal. Wiedział, że pod chłodną, pełną dystansu maską kryje się namiętna kobieta, choć sam nigdy nie zdołał się do niej przebić. Nie mógł pozbyć się uczucia, że byliby świetną parą. Teraz nie wątpił, że kiedy odszukają kryjówkę Haka, znajdą też jej zwłoki, i wiedział, że będzie to dla niego jedna z najtrudniejszych chwil w życiu.

Istniała tylko jedna drobna pociecha, czyli fakt, że być może schwytają człowieka, który ją zamordował. Bolt zabijał już

wcześniej dwa razy i wiedział z absolutną pewnością, że gdyby miał Haka na muszce, nie zawahałby się ani chwili.

Ale dlaczego właściwie Hak zaangażował się w tę sprawę? I czy jego klientem był Henry Portman? Wydawali się mało prawdopodobnymi współnikami, lecz Bolt wierzył święcie, że sir Henry stanowi część spisku.

Jego komórka zadzwoniła, przerywając tok rozmyślań. Mike zobaczył numer biura Wielkiego Barry'ego Freuda i natychmiast przełączył na głośnomówiący.

— Gdzie jesteś, Mike?

— Na B sto osiemdziesiąt cztery, tuż pod Great Dunmow.

— Świetnie. Zdołaliśmy ustalić lokatorów dwóch z czterech nieruchomości, które sprawdzał Obanje, są w porządku. Uważamy też, że trzeci jest legalny, bo rozmawialiśmy właśnie z najemcą i obecnie go sprawdzamy. Czwarta natomiast wygląda bardziej interesująco. Wynajęta na trzy miesiące przez firmę trzy tygodnie temu i opłacona z góry. W dokumentach figuruje spółka inwestycyjna zarejestrowana w Palm Beach na Florydzie, ale numer ich brytyjskiego biura nie odpowiada, podobnie numer centrali, i nie możemy znaleźć żadnych rejestrów finansowych spółki ani strony sieciowej.

— Brzmi obiecująco. — Bolt zerknął na Mo, który zdołał uśmiechnąć się z napięciem. Dokładnie takiej firmy mógłby użyć Hak jako przykrywki. Bez wątpienia Wielki Barry przypisze sobie całą zasługę, choć z początku nie chciał się zgodzić, by Bolt sprawdził ten trop, ale w tej chwili to nie miało znaczenia. — Kim jest zarejestrowany najemca?

— Niejaki Andrew Regent, ponoć jeden z pracowników, lecz nikt z agencji się z nim nie spotkał i nikt o takim nazwisku nie figuruje w miejscowych dokumentach. Agencja podała nam jego numer komórki, ale nie chcę dzwonić, by nie spłoszyć Haka.

— Co to za nieruchomość?

— Nazywa się Willow End, to farma niedaleko wioski Finchingfield, tuż przy B dziesięć pięćdziesiąt siedem. Jak daleko stamtąd jesteście?

Bolt przypomniał sobie, że to drugi adres, który wprowadził do GPS-u, teraz wywołał szczegóły.

— Jakiś kwadrans drogi. Dziesięć minut, jeśli dodam gazu.

— Świetnie. Chcę, żebyście natychmiast pojechali tam z Mo. Bridges rozmawiał przed chwilą z naczelnym konstabłem hrabstwa Essex, wysyłają tam oddziały zbrojne, negocjatorów i jednostki obserwacyjne. Poinformowaliśmy, że chcemy, żeby zabezpieczyli teren, ale nie wkraczali, póki nie upewnimy się, że to właściwe miejsce. Z całą pewnością nie chcemy też, by miejscowe gliny zaczęły się tam kręcić, ogłaszając wszem wobec swoją obecność. Ustaliliśmy zatem, że ty i Mo, doświadczeni funkcjonariusze operacyjni APPZ, sprawdzicie to miejsce i poinformujecie nas o sytuacji.

— Chcę być w grupie, która przypuści atak — oznajmił Bolt.

Wielki Barry roześmiał się, lecz w jego głosie brakowało rozbawienia.

— Podziwiam twoje oddanie sprawie, stary druhu, ale to już nie nasza liga. Jeśli ktokolwiek tam wejdzie, to SAS.

— Jezu. — Mo wymienił spojrzenia z Boltem. Sama wzmianka o SAS nadawała sytuacji niemal surrealistyczną otoczkę.

— A teraz gaz do dechy. Chcę mieć was tam za pięć minut.

— Już jedziemy — odparł Bolt, czując znajomą falę adrenaliny. Zjechał na środkowy pas, wyprzedzając wóz przed sobą.

Mo włączył migającego błękitno koguta i ustawił na desce rozdzielczej. W półtorej minuty dotarli do zjazdu na B1057.

Komórka Bolta zapiszczała na znak, że dostał SMS-a, był jednak zbyt zajęty pilnowaniem drogi, by go sprawdzić. Mo

zerknął i przez parę sekund milczał.

— Kto to? — spytał Bolt, nie patrząc na niego.

— Tina — odparł. — Wciąż żyje.

Eamon Donald odprowadził wzrokiem ciężarówkę wyjeżdżającą z farmy Willow End. Wiedział, że za mniej więcej godzinę przechodnie cieszący się ostatnim wieczorem lata na słynnym londyńskim West Endzie będą wypluwać wnętrzności. Poczul lekkie wyrzuty sumienia, lecz szybko je przegnał. Angole nigdy nie okazali współczucia jemu i jego rodzinie. Czemu miałyby przejmować się tym, co ich spotka?

Zaczęło mżyć i przez kilka minut wpatrywał się w szybko gęstniejącą ciemność. Tymczasem ciężarówka z gazem zniknęła za zakretem. Deszcz nie sprzyjał rozchodzeniu się gazu i Donald miał nadzieję, że w Londynie wciąż jest sucho. W przeciwnym razie cała ich praca poszłaby na marne.

Cóż, to już nie jego problem. On wykonał swoje zadanie i nie mógł się doczekać oglądania rzezi na ekranie telewizora w cichym pokoju hotelowym w towarzystwie butelki Jamesona.

Zamknął wrota stodoły, odwrócił się i ujrzał Haka stojącego parę metrów dalej. Twarz miał twardą jak kamień.

— Gdzie jest glina, Eamon?

— Druga zakładniczka? Nie wiem. A nie zabiłeś jej?

— Nie, nie zabiłem. Ale strzeliłem jej w stopę i zostawiłem skutą w zamkniętym pokoju, a teraz już jej tam nie ma.

— Byliście tu cały dzień. Nie przeszła obok nas.

— Jesteś pewien? Nie poszedłeś trochę się zabawić?

— Nie, kurwa. Nie jestem taki jak ty, Michael. Po prostu robię swoje. I wykonałem robotę. Przed ich wyjazdem uzbroiłem bombę, nie da się tego zmienić, więc w chwili, gdy O'Toole wstanie z fotela, wybuchnie. Teraz chcę dostać resztę forsy, a potem znikam stąd. — Zaciągnął się głęboko papierosem. Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała rozmowa.

Wargi Haka wykrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu.

— Wiesz, Eamon — rzekł — jesteś dobry w tym, co robisz, ale cię nie szanuję.

Donald zmarszczył brwi.

— Co to ma znaczyć, do diabła?

— Chętnie zabijasz ludzi...

— A ty nie? To zabawne, Michael.

— Nie zrozumiałeś. Nie szanuję cię nie dlatego, że ich zabijasz, lecz ponieważ robisz to z daleka. Pstryknięciem guzika. Każdy, kto dysponuje odpowiednią wiedzą, może to zrobić, trzeba jednak prawdziwego twardziela, by zabić kogoś twarzą w twarz, patrząc mu w oczy. — Wyciągnął zza pleców broń i wycelował w pierś Donalda.

Oczy specja od bomb otworzyły się szerzej. Cofnął się o krok, autentycznie wstrząśnięty takim obrotem spraw, choć częściowo się tego spodziewał.

— Co ty do cholery robisz, Michael? — spytał niepewnie.

— Wiesz, Eamon, chyba to ty powiedziałeś mi kiedyś, że każdy twórca bomb ma swój własny styl.

— Nie wydaje mi się...

— A nie ma was aż tak wielu. Pomyślałem zatem, że to tylko kwestia czasu, nim władze zastukają do twoich drzwi.

— Kurwa, Michael. Znasz mnie. Nie jestem kapusiem. Nigdy w życiu na nikogo nie doniosłem. Nie powiem Angolom ani słowa, a poza tym i tak mnie nie znajdą.

— Sam powiedziałeś, Eamon. Zginą setki, może tysiące ludzi. Opinia publiczna będzie żądać wyników. Znajdą cię, a kiedy to zrobią, zaczną szukać mnie.

Po kilku sekundach milczenia, trzymając nerwy na wodzy, Donald uśmiechnął się ponuro.

— Podejrzywałem, że możesz spróbować czegoś takiego, Michael. Toteż przygotowałem polisę ubezpieczeniową. — Uniósł rękę, demonstrując trzymaną w dłoni komórkę. — Jeśli naciśnę WYŚLIJ, ten telefon prześle sygnał elektroniczny do akumulatora w ciężarówce, natychmiast detonując bombę. — Poglądził przycisk palcem wskazującym. — Nawet jeśli wpakujesz mi kulkę, to niczego nie zmieni, w ostatnim odruchu i tak go naciśnę i cała twoja operacja pójdzie w diabły.

Twarz Haka pociemniała.

— Blefujesz.

Donald pokręcił głową, stwierdziwszy z ulgą, że tamten mu wierzy.

— Nie, Michael, nie blefuję. A teraz wycofam się z tego budynku, dotrę do samochodu i odjadę. Jeśli nic nie spotka mnie po drodze, wyrzucę tę komórkę i bomba eksploduje zgodnie z planem. Ale przez cały czas będę trzymał palec na przycisku i jeżeli czegoś spróbujesz... czegokolwiek... bum: jedynymi ofiarami będzie stadko owiec i może pechowy rolnik. — Zaczął cofać się powoli w stronę drzwi stodoły, nie spuszczać oczu ze swego rozmówcy. — Rozumiesz, co do ciebie mówię?

— No dobra, idź. — Oczy Haka były zimne jak lód. — I bez urazy, co? To nic osobistego. Czysty biznes.

— Jasne — odparł Donald, nie zważając na serce walące w piersi i pot ściekający po twarzy. Wolną ręką znalazł klamkę i nacisnął mocno, wiedząc, że od bezpieczeństwa dzieli go zaledwie kilka sekund. Czuł się dość pewnie, by dodać: — Ale

nadal chcę dostać resztę pieniędzy, Michael. Zrobiłem swoje. Jesteś mi winien.

Hak otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz jego słowa zagłuszył głos dobiegający z zewnątrz przez megafon. Głos, któremu towarzyszyły potężne światła jednocześnie włączonych reflektorów oświetlających wnętrze stodoły.

— Tu policja. Jesteście otoczeni. Wyjdźcie z uniesionymi rękami.

— Jezu!

Przerażony Donald się obejrzał. I robiąc to, popełnił jeden śmiertelny błąd, bo stracił z oka Haka. Gdy obracał się z powrotem, pistolet w ręku tamtego podskoczył.

Donald poczuł przeszywający ból w przegubie, komórka wypadła mu z bezwładnych palców. Zachwiał się niepewnie na nogach, a potem oparł o drzwi, ściskając ranę zdrową dłońią.

Hak obserwował go spokojnie, jego nienaturalna twarz w blasku reflektorów policyjnych przybrała niemal błogi wyraz. Donald zdumiało to, że tamten w ogóle się nie denerwuje. Trzeba przyznać draniowi, umiał zachować spokój. Donald niemal by go podziwiał, gdyby nie fakt, że niegdysiejszy kolega właśnie zamierzał go zabić.

Ich spojrzenia się spotkały, twarz Donalda stężała, gdy pogodził się z nieuniknionym.

— Ty zdraдлиwy, pierdolony dziwołagu — syknął przez zaciśnięte zęby. Nie zamierzał w ostatnich sekundach życia okazywać strachu.

— Być może — odparł spokojnie Hak i pociągnął za spust.

Trudno było uwierzyć, że Tina wciąż żyje. Ale też, pomyślał Mike w nagłym uniesieniu, zawsze umiała wszystko przetrwać. To jedna z rzeczy, które czyniły ją tak atrakcyjną.

Lecz choć Mo rozmawiał już przez telefon z dowództwem, załatwiając śledzenie numeru, z którego zadzwoniła, co dzięki współczesnej technice i zaangażowanym środkom powinno zabrać zaledwie kilka minut, nadal nie wiedzieli dokładnie, gdzie jest. Bolt był pewien, że wciąż przebywa na farmie Willow End, choć nie potrafił zgadnąć, czemu Hak zachował ją przy życiu. GPS na desce rozdzielczej wskazywał czas przybycia cztery minuty, lecz przy prędkości, z którą jechał, powinni dotrzeć za trzy. Rozpadał się deszcz, zmniejszając widoczność, i Bolt musiał skupić się całkowicie na tym, by nie wpaść w poślizg na krętych wiejskich drogach. Już raz w tym tygodniu się rozbił. Jeszcze jeden wypadek i przez kilka miesięcy nie pozwolą mu prowadzić na służbie.

Zbliżając się do ostrego zakrętu, zwolnił.

— Za pięć minut powinni ustalić położenie telefonu — oznajmił Mo, przytrzymując się deski rozdzielczej. — A policja z Essex właśnie dotarła na miejsce i zabezpiecza teren, więc nikt stamtąd nie wyjedzie.

— Kurwa! — wrzasnął Bolt, gwałtownie naciskając hamulec.

Pokonał zakręt i niemal oślepiły go długie światła, które nagle zapłonęły w mroku.

Nadjeżdżającą ze stanowczo zbyt wielką prędkością ciężarówką rzucało z boku na bok, Bolt musiał skrócić ostro, by uniknąć zderzenia. Przez chwilę ślizgał się na mokrym asfalcie, o mało nie wypadając z drogi. Zahamował gwałtownie i patrząc w tylne lusterko, przekonał się, że kierowca kiepsko sobie poradził na ostatniej krzywiźnie zakrętu. Zauważył też, że ciężarówka jest duża i biała.

Rzadko się zdarza, by na tak spokojnej drodze pojawił się pojazd takiej wielkości.

— To wygląda jak nasza ciężarówka — rzekł, zawracając gwałtownie. — Myślałem, że zabezpieczyli teren.

— Nie chcesz chyba za nią jechać? — spytał Mo, gdy Bolt dodał gazu. — Nie wiemy, kto nią kieruje, szefie. To może być zamachowiec samobójca.

— Chcę się zbliżyć dostatecznie, by pokazać, że jesteśmy z policji. Jeśli kierowca to jeden z bandy, nie zatrzyma się i wezwiemy wsparcie. — Mo wyglądał na wystraszonego, Bolt także czuł lęk, ale towarzyszyło mu podniecenie. — Zachowam odpowiedni dystans na wypadek, gdyby czegoś spróbował, dzięki temu nie wylecimy razem z nim w powietrze. — Zerknął na przerażoną twarz Mo. — Przrzekam, nie zrobię nic głupiego.

Po paru sekundach zbliżyli się do ciężarówki. Kiedy dzieliło ich dziesięć metrów, Bolt wjechał na środek drogi. Na wypadek gdyby kierowca jakimś cudem przeoczył migającego niebieskiego koguta, zaczął szybko błyskać światłami.

Jeśli kierowca jest niewinny, to się zatrzyma.

Ale tego nie zrobił. Przeciwnie, dodał gazu, kołyszając się na drodze i zbyt szybko pokonując następny zakręt. Opony traciły przyczepność na mokrym asfalcie.

— Połącz się z dowództwem. — Bolt zacisnął zęby, zwalniając odrobinę, gdy nagle go olśniło. — To nasz gaz.

Mo błyskawicznie wybrał numer, przełączył telefon na głośnik i zaczął wykrzykiwać ich położenie i kierunek, w którym zmierzają, korzystając ze wskazówek z GPS-u. W parę sekund później w głośniku zabrzmiał głos naczelnika Bridgesa; dźwięczało w nim napięcie, które z pewnością odczuwał.

— Wysyłamy wsparcie i helikoptery. Utrzymujcie dystans, ale jej nie zgubcie. Powtarzam, nie zgubcie.

Ciężarówka nagle zahamowała. Bolt też nacisnął hamulec, wpadając w poślizg. Nagle od tyłu pojazdu z gazem dzieliło go zaledwie pięć metrów.

Ciężarówka znów przyspieszyła, teraz znajdowała się na prostym, obsadzonym drzewami odcinku.

Bolt opanował poślizg, zdołał wyprostować koła i dodał gazu. Szybkościomierz jaguara wskazywał osiemdziesiąt na godzinę, ciężarówka zaczęła się oddalać.

— Jezu — syknął Bolt — jedzie cholernie szybko.

— Miejscowa policja ustawia blokadę na skrzyżowaniu B dziesięć pięćdziesiąt siedem i sto osiemdziesiąt cztery — oznajmił Bridges.

— W takim razie mają na to jakąś minutę — poinformował go Bolt, zerkając na GPS. — Bo jesteśmy niecałe półtora kilometra stamtąd, a facet zasuwa jak wariat.

— Blokujemy B sto osiemdziesiąt cztery na północ i południe. Jeśli nawet przebije się przez pierwszą, to nie przez następną. Za trzy minuty na miejscu będzie też helikopter.

Bolt przypomniał sobie, jak tamten zaledwie kilka godzin wcześniej mówił coś podobnego. Pamiętał katastrofalne skutki jego słów, toteż teraz nie wzbudziły w nim optymizmu.

Przed nimi pojawił się kolejny ostry skręt, kierowca ciężarówki pokonał go z piskiem opon, z jednej strony zarzuciło go na pobocze, ale zdołał opanować wóz.

A potem, gdy Bolt podążył za nim, w odległości trzydziestu metrów ujrzał przed sobą skrzyżowanie. Na środku drogi bokiem parkował pojedynczy radiowóz, mrugający światłami i blokujący ruch z obu stron. Dostrzegł niewyraźne sylwetki dwóch osób stojących po bokach, jedna trzymała latarkę. A potem ciężarówka zjechała na środek drogi, przesłaniając mu widok, nie próbowała nawet hamować, zbliżając się do radiowozu.

— O kurwa — warknął Bolt, mocniej zaciskając dłonie na kierownicy.

Dwaj gliniarze rzucili się na pobocze, latarka poleciała w krzaki. Ciężarówka z ogłuszającym hukiem zderzyła się z radiowozem, spychając go na bok, a potem zarzuciła niebezpiecznie w lewo, gdy skręciła na B184, kierując się na południe.

Bolt musiał podjąć błyskawiczną decyzję. Zatrzymać się i sprawdzić, czy policjantom nic nie jest, czy też kontynuować pościg. Wybrał pościg, wiedząc, że nie wolno mu zgubić ciężarówki. Zahamował ostro, unikając zgniecionego radiowozu, wrzucił drugi bieg, przejechał między nim a poboczem z drugiej strony, a potem wcisnął gaz do dechy.

Siła zderzenia sprawiła, że ciężarówka zwolniła, Bolt szybko zbliżył się na dwadzieścia metrów. Potem jednak droga wyrównała się i tamten znów zaczął przyspieszać.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Ciężarówka nagle zaczęła kołysać się szaleńczo na mokrym asfalcie. A potem na oczach Bolta zjechała z drogi, wywracając znak ograniczenia prędkości i pod niebezpiecznym kątem zawinęła na pobocze, zatrzymując się w końcu w deszczu błota i liści, zaledwie dwadzieścia metrów od niego. Natychmiast zapłonęły światła cofania. Bolt wiedział, że ma tylko parę sekund, by ją zatrzymać. Z dali dobiegało go zawroscenie syren, zbliżały się, ale były jeszcze

dość daleko, nie dostrzegł też ani śladu obiecanego wsparcia z powietrza.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął służbowy gaz pieprzowy i nie zważając na ostrzegawczy krzyk Mo, wyskoczył z wozu, pędząc w stronę kabiny kierowcy dokładnie w chwili, gdy ciężarówka wycofała się na jezdnię.

Gdy tylko Tina zorientowała się, że ciężarówkę ściga policja, zrozumiała, że musi coś zrobić. Nie spodziewała się, że tak szybko zlokalizują komórkę. Teraz, kiedy to zrobili, widziała wyraźnie, że dwaj mężczyźni w kabinie nie poddadzą się bez walki. W ich głosach dzwięczała gniewna panika.

— Nie mogę się pozbyć tego skurwiela! — krzyknął wściekły kierowca.

— Na drodze stoi pierdolony radiowóz! — wrzasnął drugi. — Jak oni nas, kurwa, znaleźli?

Ciężarówka z ogłuszającym hukiem uderzyła o coś.

— To wam pokaże! — ryknął ze śmiechem kierowca. — Teraz załatwimy drugiego i mamy luz!

W tym momencie Tina przywołała na pomoc wszystkie resztki sił, które jeszcze jej zostały. Podniosła się za fotelem i zarzuciła kołdrę na głowę kierowcy, pochylając się, by ją przytrzymać.

Kompletnie zaskoczony, natychmiast stracił panowanie nad pojazdem, kołdra tłumiała jego krzyki. Zamachnął się łokciem, trafiając ją w żebra, lecz Tina trzymała się go rozpaczliwie, jakby zależało od tego jej życie. Ciężarówka zjechała na pobocze i mężczyzna szaleńczo zakręcił kierownicą, próbując zapanować nad wozem.

Pasażer, wielki facet o ogolonej czaszce, odwrócił się w fotelu z wściekłym warknięciem i wymierzył Tinie cios. Uchyliła

się, lecz mimo to pięść trafiła ją w ramię i szyję, odrzucając do tyłu na metalową kratkę, oddzielającą kabinę od reszty ciężarówki. Upadając, Tina wykręciła zranioną stopę, krzyknęła z bólu i puściła kołdrę.

Kierowca zerwał ją i zahamował ostro, ciężarówka zatrzymała się z szarpnięciem. Tymczasem pasażer pochylił się nad fotelem, zasypując ciosami Tinę, która kopnęła na oślep zdrową nogą, trafiając go w twarz. Adrenalina nieco złagodziła towarzyszący temu ból.

Kierowca wrzucił wsteczny bieg i zaczął cofać ciężarówkę, dodając gazu. Tymczasem łysy bandzior zdołał trafić Tinę, która poczuła, że robi jej się słabo.

Tylko mi teraz nie zemdlej! Jeszcze jedna próba!

Koła z trzaskiem wylądowały na asfalcie. Kierowca zakręcił kierownicą i z trudem wrzucił pierwszy bieg. Tymczasem jego towarzysz nadal atakował Tinę, brutalnie zaciskając rękę na jej rannej nodze. Była jednak zbyt daleko i jego ciosy słabły, jej tymczasem udało się przekręcić, wsunąć dłoń w szczelinę między fotelami i chwycić dźwignię biegów.

— Załatw tę pierdoloną sukę, Stone! — wrzasnął kierowca, odpychając jej rękę. — Wleź tam i ją załatw!

Twarcz Stone'a pociemniała z morderczej furii, którą Tina oglądała wcześniej u przestępców zaledwie kilka razy. Zaczął gramolić się przez oparcie w chwili, gdy ciężarówka skoczyła naprzód. Jego ciało przesłoniło jej świat.

Kopnęła zdrową nogą, lecz jej atakowi brakowało siły i z łatwością odepchnął ją na bok. Uniósł pięść, by wymierzyć ostami cios, który z pewnością by ją zabił.

I w tym momencie, właśnie gdy ciężarówka zaczynała toczyć się naprzód, drzwi pasażera otworzyły się gwałtownie i do środka ktoś wskoczył. Zarzucił rękę na szyję Stone'a, odciągając go do tyłu, i hojnie potraktował gazem pieprzowym prosto w oczy. Stone poleciał na kierowcę i dopiero wtedy Tina

rozpoznała swego wybawcę. To był Mike Bolt — właśnie widziała go po raz pierwszy od roku. W nieopisanym uniesieniu patrzyła, jak Bolt pochyla się nad Stone'em i częstuje także kierowcę gazem pieprzowym.

Lecz drzwi pasażera wciąż były otwarte, a Stone nadal mógł się ruszać. Uderzył Bolta w twarz i odtrącił do tyłu.

Bolt upuścił gaz i chwycił się oburącz ramy drzwi, nie był to jednak zbyt mocny uchwyt i kiedy Stone ponownie kopnął, o mało jej nie wypuścił.

— Mike! — ryknęła Tina.

Czując, że tamten zaraz wypadnie na drogę, przecisnęła się nad fotelem i rzuciła na Stone'a, gryząc i drapiąc. Wgryzła mu się w ucho i bardziej poczuła, niż zobaczyła, jak Bolt też go łapie. W tym momencie kierowca pchnął ją mocno z tyłu i cała trójka wyleciała z kabiny, koziołkując w powietrzu i lądując twardo na asfalcie.

Kiedy wypadli z ciężarówki, Mike Bolt zdołał się oderwać od łysego bandziora, tak że gdy wylądowali na drodze, tamten uderzył o nią pierwszy. Bolt odbił się od niego i poturlał po asfalcie, słysząc zbliżające się syreny.

Był zdyszany i wykończony, ale zerwał się z ziemi szybciej niż tamten, wymachując na osłep rękami. Kątem oka zobaczył, że Tina przestała się ruszać, nie miał jednak czasu teraz się o nią martwić. Zamiast tego skoczył naprzód, rąbnął głową bandziora prosto w nos i powalił na ziemię.

Dysząc, obrócił się gwałtownie, patrząc, jak rozkołysana ciężarówka rusza naprzód i oddala się o trzydzieści metrów, czterdzieści, wciąż niezatrzymana przez radiowozy, których syreny zdawały się dobiegać zewsząd.

I wtedy na oczach Bolta, w coraz mocniej padającym deszczu, z otwartych drzwi od strony pasażera wysunęła się ręka i chwyciła klamkę. W następnej sekundzie z nóg zwała go potężna fala uderzeniowa. Tylne drzwi i boczne ściany ciężarówki odleciały na boki, a kabina eksplodowała w płomieniach. W powietrzu zaroilo się od cylindrów wirujących jak konfetti; po sekundzie posypały się na drogę w kakofonii metalicznych brzęków.

Zerwawszy się na nogi, odkrył, że Mo dźwignął Tinę i zarzuca ją sobie na ramię. Podbiegł do niego i chwycił jej nogi, aby zmniejszyć ciężar. Razem popędzili szosą naprzód,

wrzeszcząc do dwóch mundurowych na skrzyżowaniu, żeby zrobili to samo.

Mike Bolt nie miał pojęcia, jak szybko rozchodzi się fosgen, kiedy jednak biegł tak w deszczu, miał wrażenie, że adrenalina przepełnia całe jego ciało. I choć wiedział, że wraz z Tiną i Mo znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, miał niezwykłą, osobliwą ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem. Naprawdę cieszył się każdą chwilą. Wyglądało to zupełnie jak spełnienie dziecięcych marzeń o przygodach i akcji. A teraz, jako czterdziestolatek, na progu wieku średniego, ścigał się ze śmiercią, czując na plecach gorąco od wybuchu bomby.

Wraz z Mo przebiegli z Tiną dwieście, trzysta, czterysta metrów, nie potrafił stwierdzić ile. Kiedy poruszyła się i jęknęła, z ulgą po wiedział jej, że wszystko będzie dobrze, i biegł dalej, wiedząc, że jeśli uda im się ująć z tego z życiem, to znaczy, że dopisuje im szczęście.

Lecz nogi słaby mu z każdym krokiem i wyraźnie zwalniał. Podobnie Mo, który dyszał niczym starzec — efekt dwudziestu lat palenia. Toteż kiedy Bolt ujrzał zbliżającą się powoli policyjną furgonetkę migającą światłami, ogarnęła go obezwładniająca ulga. Z okna od strony pasażera wychylił się mężczyzna w białym kombinezonie ochronnym i gestem kazał im wsiąść z tyłu.

Pociągnął zatem klamkę i wraz z Mo wrzucili Tinę do środka, po czym dali się sami wciągnąć dwóm mundurowym.

— Czy jest tam ktoś jeszcze? — spytał głos z przodu.

Bolt pomyślał o bandziorze, którego ogłuszył parę minut wcześniej.

— Nie — wydyszał. — Chyba nie.

Furgonetka zawróciła natychmiast i odjechali stamtąd.

Wciąż leżąc na podłodze, spojrzał na Tinę. Była posiniaczona, obryzgana zaschniętą krwią, półprzytomna i piękna. Zdołała uśmiechnąć się słabo.

— Dzięki, Mike — wyszeptała, a potem jej oczy się zamknęły.

Bolt uśmiechnął się do Mo, zbyt zajętego uspokajaniem oddechu, by to zauważyć. A potem pochylił się i ujął jej dłoń, uszczęśliwiony faktem, że uszła z tego z życiem.

Że wszyscy uszli z tego z życiem.

Naczelnny nadinspektor Ken Canaver z policji hrabstwa Essex stał na trawiastym poboczu naprzeciwko stodoły, w której, jak go poinformowano, być może mieściła się kwatera główna komórki terrorystycznej. Patrzył, jak płomienie, otoczone chmurą gęstego czarnego dymu, rozświetlają niebo na zachodzie. Słyszał głuchy łoskot wybuchu, który wywołał pożar, i wiedział, że to ciężarówka ścigana przez jego kolegów. Wiedział też, co ponoć przewoziła. Nie miał jednak pojęcia, czy w obecnych warunkach pogodowych gaz dotrze aż tutaj, i na razie nie zamierzał opuszczać stanowiska wraz ze swymi ludźmi.

Canaver był porządnym, profesjonalnym gliniarzem, zaledwie rok dzielił go od trzydziestolecia służby. Lubił załatwiać wszystko metodycznie i zgodnie z przepisami, bo wiedział, że w ostatecznym rozrachunku tak jest najlepiej. Podczas całej swej służby ani razu nie musiał podejmować decyzji w kwestii życia lub śmierci i miał szczerą nadzieję, że teraz to się nie zmieni. Miał na miejscu flotę karetek, a także czterdziestu funkcjonariuszy, z tego kilkunastu uzbrojonych. Poinformował też mieszkańców budynku przez megafon, że są otoczeni, powtarzając to kilkanaście razy w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Na miejsce nie dotarli jeszcze negocjatorzy ani ważniacy z dowództwa operacji antyterrorystycznych i APPZ. Im szybciej się zjawią, tym lepiej. Tymczasem zamierzał powtarzać to samo co trzy minuty, domagając się, by ukryci w

środku ludzie się poddali. Jak dotąd nie otrzymał odpowiedzi, choć wewnątrz paliły się światła, toteż wraz ze swoimi ludźmi stał w milczeniu w ulewnym deszczu, pod osłoną ustawionych w rzędzie radiowozów, czekając na jakąś reakcję.

Za sobą słyszał, jak kilku policjantów szepcze coś nerwowo. Wybuch zaskoczył wszystkich. Na szczęście nikt z nich nie wiedział, co się z nim wiąże. Jedynymi osobami w całej policji hrabstwa Essex poinformowanymi o tym, że ciężarówka przewozi trujący gaz, byli główny posterunkowy, jego zastępca i sam Canaver.

Teraz nerwowo obrócił w palcach komórkę, zastanawiając się, czy dostanie telefon z rozkazem ewakuacji. Powiedziano mu, że oprócz terrorystów w budynku może przebywać także ofiara porwania, choć wciąż nie wiadomo, czy nadal żyje, czy też nie. Z całą pewnością był tam jednak ktoś żywy: parę minut wcześniej dwaj funkcjonariusze dostrzegli ruch w jednym z okien na górze. Nie podobała mu się wizja porzucenia potencjalnej ofiary zbrodni ani pozwolenia na ucieczkę przetrzymującym ją bandytom, musiał jednak przyznać, że ucieszy się niezmiernie, mogąc opuścić to miejsce i związane z nim obowiązki.

— Kiedy dziś rano zacząłem służbę, nie spodziewałem się takiego wieczoru — oznajmił nadkomisarz Nigel Teasdale, szef wydziału dochodzeniowego w Essex i od ponad dziesięciu lat współpracownik Canavera.

Obaj mężczyźni nigdy za sobą nie przepadali. Teasdale był szorstki, impulsywny i zdecydowanie zbyt zapalczywy — która to cecha rzadko jest pożądana w wypadku przetrzymywanych zakładników — w tej chwili jednak ogłoszono ogólny alarm i Canaver nie miał wyboru, musiał z nim współpracować.

— Nie sądzę, by ktokolwiek z nas się go spodziewał — odparł, zastanawiając się, jak zareagowałby Teasdale na wiadomość o ładunku ciężarówki. Mimo odważnej miny gruby

fiut zapewne uciekłyby biegiem kilometr dalej, co biorąc pod uwagę wielkość jego brzucha, stanowiłoby niezwykle widok.

Myśl ta na moment go pocieszyła, lecz tylko na moment, ponieważ patrząc wprost przed siebie, dostrzegł dym wysączaający się przez jedno z okien na piętrze i pierwszy blask płomieni ze środka.

Pozostali także to zauważyli, łącznie z Teasdale'em.

— Kuma, gość spali to wszystko — wymówił głośno to, co było oczywiste dla wszystkich. A potem zadał pytanie, którego Canaver obawiał się najbardziej. — Co do diabła teraz zrobimy?

W tym samym momencie u boku Canavera zmaterializował się dowódca zbrojnego oddziału szybkiego reagowania, sierżant Tony Lennis.

— Czy mamy wchodzić? — spytał.

Tak naprawdę Canaver nie dysponował żadnym planem działania, nie miał pojęcia, z jak wieloma przeciwnikami ma do czynienia i jak dobrze są uzbrojeni. Nie dostał jeszcze nawet planów budynku. Może i Lennis od ponad dwudziestu lat służył w oddziałach zbrojnych, ale nigdy nie nadużył uprawnień i jeśli teraz schrzani sprawę, odpowiedzialność za to spadnie na Canavera.

Obaj patrzyli na niego wyczekująco. Na niebie nad nimi hałaśliwie krążył helikopter. Dym wylewał się z budynku, płomienie strzelały coraz wyżej. Canaver mógł zadzwonić do naczelnego posterunkowego i zwalić wszystko na niego, ale to wyglądałoby jak brak zdecydowania, a zresztą kończył im się czas. Komuś w środku mogło grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

Chryste, jakże nienawidził podobnych sytuacji.

Odwrócił się do Lennisa, dostrzegając tłumione napięcie w wyrazie jego twarzy i w tym, jak unosił się i opadał na piętach.

— Dobra — powiedział, z trudem wymawiając słowa. —
Wchodźcie.

Gdy jeden z policjantów szarpnięciem otworzył lewe skrzydło wrót stodoły, Tony Lennis z maską tlenową na twarzy wbiegł szybko do środka, unosząc przed sobą pistolet maszynowy heckler & koch MP5. Tuż za nim podążało dwóch najbardziej doświadczonych podwładnych. Choć na parterze zgaszono światła, przez dwa okna przenikały promienie potężnych reflektorów z zewnątrz, oświetlając zadymione wnętrze dostatecznie jasno, by Lennis dostrzegł trupa chudego, wysokiego faceta leżącego na środku kamiennej posadzki. Przekazano mu informację, że gdzieś w środku terroryści mogą przetrzymywać dwudziestodwuletnią białą kobietę, nie widział jej jednak i nie miał wcale ochoty wchodzić na górę, w obawie, że ogień mógłby ich tam uwięzić.

Nad jego głową ze świstem przeleciała kula. Jeden z jego ludzi — Jim Walton, niedawno rozwiedziony ojciec trójki dzieci poniżej dziesięciu lat — padł na ziemię ze stłumionym krzykiem. Kolejny pocisk przeleciał obok, ledwie chybiając Lennisa, który pojął, że pierwszy raz od dwudziestu lat służy ktoś strzela do niego z ostrej amunicji i, co gorsza, wygląda na to, że ów strzelec jest dobry.

Strzały padały zza częściowo uchylonych drzwi na wprost, nie widzieli jednak ani napastnika, ani jego broni.

Trzeba przyznać Lennisowi, że się nie zawahał. Podobnie jego drugi towarzysz, świeży żonkoś Terry „Jeden strzał”

Landesman. Obaj otworzyli ogień z MP5, ich kule z głośnym hukiem odepchnęły drzwi.

Za nimi poruszył się cień, Lennis posłał w jego stronę kolejną serię. Płomień latarki z MP5 rozświetlał mrok. Gdzie, do kurwy nędzy, podziewał się tamten?

— Mamy rannego! — krzyknął do mikrofonu, gdy przez otwarte drzwi do środka wpadli kolejni funkcjonariusze. — Powtarzam, mamy rannego. Potrzebujemy pilnie pomocy medycznej!

Lennis wiedział, że ma niewiele czasu. W zwykłych okolicznościach najpierw zabezpieczyłby parter, a potem zaczekał, aż przełożeni podejmą negocjacje, lecz ogień nad nimi rozszerzał się z każdą chwilą i wkrótce drewniany strop się zawali, skazując ich wszystkich na śmierć w płomieniach.

Z sercem walącym w piersi ruszył w stronę otwartych drzwi, Landesman trzymał się blisko niego. Lennis przeszedł pierwszy, celując z broni w górę drewnianych schodów wiodących na piętro. Dym był tu wszędzie, prawie nic nie widział.

A potem kolejna kula trafiła w ścianę tuż za nim. Odpowiedział ogniem, od huku wystrzału zadzwoniło mu w uszach.

Na podeście poruszył się cień, Lennis wystrzelił ponownie, przesuając broń wąskim łukiem. Drewno pękało pod gradem pocisków. Wydało mu się, że słyszy krzyk, zobaczył, jak niewyraźna postać potyka się, jakby trafiona, lecz w tym momencie widoczność można było mierzyć w centymetrach i nie miał pewności, że trafił. Nagle zorientował się, że Canaver krzyczy przez megafon, by tamten się poddał, lecz głos zagłuszał trzask płomieni i świst jego własnego oddechu.

Skinąwszy głową do Landesmana, pobiegł na górę po schodach, chcąc wykorzystać przewagę. Teraz kierował nim czysty instynkt, nie myślał o niebezpieczeństwie takiego działania. Kiedy dotarł na górę, miał wrażenie, że dym go

pochłania, na ochronnym kombinezonie poczuł gorąco ognia. Skręcił za róg, z palcem na spuście MP5, i omal nie potknął się o trupa Strzelca. Kula trafiła go w głowę, pistolet z tłumikiem wciąż spoczywał w dłoni. Trudno było stwierdzić, czy nie żyje, ale z pewnością został wyłączony z dalszej gry.

Lecz to widok dziewczyny w kajdankach, leżącej na podłodze parę metrów dalej za otwartymi drzwiami, przyciągnął uwagę Lennisa. Jej twarz poczerniała od sadzy, dławiła się pod kneblem, zaciskając powieki, by ochronić je przed dymem.

Lennis popędził naprzód, nie zważając na gorąco płomieni, atakujące potężnymi falami. Dźwignął dziewczynę z podłogi. Potem z pomocą Terry'ego Landesmana, który chwycił ją za rękę, wynieśli ją z pokoju.

— A co z nim? — spytał Landesman przez ustnik, wskazując głową Strzelca.

— Zostaw go — wydyszał Lennis, wiedząc, że mają zaledwie chwilę na to, by się wydostać. — Nie warto dla niego ryzykować życia.

Pomagali właśnie zejść dziewczynie po schodach, gdy nad ich głowami rozległ się ogłuszający trzask i w sklepieniu nad stodołą pojawiło się długie, zygzakowate pęknięcie. Lennis wiedział, że w każdej chwili strop może runąć. Miał ochotę puścić dziewczynę i popędzić wprost do wyjścia. Wiedział jednak bez cienia wątpliwości, że gdyby to zrobił, nie zdołałby ze sobą żyć. Zamiast tego zatrzymał się i zarzucił ją sobie na ramię.

— No dalej, leć! — warknął do Landesmana i obaj puścili się biegiem naprzód. Nad ich głowami zabrzmiał kolejny trzask, sufit zaczął się uginać. — Wali się! — wrzasnął przez ustnik, wypadając przez drzwi i podjazd. Potem osunął się na kolana, jak najdelikatniej układając na trawie ledwie przytomną dziewczynę.

Za jego plecami z kolejnym ogłuszającym łoskotem strop zawalił się w końcu, grzebiąc Strzelca w ognistym grobie. Lennisa ogarnęła nagle euforia. Udało mu się.

Z częściowo zawalonej stodoły nadal wzbijały się w powietrze gęste, czarne pióropusze dymu. Nad głowami krążyło powoli kilkanaście helikopterów policyjnych i telewizyjnych, szukających najlepszego ujęcia dramatycznych scen rozgrywających się na kilku kilometrach kwadratowych w dole.

Wokół wypalonej ciężarówki z gazem ustanowiono pięciokilometrową strefę zamkniętą, policja przeprowadzała też szeroko zakrojoną ewakuację okolicznych mieszkańców, choć wciąż padający deszcz drastycznie ograniczył skutki działania fosgeny. Dodatkowo pomógł mu w tym brak wiatru. Jak dotąd jedynymi potwierdzonymi ofiarami byli kierowca ciężarówki, który spłonął w wybuchu, i jego pasażer, przewieziony do szpitala z objawami ostrego zatrucia gazem i niewielką szansą przeżycia.

Stodoła stała zaledwie kilkaset metrów poza strefą zagrożenia. Załogi trzech wozów strażackich próbowały opanować pożar. Jeszcze dalej za linią policyjną Mike Bolt i Mo Khan, obaj kompletnie wyczerpani, obserwowali wszystko wraz z załogami radiowozów i karettek. Chwilę wcześniej na miejsce przyleciał helikopterem Wielki Barry Freud, który obecnie przejmował dowodzenie nad miejscem zbrodni od swych kolegów z policji Essex w imieniu dowództwa operacji antyterrorystycznych.

Bolt, wciąż nakręcony po ostatnich wydarzeniach, popijał z kubka gorącą kawę, tymczasem Mo palił przemyconego

papierosa, po raz kolejny przegrawszy walkę z nałogiem. Kiedy przyjaciel obdarzył go spojrzeniem pełnym dezaprobaty, Mo odpowiedział po prostu:

— To przez stres pracy z tobą — i Bolt nie mógł się nie zgodzić.

Odkąd niemal godzinę wcześniej o włos uniknęli śmierci, rzadko się odzywali. Wciąż dochodzili do siebie po szoku i Bolt wiedział, że tej nocy żaden z nich się nie wyśpi.

Tymczasem Tinę przewieziono do szpitala, gdzie obecnie opatrywano jej obrażenia.

Tuż po eksplozji balansowała na granicy nieświadomości, toteż Bolt nie mógł potwierdzić, co się z nią działo podczas ostatnich trzydziestu godzin, lecz poinformowano go ze szpitala, że nic jej nie będzie, i nie mógł się już doczekać, kiedy ją zobaczy.

W końcu wszystko ułożyło się jak najlepiej. Przechwycili ciężarówkę z fosgenem, jeden z członków zbrojnego zespołu szybkiego reagowania wyniósł z płonącego budynku kobietę, najpewniej Jenny Brakspear, i wyglądało na to, że Hak pozostał w środku, a zatem niemal na pewno nie żył. Bolta ucieszyła ta wiadomość: ktoś taki nie zasługiwał na względny luksus brytyjskiego więzienia. Wolałby jednak tuż przed śmiercią spojrzeć mu w oczy i powiedzieć: To za Leticję Jones, ty bezwzględny draniu. Wiedział, że według niektórych podobne zachowanie czyniłoby z niego kogoś równie godnego potępienia jak Hak, i częściowo podzielał ich punkt widzenia. W zwykłych okolicznościach nie wierzył w karę śmierci. Lecz na świecie żyli ludzie — niewielu, ale jednak — do tego stopnia zepsuci, zdeprawowani i co najważniejsze, niebezpieczni, że większą zbrodnię stanowiło pozostawienie ich przy życiu. Hak był właśnie takim człowiekiem i kiedy nadejdzie czas, Bolt wzniesie toast za jego śmierć.

— Wy dwaj dobrze się dziś spisaliście — oznajmił Wielki Barry, dołączając do nich.

Bolt podziękował skinieniem głowy, myśląc, jakie to typowe, że szef zjawił się i przejął dowództwo, kiedy niebezpieczeństwo już dawno minęło i podjęto najtrudniejsze decyzje.

— Mogło dojść do prawdziwej katastrofy — ciągnął Wielki Barry. — Gdyby ta bomba wybuchła na zatłoczonym obszarze i gdyby nie padał deszcz... wolę nawet nie myśleć o możliwych skutkach. — Na koniec oświadczył, że zamierza przedstawić ich obu do nagród za odwagę.

Mo wyszczerzył zęby w uśmiechu, Bolt z przyjemnością patrzył, jak tamten cieszy się, dziękując szefowi. Sam także mu podziękował, lecz mniej wylewnie. Nagroda niewiele dla niego znaczyła, choć wiedział, że jego matka byłaby dumna. Bardziej interesowało go uzyskanie odpowiedzi na jedno wciąż dręczące go pytanie.

— Czy w ogóle wiemy, o co w tym wszystkim chodzi? — spytał.

Wielki Barry przytaknął.

— Owszem, zaczynamy się orientować, choć wciąż daleko nam do rozstrzygającego wyjaśnienia. Ale miałeś rację: kluczem jest sir Henry Portman.

Bolt zmarszczył brwi. Wiedział, że zdjęcie w domu Dominica Moynihana nie mogło być przypadkowym zbiegiem okoliczności, ale nadal zdumiewała go myśl o Portmanie jako głównym rozgrywającym spisku.

— Jak to możliwe? — spytał. — I co Moynihan miał z tym wspólnego?

— Moynihan był współnikiem w funduszu hedgingowym sir Henry'ego, HPP. To bardzo niewielka, ekskluzywna instytucja, opiekująca się głównie bogatymi prywatnymi klientami. Z upływem lat zyskał sobie reputację zarabiającego spore sumy. Lecz w ciągu ostatniego roku w najgorszej chwili zainwestowali

w ryzykowne opcje finansowe i akcje banków, a także problematyczne obligacje na nieruchomościach, i porządnie oberwali. Czy, ściślej mówiąc, oberwali ich klienci.

— Jednym z nich jest Paul Wise — dodał Mo. — Inwestował u nich poprzez jeden ze swoich holdingów, zgadza się? Sprawdzaliśmy to zaledwie wczoraj.

Wielki Barry przytaknął.

— Zgadza się. Ratten Holdings. Wpakowali w HPP około trzydziestu milionów. Lecz dwanaście miesięcy temu było to prawie pięćdziesiąt. Wise stracił sporo grosza u Portmana, ale stała się rzecz dziwna. Mnóstwo klientów wycofało ostatnio swoje środki i zainwestowało gdzie indziej z powodu kiepskich wyników, lecz w ciągu ostatnich trzech miesięcy Ratten Holdings wpłaciło więcej gotówki. W istocie w tej chwili pomagają Portmanowi utrzymać się na powierzchni.

— Ale co to ma wspólnego z tym wszystkim? — Bolt machnął ręką w stronę płonącego budynku. — I z ciężarówką pełną fosgenu?

— Panowie, słyszeliście kiedyś zwrot „krótka sprzedaż”?

— Mam pewne pojęcie — mruknął Mo.

Bolt jedynie pokręcił głową. Nigdy nie interesowały go finanse.

— W skrócie mówiąc, oznacza to sprzedawanie akcji, które do nas nie należą, a potem kupowanie ich za niższą cenę.

Bolt się skrzywił.

— Jak do diabła można sprzedać coś, co do nas nie należy? Wielki Barry wzruszył ramionami.

— Oto świat finansów w pigułce — rzekł, jakby to wszystko tłumaczyło. — Sam nie jestem do końca pewny, jak to działa, ale wygląda na to, że dana osoba wynajmuje akcje u kogoś innego, a potem oddaje mu je w ustalonym terminie. Najwyraźniej to bardzo częsta praktyka wśród funduszy

hedgingowych. W każdym razie z naszego punktu widzenia ważne jest to, że przez ostatnie tygodnie HPP zdecydował się na krótką sprzedaż dużej liczby akcji brytyjskich firm handlowych, rozrywkowych i ubezpieczeniowych... akcji wartych setki milionów funtów. Jeśli ich ceny pozostaną niezmienione bądź wzrosną, HPP będzie miał poważne kłopoty, bo i tak brakuje im już środków. Z drugiej strony, ze względu na zakres inwestycji, jeżeli ceny wszystkich tych firm handlowych, rozrywkowych i ubezpieczeniowych miałyby nagle znacząco spaść, a mówiąc znacząco, mam na myśli dziesięć, piętnaście procent, HPP zarobi dość, by nadrobić wszystkie straty z ostatniego roku. Lecz coś takiego wymagałoby katastrofy, która wpłynęłaby na całą FTSE.

— Mój Boże. — Mo sprawiał wrażenie autentycznie wstrząśniętego. — Myśli pan, że zamierzali wysadzić ciężarówkę fosgenu, by doprowadzić do krachu na giełdzie?

— Biorąc pod uwagę osoby uczestniczące w tym spisku, wygląda to całkiem logicznie. Poważny atak terrorystyczny w Londynie wywołałby automatyczną reakcję inwestorów giełdowych, a najbardziej ucierpiałyby akcje dokładnie w tych sektorach, na których skupił się HPP.

— To robota Paula Wise'a. — Bolt sam nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. — Bez cienia wątpliwości. Wiem, że niektórzy chłopcy z City nie mają zbyt wiele skrupułów moralnych, ale niemożliwe, by ktoś taki jak Henry Portman dysponował kontaktami niezbędnymi do zorganizowania czegoś podobnego. Natomiast Wise... ten drań jest zdolny do wszystkiego.

— Zgadzam się — przytaknął Wielki Barry. — Ktoś wysoko postawiony, taki jak Wise, musiał wszystkim kierować. Lecz sir Henry także miał w tym swój udział, podobnie Dominic Moynihan. Z tego, co pamiętam, Moynihan spotykał się jakiś czas temu z córką Roya Brakspearą, zatem to on musiał poinformować wspólników o powiązaniach jej ojca z

niebezpiecznymi gazami. Potem Wise wykorzystał swoje kontakty w świecie przestępczym, by zorganizować wszystko logistycznie i zatrudnić Haka. Nie wiemy, czy naprawdę zamierzali doprowadzić do takiej rzezi, czy też uprzedzić przed zdetonowaniem bomby. Ale znając Wise'a, prawdopodobnie wybrałyby to pierwsze, bo wywarłoby większy wpływ na ceny akcji.

Mo powoli pokręcił głową.

— Jacy ludzie posunęliby się do czegoś takiego?

— Chciwi. Zgaduję też, że Wise wywierał potężny nacisk na sir Henry'ego i Dominica Moynihana. Nie należy do ludzi, którzy wyrozumiale przyjęliby stratę milionów funtów.

— Nie rozumiem jednak, jak zamierzali to przeprowadzić i uniknąć zainteresowania władz — wtrącił Bolt. — Z pewnością fakt, że zarobili fortunę dokładnie tego samego dnia, w którym wybuchła bomba, wydawałby się dziwny.

Wielki Barry wzruszył ramionami.

— Nie jestem ekonomistą, stary druhu, ale słyszałem, że każdego dnia roboczego przez londyńskie City przepływa jedna trzecia pieniędzy tego świata. Jeśli tak jest w istocie, sumy, które by zarobili... pięćdziesiąt, sześćdziesiąt milionów... to tylko kropla w oceanie. Wątpię zatem, by ktokolwiek to wylapał. Podobny atak niemal na pewno przypisano by islamskim terrorystom, próbującym zrujnować brytyjską gospodarkę, a z braku żywych świadków nikt nie podważyłby tej opinii. Wątpię, czy ktokolwiek podejrzewałby paru angielskich finansistów z City, z których jeden jest w dodatku arystokratą.

Nagle Boltowi przyszła do głowy nieprzyjemna myśl.

— Czy możemy coś dowieść Wise'owi?

— Nie wiem. — Mina Wielkiego Barry'ego nie budziła zbytnej otuchy. — Zapewne niewiele. Wise to inteligentny gracz, w pełni świadom naszych możliwości, zatem działał

bardzo ostrożnie i spodziewam się, że większą część logistyki pozostawił Hakowi. Po śmierci większości spiskowców będziemy musieli polegać na zeznaniach Portmana, a nawet one mogą nie wystarczyć do przedstawienia oskarżenia.

— Czy zgarnęliśmy już Portmana?

— W tej chwili brak nam dowodów, by go o cokolwiek oskarżyć, ale pozostaje pod całodobową obserwacją, założyliśmy też podsłuch w jego domu. Nawet jeśli pierdnie, będziemy o tym wiedzieć.

Bolt pociągnął łyk kawy.

— No dobrze — rzekł, choć wolałby, by sir Henry Portman znalazł się w miejscu, w którym można by go mocniej przycisnąć. Był pewien, że lalusz z wysokich sfer, który nigdy nie doświadczył prawdziwego nacisku, załamałby się natychmiast.

W tym momencie wśród strażaków przed stodołą rozległy się krzyki. Pożar praktycznie już zgasł, z wnętrza wyniesiono dwa upiornie zwęglone ciała. Na oczach Bolta ułożono je na żwirze, dwóch sanitariuszy z workami na zwłoki i dyżurny doktor podeszli bliżej, by zakończyć formalności.

— A więc w końcu go mamy, szefie. — Mo poklepał Bolta po ramieniu. — Zasłużył sobie na to.

Bolt pokiwał głową, po czym powoli ruszył między radiowozami w miejsce, gdzie leżały trupy. Zmęczenie zaczynało w końcu brać górę. Nie miał ochoty oglądać zwęglonych zwłok człowieka, którego ścigał przez ostatnich pięć lat, ale coś pobudzało go do działania. Może to wspomnienie drobnego, sztywnego ciała Leticii Jones na podłodze mieszkania wuja. Albo innych zwłok, które oglądał przez ostatnią dobę. Roya Brakspeara, Roba Fallona, niezidentyfikowanej kobiety przy drodze zeszłej nocy...

Zatrzymał się parę kroków od ciał, marszcząc nos atakowany smrodem spalonego mięsa. Owszem, od ponad dwudziestu lat pracował w policji, ale wciąż nie przywykł do

oglądania nieżywych ludzi. Zbyt boleśnie przypominały mu o własnej śmiertelności, a najgorsze były ofiary pożarów. Wysoka temperatura wytapiała tłuszcz, zamieniając zwłoki w koszarne zwęglone rzeźby, niepodobne do ludzi.

Jedna z ofiar była bardzo wysoka — domyślał się, że to ciało jak dotąd niezidentyfikowanego mężczyzny znalezione na podłodze w stodole przez uzbrojonych policjantów.

Bolt odetchnął głęboko i spojrzął na drugie zwłoki — to, co pozostało z jego największego wroga. Choć sprawiedliwości stało się zadość, nie odczuwał żadnej satysfakcji.

Nagle coś przyciągnęło jego wzrok. Poczerniała od dymu złota obrączka na jednym z poskręcanych zwęglonych palców.

Pochylił się i obejrzał ją bliżej. I wtedy właśnie poczuł prawdziwy wstrząs. Na palcu obok tkwił drugi złoty pierścionek, niewątpliwie kobiecy. Wcale nie patrzył na Haka, patrzył na ciało kobiety. I natychmiast pojął, że to musi być Jenny Brakspear.

Hak zaczął, aż ładna sanitariuszka o nastroszonych rudych włosach odwróciła się do niego plecami, szykując zastrzyk ze środków przeciwbólowych, po czym wysunął rękę i rozpiął pas, którym przypięto go do noszy. Wcześniej przykleił do przegubu taśmą niewielki plastikowy nóż, długi na dziesięć centymetrów i bardzo ostry. Teraz oderwał go szybko. Odgłos zrywanej taśmy zaalarmował sanitariuszkę, która zaczęła się odwracać.

Hak był jednak dla niej zbyt szybki. Chwytając dziewczynę w mocne objęcia, przycisnął jej dłoń do ust i wbił ostrze głęboko w szyję. Gejzer krwi z rozciętej tętnicy szyjnej wytrysnął wprost na tylne okienko, a potem opadł, gdy dygocząc, skonała mu w ramionach.

Ułożył jej ciało delikatnie na podłodze, po czym odrzucił zaimprovizowaną blond perukę — skalp zdarty z głowy Jenny Brakspear — i pochylił się przez niską ściankę do kabiny, przyciskając ociekający krwią nóż do szyi niczego niepodejrzewającego kierowcy i rozkazując mu się zatrzymać.

Wstrząśnięty mężczyzna miał dość rozsądku, by współpracować.

— Wypuść mnie, a przez następne dziesięć minut nikogo nie zawiadomię — rzekł spokojnie, zatrzymując karetkę. — To powinno ci wystarczyć do ucieczki.

Oferta była całkiem rozsądna, lecz Haka nie skusiła. Zamiast tego szarpnął głowę kierowcy do tyłu i załatwił go dokładnie w

ten sam sposób, jak wcześniej koleżankę: wbijając mu nóż w szyję aż po rękojeść. Tym razem nie poszło tak łatwo. Kierowca wydał z siebie serię głośnych, zduszonych jęków i szarpnął się naprzód w fotelu. Krew bryzgała wszędzie. W jakiś sposób zdołał się wyrwać, próbując na oślep chwycić klamkę.

Przez moment Hak obawiał się, że tamten otworzy drzwi — to byłby problem, bo z naprzeciwka nadjeżdżał sznur świateł. Lecz na szczęście nagle opuściła go wszelka energia i osunął się na bok, w ostatniej bezużytecznej próbie oporu, unosząc jedną rękę.

Hak przepchnął kierowcę na fotel pasażera, potem przegramolił się przez ściankę i chwycił kierownicę, odjeżdżając w chwili, gdy minęły go dwa pędzące w przeciwną stronę radiowozy.

Dodając gazu i sprawdzając swe położenie na GPS-ie, pozwolił sobie na lekki uśmiech. Wkrótce zorientują się, że popełnili błąd, lecz do tego czasu będzie za późno. Raz jeszcze zniknie, jakby nigdy nie istniał. Ciężki rozplywający się w nocy, pozostawiający za sobą jedynie grozę i zniszczenie.

73

Helikopter wzbił się szybko ponad dymiące ruiny stodoły, a potem zawrócił na południe, w stronę Londynu. Pod sobą Bolt widział szeroki kordon błyskających niebieskich świateł pośród ciemności, jego serce stanowiła roztrzaskana ciężarówka z fosgenem, oświetlona reflektorem krążącego policyjnego helikoptera.

Minęło pół godziny, odkąd odkrył, że ciało, które wzięli za Haka, w istocie było ciałem kobiety, niemal na pewno Jenny Brakspear. Niestety, karetka wioząca do szpitala osobę uznaną za Jenny, nie dotarła na miejsce. Załoga nie odpowiadała także na próbę kontaktu radiowego ani nie odbierała komórek. Trzeba było założyć, że przewozili zamaskowanego Haka, który zdołał ich obezwładnić i uciec. Jedyne ktoś niezwykle śmiały i bezwzględny mógł dokonać czegoś takiego, Bolt omal nie poczuł czegoś w rodzaju niechętnego podziwu.

Siedział w ciasnym fotelu, sfrustrowany tokiem wydarzeń, które ponownie wyrwały mu się spod kontroli, i walczył ze znużeniem ogarniającym całe ciało po tym, jak adrenalinowe napięcie ostatnich dwudziestu czterech godzin w końcu ustąpiło. Wiedział, że mnóstwo osiągnął. Pomógł uniknąć prawdziwej katastrofy dla Londynu i całej Wielkiej Brytanii i ocalił Tinę przed pewną śmiercią. Przed chwilą ponownie rozmawiał ze szpitalem, lekarz poinformował go, że Tina w pełni odzyska siły, choć minie kilka miesięcy, nim jej stopa

całkowicie się zagoi. W ostatecznym rozrachunku zatem miał być z czego dumny.

Tyle że to nie wystarczyło. Hak pozostawał na wolności i Bolt wiedział, że najpewniej zamordował także sanitariuszy. Portman też był wolny. Podobnie Paul Wise. A zatem sprawiedliwość nie dosięgła tych, którzy najbardziej na to zasłużyli. Bolt miał ochotę przepaść najbliższy tydzień, wiedział jednak, że nie zdoła tego zrobić, póki nie zamknie sprawy.

Wraz z nim w ciasnej kabinie helikoptera siedzieli Mo Khan i Wielki Barry Freud. Mo drzemał, a Wielki Barry, którego nadal czekała długa noc, skulił się w fotelu obok Bolta, wpatrując się w przestrzeń. Zmierzał do Scotland Yardu, gdzie miał pomóc w koordynacji akcji zmierzającej do ujęcia wszystkich ważniejszych osób podejrzewanych o udział w spisku.

Bolt odwrócił się do niego.

— Chcę, żeby mój zespół uczestniczył w obserwacji Henry'ego Portmana — oznajmił stanowczo. — Myślę, że na to zasłużyliśmy.

— Najpierw się prześpij, stary druhu. I nie martw się o Portmana. Nigdzie nie zniknie.

— Nie obchodzi mnie to. Nadal chcę mieć w tym udział.

Wielki Barry nie wyglądał na przekonanego, był jednak dostatecznym pragmatykiem, by wiedzieć, kiedy ustąpić.

— Zgoda, porozmawiam z Bridgesem i zobaczę, co da się zrobić. O drugiej rano pałeczkę przejmie nowy zespół, będą go pilnować do jutra, do dziesiątej. Spróbuję załatwić, żebyście potem wy go przejęli.

Bolt obejrzał się na Mo, który otworzył jedno oko, nasłuchując rozmowy.

— Czy starczy ci czasu, żeby się wyspać?

— Gdybym miał wyspać się jak należy — odparł tamten, ziewając — to nie wstałbym do soboty. Ale ja też nie chcę

niczego stracić. Ktoś musi za to zapłacić i nie mogę się doczekać wyrazu twarzy tego pompatycznego dupka, kiedy zgarniemy go za współudział w spisku i zabójstwie.

Bolt uśmiechnął się lekko.

— Czuję to samo.

Mo zamknął oko i znów zaczął drzemać. Bolt tymczasem wyglądał przez okno na rozległy dywan świąteł, zwiastujący zbliżanie się Londynu. Gdzieś tam w dole czaił się Hak, ukryty pośród dziesięciu milionów mieszkańców miasta. Do jego poszukiwań zaangażowano cały gigantyczny aparat państwowy, wykorzystujący najnowsze techniki, lecz Bolt wiedział, że to nie wystarczy. Ich ofiara była na to za dobra i jak na razie śliski skurwiel wygrywał na punkty.

Ale to jeszcze nie koniec.

A każdy, nawet przebiegły zawodowiec taki jak Hak, wcześniej czy później może popełnić błąd.

CZWARTEK

Sir Henry Portman wstał w czwartek o siódmej rano, wziął prysznic, ubrał się i zjadł śniadanie z żoną Amelią. Podczas posiłku rozmawiali o przyjęciu, które zaplanowali na weekend oraz usłyszanej w radiowym programie Today wiadomości, że poprzedniej nocy siły porządkowe udaremniły terrorystyczny zamach, polegający na wypuszczeniu trującego gazu w centrum Londynu. Według podsłuchujących go agentów sir Henry zareagował zupełnie normalnie, udał nawet oburzenie na bezwzględność terrorystów.

— Do czego, do diabła, zmierza ten świat? — usłyszeli.

Po śniadaniu Portman sprawdził pocztę na koncie firmowym, odpowiedział na pytanie prywatnego klienta z Jersey, który zastanawiał się, jak atak terrorystów wpłynie na sytuację HPP. Portman odparł, że jeszcze za wcześnie, by orzec, ale przelotny spadek cen akcji wydaje się bardzo prawdopodobny, a dzięki niedawnym inwestycjom w krótką sprzedaż brytyjskich akcji fundusz powinien nieco zarobić.

O ósmej trzydzieści pod pięciopiętrowy dom w Chelsea zajechał kierowca sir Henry'ego i zawiózł go na umówione na dziewięćdziesiąt trzy spotkanie z londyńskim klientem w hotelu Landmark przy Marylebone Road, w bok od Baker Street. Dotarł tam dwadzieścia minut przed czasem i zajął miejsce w otwartej sali na hotelowym półpiętrze, gdzie zamówił cappuccino i czytał „Financial Timesa”, póki o dziewięćdziesiąt dwa nie zjawił się jego klient, Raif Mohammad.

Spotkanie, filmowane ukradkiem przez agentów operacyjnych siedzących przy pobliskim stole, tak by specjaliści ze Scotland Yardu czytający z ruchu warg mogli w czasie rzeczywistym opisać, czego dotyczy rozmowa, było uprzejme, lecz pełne napięcia. Najwyraźniej panu Mohammadowi nie zaimponowały najnowsze inwestycje HPP i trzeba było całej siły perswazji sir Henry'ego, by powstrzymać go przed wycofaniem pieniędzy z funduszu.

Tymczasem dwunastoosobowy zespół Bolta zajmował pozycje. Dwie osoby dołączyły do kolegów w hotelu Landmark, trzecia zajęła miejsce w foyer z egzemplarzem „Suną”, pozostali zebrali się niedaleko głównego wyjścia. Jeden z nich, Kris Obanje, siedział na motorze, reszta rozdzieliła się pomiędzy cztery samochody.

Bolt musiał zrezygnować z jaguara, którego używał do operacji obserwacyjnych od czasu pracy w NCS. Chwilowo wóz poddawano pełnemu czyszczeniu parowemu, aby pozbyć się resztek fosgeny, potem miał trafić do wydziału dochodzeniowego policji Thames Valley, aby mogli go zbadać i spróbować ustalić, czy w chwili zderzenia z Robem Fallonem Bolt zachował należyłą ostrożność podczas jazdy. Nowy samochód zupełnie mu nie odpowiadał. Był to olbrzymi mitsubishi shogun z napędem na cztery koła, kompletnie nienadający się do jazdy po ulicach Londynu. Co gorsza, miał automatyczną skrzynię biegów.

— Te cholerstwa pozbawiają człowieka całej przyjemności z prowadzenia — rzekł, opierając się o drzwi wozu i próbując usadowić wygodniej. — Nie wiem, co za matoł je wymyślił.

Mo się uśmiechnął. Teraz, kiedy się przespał, a niebezpieczeństwo ataku gazowego minęło, nastrój znacząco mu się polepszył.

— Marudzisz zupełnie jak Jeremy Clarkson, szefie.

— Jezu. Poważnie? No to gada z sensem.

— Nie podoba mi się, że ten fiut Portman w ogóle się nie boi.

Tina Boyd była bardzo blada, miała podbite oko i opatrunek na nosie, mimo wszystko jednak zdumiewająco szybko doszła do siebie. Szpital po operacji stopy i włożeniu jej w gips chciał zatrzymać Tinę na obserwację, ona jednak wolała sama podejmować decyzje i wypisała się tego ranka o siódmej, po czym natychmiast zadzwoniła do Bolta z pytaniem o najnowsze wieści.

Gdy tylko się dowiedziała, że jego zespół będzie śledził sir Henry'ego, uparła się, żeby wziąć w tym udział. Bolt musiał bardzo się wysilić, by przekonać Wielkiego Barry'ego, aby ten pozwolił Tinie zabrać się z nim. W końcu udało mu się — posłużył się argumentem, że gdyby zjawił się Hak, Tina lepiej niż ktokolwiek z zespołu zdoła go zidentyfikować, sam jednak nie był pewien, czy to taki dobry pomysł. W ciągu godziny, którą spędzili we trójkę w samochodzie, okazała się bardziej milcząca niż kiedyś, zupełnie jakby ciążyło jej niewidoczne brzemię. Zastanawiał się, jak bardzo ucierpiała z rąk Haka i czy kiedykolwiek w pełni dojdzie do siebie. Chciał z nią porozmawiać, pocieszyć, wesprzeć, wiedział jednak, że to nieodpowiedni moment.

— Pewnie w ogóle nie zdaje sobie sprawy, że wiemy o jego udziale — odparł Bolt. — Zresztą nie ma powodów, by się domyślać. To oznacza, że kiedy go w końcu zgarniemy, będzie miał jeszcze lepszą minę.

— Ale nawet wtedy trudno mu będzie cokolwiek udowodnić, prawda? — spytała cicho, wyglądając przez okno.

— Złamię się — rzekł Bolt. — Tacy jak on zawsze pękają.

Nie rozwijał tematu. Nie wspomniał jej o powiązaniach z Wise'em. Uznał, że przy wszystkim, co się działo, może mieć problemy z przetrawieniem tej informacji.

— Pieszy jeden do wszystkich jednostek — odezwał się głos w głośniku shoguna. — Spotkanie się skończyło. Ściskają sobie

ręce. Portman schodzi sam po schodach. Odbiór.

— Pieszy dwa do wszystkich jednostek — powiedział agent Cliff Yakonos, siedzący w foyer z egzemplarzem „Suna”. — Mam go, kieruje się w stronę głównego wyjścia. Właśnie spotkał swojego szofera. Teraz obaj wychodzą. Odbiór.

Wedle planu Portman miał się skierować do biura HPP, które mieściło się przy Grosvenor Square, lecz Bolt wiedział, że nie mogą ryzykować. Ze swego miejsca dwadzieścia metrów od głównego wyjścia spojrzął na dwóch mężczyzn, którzy właśnie wyłonili się zza drzwi.

W odróżnieniu od kierowcy, drobnego i nierzucającego się w oczy, sir Henry wyglądał imponująco w trzyczęściowym prążkowanym garniturze i jaskrawym krawacie. Był z niego przystojny facet o gęstej, kręconej, siwiejącej czuprynie i mocnym patrycjuszowskim podbródku. Zachowywał się też z pewnością siebie właściwą ludziom, którzy przywykli do okazywanego im szacunku.

Co za fajfus, pomyślał Bolt, nie rejestrując nawet obecności motocykla, który zwolnił przed wejściem hotelowym. Dopiero gdy kierowca w kasku uniósł w górę rękę i Henry Portman padł na ziemię, pojął, co się stało.

— Cholera! Załatwił go!

Bolt gwałtownie wrzucił bieg i zjechał na jezdnię, wciskając się w strumień samochodów do wtóru kakofonii klaksonów. Motor odjeżdżał już, dodając gazu.

— Wóz jeden do wszystkich, cel został postrzelony. Podejrzany ucieka na motorze na wschód Marylebone Road. — Zaczął recytować do mikrofonu numer rejestracyjny, lecz tablica była umazana błotem — bez wątplenia specjalnie — a motor poruszał się zbyt szybko, manewrując między samochodami. Po chwili dzieliło ich już trzydzieści metrów. — Wciąż go widzimy — podjął — ale się oddala. Dojeżdża do skrzyżowania z Gloucester Place. Odbiór.

Mo wepchnął na deskę rozdzielczą migającego błękitnego koguta, tymczasem Bolt zbliżył się niebezpiecznie do samochodu przed nimi, naciskając klakson i zmuszając go do zjazdu na bok. W sekundę później obok niego przeniknął z rykiem Obanje, siedzący na potężnym motocyklu kawasaki 850. Jechał wzdłuż białych linii, szybko zbliżając się do podejrzanego. W odróżnieniu od zamachowca, który niezbyt dobrze sobie radził, manewrując w rzece samochodów, Obanje był doświadczonym motocyklistą.

— Motor jeden do wozu jeden! — ryknął, przekrzykując szумы i odgłos silników. — Widzę go. Co mam robić? Odbiór.

— Wóz jeden do motoru jeden, trzymaj się go, ale nie zbliżaj za nadto. Jest uzbrojony i niebezpieczny. Czekaj na wsparcie. Odbiór.

Mówiąc, Bolt instynktownie gładził palcami rewolwer smith & wesson, tkwiący w kaburze pod pachą marynarki. Ze względu na wysoki priorytet celu i operacji większość funkcjonariuszy zajmujących się obserwacją Henry'ego Portmana była uzbrojona. Jednak z całego zespołu tylko Boltowi zdarzyło się wcześniej wypalić w gniewie, co nie wróży zbyt dobrze, kiedy próbuje się schwytać doskonale wyszkolonego zawodowego zabójcę. Na szczęście jednak wszystkie informacje trafiały bezpośrednio do sali operacyjnej w Scotland Yardzie, dopóki zatem Obanje nie straci z oczu podejrzanego motoru, będą mogli zastawić pułapkę i zostawić brudną robotę CO 19.

Przed sobą mieli zielone światła na Gloucester Place, Obanje wraz z podejrzanym przejechali przez nie w odległości piętnastu metrów od siebie. Bolt, pięćdziesiąt metrów dalej, prowadzący jak szalenciec z wyjącą syreną, zaczynał tracić ich z oczu.

Światła zapłonęły pomarańczem, ford focus dwadzieścia metrów przed Boltem zahamował.

— Trzymaj się! — ryknął Bolt, mocniej naciskając klakson i przyspieszając wprost w stronę focusa z nadzieją, że tamten zrozumie.

I zrozumiał, ale odrobinę za późno. Nie zdążył całkiem zjechać z pasa, gdy Bolt rąbnął go w tylny zderzak i odepchnął na bok, nie tracąc prędkości.

— Cofam wszystko — rzekł do Mo, pędząc przez puste skrzyżowanie. — Uwielbiam ten wóz!

— Motor jeden do wszystkich jednostek, podejrzany zbliża się do skrzyżowania z Baker Street, ma czerwone światło. Przejeżdża! Przejeżdża.

— Trzymaj się go! — warknął Bolt, pokonując krawężnik otaczający pas zieleni i wyprzedzając wolniej poruszające się auta.

— Przejechałem. Jedziemy na południe Baker Street. Dobra, skrócił w lewo. W lewo. Chyba na Paddington Street! Kurwa! — Ostatnie słowo zamieniło się w zszokowany okrzyk.

— Wóz jeden do motoru jeden. Co się dzieje?

— Strzela do mnie!

Usłyszeli pisk opon, a po nim głośne sapnięcie. Silnik motoru umilkł nagle.

Bolt przyspieszył z dwoma kołami wciąż na pasie zieleni. Pozbawiwszy czyjegoś range rovera bocznego lusterka i panelu z drzwi, wpadł na skrzyżowanie z Baker Street.

— Motor jeden, nic ci nie jest?! — krzyknął do mikrofonu.

— W porządku — odparł głos Obanjego. Sprawiał wrażenie zdyszanego. — Ale wypadłem z gry. Podejrzany jedzie dalej na wschód Paddington Street. Chryste!

— Co się dzieje?

— Zderzył się z samochodem. Leży. Jakieś sto metrów stąd. Właśnie wstaje. Ale jest ranny. Powtarzam: jest ranny.

Na skrzyżowaniu paliły się czerwone światła, lecz Bolt odepchnął na bok ostatni wóz, skręcił odrobinę, włączając się do strumienia ruchu, w którym na szczęście otworzyło się miejsce, a potem popędził Baker Street.

— Wóz jeden do wszystkich jednostek, jestem tuż za nim.

— Motor jeden do wszystkich jednostek. Podejrzany przeszedł przez ulicę, kieruje się na południe, zniknął mi z oczu w parku. Idę za nim, ale jestem ranny i nie mam broni.

Skręciwszy w Paddington Street, Bolt ujrzał Obanjego, który kulejąc, maszerował chodnikiem w skórzanym stroju z kaskiem pod pachą. Obanje wskazał ręką w głąb ulicy, ruch był minimalny, toteż Bolt dodał gazu, niemal natychmiast dostrzegając niewielki zielony skwer po prawej między wieżowcami.

Zatrzymując się z piskiem opon, wyjął smith & wessona. Mo poszedł w jego ślady, choć, jak zauważył Bolt, z wyraźnym wahaniem.

— Zostań tutaj — polecił Tinie, po czym wyskoczył z wozu i pobiegł do wejścia na skwerek, oburącz trzymając broń. Mo podązał tuż za nim.

Natychmiast zobaczył Haka pięćdziesiąt metrów przed sobą. Zabójca szedł, kulejąc, zwrócony do nich plecami. Zdjął już kask, Bolt nie widział broni. Dzień był pochmurny, w maleńkim parku nie kręciło się zbyt wielu ludzi, ale wciąż dość, by w razie strzelaniny zrobiło się naprawdę niebezpiecznie.

Bolt biegł szybko i możliwie jak najciszej, szepcząc do mikrofonu informacje o lokalizacji celu. Miał nadzieję, że Hak go nie słyszy. Wiedział, że jeśli dostatecznie się zbliży, a tamten się obróci, będzie miał dobry pretekst do tego, by strzelić. Biorąc pod uwagę nastroje opinii publicznej i oburzenie wywołane ostatnią próbą ataku terrorystycznego, z pewnością by mu się upiekło. Co gorsza, rozpaczliwie pragnął to zrobić. Cichy głos w głowie nalegał, by zachował spokój i opanowanie,

powtarzał: Pamiętaj, po co wstąpiłeś do policji. Ale rozbrzmiewał naprawdę cicho i w tym momencie pragnienie zemsty niemal kompletnie go zagłuszało.

Kobieta spacerująca z psem po trawniku zobaczyła broń w dłoni Bolta i krzyknęła przenikliwie, jej głos rozległ się w całym parku.

Kulejąca postać obróciła się natychmiast i choć wciąż dzieliło ich około trzydziestu metrów, Bolt rozpoznał uciekiniera. Uniósł broń, nadal zbyt daleko, by zaryzykować pociągnięcie za spust.

— Policja! — krzyknął. — Ręce do góry!

Hak, nie zważając na jego słowa, rzucił się do furtki z drugiej strony parku. Usiłował biec, lecz nie do końca mu to wychodziło. Jednocześnie z kieszeni kurtki wyciągnął coś wyglądającego jak pistolet, choć nie próbował nawet strzelać, wyraźnie świadom, że Bolt nie może strzelić mu w plecy.

Z naprzeciwka nadchodziła kobieta z wózkiem spacerowym i małym dzieckiem. Nim zdążyła zareagować, a co dopiero pojąc, co się dzieje, Hak chwycił malucha i obrócił się twarzą do swych prześladowców.

Dziecko, na oko najwyżej trzyletnie, zaczęło krzyczeć. Bolt instynktownie opuścił broń, nie chcąc ryzykować przypadkowego strzału.

Hak natychmiast uniósł swoją i strzelił wprost do Bolta, który uskoczył na ziemię, przeturlał się, nie wypuszczając rewolweru, i błyskawicznie ukrył za młodym drzewkiem. Mo zrobił to samo, kucając za ławką naprzeciwko.

Rozległ się drugi strzał, lecz z takiej odległości pistolety nie są zbyt celne i kula przeleciała obok. Wokół ludzie uciekali na wszystkie strony, Bolt wykrzykiwał informacje do mikrofonu.

Matka dziecka, płacząc histerycznie, próbowała złapać Haka i Bolt, widząc nadarżającą się okazję, zerwał się z ziemi. Nim

jednak zdążył postąpić choćby krok naprzód, Hak odepchnął kobietę i strzelił jej w pierś.

Przez ułamek sekundy Bolt był zbyt wstrząśnięty, by się ruszyć.

A potem z rykiem wściekłości i frustracji rzucił się na swoją ofiarę.

Hak jednak nawet nie drgnął. Ponownie pociągnął za spust.

Bolt potknął się i upadł na twarz na ścieżkę, tym razem wypuszczając rewolwer. Przez sekundę zdawało mu się, że dostał. Potem jednak pojął, iż upadek stanowił instynktowną reakcję na wystrzał i że Hak ponownie chybił.

Zabójca odrzucił dziecko niczym śmieć i Bolt, wstając ponownie, zobaczył jak, kuśtykając, znika w bramie.

Skurwysyn ucieknie. Gdzie do diabła podziało się wsparcie? Helikopter? Cokolwiek?

Chwyciwszy broń, puścił się biegiem w stronę matki, która leżała w trawie, zwijając się z bólu — dzięki Bogu wciąż żyła, dziecku też nic się nie stało. Bolt wrzeszczał do mikrofonu, domagając się sanitariuszy i wsparcia, nie szczędząc przekleństw. Jeśli Hak znów ucieknie, ostatecznie ośmieszy wszystko, czego przez całe życie bronił Bolt. Sprawি, że wszystkie jego dobre uczynki stracą znaczenie.

Pędził w stronę wyjścia, krzycząc do Mo, by został z ranną, i wiedząc, że gdy tylko zobaczy Haka, pociągnie za spust.

I wtedy usłyszał za ogrodzeniem nadjeżdżający samochód, a potem ogłuszający metaliczny trzask.

75

Tina, siedząca na tylnej kanapie shoguna, usłyszała zdyszane słowa Bolta w głośniku. Potem rozległy się strzały i pojęła, że nie może siedzieć beczynn timer. Musiała wkroczyć. Musiała coś zrobić, by człowieka, który ją postrzelił i na jej oczach zamordował niewinną kobietę, dosięgnęła sprawiedliwość, zwłaszcza teraz, kiedy wyglądało na to, że może uda mu się uciec.

Kluczyki do shoguna wciąż tkwiły w stacyjce. Wygramoliła się tylnymi drzwiami i wsiadła od strony kierowcy, powoli opuszczając się na siedzenie. Dzięki Bogu, że to automat, pomyślała, wrzucając bieg i naciskając zdrową stopą pedał gazu. Dołączyła do ruchu, skręcając w prawo, by okrążyć park.

Nie miała w głowie żadnego planu, a środki przeciwbólowe, którymi ją naszpikowali, mąciły myśli, wiedziała jednak, że wystarczy, jeśli zobaczy potwora, którego Bolt nazywał Hakiem. Chciała widzieć, jak go aresztują. Albo, co jeszcze lepsze, spojrzeć na jego trupa.

W samochodzie znów rozległ się głos Bolta.

— Wyszedł z parku od strony południowo-wschodniej! Straciłem go z oczu, mamy ofiarę!

Tina dodała gazu, kierując się w stronę, z której, jak oceniała, może wyłonić się Hak.

I wtedy, tuż przed ostrym zakrętem, ujrzała go: kuśtykał po chodniku, w opuszczonej ręce trzymał broń.

Najwyraźniej usłyszał, że się zbliża, bo wyskoczył na jezdnię, unosząc pistolet i celując wprost w nią. Wolną ręką dał jej znać, by się zatrzymała. Skurwiel chciał ukraść shoguna.

Wargi Tiny wykrzywiły się w uśmiechu.

— Pierdolę cię — wyszeptała, a potem pochyliła głowę, ukrywając się za deską rozdzielczą, i docisnęła pedał do końca.

Usłyszała strzał, przednia szyba pękła. Tuż po nim nastąpił drugi, lecz shogun wciąż się rozpędzał. W chwili, gdy uderzył zabójcę, wydało jej się, że dostrzega błysk paniki i zrozumienia w owych złowieszczych, okrągłych oczach. A potem Hak zawisł na masce niczym szmaciana lalka, wóz pokonał krawężnik i z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę przygwoździł go do muru.

Kiedy Bolt wypadł z parku na ulicę, ujrzał przód terenówki wbity w trzypiętrowy dom. Hak tkwił przyszpilony do popękanej, mocno uszkodzonej ściany, głowa opadła mu na piersi. Nie ruszał się.

Przez moment nie dotarło do niego, że to jego shogun. Potem przez półotwarte drzwi kierowcy ujrzał Tinę, uwięzioną w środku przez poduszkę powietrzną.

Schował smith & wessona, podbiegł do niej i szarpnięciem otworzył drzwi. Przekonawszy się, że ma otwarte oczy i wygląda na przytomną, odetchnął z ulgą.

— Nic ci nie jest? — spytał, wyciągając ją najdelikatniej, jak mógł.

— Chyba nie — wyszeptała, gdy posadził ją na ziemi, wspartą plecami o samochód. Ale nie wyglądała dobrze. — Czy on nie żyje?

— Nie wiem, w tej chwili najważniejsze...

— Powiedz mi, że skurwieli nie żyje! — wydyszała, ze zdumiewającą siłą chwytając go za rękę. Ból w jej oczach mówił wszystko, co Mike chciał wiedzieć.

Wstał, przeszedł na przód samochodu i uniosł za włosy głowę Haka, nie zważając na spojrzenia przechodniów. Zabójca krwawił z ust i nosa, oczy miał zamglone, ale wciąż tliła się w nich iskierka przytomności.

— Pamiętasz Letycię Jones? Dwa tysiące trzeci? Robotę dla Nicholasa Tyndalla? Pamiętasz ją?

Wielkie oczy Haka rozszerzyły się, a potem wywróciły. Jego ciało zwisło bezwładnie.

Bolt schylił się bliżej.

— To za nią — wyszeptał i wypuścił włosy.

Wrócił do Tiny i przykucnął obok, przykładając jej dłoń do policzka. Uśmiechnęła się do niego słabo i z trudem zwalczył pragnienie, by ją pocałować.

— Tak — odparł z prostotą. — Nie żyje.

Epilog

Sześć tygodni później

Ze stalowoszarego nieba padał gęsty deszcz, gdy Tina Boyd otworzyła rozklekotaną drewnianą furtkę i weszła na pogrążony w spokojnej, pełnej zadumy ciszy cmentarz. Nie używała już kul i mogła prowadzić, nadal jednak nie mogła zbyt obciążać obolałej stopy i wciąż kulała. Fizjoterapeuta twierdził, że to minie z czasem, i zamierzała wraz z nowym rokiem wrócić do pracy.

W ciągu sześciu tygodni, odkąd została postrzelona, na świecie wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Jesień 2008 na zawsze zapisze się w historii jako czas potężnego krachu finansowego, gdy największe banki o mało nie zbankrutowały, a komentatorzy otwarcie mówili o końcu kapitalizmu. Największą ironią był fakt, że gdyby Henry Portman i jego współpracownicy zachowali cierpliwość i pozwolili wydarzeniom toczyć się naturalnym torem, fundusz HPP zarobiłby majątek na spadku cen akcji angielskich firm ubezpieczeniowych i rozrywkowych, którymi spekulował. Proces ten zaczął się zaledwie parę dni po niedoszłym ataku gazowym, wraz z bankructwem Lehman Brothers. Zamiast tego sir Henry nie żył, zabity na miejscu przez kulę, która trafiła go przed hotelem Landmark. Ponieważ jednak nie istniały przekonujące dowody ani przeciw niemu, ani przeciw HPP (choć policja dysponowała mnóstwem poszlak),

środki funduszu zostały odmrożone, a on sam miał zostać sprzedany znacznie większemu funduszowi amerykańskiemu. W ten sposób inwestorzy z HPP znaleźli się wśród nielicznej garstki szczęśliwców, którzy w 2008 roku porządnie zarobili na swoich pieniądzach. Do ich grona należał także Paul Wise. Choć APPZ prowadziła rozległe śledztwo w sprawie jego udziału w atakach, po śmierci Portmana w żaden sposób nie dało się go z nimi powiązać, toteż pozostawał bogaty i wolny.

Tina wątpiła, czy myśl o śledztwie spędza mu sen z powiek w jego rezydencji nad Morzem Śródziemnym. Na myśl o tym, że Wise nie tylko umknął sprawiedliwości, ale zyskał na swych zbrodniach, czuła palącą wściekłość, choć mogła przynajmniej pocieszać się faktem, że człowiek, który ją porwał i próbował złamać — Michael Killen alias Hak — nie żyje.

Nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia, że go zabiła. Dostał to, na co zasłużył, i czasem, gdy leżała w łóżku w nocy i wyobrażała sobie w zwolnionym tempie, jak musiały wyglądać owe ostatnie chwile, kiedy przez moment zrozumiał (a przynajmniej miała taką nadzieję), że będzie musiał wreszcie zapłacić za swoje grzechy, odczuwała brutalną satysfakcję. W końcu by ją zabił, bez cienia wątpliwości, ale ona dopadła go pierwsza.

Wydział wewnętrzny przeprowadził obowiązkowe dochodzenie w jej sprawie, lecz szybko uwolnił ją od wszelkich zarzutów, bez słowa sprzeciwu akceptując jej historijkę, że nie zamierzała w niego trafić. Istniały po temu dobre powody. Tabloidy uczyniły z Haka demona w ludzkiej skórze, koncentrując się na fakcie, że bez skrupułów postrzelił młodą matkę na oczach jej dziecka. Matka przeżyła, spodziewano się, że w pełni odzyska zdrowie, bo kula nie uszkodziła żadnych ważnych narządów, lecz samo to, że Hak nacisnął spust, posługując się dzieckiem jako żywą tarczą, oznaczał, iż opinia

publiczna wpadłaby w szał, gdyby osobę odpowiedzialną za jego śmierć o cokolwiek oskarżono.

W istocie Tina wbrew własnym staraniom stała się osobą znaną. Ukryta za drzwiami własnego mieszkania, odmawiała udzielania wywiadów, podczas gdy dziennikarze grzebali w jej przeszłości: opisywali jej wcześniejsze postrzelenie, zabójstwo jednego z kolegów, tajemniczą śmierć człowieka będącego jej szefem i kochankiem, detektywa inspektora Johna Gallana, i fakt, że część kolegów z pracy nazywała ją Czarną Wdową.

Były to ciężkie, samotne tygodnie, podczas których za jedyne towarzystwo służył jej alkohol. Mike Bolt dzwonił kilkanaście razy i złożył jej parę wizyt tuż po porwaniu. Wiedziała, że ją lubi. I ona też go lubiła. Bardzo. Nie tylko dlatego, że ocalił jej życie. Gdzieś w głębi zawsze, od samego początku czuła do niego pociąg. Ale pozostawał też wielki, nierozwiązywalny problem. Jej picie. Tina nie rzuciła go i nie przewidywała, że mogłaby to zrobić. Alkohol za bardzo stał się częścią niej, a Mike nie zasłużył sobie na taką kobietę. Toteż raz jeszcze odepchnęła go, choć część jej pragnęła go bardziej niż kiedykolwiek.

Dziś po raz pierwszy od tamtych wydarzeń naprawdę wyszła z domu. Stojąc na październikowym deszczu, czuła się dziwnie wolna. Sądziła, że o tej porze dnia cmentarz będzie pusty, lecz przy jednym z nagrobków stała para z małym dzieckiem, zwrócona do niej plecami. Tina dostrzegła kilka świeżych bukietów opartych o nagrobek i instynktownie pojęła, że musi to być grób Roba Fallona.

Przez ostatnie tygodnie rzadko o nim myślała, zbyt zajęta własnymi problemami. Nie przyszła nawet na pogrzeb, który odbył się przed miesiącem, choć została zaproszona. Ale zeszedł nocy przyśnił się jej. Był to jeden z owych surrealistycznych snów, w których nic nie ma sensu. Wędrowali gdzieś razem z plecakami — może w Indonezji, w kraju, który zwiedziła

dokładnie wiele lat temu. Nie miała pewności. Ale gdy ocknęła się rankiem, z kolejnym ogłuszającym kacem, nagle ogarnęło ją pragnienie, by złożyć hołd człowiekowi, który zginął, bo okazał się dość odważny, aby interweniować w cudzej sprawie. W ostatecznym rozrachunku nie ocalał Jenny Brakspear. W ostatecznym rozrachunku nie ocalał nawet samego siebie. Lecz Tina wiedziała, że Rob Fallon zasłużył sobie na uznanie, dlatego sprawdziła, gdzie go pochowano, i przejechała osiemdziesiąt kilometrów, by tam dotrzeć.

Teraz stała w cieniu kościoła, czekając, aż para z dzieckiem zakończy wizytę. Nie chciała im przeszkadzać. Czy raczej, jeśli miała być szczerą, angażować się w rozmowę.

Nie trwało to długo. Najwyżej dwie minuty. Ostatecznie nie da się zbyt długo stać nad grobem w deszczu z małym dzieckiem.

Odwrócili się i pomaszerowali ścieżką w stronę bramy. Lecz gdy ją mijali, kobieta zauważyła Tinę i przystanęła. Na głowie miała ortalionowy kaptur, ale Tina stwierdziła, że jest po trzydziestce i całkiem ładna, choć twarz jej poczerwieniała, a oczy zapuchły od łez. Córka — miniaturowa wersja matki, na oko najwyżej czteroletnia, ubrana w identyczną jaskrawoczerwoną przeciwdeszczową kurtkę — mocno ścisnęła dłoń kobiety. Wyglądała na smutną i oszołomioną. Mężczyzna czekał z tyłu.

— Przepraszam — zagadnęła niepewnie kobieta. — Czy pani jest Tiną Boyd?

Gazety i stacje telewizyjne tak często pokazywały jej zdjęcie, że nie było sensu zaprzeczać.

— Owszem — odparła, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. — Przyszłam tu po to, żeby, ee... — urwała i machnęła tanim bukietem ze stacji benzynowej.

— Jestem Yvonne — przedstawiła się kobieta. — Byłam żoną Roba. To moja córka, Chloe.

Chloe wbiła wzrok w ziemię.

— A to mój partner, Nigel.

Nigel, wysoki i zbudowany jak typowy rugbysta z drogiej prywatnej szkoły, skinął głową z lekko zakłopotaną miną.

— Miło mi panią poznać — rzekła Tina.

Zapadła niezręczna cisza. Najwyraźniej żadne z nich nie wiedziało, jak kontynuować rozmowę.

W końcu Tina pojęła, że to ona powinna przerwać milczenie.

— Znałam Roba bardzo krótko, ale cieszę się, że go poznałam. Był dobrym człowiekiem. Mógł niczego nie robić, ale zdecydował się postąpić, jak należy. — Spojrzała na Chloe, wciąż niepodnoszącą głowy. — Twój tatuś był bardzo dzielny — dodała. — Powinnaś być z niego dumna.

Odwróciła się, czując, że ściska jej się gardło.

— Dziękuję — rzekła Yvonne. Zaczęła mówić coś jeszcze, ale umilkła.

Nigel objął ją czule ramieniem i we trójkę odeszli ścieżką.

Tina odprowadziła ich wzrokiem w deszczu, póki nie zniknęli za bramą. Potem odwróciła się i pokuśtykała powoli aż do grobu. Kładąc na nim kwiaty obok innych, załkała cicho w gęstniejącym mroku. Lecz kiedy po policzkach popłynęły jej łzy, pojęła, że nie płacze nad Robem Fallonem.

Płakała nad samą sobą.